

KOLEKCJA LITERATURY
KLASYCZNEJ



Jack London



Zew krwi

JACK LONDON

ZEW KRWI

Konwersja:



STRASZLIWY ARCHIPELAG

Można powiedzieć bez przesady, iż Archipelag Salomona jest grupą wysp srodze upośledzonych.

Niewątpliwie jednak istnieją na świecie miejsca jeszcze gorsze. W każdym razie archipelag ten musi się wydawać naprawdę straszliwy żółtodziobowi pozbawionemu przyrodzonego daru rozumienia twardego życia i twardych ludzi.

Prawdą jest, że malaria i czerwotka grasują tam ustawicznie, szerzą się wstrętne choroby skórne, a powietrze przesycą trucizna, która przenika we wszystkie pory, zadrapania lub skaleczenia i sieje złośliwe czyraki. Prawdą jest, że wielu silnych mężczyzn, którym uda się nie umrzeć na tych wyspach, wraca ze zrujnowanym zdrowiem do rodzinnych krajów. Prawdą jest także, iż tubylcy z Archipelagu Salomona to stado dzikusów wiecznie zgłodniałych mięsa ludzkiego i zwariowanych na punkcie zbierania ludzkich głów. W ich pojęciu najwspanialszym wyczynem sportowym jest zaskoczyć odwróconego plecami człowieka i zręcznym ciosem tomahawka przeciąć mu kręgosłup u podstawy czaszki. Prawdą jest, iż na niektórych wyspach — na przykład na Malaicie — rachunek strat i zysków we wzajemnych stosunkach między ludźmi oblicza się ilością zabójstw. Zakonserwowane głowy są obiegowym środkiem wymiany, a głowy białych mają niezwykle wysoką cenę. Bardzo często kilkanaście wiossek spędza swe trzody i tuczy je miesiąc po miesiącu, dopóki jakiś waleczny wojownik nie upomni się o nagrodę prezentując głowę białego człowieka, świeżo ściętą, zbroszoną jeszcze posoką.

Wszystko to jest szczerą prawdą. Są jednak biali, którzy spędzili na Wyspach Salomona po dwadzieścia lat, a opuściwszy je, cierpią na nostalgię; Człowiek musi być tylko ostrożny, no i mieć łut szczęścia, żeby żyć długo na tym archipelagu. Musi także być osobnikiem właściwego gatunku. Na duszy winien mieć wypalono piętno niepokonanego białego człowieka. Musi być niepokonany. Musi mieć wzniosłą pogardę dla drobiazgów, niezmierną pewność siebie i rasowy egotyzm, który rodzi wiarę, że jeden biały jest lepszy od tysiąca czarnych w każdy powszedni dzień, a przy niedzieli może sobie poradzić nawet z dwoma tysiącami. Takie właśnie przymioty uczyniły białego człowieka niepokonanym. I jeszcze jedno: biały, który pragnie być niepokonany, powinien nie tylko gardzić podlejszymi nacjaми, a o sobie mieć bardzo wysokie mniemanie, lecz cierpieć również na brak wyobraźni. Nie może zbyt dobrze rozumieć instynktów, obyczajów i procesów myślowych, ludzi czarnych, żółtych czy brunatnych, bo nie taką metodą biała rasa wydeptała swój królewski gościniec dokoła świata.

Bertie Arkwright nie mógł uchodzić za niepokonanego. Był wrażliwy, delikatny, posiadał zbyt bujną wyobraźnię. Ugiął się pod brzemieniem zewnętrznego świata. Znadto dociekliwie studiował otoczenie. Dlatego Właśnie Archipelag Salomona był ostatnim na świecie miejscem, do którego winien wybrać się Bertie Arkwright. Nie

wybrał się tam zresztą na stałe. Uważał, że pięcioletni pobyt pomiędzy rejsami parowców zupełnie zaspokoi zew pierwotności, którym drgały struny jego duszy. Tak przynajmniej, choć w innych słowach, Bertie informował turystki z „Makembo”. Turystki wielbiły bohatera, same bowiem (jako że damy) miały jedynie zaznawać spokoju na pokładzie parowca, który przemierzał szlaki wodne archipelagu.

„Makembo” wiozł również innego pasażera, lecz na niego turystki nie zwracały uwagi. Był to mały, zasuszony człeczyna o ogorzałej na mahoń, zwiędłej cerze. Nazwisko, pod jakim figurował na liście podróźnych, nie miało znaczenia, lecz na jego drugie nazwisko — Kapitan Malu — zaklinali się tubylcy i od Nowego Hanoweru po Nowe Hebrydy straszili nim nieznośne dzieciaki. Kapitan Malu panował nad dzikimi ludźmi i dzikimi obyczajami, a z malarii i z trudów, z trzasku sniderów i świstu batogów, którymi posługiwali się nadzorcy robót, wydusił okrągłe pięć milionów pod postacią trepangów, drzewa sandałowego, muszel perłowych, szylkretu, orzecha amerykańskiego, kopry, terenów zdatnych pod uprawę, faktorii i plantacji. Mały palec Kapitana Malu, złamany niegdyś, był bardziej niepokonany niż cały Arkwright. Ale turystki opierały swe sądy jedynie na pozorach, a Bertie był niewątpliwie przystojnym mężczyzną.

Młody chwatał rozmawiał w palarni z Kapitanem Malu i zwierzył mu się, iż chce zobaczyć srogie, ociekające krwią życie Archipelagu Salomona. Kapitan Malu przyznał, że to zamiar chwalebny i ambitny. Ale Bertie zainteresował go dopiero po kilku dniach, kiedy zapragnął pokazać mu swój pistolet kalibru 44*. objaśniał działanie automatu i na pokaz wsunął ma, gazynek do kolby. Następnie szarpnął w tył płaszcz lufy.

— Widzi pan, jaka to prosta historia — mówił. — Tym ruchem ładuje się broń, a także napina iglicę. Teraz wystarczy nacisnąć cyngiel osiem razy, tak szybko, jak chodzi palec. Albo bezpiecznik! Właśnie bezpiecznik podoba mi się najbardziej. Działa niezawodnie, pod gwarancją! — Zręcznie wyciągnął magazynek. — Sam pan chyba widzi, jaka to bezpieczna sztuka.

— Ściskając w rękę pistolet zwrócił wylot lufy w stronę brzucha Kapitana Malu. Ten przyglądał się spokojnie, nie odwracał błękitnych oczu.

— Czy nie zechciałby pan celować w jakimś innym kierunku? — poprosił.

— Ależ nic nie grozi! — uspokoił go Bertie. — Wyjąłem magazynek. Rozumie pan, broń nie jest nabita.

— Broń jest zawsze nabita.

— Ale nie ten pistolet.

— W każdym razie proszę skierować go w inną stronę.

Kapitan Malu mówił cicho, chłodnym, opanowanym tonem, lecz ani na chwilę nie oderwał wzroku od lufy pistoletu. Wreszcie wylot zwrócił się w bok i linia celowania uległa zmianie.

— Zakład o pięć funtów, że broń nie jest naładowana — zaproponował żywo Bertie.

Jego towarzysz pokręcił głową.

— Więc panu dowiodę!

Bertie przyłożył pistolet do własnej skroni i najwidoczniej miał zamiar nacisnąć cyngiel.

— Chwileczkę — powiedział spokojnie Kapitan Malu sięgając po pistolet. — Wolę najpierw sprawdzić.

Wycelował w morze i nacisnął cyngiel. Huknął strzał. Automat szczęknął sucho i gorąca, dymiąca łuska stuknęła o deski pokładu. Bertie otworzył usta ze zdumienia.

— Tylko raz pociągnąłem w tył płaszcz lufy, prawda? — wyjaśnił bez przekonania. — Muszę przyznać, że ze mnie dureń.

Zachichotał słabo i usiadł na leżaku. Krew odpłynęła mu z twarzy, pod oczyma wystąpiły sine kręgi. Dłonie trzęsły się, nie były w stanie podnieść do ust papierosa. Bertie ugiął się pod brzemieniem światła zewnętrznego. Zobaczył siebie rozciągniętego na pokładzie, spryskanym przez własny mózg".

— Do... doprawdy... — wyjąkał. — Doprawdy...

— Piękna broń — orzekł Kapitan Malu zwracając pistolet właścicielowi.

Komisarz kolonii, który wracał na „Makembo” z Sydney, zezwolił, by parowiec zawinął do Ugi i wysadził na ląd misjonarza. W Ugi zaś stał na redzie kecz „Arla”, dowodzony przez kapitana Hansena. „Arla” wchodził w skład licznej flotyli Kapitana Malu. Na propozycję i zaproszenie Kapitana Malu Bertie wstąpił na pokład „Arli”, by jako gość wziąć udział w czterodniowym rejsie rekrutacyjnym u wybrzeży Ma-laity. Następnie kecz miał dostarczyć młodego zucha do plantacji Reminge, należącej również do Kapitana Malu. Arkwright mógłby tam spędzić tydzień i odpłynąć do Tulagi, siedziby władz kolonialnych, gdzie pozostałby w gościnie u komisarza. Ponadto Kapitan Malu wysunął dwie dalsze propozycje, które kończą jego osobistą rolę w naszej opowieści. Adresatem jednej z nich był kapitan Hansen, drugiej — pan Harriwell, administrator plantacji Reminge. Propozycje nie różniły się treścią. Chodziło o to, by pan Bertram Arkwright zobaczył surowe, krwawe życie Wysp Salomona. Podobno Kapitan Malu napomknął przy sposobności, że skrzynka szkockiej whisky przypadnie temu, kto szczególnie efektownie zaprezentuje gościowi wyżej wspomniane surowe i krwawe życie.

— Tak, ze Swartza zawsze był frajer. Zabrał czterech swoich majtków do Tulagi, gdzie mieli dostać baty... rozumie pan, oficjalną chłostę. Później wracał z nimi welbotem. Wiał silny wiatr i łódź fiknęła kozła niedaleko plaży. Tylko Swartz utonął. Oczywiście czysty przypadek.

— Przypadek? Naprawdę? — zapytał Bertie bez większego zainteresowania, gdyż gapił się właśnie na stojącego u steru czarnego marynarza. .

Ugi zostało za rufą. Kecz „Arla” sunął po spokojnym w lecie morzu w stronę porośniętych dżunglą wzgórz Malaity. Sternik, który tak przyciągał wzrok Arkwrighta, miał nos przekłuty wielkim ćwiekiem. Na szyi nosił sznurek guzików od spodni, a w zdobiących uszy otworach nóż do otwierania puszek, złamaną rączkę szczoteczki do zębów, glinianą fajkę, mosiężne kółko budzika i kilka pustych gilz winchesterowych.

Na piersiach dyndała zawieszona na długiej lince połówka porcelanowego talerza.

Około czterdziestu podobnie przystrojonych krajowców wałęsało się po pokładzie. Piętnastu z nich należało do załogi. Resztę stanowili świeżo zwerbowani rekruci.

— Oczywiście był to czysty przypadek — zabrał głos porucznik Jacobs, szczupły, ciemnooki mężczyzna, który sprawiał wrażenie, raczej profesora niż żeglarza. — Johnny Bedip miał bardzo podobną historię. Wiózł kilku chłopców po laniu, a ci wywrócili mu łódź. Ale Johnny umiał pływać niegorzej niż oni. Dwóch czarnych utonęło. Chodzą plotki, że używał bosaka i rewolweru. Oczywiście i to był przypadek.

— Takie przypadki sypią się jak z rękawa — podjął szyper. — Widzi pan ten okaz przy sterze, panie Arkwright? To ludożerca. Pół roku temu przy pomocy całej zarkwogi utopił ówczesnego kapitana „Arli”. Zrobili to, drogi panie, na pokładzie, o tam, na rufie, przy bezanżaglu.

— Pokład był w ohydny stanie — dorzucił porucznik.

— Czy mam rozumieć... — zaczął Bertie.

— Tak, tak! To było przypadkowe utonięcie — dokończył kapitan Hansen.

— Ale... ale... na pokładzie?

— Na pokładzie. W zaufaniu pozwolę sobie poinformować pana, że załoga użyła siekiery.

— Ta pańska obecna załoga? Kapitan Hansen skinął głową;

— Dawny szyper zawsze był nieostrożny — wyjaśnił porucznik. — Cóż, odwrócił się plecami i zaraz go dostali.

— Widzi pan, jesteśmy tutaj bezradni — poskarżył się Hansen.— W każdym wypadku władze bardziej faworyzują czarnych niż białych. Nie może pan wystrzelić pierwszy. Pierwszy strzał musi pan ustąpić czarnemu, bo inaczej władze nazwą to morderstwem, a pan powędruje na Fidżi. Dlatego właśnie zdarza się tak wiele przypadkowych utonięć.

Steward oznajmił, że obiad podany. Szyper zszedł z go ściem do mesy, pozostawiając swemu pomocnikowi straż na pokładzie.

— Miej no pan na oku tego czarnego szatana, Auiki — rzucił pożegnalną przestrożę. — Od kilku dni nie podoba mi się jego mina.

— Tak jest — odparł porucznik.

Pod koniec obiadu szyper był w połowie opowieści o napadzie na „Scottish Chiefs”.

— Tak — mówił — to' był najpiękniejszy statek na naszych wodach. Ale stracił sztagi i w mgnieniu oka osiadł na rafie. Obskoczyły go pirogi tubylców. Na pokładzie było pięciu białych i załoga — dwudziestu zuchów z Santa Gruz i Samoa. Tylko supercargo uszedł z życiem. Aha! Statek wiózł także sześćdziesięciu rekrutów. Wszyscy zostali kai-kai Nie rozumie pan? Bardzo przepraszam. Chciałem powiedzieć, że wszyscy zostali pożarci. Także „James Edwards”, elegancko ożaglowany...

Na pokładzie Jacobs zaklął siarczyście. Odpowiedział mu chór dzikich wrzasków. Trzykrotnie wypalił rewolwer. Później coś głośno chlupnęło w wodę. Kapitan Hansen skoczył na trap i po drodze błyskawicznym ruchem dobył pistoletu. Bertie

patrzył jak urzeczony. Ale był przezorny. Zawahał się, nim wychylił głowę spod daszka nad trapem. Nic się jednak nie działo. Porucznik drżał ze wzburzenia, w rękę trzymał rewolwer. Raz podskoczył i odwrócił się gwałtownie, jak gdyby od tyłu zagrażało mu niebezpieczeństwo.

— Jeden z tubylców wypadł za burtę — mówił dziwnym, zdławionym głosem. — Nie umiał pływać.

— Który? — zapytał szyper. - Auiki.

— Ale... proszę panów! Przecież ja... ja słyszałem strza ły... — Bertie drżał z podniecenia, bo wietrzył przygodę, i to przygodę szczęśliwie zakończoną.

Porucznik zwrócił się gniewnie w jego stronę.

— Łgarstwo — warknął. — Nie było żadnych, strzałów. Czarny wypadł za burtę.

Kapitan Hansen mierzył gościa tępym, nieruchomym wzrokiem.

— Zdawało mi się... — zaczął Bertie.

— Strzały? — mówił zadumany szyper. — Strzały? Czy słyszał pan jakieś strzały, Jacobs?

— Nic podobnego.

Hansen spojrział triumfująco na gościa i powiedział:

— Czysty przypadek. Idziemy do mesy, panie Arkwright. Skończymy obiad.

Tej nocy gość spał w kajucie kapitańskiej — ciasnej komórce oddzielonej od mesy. Przednią gródź ozdobił stojak na broń, a ponadto nad koją wisiały trzy karabiny. Pod koją była wielka szuflada. Arkwright otworzył ją i zobaczył, iż zawiera amunicję, dynamit i kilka pudełek spłonek detonujących. Wolał usiąść na ławce po przeciwnej stronie kabiny. Na małym stolczku w widocznym miejscu leżał dziennik pokładowy „Arli”. Bertie nie wiedział, że tę księgę sporządził na jego cześć Kapitan Malu, toteż czytał z zainteresowaniem o dwóch majtkach, którzy dwudziestego pierwszego września wypadli za burtę i utonęli. Ach, dobrze rozumiał, co się za tym kryje, umiał już czytać między wierszami. Dalej dowiedział się, że welbot „Arli” został ostrzelany z nadbrzeżnej dżungli w Su'u i stracił trzech ludzi, że szyper przyłapał kucharza, który gotował w kambuzie ludzkie mięso kupione przez: załogę na wybrzeżu Fui; że podczas sygnalizowania przypadkowy wybuch dynamitu zabił jednego majtka. Bertie czytał o nocnych walkach, o ucieczkach z portów świtem, o napadach tubylców wśród porośniętych mangrowcami bagien i atakach flotyli piróg w zatokach lub cieśninach. Z nużącą jednostajnością powtarzał się wciąż ten sam zapis: śmierć z powodu czerwonki. Bertie przeraził się, gdy odkrył, że dwaj biali, podobnie jak on goście kapitana, umarli na tę chorobę.

— Wie pan co — powiedział nazajutrz kapitanowi Hansenow — przejrzałem pański dziennik pokładowy.

Szyper przypomniał sobie, że zostawił dziennik na stole, i bardzo się zirytował.

— Wszystkie wypadki czerwonki to, widzi pan, taka sama bujda jak te wasze przypadkowe utonięcia — ciągnął młody chwat. — Co właściwie ma oznaczać czerwonka?

Hansen zeszywniał zrazu, jak gdyby chciał gniewnie zaprotestować. Wkrótce jednak poddał się z wdziękiem, i wyraził szczerzy podziw dla bystrości gościa.

— Widzi pan, panie Arkwright, sprawa tak się przedstawia: Wyspy Salomona mają opinię pod psem. Coraz trudniej zwerbować tutaj białego.- Przypuśćmy, że ktoś został zabity. Firma musiałaby płacić złote góry, żeby odpowiednim człowiekiem zapełnić wolne miejsce. Ale jeżeli przyczyną śmierci jest choroba, wszystko w porządku. Nowicjuszom nie straszne choroby. Żaden nowicjusz natomiast nie chce być zamordowany. Kiedy zajmowałem miejsce dawnego szypra „Arli”, byłem przekonany, że umarł na czerwonkę. No i stało się. Podpisałem kontrakt.

— Cóż — wtrącił Jacobs — zbyt często zdarzają się przypadkowe utonięcia. To nieładnie wygląda. A wszystkiemu winne nasze władze. Białemu nie wolno bronić się przed czarnymi.

— Tak. Pamięta pan los „Princess” i tego porucznika, Ame-rykańca — zabrał znów głos szyper. — Na pokładzie było pięciu białych, w ich liczbie przedstawiciel władz kolonialnych. Kapitan, ten agent i supercargo wybrali się na łód dwoma szalupami. Czarni wymordowali ich do nogi. Na pokładzie został porucznik, drugi oficer i załoga — mniej więcej piętnastu chłopców, Samończyków i Tongańczyków. Zgraja dzikich uderzyła na nich od wybrzeża. Porucznik widział na własne oczy, jak drugi oficer i cała załoga zginęli w pierwszym szturmie. Porwał trzy pasy z amunicją i dwa: winchestery i wdrapał się na saling. On jeden ocalał, więc trudno go ganić, że wpadł w istną furję. Walił z jednego karabinu, aż karabin zupełnie się rozgrzał. Później walił z drugiego. Na pokładzie czarno było od tubylców. Porucznik oczyścił pole. Strzelał, kiedy przeskakiwali burty. Strzelał też, kiedy co tchu brali się do wiosł. Zaczęli skakać w wodę, ratować się wplaw. Porucznik wpadł w furję, toteż ubił jeszcze kilku. A ile za to dostał? — Siedem lat na Fidzi — syknął porucznik.

—Władze orzekły, że nie miał prawa strzelać, kiedy napastnicy znaleźli się w wodzie — dokończył kapitan Hansen.

— Dlatego teraz ludzie umierają na czerwonkę — zakon-, kludował Jacobs.

— Dziwne, dziwne rzeczy — powiedział Bertie. Odczuwał gorące pragnienie, by rejs jak najrychlej dobiegł końca.

Po południu Wdał się w pogawędkę z czarnym, którego wskazano mu jako ludożercę. Dzikus nazywał się Sumasai. Spędził trzy lata na pewnej plantacji w Queenslandzie. Znał Samoa, Fidzi, a także Sydney. Jako majtek odbywał na szkunerach rekrutacyjnych rejsy do Nowej Brytanii, Nowej Irlandii, Nowej Gwinei i na Wyspy Admiralskie. Sumasai był żartownisiem i pokpiwał z zachowania obecnego szypra. Tak! Zjadł w życiu mnóstwo ludzi. Ilu? Nie potrafił dokładnie sobie przypomnieć. Byli wśród nich także biali. Smakują doskonale, jeżeli nie są chorzy. Raz Sumasai zjadł chorego białego człowieka.

— Moja słowo! —zawołał na to wspomnienie.— Ja po ta biała człowiek chora, bardzo chora. Moja brzuch boli, boli bardzo, bardzo!

Bertie zadrżał i spytał o głowy. Tak! Sumasai przechowuje na łądzie kilkanaście głów. Są w doskonałym stanie — wysuszone na słońcu, uwędzone w dymie. Jedna należała do szypra pewnego szkunera. Ma długie bokobrody. Sumasai gotów ją sprzedać za dwa funty. Głowy czarnych są tańsze: kosztują po funcie, Sumasai ma parę główek dziecięcych. Są w gorszym stanie. Może je odstąpić po dziesięć

szylingów sztuka.

Zakończywszy rozmowę Bertie usiadł na belce nad trapem obok czarnego majtka cierpiącego na jakąś ohydłą chorobę skórą. Odsunął się śpiesznie i na zapytanie, co by to być mogło, otrzymał odpowiedź, że trąd. Pobiegnął do kabiny i wyszorował się antyseptycznym mydłem. Do wieczora szorował się wiele razy, bo wszyscy czarni na keczu mieli złośliwe czyraki takiego lub innego pochodzenia.

„Arla” zarzucił kotwicę w małej zatoczce pośród bagien porośniętych mangrowcami. Nadburcia przystrojono podwójnymi zasiekami z drutu kolczastego. Wyglądało to poważnie, a kiedy Bertie zobaczył, że od lądu odbijają pirogi pełne dzikusów zbrojnych w dziury, łuki, strzały i snidery — goręcej niż dotychczas zapragnął, by rejs skończył się wreszcie. Pierwszego wieczora czarni niechętnie opuszczali pokład. Kilku postawiło się porucznikowi, kiedy kazał im wracać na ląd.

— Nie martw się pan, zaraz ich przegonię — powiedział kapitan Hansen i zniknął pod pokładem.

Niebawem wyszedł stamtąd i pokazał gościowi ładunek dynamitu uwieszony na haczyku od wędki. Czasami się zdarza, że owinięta w papier butelka chlorodyny z przyczepionym do " paczki nieszkodliwym lontem może wystrychnąć kogoś na dudka. Tym razem oszukała Arkwrighta. Oszukała także tubylców. Kapitan Hansen zapalił lont i haczyk wetknął w przepaskę biodrową na plecach jednego z opornych dzikusów, ten zaś zapalał tak gwałtowną tęsknotą do lądu, że nie przyszło mu na myśl zrzucić opaski. Skoczył w kierunku dzioba, a lont syczał i dymił za nim. Czarni ustępowali mu z drogi i jak szaleni skakali przez kolczaste druty do morza. Bertie skamieniał ze zgrozy. Tak samo skamieniał kapitan Hansen. Zapomniał o dwudziestu pięciu rekrutach, którym wypłacił po trzydzieści szylingów zaliczki! Wszyscy wyskoczyli za burtę wraz z osia dłymi na wyspie krajowcami, a ostatni poszedł ich śladem nieszczęśnik udekorowany syczącą flaszką chlorodyny.

Bertie nie widział wybuchu butelki, ale przytomny porucznik rzucił za rufę prawdziwy ładunek dynamitu w chwili, gdy to nie mogło już skrzywdzić nikogo. Wobec tego pan Arkwright z czystym sumieniem przysięgłby przed każdym sądem morskim, iż w jego oczach rozszarpało na sztuki czarnego.

Ucieczka dwudziestu pięciu rekrutów kosztowała „Arlę” czterdzieści funtów gotowizną, że zaś tubylcy zbiegli do dżungli, nie było nadziei na ich odzyskanie. Wobec: tego szyper i jego pomocnik wzięli się do topienia trosk w zimnej herbacie. Zimna herbata była nalana do: butelek po whisky, toteż Bertie nie wiedział, iż piją całkiem nieszkodliwy trunek. Widział za to, że strasznie się upili i słyszał ich długą, pełną kwiecistych wyrażen kłótnię. Spierali się, czemu przypisać śmierć wysadzonego dynamitem dzikusa: czerwonce czy przypadkowemu utopieniu. Kiedy posnęli wreszcie i zaczęli chrapać, Bertie — jedyny biały w pełni władz umysłowych — trwożnie czuwał do rana, bo lękał się napaści z lądu, jak i buntu załogi.

Trzy następne dni „Arla” stał na redzie i przez trzy następne wieczory szyper i porucznik z lubością zapijali zimną herbatę obarczając wachtą gościa. Nie wątpili, że można mu ufać, on zaś był równie pewien, iż jeśli wyżyje, doniesie Kapitanowi Malu

o pijatykach. Później kecz zarzucił kotwicę u wybrzeża wyspy Guadalcanar, w pobliżu plantacji Reminge. Bertie stanął na plaży z westchnieniem ulgi i uścisnął dłoń administratora. Pan Harriwell był gotów na jego przyjęcie.

— Proszę się tylko nie przejmować, że moi koledzy mają trochę rzadkie miny — mówił poufnie, odciągawszy go na bok. — Krążą pogłoski o buncie. Muszę przyznać, że zaobserwowałem kilka podejrzanych objawów, ale moim zdaniem, to tylko głupia gadanina.

— Ilu... ilu czarnych jest na... na plantacji? — zapytał Bertie truchlejąc ze strachu.

— W danej chwili zatrudniamy czterystu — odparł beztrzesko administrator — ale we trzech, oczywiście przy pomocy drogiego pana, szypra i porucznika „Arli”, doskonale sobie poradzimy.

Bertie odwrócił się, by zawrzeć znajomość z niejakim Mc-Tavishem, magazynierem, ten wszakże prawie nie zwrócił na to uwagi, bo z wielkim zapałem prosił o dymisję.

— Słowo daję, panie Harriwell — mówił — nie mogę zostać dłużej, naprawdę nie mogę. Jestem żonaty. Knuje się coś złego. Widać to tak wyraźnie, jak nos na pańskiej twarzy. Będzie bunt czarnych. Powtórzy się masakra z Hohono.

— Co to znaczy „masakra z Hohono”? — zapytał Bertie, kiedy magazynier dał się przekonać, iż powinien wytrwać do końca miesiąca.

— Ach, McTavish mówił o plantacji Hohono na wyspie Ysabel — wyjaśnił administrator. — Dzicy zatłukli tam na lądzie pięciu białych, opanowali szkuner, zamordowali kapitana i porucznika, a później całą zgrają pożeglowali na Malaite. Od początku twierdziłem, że w Hohono biali byli nieostrożni. Nas nie zaskoczą we śnie. Bardzo proszę, panie Arkwright, niech pan pozwoli dalej i spojrzy, jaki piękny mamy widok z werandy.

Bertie niewiele widział. Zbyt zajęła go myśl, jakby dostać się do Tulagi, pod dach komisarza. Jeszcze się nad tym zastanawiał, gdy bardzo blisko, tuż za jego plecami huknął karabinowy wystrzał. W tej samej chwili pan Harriwell wciągnął go do sieni tak gwałtownie, że omal nie zwichnął mu ręki.

— Ach, drogi panie! O włos się panu nie oberwało — mówił administrator obmacując gościa, by sprawdzić, czy nie jest ranny. — Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro. Ale skąd mogło mi przyjść do głowy coś podobnego? W biały dzień!

Bertie pobladł.

— Poprzedniego administratora sprzątnęli w taki właśnie sposób — dorzucił swoje McTavish. — Cóż to był za sympatyczny facet! Obryzgał mózgiem całą werandę. Zauważył pan chyba ciemną plamę między schodkami a wejściem do domu...

Bertie dojrzał do wypicia coctailu, który pan Harriwell wy mieszał dlań i przyprawił. Nim jednak zdążył umoczyć usta, wszedł do pokoju jegomość w bryczesach i owijaczach.

— Co znowu? — zapytał administrator spojrzawszy na twarz nowoprzybyłego. — Rzeka wystąpiła z brzegów?

— Niech diabli porwą rzekę! Chodzi o czarnych. Jeden wyskoczył z gąszczu trzciny cukrowej i wygarnął do mnie. Był nie dalej niż o dwanaście stóp, ale strzelał

z biodra i miał karabin snidera. Jedno chciałbym wiedzieć: gdzie zdobył tego snidera? Ach, bardzo przepraszam. Miło mi poznać pana, panie Arkwright.

— Pan Brown jest moim pomocnikiem — wyjaśnił administrator. — No, może się nareszcie napijemy!

— Ale skąd czarny miał snidera? — dopytywał Brown. — Zawsze byłem przeciwny magazynowaniu tych pukawek w domu.

— Są przecież na miejscu — powiedział pan Harriwell trochę już zirytowany. Brown uśmiechnął się powątpiewaniem.

— Chodźcie ze mną, sprawdzimy — zawołał jego zwierzchnik.

Bertie udał się również do kantoru, gdzie pan Harriwell wskazał triumfalnie dużą skrzynię ustawioną w zakurzonym kącie.

— W takim razie, gdzie ten drab zdobył snidera? — powtórzył Brown swój refren.

W tej chwili McTavish uniósł skrzynię. Administrator skoczył i zerwał wieko. Skrzynia była pusta. Spojrzeli na siebie w pełnym grozy milczeniu. Harriwell bezradnie opuścił ręce. McTavish zaklął.

— Od wieków dowodzę — warknął — że nie wolno ufać służbie domowej.

— Sprawa wygląda poważnie — przyznał administrator. — Ale i tak poradzimy sobie. Tym żądnym krwi łajdakom trzeba dać po nosie. Zechcą panowie przyjść z karabinami do jadalni, a pan, panie Brown, niech przygotuje czterdzieści lub pięćdziesiąt ładunków dynamitu. Lonty mają być dobrze osadzone, krótkie. Damy im nauczkę. A teraz, proszę panów, obiad na stole.

Bertie nie cierpiał ryżu z curry, tak się więc złożyło, że tylko on zaatakował apetyczny omlet. Sprzątał właśnie resztki z talerza, kiedy Harriwell nałożył sobie porcję omletu. Skosztował pierwszy kęs i zaczął pluć głośno.

— To już drugi raz — oznajmił McTavish złowróżbnym tonem.

Harriwell pluł jeszcze i parskał.

— Co... co drugi raz? — wykrztusił Arkwright.

— Trucizna — padła odpowiedź. — Kucharz będzie wisiał.

— W taki sposób skończył buchalter na Cape Marsh — powiedział Brown. — Strasznie się męczył. Podobno ci na „Jessie” słyszeli jego wrzaski z odległości trzech mil.

— Kucharza okuję w kajdany — syknął administrator. — Chwała Bogu, spostrzeżliśmy się w porę.

Bertie siedział jak skamieniały. Twarz mu poszarzała. Chciał coś powiedzieć, lecz dobywał tylko nieartykułowany bełkot. Wszystkie oczy zwróciły się niespokojnie w jego stronę.

— To niemożliwe! Powiedz pan, że to niemożliwe! — zawołał McTavish zdławionym głosem.

— Tak! Jadłem omlet! Bardzo dużo! Pełny talerz — wybuchnął Bertie nagle, jak nurek, który odzyskał dech.

Na pół minuty zapadła przerażająca cisza. Bertie wyczytał wyrok w oczach towarzyszy.

— Cóż, może omlet nie był jednak zatruty — bąknął posepnie Harriwell.

— Trzeba zawołać kucharza — odezwał się Brown.

Niebawem wszedł do jadalni kucharz — krzywo uśmiechnięty czarny z ćwiekiem tkwiącym w nosie i rozmaitymi ozdobami w podziurawionych uszach.

— Słuchaj, Wi-wi, co to takiego? — ryknął Harriwell i wskazał omlet oskarżającym gestem.

Wi-wi był oczywiście wystraszony i srodze zakłopotany.

— Kai-kai, ona dobra bardzo, bardzo — odpowiedział potulnie.

— Każ mu pan zjeść — zaproponował magazynier. — To niezawodna próba.

Harriwell nabrał pełną łyżkę i rzucił się na Murzyna, ten zaś uciekł w popłochu.

— Sprawa przesądzona — zawyrokował poważnie Brown. — Nie chciał jeść.

— Panie Brown, może pan będzie łaskaw okuć go w kajdany — rozkazał administrator i pogodnie zwrócił się do gościa. — Wszystko w porządku, drogi panie. Już komisarz zajmie się tym ptaszkiem. Łajdak będzie wisiał, jeżeli pan umrze.

— Niech się panu nie zdaje, że nasze władze są znowu tak skore — zaproponował McTavish.

— Ależ, panowie, panowie! — jęknął Bertie. — Pomyślcie na razie o mnie!

Harriwell wzruszył ramionami.

— Bardzo mi przykro, drogi panie, ale to jakaś tubylcza trucizna. Nikt nie zna antydotów na tubylcze trucizny. Niech pan spróbuje się uspokoić, jeżeli zaś...

Ostry huk dwóch wystrzałów przerwał rozmowę. Po chwili wrócił Brown. Naładował karabin i zasiadł do stołu.

— Kucharz nie żyje — oznajmił. — Malaria. Zupełnie niespodziewany atak.

— Mówiłem właśnie panu Arkwrightowi, że nie ma antydotów na tubylcze trucizny...

— Z wyjątkiem dżynu — dokończył Brown.

Harriwell nazwał się bezmyślnym osłem i skoczył po flaszkę dżynu.

— Ostrożnie, przyjacielu, ostrożnie! — ostrzegał gościa, który jednym haustem wypił dwie trzecie szklanki źle oczyszczonej okowity, a teraz dławił się i krztusił, bo piekielny trunek palił mu gardło, aż łzy spływały po twarzy.

Harriwell zmierzył Arkwrightowi tętno i temperaturę, udał, że bada go troskliwie i zaczął powątpiewać, czy omlet był zatruty. Brown i McTavish przytaknęli szefowi, ale Bertie wyczuł nieszczerą nutę w ich głosie. Stracił apetyt i ukradkiem liczył tętno pod osłoną stołu. Nie ulegało wątpliwości, że biło coraz szybciej, lecz Bertie zapomniał przypisać to wypitemu dżynowi. McTavish z winchesterem w ręku wyszedł na werandę, by rozejrzeć się w sytuacji.

— Gromadzą się przed barakiem kuchennym — brzmiał jego meldunek. — Mają bez liku sniderów. Moim zdaniem trzeba przekraść się na tyły baraku i uderzyć na nich z flanki. Proponuję, panowie, żebyśmy zaatakowali pierwsi. Pójdiesz ze mną, Brown.

Harriwell posilał się z apetytem, a Bertie stwierdził, że puls ma szybszy o pięć uderzeń na minutę. Zerwał się jednak, kiedy gruchnęły strzały. Pośród trzasku sniderów słychać było szybki ogień winchesterów Browna i McTavisha. Kanonadzie

akompaniowały piekielne wrzaski i wycia.

— Zmusili ich do ucieczki — powiedział administrator, gdy krzyki i wystrzały zaczęły cichnąć w oddali.

Ledwie Brown i McTavish zdążyli wrócić do stołu, magazynier wyruszył znowu na zwiady.

— Mają dynamit! — zameldował.

— Zaatakujemy ich więc dynamitem! — rzucił Harriwell. Gospodarze uzbroili się w zapalone cygara i wepchnąwszy

w kieszenie po kilka lasek dynamitu, skoczyli do drzwi. Wówczas zdarzyło się nieszczęście. Koledzy winili za nie później McTavisha, a on sam przyznawał, iż szturm był może nieco zbyt zaciekły. W każdym razie pierwszy ładunek eksplodował pod domem, który uniósł się jednym narożnikiem i osiadł z powrotem na podmurówce. Połowa porcelany spadła ze stołu, a nakręcany raz na tydzień zegar stanął. Rycząc mściwie trzej bohaterowie zniknęli w ciemnościach nocy. Zaczęło się bombardowanie.

Kiedy wrócili, nie zastali gościa w jadalni. Biedak zawlókł się do kantoru, zabarykadował drzwi i runął na podłogę. Dręczyły go skąpane w dżynie koszmary. Tysiące razy umierał okropną śmiercią, a wokół staczano bohaterskie walki. Rano wypełznął na werandę. Było mu niedobrze po dżynie i cierpiał na ból głowy, przekonał się jednak, że słońce nie zgasło i Bóg jest prawdopodobnie w niebie, ponieważ gospodarze żyli i nawet nie odnieśli ran.

Harriwell nalegał, by Bertie pozostał nieco dłużej, lecz ten postanowił niezwłocznie wracać „Arlą” do Tulagi, gdzie trzymał się blisko komisarskiej rezydencji aż do dnia odejścia najbliższego parowca. Na tym statku były również turystki. Bertie znów uchodził za bohatera, a na Kapitana Malu — jak zwykle — damy nie zwracały uwagi. Ale Kapitan Malu wyekspediował z Sydney dwie skrzynki szkockiej whisky, najlepszej, jaką dysponował tamtejszy rynek. Nie był w stanie osądzić, kto efektowniej zaprezentował młodemu Arkwrightowi życie na straszliwym archipelagu — kapitan Hansen czy pan Harriwell.

CZUN AH CZUN

Czun Ah Czun niczym nie zwracał na siebie uwagi. Był niski jak każdy Chińczyk i jak Chińczyk — szczupły i wąski w ramionach. Przyjezdny, ujrawszy go przypadkiem na którejś z ulic Honolulu, pomyślałby, że idzie dobroduszny, mały Chińczyk, pewnie właściciel dochodowej pralni albo zakładu (krawieckiego. Gdy idzie o dobroduszność i powodzenie, sąd ten byłby słuszny, chociaż niepełny, bo u Ah Czuna dobroduszność szła w parze z powodzeniem w interesach, o których nie wiadomo nawet dziesiątej części prawdy.

Wiadomo było, że był ogromnie bogaty, ale w tym wypadku „ogromnie” oznaczało tylko nieznanne.

Ah Czun miał chytre oczka, czarne, paciorkowate i tak malutkie jak dziurki wyborowane świdrem. Szeroko rozstawione, siedziały pod sklepionym czołem, charakterystycznym czołem myśliciela. Bo Ah Czunowi przez całe życie nie brakło dość tematów do rozmyślań. Nie można powiedzieć, by się nimi zadręczał, z natury bowiem był filozofem i czy to jako kulis, czy jako multimilioner, pan i władca wielu ludzi, zawsze zachowywał jednakowo niewzruszoną równowagę ducha. Jego wewnętrznego spokoju nie zdołało nigdy zakłócić powodzenie ani niepowodzenie — naruszyć. Przeciw niczemu się nie buntował: czy to były baty dozorczy na plantacji trzciny cukrowej, czy też spadek cen cukru, gdy sam już został właścicielem tychże pól cukrowych. Tak to z wyżyn granitowej skały pewności i zadowolenia ze świata, rozstrzygał problemy, nad którymi niewielu ludziom dane jest łamać sobie głowy, a najmniej już chińskiemu chłopu.

Był bowiem chińskim chłopem, zrodzonym do tego, by przez całe życie pracować w polu jak bydło. Ale zrządzeniem losu dane mu było uciec z tych pól, niby królewiczowi w bajce. Ah Czun nie pamiętał ojca, małorolnego chłopca z okolic Kantonu; słabo też pamiętał matkę, która umarła, gdy miał sześć lat. Świetnie za to pamiętał swego czcigodnego wuja Ah Kow, bo jemu służył jak niewolnik od szóstego do dwudziestego czwartego roku życia, kiedy uciekł z tego jarzma i zaciągnął się na trzy lata jako kulis na hawajską plantację trzciny cukrowej za płacę pięćdziesięciu centów dziennie.

Ah Czun umiał patrzeć i widział to, czego nie widzi nawet jeden człowiek na tysiiąc. Trzy lata pracował na polach cukrowych, a pod koniec tego okresu znał się na uprawie trzciny lepiej niż nadzorca, a nawet zarządca, który szczerze by się zdumiał, gdyby wiedział, jak ten mały, pomarszczony kulis zna się na chemicznych procesach przeróbki trzciny. Ah Czun jednak interesował się nie tylko fabrykacją. Usiłował zrozumieć, jak ludzie zostają właścicielami plantacji i cukrowni. Jedną prawdę odkrył szybko, tę, że nie bogacą się z pracy własnych rąk. To wiedział na pewno, bo sam już pracował od lat dwudziestu. Ludzie zbijają majątki na cudzej pracy. A najbogatszy jest ten, dla którego tyra najwięcej bliźnich.

Tak więc, gdy wygasł jego kontrakt, Ah Czun wsadził swe drobne oszczędności w mały interes importowy, zawiązując spółkę z niejakim Ah Yungiem. Z czasem firma rozrosła się i zasłynęła pod nazwą „Ah Czun i Ah Yung”. Interesowała się wszystkim: od indyjskich jedwabi i rośliny schinseng aż do wysp guanowych i handlu niewolnikami. Tymczasem Ah Czun pracował jako kucharz. Gotował świetnie i po trzech latach był najlepiej płatnym kuchmistrem w Honolulu. Mógł zrobić karierę i jak mu powiedział jego szef, Dantin, chyba zwariował rzucając pracę. Ale Ah Czun wiedział, co robi, a że wie działał, został nazwany skończonym osłem i nagrodzony pięćdziesięciu dolarami ponad należną pensję.

Interesy firmy Ah Czun i Ah Yung" szły świetnie. Ah Czun nie potrzebował już kucharzyć. Działo się to w złotych dla Hawaj czasach. Plantacji cukrowych było coraz więcej i coraz więcej też potrzebowano robotników. Ah Czun szybko się w tym połapał i zorganizował dostawę rąk roboczych. Sprowadzał na Hawaje tysiące kantońskich kulisów i bogacił się coraz bardziej. Inwestował pieniądze we wszystko. Jego małe, paciorkowate oczki potrafiły wypatrzeć zysk tam, gdzie inni widzieli stratę. Za grosze nabył staw rybny, który później przyniósł mu pięćset procent zysku i posłużył za odskocznię do zmonopolizowania całego handlu rybami w Honolulu. Ah Czun nie udzielał wywiadów, nie zajmował się polityką, nie bawił się w rewolucje, ale dalej patrzył w przyszłość i umiejętniej przewidywał wypadki od ludzi, którzy byli ich duszą. Kiedy jeszcze Honolulu, rozrzucone, brudne i zasypywane piaskiem, stało na nieurodzajnej koralowej rafie, widział je już jako nowoczesne, oświetlone elektrycznością miasto. Skupywał więc tereny. Skupywał je od kupców goniących za gotówką, od ubogich krajowców, od marnotrawnych kupieckich synków, od wdów i sierot i od trędowatych deportowanych na Malokai. I jakoś tak się działo, że z czasem tereny nabyte przez niego były potrzebne pod składy, biura i hotele. Dzierżawił więc place, (sprzedawał, kupował i znów odprzedawał.

Ale to nie wszystko. Obdarzył zaufaniem i zainwestował pieniądze w Parkinsona, kapitana renegata, któremu nikt by nie zawierzył. I Parkinson odpływał w tajemnicze podróże na małej „Vedze”. Żył na koszt Ah Czuna do śmierci, a w wiele lat potem Honolulu ze zdziwieniem dowiedziało się z nieśmiałych pogłosek, że guanowe wyspy Drake i Acorn zostały sprzedane Brytyjskiemu Trustowi Fosfatowemu za trzy czwarte miliona dolarów. Były też tłuste lata za panowania króla Kalakaua, kiedy Ah Czun za trzysta tysięcy dolarów nabył wyłączne prawo handlu opium. Musiał na tym monopolu zrobić dobry interes, choć zapłacił za niego bez mała jedną trzecią miliona, skoro za samą dywidendę kupił później plantację Kalalau, która z kolei przynosiła po trzydzieści procent przez siedemnaście lat, zanim ją sprzedał za półtora miliona.

Na długo przedtem, za dynastii Kamehameha, służył swej ojczyźnie jako chiński konsul, z czego też zresztą wyciągnął materialne korzyści. Za panowania Kamehameha IV zmienił obywatelstwo i przybrał poddaństwo hawajskie po to, by ożenić się ze Stellą Allendale. Była ona poddaną ciemnoskórego króla, choć bardziej Anglosaską niż Polinezyjką. W gruncie rzeczy, dzięki przypadkowym małżeństwom,

jej krew była tak rozrzedzona, że należałoby ją mierzyć na ósme i szesnaste części. W jednej szesnastej odziedziczyła krew prababki, Paahao — księżniczki Paahao, pochodzącej z królewskiego rodu. Pradziadkiem Stelli Allendale był kapitan Blunt, angielski awanturnik, który w służbie u króla Kamehameha I uzyskał wysoką godność świętego i nietykalnego wodza, a dziadkiem — kapitan wielorybniczego statku z New Bedford. Ojcu zawdzięczała drobną domieszkę krwi włoskiej i portugalskiej, ongiś zaszczerpionej angielskiej odnodze jej rodowodu. Ta małżonka Ah Czuna, choć prawnie Hawajka, należała raczej do każdej z trzech wymienionych narodowości.

I do tego zlepku ras Ah Czun dodał mieszanekę mongolską. Tak więc jego dzieci były w jednej trzydziestodrugiej Polinezyjczykami, w jednej szesnastej Włochami, w takiejż części Portugalczykami, w połowie Chińczykami i w jedenastu trzydziestodrugich — Anglikami i Amerykanami. Bardzo możliwe, że Ah Czun zrezygnowałby z małżeństwa, gdyby przewidział, co za niezwykle potomstwo zrodzi się z tego' związku. Było ono niezwykle pod wieloma względami. Po pierwsze — pod względem liczebności. Urodziło się bowiem piętnaścioro dzieci, synów i córek, z przewagą córek. Najpierw przyszło na świat trzech chłopców, a potem już bez przerwy rodziły się same dziewczynki, okrągły tuzin. Mieszanina ras dała świetne wyniki. Okazała się nie tylko płodną, ale i całe potomstwo wydała zdrowe i bez zarzutu. Najbardziej jednak zadziwiała uroda dzieci Ah Czuna. Wszystkie córki były pięknosciami, eteryczne i delikatne. Zaokrąglone kształty mamy Ah Czun złagodziły kanciastość figury papy Ah Czuna. Córki więc cechowała gibkość pozbawiona wybujałości i krągłe kształty bez otyłości. Z każdego rysu, z każdej twarzy przebijało zamglone odbicie Azji, stuszowane i wygładzone przez starą Anglię, Nową Anglię i południową Europę. Ktoś niewtajemniczony nie domyśliłby się, że w ich żyłach przeważa krew chińska, ale poinformowany, natychmiast odkryłby charakterystyczne chińskie rysy.

Z urody córki Ah Czuna były czymś całkiem nowym, zjawiskiem nie spotykanym. Podobne do siebie, i tylko do siebie, różniły się jednocześnie krańcowo. Trudno było wziąć jedną za drugą. A jednak niebieskooka i jasnowłosa Maud przypominała Henriette, brunetkę o oliwkowej cerze, tęsknym spojrzeniu wielkich, ciemnych oczu i kruczoczarnych włosach. Ten wspólny rys godzący wszystkie różnice był wkładem Ah Czuna. To on dał fundament, na który naniesiono kontury pomieszanych ras. On dał drobno kościsty chiński szkielet, wokół którego narosło subtelne i delikatne saksońskie, latyńskie i polinezyjskie ciało.

Pani Ah Czun miała własne zapatrywania, które Ah Czun szanował, ale którym nie dawał posłuchu, jeśli zagrażały jego filozoficznemu spokojowi. Pani Ah Czun od urodzenia żyła na sposób europejski. Proszę bardzo; Ah Czun zbudował jej europejską rezydencję. Później, kiedy synowie i córki tak podrośli, że ich rada coś znaczyła, wybudował bungalow, obszerny, dość bezsensowny dom, równie prosty jak wspaniały. Z upływem czasu wyrosła też górską siedziba na Tantalusie, w której rodzina mogła się chronić, gdy z południa wiał „niezdrowy wiatr”. Na Waikiki Ah Czun wystawił nadmorską willę na rozległym terenie tak szczęśliwie wybranym, że

później, kiedy rząd Stanów Zjednoczonych budując fortyfikacje chciał ją zburzyć, musiał wypłacić mu ogromne odszkodowanie. W tych wszystkich domach nie brakło pokoiów bilardowych, palarni i licznych apartamentów gościnnych, bo niezwykle potomstwo Ah Czuna lubowało się w szumnym życiu towarzyskim. Umeblowanie było wyszukanie proste. Dzięki wykształconym gustom dzieci Ah Czuna wydawano olbrzymie sumy bez fałszywej okazałości.

Na wykształcenie dzieci Ah Czun nie skąpił pieniędzy. „Co tam koszty — mówił ongiś Parkinsonowi, kiedy ten niedbaluch nie rozumiał, po co pakować pieniądze w «Vege» i podnosić jej morskie kwalifikacje. — Pan prowadzi szkuner, ja płacę”. Tak samo było z synami i z córkami. Oni mieli się kształcić, on płacić. Harold, pierworodny, ukończył Harvard i Oxford; Albert i Karol skończyli te same wydziały w Yale. A córki, od najstarszej do najmłodszej, przygotowywały się najpierw w seminarium Mills w Kalifornii, a potem przechodziły do Vassar, do Wellesley albo do Bryn Mawr. Te, które chciały, uzupełniły wykształcenie w Europie. W ten sposób dzieci Ah Czuna wracały ze wszystkich części świata, by mu sugerować i radzić, jak ma upiększyć prostą wspaniałość swojej rezydencji. Ah Czun zaś wolał rozkoszny blask wschodniego przepychu. Ale był filozofem i dobrze widział, że gust dzieci zgadzał się z wymaganiami Zachodu.

Oczywiście jego dzieci nie były znane jako dzieci Ah Czuna. Nazwisko przeszło tę samą ewolucję, co i on — od zwykłego kulisa do multimilionera. Mama Ah Czun pisała się już A'Czun, ale jej mądrzejsze potomstwo opuściło apostrof i podpisywało się Aczun. Ah Czun nie oponował. Taka czy innapisownia nazwiska nie zakłócała mu filozoficznego spokoju i wygody. Poza tym nie był dumny. Ale kiedy dzieci sięgnęły w swych wymaganiach aż tak wysoko., że zażądały, by wdział krochmaloną koszulę, sztywny kołnierzyk i żakiet, zagroziły tym jego wygodzie i spokojowi. Ah Czun nie chciał żadnej z tych rzeczy. Wolał długie, powiewne chińskie ubiory i ani prośbą, ani groźbą nie dał się od nich odwieść. Dzieci próbowały i jednego, i drugiego, ale szczególnie groźba sromotnie zawiodła. Nie darmo byli w Ameryce. Poznali znaczenie bojkotu stosowanego przez zorganizowanych robotników, toteż nagle Ah Czun, ich ojciec, spotkał się z bojkotem we własnym domu. Mama A'Czun buntowała i popierała dzieci. Jednakże Ah Czun, choć laik w sprawach zachodniej kultury, doskonale znał się na zachodnich warunkach pracy. Sam. nie byle jaki pracodawca, wiedział, jak sobie poradzić z taktyką robotników. Niezwłocznie zastosował lokaut wobec buntowniczego potomstwa i zbłąkanej żony. Rozpuścił liczną służbę, zamknął stajnie i domy, a sam przeniósł się do hotelu Royal, którego był zresztą głównym akcjonariuszem. Rodzina w popłochu odwiedzała przyjaciół, on zaś spokojnie prowadził dalej rozległe interesy, palił długą fajeczkę z miniaturową srebrną główką i rozmyślał nad swoim niezwykłym potomstwem.

Ten problem zresztą nie mącił mu spokoju. W głębi swej filozoficznej duszy wiedział, że gdy zagadnienie dojrzeje — potrafi je rozwiązać Tymczasem dał Aczunom nauczkę, że choć ustępliwy, jest jednak panem ich losu. Rodzina wytrzymała tydzień, a potem wszyscy wraz z Ah Czunem i liczną służbą powrócili

do bungalowu. Później nikt już się nie buntował, gdy Ah Czun wchodził do swego przepysznego salonu w niebieskim jedwabnym chałacie, miękkich pantoflach i w czarnej jedwabnej czapeczce zakończonej czerwonym guziczkiem; albo kiedy na obszernych werandach już w palarni, w towarzystwie oficerów i cywilów palących papierosy i cygara, pociągał dym z długiej fajeczki ze srebrną główką.

Ah Czun był na wyjątkowych prawach w Honolulu. Choć nie udzielał się towarzysko, wszędzie chętnie by go widziano. Odwiedzał tylko chińskich kupców w mieście, poza tym nigdzie nie bywał. Jednakże przyjmował u siebie i zawsze był główną osobą w rodzinie i pierwszą przy stole. Sam, z urodzenia chiński chłop, prezydował w atmosferze takiej kultury i wyrafinowania, jakiej nie znalazłoby się na całych Hawajach. Nie było też człowieka, któremu duma przeszkodziłaby wejść w progi Ah Czuna i skorzystać z jego gościnności. Po pierwsze, nic nie można było zarzucić jego domowi. Po drugie, Ah Czun był potęgą. I wreszcie, był wzorem cnót i uczciwym businessmanem. Pomijając fakt, że uczciwość w interesach w ogóle stała w Honolulu wyżej niż na kontynencie, Ah Czun zaćmił wszystkich miejscowych kupców swoją drobiazgową i niezachwianą prawością. Jego obietnica, już przysłowiowo, była tak dobra jak jego weksel. Nie trzeba go było prosić o podpis, bo nigdy nie złamał słowa. W dwadzieścia lat po śmierci Hotchkissa z firmy „Hotchkiss i Morterson” znaleziono w jakichś zarzuconych papierach zmarłego lakoniczną notatkę, że Ah Czun został winien trzydzieści tysięcy dolarów. Pożyczył je, gdy był jeszcze prywatnym doradcą Kamehameha II. W gorączce owych złotych czasów dług wymknął mu się z pamięci. Nie istniało żadne zobowiązanie, żaden prawny dowód przeciwko niemu, a jednak załatwił wszystko z zarządcą masy spadkowej i dobrowolnie wypłacił składany procent, który znacznie przewyższył kapitał. Podobnie było, gdy poręczył słowem za nieszczęsny Plan Budowy Kanałów na Kakiku. Największy nawet pesymista nie śnił w tym czasie o potrzebie takiego poręczenia. „Podpisał czek na dwieście tysięcy, panowie, i okiem nie mrugnął, okiem nie mrugnął!” — zdawał sprawę sekretarz zbankrutowanego przedsięwzięcia, wysłany bez cienia nadziei, by wysondować intencje Ah Czuna. Prócz wielu podobnych czynów, potwierdzających wierność danemu słowu, nie było chyba na wyspach znanego człowieka, któremu Ah Czun nie udzieliłby kiedyś pomocy finansowej. Tak więc mieszkańcy Honolulu patrzyli, jak coraz bardziej wikłały się stosunki w niezwyklej rodzinie Ah Czuna, i współczuli mu w duchu, bo nie mogli sobie wyobrazić, jak z tego wybrnie. Ale Ah Czun wyraźniej od nich widział sytuację. Lepiej od wszystkich orientował się, że jest obcym człowiekiem w swej rodzinie. Nawet rodzina tego nie odgadywała. Ah Czun wiedział, że nie ma co robić wśród cudownego potomstwa, zrodzonego z jego krwi i ciała, i wybiegając myślą ku starości rozumiał, że będzie tu coraz bardziej obcy. Nie pojmował swoich dzieci. Rozmawiały o rzeczach, które go nie interesowały i na których się nie znał. Zachodnia kultura prze szła koło niego bez śladu. Każdą cząstką duszy, każdym włókniem ciała był Azjata, a więc poganinem. Chrześcijaństwo dzieci wydawał mu się nonsensem. Zniósłby jednak wszystko jako obce i mało ważne, gdyby mógł zrozumieć samą młodzież. Kiedy Maud mówiła mu na przykład, że na utrzymanie

domu w tym miesiącu wydała trzydzieści tysięcy, rozumiał to; rozumiał też, kiedy Albert prosił go o pięć tysięcy na kupno jachtu „Muriel” i wpis do Hawajskiego Jacht Klubu. Gubił się natomiast zupełnie w myślowych drogach rodziny, w jej odległych, zawiłych dążeniach. Szybko pojął, że umysły synów i córek są dla niego tajemnym, beznadziejnie nieprzeniknionym labiryntem. Zawsze napotykał mur, który dzieli Wschód od Zachodu. Nie miał dostępu do ich dusz, a tym samym wiedział, że i jego dusza jest dla nich zamknięta.

Poza tym w miarę jak się starzał, coraz częściej spozierał ku środowisku, z którego wyszedł. Zaduchy chińskich dzielnic były dla niego najcudowniejszą wonią. Na ulicy wdychał je z rozkoszą, bo przenosiły go myślami w wąskie i kręte, rojne i gwarne zaułki Kantonu. Żałował, że przed ślubem, dla przypodobania się przyszłej żonie, obciął warkocz i poważnie przemyślał, by wygolić ciemną i zapuścić nową. Dania, które dla niego obmyślał po królewsku opłacany kucharz, nie łechtały mu pamiętliwego podniebienia tak, jak dziwaczne potrawy w dusznych jadłodajniach chińskiej dzielnicy. O wiele więcej (przyjemności sprawiała mu półgodzinna pogawędka przy fajeczce z dwoma, trzema przyjaciółmi Chińczykami niż prezydowanie na wspaniałych i wytwornych obiadach, z których słynął jego bungalow. Przy długim stole zasiadała tam wtedy cała miejscowa elita Amerykanów i Europejczyków, kobiet na równej stopie z mężczyznami. Klejnoty lśniły na białych ramionach i szyjach w przyćmionym świetle lamp i mężczyźni byli we frakach, a wszyscy paplali i śmiali się z rzeczy i dowcipów, które wprawdzie rozumiał, ale które nie interesowały go i nie bawiły.

Nie szło mu zresztą tylko o uczucie obcości i o rosnącą chęć powrotu do chińskich rozkoszy. Chodziło także o majątek.

Pragnął wygodnej, dostatniej starości. Pracował ciężko i na-ogrodą miały mu być spokój i odpoczynek. Ale wiedział, że przy olbrzymim bogactwie nie zazna pewnie spokoju i odpoczynku. Dostrzegł już pierwsze tego zapowiedzi. Znał podobne wypadki. Pamiętał swego starego pracodawcę, Dantina, któremu dzieci, po ubezwłasnowolnieniu, zupełnie legalnie wydarły zarząd mieniem. Ah Czun wiedział, i wiedział doskonale, że gdyby Dantin był biedakiem, uznano by go za zdolnego, by sam prowadził swoje interesy. A stary Dantin miał tylko troje dzieci i pół miliona, gdy on, Ah Czun, miał piętnaścioro dzieci i jemu jednemu znaną ilość milionów.

— Nasze córki są piękne — powiedział pewnego wieczoru do żony. — Kręci się tu wielu młodych mężczyzn. Zawsze pełno ich w domu. Płacę duże rachunki za cygara. Czemuż więc nie dochodzi do ślubów?

Mama A'Czun wzruszyła ramionami i czekała.

— Kobiety są kobietami, a mężczyźni — mężczyznami. Dziwne, że nikt się nie żeni. Może nasze córki nie podobają się młodym ludziom?

— Bardzo im się podobają — odparła mama A'Czun — ale widzisz, nie mogą zapomnieć, że ty jesteś ich ojcem.

— Ty jednak zapomniałaś, kim był mój ojciec — poważnie rzekł Ah Czun. — Zażądałaś tylko, bym obciął warkocz.

— Młodzi mężczyźni są bardziej wybredni, niż ja byłam.

— Cóż jest najważniejsze na świecie? — zapytał Ah Czun odchodząc nagle od tematu.

Mama A'Czun zastanawiała się chwilę, a potem odpowiedziała.

— Bóg.

Ah Czun skinął głową.

— Są bogowie i bogowie — powiedział. — Bywają z papieru, z drzewa, z brązu. W biurze używam takiego małego boga za przycisk. W muzeum Bishop jest wiele bogów z koralu i z lawy.

— Ale Bóg jest tylko jeden — stwierdziła stanowczym tonem, wyzywająco prostując okrągłe kształty.

Ah Czun dostrzegł niebezpieczeństwo i zboczył z drogi.

— Więc cóż jest większe od Boga? — zapytał. — Powiem ci. Pieniądze. Miewałem już do czynienia z Żydami i chrześcijanami, z mahometanami i buddystami, a także i z czarnymi ludźmi z Wysp Salomona i Nowej Gwinei, którzy swego boga nosili zawiniętego w przetłuszczony papier. Wszyscy oni mieli różnych bogów, ale wszyscy czcili pieniądze. Weźmy tego kapitana Higginsona: zdaje się podoba mu się Henrietta.

— Nigdy się z nią nie ożeni — odparła mama A'Czun. — Zostanie admirałem...

— Wiceadmirałem — przerwał Ah Czun. — Tak, wiem. Zawsze awansują przed przejściem na emeryturę.

— Pochodzi z dobrej amerykańskiej rodziny, która nie chciałaby, żeby się ożenił z ...no, z kimś obcym, nie z Amerykanką.

Ah Czun wytrząsał popiół z fajeczki i zamyślony znów napchał ją szczyptą tytoniu. Milczał, póki nie wypalił fajki do końca.

— Henrietta jest najstarszą córką. W dniu ślubu dostanie trzysta tysięcy dolarów. To podziela na tego kapitana i jego wysoko postawioną rodzinę. Zrób tak, żeby się o tym dowiedział. Tobie to pozostawiam.

Ah Czun siedział, palił dalej, a z kóleczek dymu wyłaniała się ku niemu coraz wyraźniej twarz i postać Toy, Shuey... Toy Shuey, dziewczyny do wszystkiego w domu jego wuja, w kantonńskiej wsi, tej dziewczyny, która zawsze miała pełne ręce nieprzebranej roboty, a za całoroczną orkę dostawała jednego dolara. Widział też wstającą w spiralach dymu własną młodość, kiedy za niewiele większą płacę harował na polach wuja przez osiemnaście lat. A teraz on, Ah Czun, zwykły chłop, dawał swej córce posag równy trzystu tysiącom lat takiej harówki. A Henrietta była tylko jedną z dwunastu córek. Ta myśl wcale nie podnosiła na duchu. Nagle uderzyło go, że świat jest dziwaczny i śmieszny. Zachichotał i zbudził mamę A'Czun z marzeń, których źródło leżało gdzieś w głębi jej istoty, w sanktuarium dla niego ukrytym i zawsze niedostępnym.

Obietnica Ah Czuna, podawana z ust do ust, rozniosła się lotem ptaka. Kapitan Higginson zapomniał o awansie, o dumnej rodzinie i ożenił się z trzystoma tysiącami dolarów, a na dodatek z kulturalną, wyrafinowaną panną, w jednej trzydziestej drugiej — Polinezyjką, w jednej szesnastej — Włoszką, w takiejż części

Portugalką, w jedenastu trzydziestych drugich — Angielką i Amerykanką i w połowie Chinką.

Szczodrość Ah Czuna szybko przyniosła wyniki. Zaczęto gonić za jego córkami. Następna była Klara, ale kiedy Sekretarz Terytorialny oficjalnie poprosił o jej rękę, Ah Czun powiedział mu, że musi czekać kolejki, bo Maud jest starsza i powinna pierwsza wyjść za mąż. To była chytra polityka. Cała rodzina została żywo zainteresowana, żeby jak najprędzej wyswatać Maud, i dopięła tego w trzy miesiące, wydając ją za Ned Humphreysa, Komisarza Imigracyjnego Stanów Zjednoczonych. Oboje żalili się później, bo tym razem posag wyniósł tylko dwieście tysięcy. Ah Czun wyjaśnił, że początkowo był taki hojny, bo chciał przełamać lody, a skoro tego dopiął, córki nie: mogą go już tyle kosztować.

Po Maud wydano Klarę i przez następne dwa lata bez przerwy wyprawiano jakieś gody w domu Ah Czuna. Tymczasem Ah Czun nie próżnował. Wycofywał się z jednego interesu po drugim. Sprzedał swoje udziały w dwudziestu przedsiębiorstwach i krok po kroku, by nie wywołać zniżki cen na rynku, likwidował swe poważne wkłady w nieruchomościach. Pod koniec jednak przyśpieszył tempa, czym wywołał zniżkę, i sprzedawał ze stratą. Pośpiech wynikł stąd, że dojrzał chmury zbierające się na horyzoncie. Kiedy wydawał za mąż Lucille, doszły go już odgłosy niesnasek i zawiści. W powietrzu roilo się od knowań i kontrknowań, jak wkraść się w jego łaski, nastawić go przeciw temu czy innemu zięciowi lub przeciw wszystkim prócz jednego. Nie wiodło to do spokoju i odpoczynku, o których Ah Czun marzył na stare lata.

Pośpieszył się więc. Od dawna korespondował z głównymi bankami w Szanghaju i Makao. Przez wiele lat każdy statek uwoził do tych daleko-wschodnich banków czeki wystawione na nazwisko niejakiego Czun Ah Czuna. Teraz czeki te zaczęły opiewać na grubsze sumy. Dwie najmłodsze córki Ah Czuna jeszcze nie wyszły za mąż, ale on nie czekał dłużej. Wyzначzył im posagi po sto tysięcy dolarów i sumy te zdeponował w Banku Hawajskim, gdzie rosły o procenty i czekały na dzień ślubu córek. Albert dostał udziały w firmie „Ah Czun i Ah Yung”, Harold, najstarszy, wolał wziąć ćwierć miliona w gotówce i wynieść się do Anglii. Karol, najmłodszy, otrzymał sto tysięcy, opiekuna prawnego i pojechał na studia do Instytutu Keeleya. Mama A'Czun dostała bungalow, górski dom na Tantalusie i nową rezydencję nadmorską zamiast tej, którą Ah Czun sprzedał rządowi, a prócz tego pół miliona w bardzo dobrych lokatach.

Teraz Ah Czun gotów był już przeciąć problem. Pewnego pięknego ranka, kiedy cała rodzina siedziała przy śniadaniu — dopilnował, żeby nie brakowało żadnego zięcia i żadnej z ich żon — obwieścił, że wraca do ojczyzny. W zwięzłym przemówieniu wyjaśnił, że szczerze zaopatrzył rodzinę, i dał parę przykazań, które — jego zdaniem — ułatwią jej zgodne i harmonijne" współżycie. Udzielił także zięciom kilku handlowych rad, z naciskiem podkreślił korzyści, jakie wynikają z umiarkowanego trybu życia i z solidnych lokat, a także podzielił się z nimi encyklopedycznymi wiadomościami z zakresu handlu i przemysłu na Hawajach. Potem kazał zajechać stangretowi i w towarzystwie łkającej mamy A'Czun odjechał

na statek linii „Pacific Maul”. Zostawił za sobą dom, pogrążony w trwodze. Kapitan Higginson wrzaskliwie domagał się ubezwłasnowolnienia Ah Czuna. Córki płakały. Jeden z ich mężów, były sędzia federalny, wyraził przypuszczenie, że Ah Czun zwariował i pobiegł do właściwych władz prosić o ingerencję. Wrócił jednak z niczym, bo poprzedniego dnia Ah Czun z własnej woli stawał przed komisją lekarską i uzyskał świadectwo pełnej poczytalności. Byli zupełnie bezsilni, udali się więc na przystań, by pożegnać staruszkę, a on pomachał im ręką ze spacerowego pokładu wielkiego parowca, który właśnie lawirując między rafami koralowymi wychodził na pełne morze.

Ah Czun nie pojechał jednak do Kantonu. Za dobrze znał ojczyznę i ucisk mandarynów, by wrócić tam z pełną kieszką, która mu jeszcze została. Udał się do Makao. Dotychczas długo korzystał z igrzysk królewskiej władzy i był władczy jak król. Ale kiedy wylądował w Makao i zajechał do największego europejskiego hotelu, portier zatrzasnął mu przed nosem książkę meldunkową Chińczyków tu nie przyjmowano. Ah Czun wezwał zarządzającego, który potraktował go obraźliwie. Wtedy odjechał, lecz wrócił po dwóch godzinach. Wezwał portiera i zarządzającego, wypłacił im miesięczną pensję i zwolnił z posady. Kupił bowiem hotel i przez wiele miesięcy, kiedy budowano dla niego wspaniałą podmiejską pałac, mieszkał w jego najwytworniejszych apartamentach. W tym czasie, dzięki niezawodnej kupieckiej żyłce, podniósł dochodowość hotelu z trzech procent do trzydziestu.

Kłopoty, przed którymi uciekł, zaczęły się prędko. Niektórzy zięciowie potracili pieniądze na niepewnych interesach, inni przepuścili posag żon. A że nie było Ah Czuna, zerkali łapczywym okiem na pół miliona mamy A' Czun, przy czym wcale nie żywili do siebie przyjaznych uczuć. Adwokaci obrastali w piórka na komentowaniu sensu legatów Ah Czuna. Hawajskie sądy zawałone były pozwami, apelacjami i odwołaniami. Nawet sądy karne nie miały spokoju. Dochodziło do burzliwych rozmów między rodziną, podczas których wymyślano sobie gwałtownie i wymieniano jeszcze gwałtowniejsze ciosy. Nawet doniczki latały w powietrzu na poparcie ostrych słówek. Rodziły się z tego sprawy o obrazę, które wędrowały przez wszystkie instancje, a zeznania świadków trzymały w napięciu całe Honolulu.

Ah Czun zaś w swoim pałacu, otoczony wszystkimi drogimi sercu rozkoszami Wschodu, palił spokojnie fajeczkę i słuchał tego, co się dzieje za morzem. Każdym pocztowym pa rowcem, w nienagannej angielszczyźnie wystukanej na amerykańskiej maszynie, słał z Makao do Honolulu list, a w nim, nie szczędząc wzniosłych cytat i przykazań, doradzał rodzinie, by żyła w zgodzie i harmonii. Sam trzymał się z dala od wszystkiego i był zadowolony. Zyskał spokój i wypoczywał. Czasem chichotał i zacierał ręce, a jego skośne, małe, czarne oczki błyszczały wesoło na myśl, jak zabawny jest świat. Bo z całego życia i z filozoficznych rozmyślań wyniósł tylko jedno: przekonanie, że świat jest naprawdę bardzo zabawny.

POGANIN

Zetknąłem się z nim po raz pierwszy podczas burzy. Chociaż jednak przeżyliśmy ją na tym samym szkunerze, dostrzegłem go dopiero wtedy, gdy statek rozleciał się pod nami w kawałki. Musiałem niewątpliwie widywać go i przedtem wraz z pozostałymi członkami tubylczej załogi, lecz nie zdawałem sobie sprawy z jego istnienia, gdyż „Petite Jeanne” była wyraźnie przeładowana. Oprócz ośmiu czy dziesięciu marynarzy-tubylców, białego kapitana, jego zastępcy i supercargo oraz sześciu pasażerów kabinowych zabrała, wypływając z Rangiroa, bodaj osiemdziesięciu pięciu pasażerów pokładowych, krajowców z Paumotów i Tahiti — mężczyzn, kobiet i dzieci, obładowanych pudłami z towarem, nie mówiąc już o matach do spania, kocach i tobołkach z odzieżą.

Właśnie minął sezon połowu pereł na Paumotach i wszyscy wracali na Tahiti. W kabinach było nas sześciu handlarzy pereł: dwóch Amerykanów, Ah-Czun (najbielszy ze znanych mi Chińczyków), jeden Niemiec, jeden polski Żyd i wreszcie ja.

Sezon udał się doskonale. Powodu do narzekań nie miał ani żaden z nas, ani też nikt spośród osiemdziesięciu pięciu pasażerów pokładowych. Wszystkim się poszczęściło, toteż z utęsknieniem oczekiwaliśmy odpoczynku i rozrywek w Papeete.

„Petite Jeanne” była niewątpliwie przeciążona. Miała tylko siedemdziesiąt ton pojemności i nie powinna była dźwigać na pokładzie ani dziesiątej części tego tłumy. Wnętrze miała wypełnione po brzegi muszlami perłowymi i koprą. Nawet kantorek zapchany był muszlami. Zakrawało na cud, że w tych warunkach marynarze mogli obsługiwać statek. Niesposób było poruszać się po pokładzie. Musieli po prostu przełazić na dziób i na rufę po burtach.

W nocy stąpali po śpiących, którzy — przysiągłbym — zalegali podłogę podwójną warstwą. A na dobitkę były tam świny i kury, i worki korzeni yamu. Wszelkie możliwe miejsca obwieszono sznurami orzechów kokosowych i pękami bananów. Po obu bokach, między olinowaniem przedniego i głównego masztu, przeciągnięto liny na takiej-wysokości, iż ledwie można było manewrować przednim bomem. Z każdej z nich zwisało co najmniej pięćdziesiąt pęków bananów.

Wszystko zapowiadało ciężką przeprawę, nawet gdyby udało nam się odbyć ją w ciągu dwóch, trzech dni, co było' możliwe przy silnym wietrze południowo-wschodnim. Ale pasat nie chciał dać. Po pierwszych pięciu godzinach skończył ostatecznie na kilkunastu urywanych podmuchach. Przez całą noc i następny dzień trwała cisza, ta oślepiająca, szklista cisza, podczas której sama myśl o otwarciu oczu wystarcza, by wywołać ból głowy.

Na drugi dzień zmarł krajowiec z Wyspy Wielkanocnej, który wyróżnił się na lagunie jako doskonały nurek. Była to ospa, choć doprawdy nie mogę pojąć skąd

mogła się dostać na pokład, skoro na lądzie przed opuszczeniem Rangiroa nie słyszeliśmy o żadnym wypadku tej choroby. Niemniej fakt pozostawał faktem — ospa, jeden zgon i trzech dalszych ludzi powalonych chorobą.

Nie było żadnej rady. Nie mogliśmy ani odizolować chorych, ani zaopiekować się nimi. Byliśmy stłoczeni jak śledzie w beczce. Nie pozostawało nic innego, tylko zarazić się i umrzeć. Ściśle biorąc, nie pozostawało nic innego od nocy, która nastąpiła po pierwszym śmiertelnym wypadku. Tej nocy zastępca kapitana, supercargo i Żyd z Polski wymknęli się wraz z czterema nurkami - krajowcami na dużym welbocie. Od tej pory słuch o nich zaginął. Następnego ranka kapitan czym prędzej przedziurawił pozostałe łodzie — i na tym się skończyło.

Tego dnia nastąpiły dwa zgony, nazajutrz trzy, potem zaś liczba ich podskoczyła do ośmiu. Ciekawa była nasza reakcja. Krajowcy na przykład pogrążali się w niemym, tępym przerażeniu. Kapitan, Francuz nazwiskiem Oudouse, stał się nerwowy i gadatliwy. Dostał nawet ticku. Był to wielki, otyły mężczyzna, najmniej dwieście funtów żywej wagi, który wkrótce przypominał trzęsącą się jak galareta górę tłuszczu.

Niemiec, obaj Amerykanie i ja zakupiliśmy cały zapas szkockiej whisky i pogrążyliśmy się w pijaństwie. Wymyśliliśmy piękną teorię, że jeśli przesiąkniemy alkoholem, każdy zarazek ospy, ledwie nas dotknie, spali się na popiół. Teoria ta znalazła zresztą potwierdzenie w faktach, choć muszę przyznać, że choroba nie tknęła również kapitana Oudouse i AhCzuna. Francuz nie pił wcale, a Ah-Czun ograniczał się do jednej szklanki dziennie.

Pogoda była piękna. Słońce, wstępujące właśnie w odchylenie północne, świeciło wprost nad naszymi głowami. Nie było wiatru, z wyjątkiem częstych szkwałów, które dęły wściekle przez pięć minut do pół godziny, a na koniec zatapiały nas w potokach ulewy. Po każdym takim szkwale straszliwe słońce ukazywało się znowu, wydobywając kłęby pary z zalanych pokładów.

Para ta nie była przyjemna. Był to opar śmierci przesycony niezliczonymi milionami zarazków. Sięgaliśmy po whisky, ilekroć opar ten poczynał się wznosić znad trupów i umierających — zazwyczaj powtarzaliśmy tę czynność jeszcze parokrotnie, stosując szczególnie mocną mieszankę. Z reguły też wypijaliśmy po kilka dodatkowych porcji za każdym razem, gdy wyrzucano przez burłę nieboszczyków na pastwę rojącego się wokół statku rekinom.

Przeżyliśmy w ten sposób tydzień, aż wreszcie wyczerpał się zapas whisky. I dobrze się stało, gdyż w przeciwnym razie nie byłoby mnie dziś na tym świecie. Należało być zupełnie trzeźwym, by przetrzymać to, co nastąpiło potem — z czym zgodzi się chyba każdy, gdy wspomną nawiasem, że tylko dwóm ludziom to się udało. Drugim był właśnie poganin — przynajmniej takie miano nadał mu kapitan Oudouse w chwili, gdym po raz pierwszy zdał sobie sprawę z jego istnienia. Nie uprzedzajmy jednak wypadków.

Pod koniec tygodnia, gdy całe grono handlarzy pereł było z braku alkoholu trzeźwe, przypadkowo rzuciłem okiem na barometr wiszący u zejścia do kabin. Przeciętny wskaźnik w okolicy Paumotów wynosił 29.90, podlegając normalnym

wahaniom w granicach od 29.85 do 30.00, a nawet do 30.05. Teraz jednak ujrzałem, że barometr spadł na 29.62, a to wystarczało, by otrzeźwić najbardziej pijanego handlarza pereł, jaki kiedykolwiek zajmował się spalaniem zarazków ospy w szkockiej whisky.

Gdy zwróciłem na to uwagę kapitanowi Oudouse, dowiedziałem się, że już od kilku godzin obserwował spadek ciśnienia. Niewiele można było zrobić, ale tę odrobinę wykorzystał doskonale, jeśli zważyć okoliczności, w jakich się znajdowaliśmy. Ściągnął lekkie płótna, pozostawiając tylko żagiel sztormowy, rozpostarł liny ratunkowe i czekał na wiatr. Omyłka jego polegała na tym, co zrobił już po nadejściu wiatru. Stał w dryf na lewym halsie, co byłoby właściwym manewrem na południe od równika, gdybyśmy — w tym tkwiło sedno rzeczy — nie znajdowali się na samym szlaku huraganu.

A właśnie znajdowaliśmy się na samym jego szlaku. Mogłem to poznać po stałym wzmaganiu się wiatru i równie stałym opadaniu barometru. Chciałem, by kapitan obrócił statek i popłynął lewym bajdewindem do czasu, gdy barometr zatrzyma się, a potem stanął w dryf. Sprzeczaaliśmy się lak długo, aż dostał napadu hysterii, lecz nie ustąpił. Najgorsze było, że nie mogłem zyskać poparcia ze strony reszty handlarzy pereł; kimże bowiem byłem ja, abym mógł znać się na morzu i żegludze lepiej od wykwalifikowanego kapitana — tak musieli sobie myśleć.

Oczywiście w miarę wzmaganania się wiatru fala rosła straszliwie. Nigdy nie zapomnę trzech pierwszych fal, które wdarły się na pokład. „Petite Jeanne” odpadła, jak często zdarza się statkom w dryfie, i pierwsza fala bez trudu zalała pokład. Z lin ratunkowych mogli korzystać tylko silni i zdrowi, lecz nie na wiele im też się zdały, kiedy kobiety i dzieci, banany i orzechy kokosowe, świny i pudła z towarami, chorzy i dogorywający zostali zmieceni wzdłuż pokładu w rozwrzeszczanej i jęczącej, zwartej masie.

Druga fala zalała pokład aż do poręczy. Że zaś rufa szkunera opadła, a dziób wzniósł się ku niebu, cały ten nieszczęsny kłęb ludzi i bagażu potoczył się do tyłu. Był to żywy potok. Lecieli głową naprzód, nogami naprzód, bokiem, koziółkując, skręcając się, tarzając, wijąc i gniotąc wzajemnie. Od czasu do czasu ten i ów chwycił się na chwilę jakiegoś słupka lub liny, lecz ciężar napierających ciał wnet go odrywał.

Zauważyłem człowieka, który głową i klatką piersiową zderzył się ze słupem służącym do umocowywania lin po prawej stronie pokładu. Czaszka rozprysła się jak skorupa jaja. Widząc, na co się zanosi, wskoczyłem na dach kabiny, a stamtąd wprost na główny maszt. Ah-Czun i jeden z Amerykanów chcieli pójść moim śladem, lecz wyprzedziłem ich o jeden skok. Amerykanin został zmieciony za rufę jak słomka. AhCzun chwycił się rączki koła sterowego i przypadł do niego, lecz jakaś zwalista vahine (kobieta) z Raratonga — musiała ważyć ze dwieście pięćdziesiąt funtów — uczepiła się go, zarzucając mu ramię wokół szyi. Złapał wtedy drugą ręką wyspiarza-sternika, w tej chwili jednak szkuner przechylił się silnie na prawy bok.

Potok ciał i wody, rwący wzdłuż lewego chodnika między kabiną a poręczą, zmienił nagle kierunek i skręcił w prawo. Wylecieli wszyscy — vahine, Ah-Czun i

sternik. Dałbym głowę, że wypadając za burzę Chińczyk przesłał mi uśmiech pełen filozoficznej rezygnacji.

Trzecia fala — najpotężniejsza ze wszystkich — nie wyrządziła już tak wielkich szkód. Kiedy wtargnęła na statek, prawie wszyscy byli już na linach masztowych. Na pokładzie pozostało z tuzin dyszących, na pół zatopionych i na pół ogłuszonych nieszczęśników, toczących się na wszystkie strony lub usiłujących doczołgać się w bezpieczne miejsce. Fala zniosła ich z pokładu wraz z wrakami dwu ostatnich szalup. Mnie i pozostałym handlarzom pereł udało się w przerwie między dwiema falami sprowadzić kilkanaście kobiet i dzieci do kabin i zatrzasnąć za nimi pokrywę, Niewiele im to zresztą pomogło.

A wiatr? Na podstawie całego dotychczasowego doświadczenia nigdy bym nie uwierzył, że wiatr może dąć tak silnie. Nie podobna tego opisać. Czy można opisać koszmar? A wiatr był właśnie potworną zmorą. Zrywał nam odzież z ciała, "dosłownie — zrywał. Nie żądam, byście mi uwierzyli. Po prostu opowiadam, co widziałem i odczuwałem. Chwilami sam w to nie wierzę. Przeżyłem to i dość na tym. Nie można stawić czoła takiej wichurze i ująć z życiem. Było to potworne, a najpotworniejszy ze wszystkiego był fakt, że wiatr wzmagął się bez ustanku.

Wyobraźcie sobie niezliczone miliony czy miliardy ton piasku. Wyobraźcie sobie, że cały ten piasek pędzi naprzód z szybkością dziewięćdziesięciu, stu, stu dwudziestu mil na godzinę lub jeszcze prędzej. Wyobraźcie sobie dalej, że piasek ten — choć niedostrzegalny i niedotykalny — zachowuje cały ciężar i zwartość właściwe piaskowi. Gdy wam się to uda, może zyskacie słabe pojęcie o istocie owego wichru.

Zresztą porównanie z piaskiem nie jest najlepsze. Pomyślcie raczej o błocie — 'niedostrzegalnym, niedotykalnym, a mimo to ciężkim. Ale i to nie wystarcza. Pomyślcie, że każda cząsteczka powietrza zamieniła się w grudę błota. A teraz wyobraźcie sobie uderzenia mnóstwa tych grud. Nie — to przekracza moje możliwości. Mowa ludzka może wyrazić zwykłe warunki życia, ale nigdy nie zdoła oddać obrazu tej niesamowitej zawieruchy. Trzeba mi było trzymać się pierwotnego zamiaru i nie podejmować próby opisu.

Powiem tylko tyle: fala, która najpierw się wzniosła, teraz została zmiażdżona przez wiatr. Co więcej, wydawało się, że paszcza huraganu wessała cały ocean, porywając go w tę część przestrzeni, którą przedtem zajmowało powietrze.

Nasze żagle oczywiście dawno przepadły. Lecz kapitan Oudouse posiadał na „Petite Jeanne” coś, czego nigdy przedtem nie widziałem na szkunerze Mórz Południowych — dryf kotew. Był to stożkowaty worek płócienny, którego wlot, stale otwarty, utrzymywała w tym stanie olbrzymia żelazna obręcz. Kotew utrzymywała się w wodzie na podobieństwo latawca, dzięki czemu pruć woda tak, jak latawiec pruje powietrze, z pewną wszakże różnicą. Pozostawała ona bowiem tuż pod powierzchnią oceanu w położeniu pionowym. Długa lina łączyła ją z kolei ze szkunerem. Dzięki temu urządzeniu „Petite Jeanne” ustawiona była dziobem do wiatru i do fali, jaka jeszcze pozostała.

Położenie nasze byłoby zupełnie korzystne, gdyby nie to, że znajdowaliśmy się na

samym szlaku huraganu. Wprawdzie wiatr wyrwał żagle z, rabant, zmiotł stengi i poplątał całe olinowanie, lecz mimo to bylibyśmy wyszli z przygody obronną ręką, gdyby oko huraganu nie zbliżało się wprost ku nam. To nas zgubiło. Długotrwały napór wichru wprowadził mnie w stan zupełnego oszołomienia. Byłem sztywny i jak gdyby sparaliżowany i wydaje mi się, że miałem właśnie dać za wygraną i zginąć, gdy uderzyło w nas ognisko burzy. Ciosem tym była absolutna martwota. Powietrze nie mącił nawet najłżejszy powiew. Wrażenie było niemal bolesne.

Nie zapominajcie, że przez wiele godzin pozostawaliśmy w stanie straszliwego napięcia mięśni, przeciwstawiając się potwornemu naciskowi wiatru. Teraz, napór ten ustał niespodziewanie. Czulem się wtedy, jak gdybym cały nabrzmiewał i miał się lada chwila rozlecieć na wszystkie strony. Zdawało się, że każdy atom mego ciała odpycha wszystkie pozostałe jego atomy i za chwilę pomknie w przestworza. Trwało to jednak tylko chwilę. Szła już ku nam zagłada.

Pod nieobecność wiatru i ciśnienia wzburzyło się morze. Skakało, wyrывało się, wznosiło wprost ku chmurom. Zważcie, że ten niepojęty wiatr dął ze wszystkich kierunków w stronę ośrodka ciszy. W rezultacie zewsząd napływały fale. Nie było wiatru, który by stawiał im opór. Strzelały w górę jak szpunty wybijane z dna beczki pełnej wody, bez ładu i składu. Były to wielkie, oszalałe fale. Miały co najmniej osiemdziesiąt stóp wysokości. Nie były w ogóle falami. Nie przypominały żadnych fal, jakie kiedykolwiek widziało oko ludzkie.

Były po prostu bryzgami, potwornymi bryzgami osiemdziesięciu stóp wysokości. Osiemdziesięciu? Z pewnością były wyższe. Przeskakiwały ponad szczytami masztów. Wyglądały jak fontanny, jak wybuchy. Były pijane. Padały byle gdzie i byle jak. Roztrącały się wzajemnie i zmagaly ze sobą. Zwierały się i waliły jedna na drugą, by potem nagle rozpaść się na tysiące wodospadów. Nie można było tego ośrodka burzy porównać z żadnym obrazem oceanu, jaki powstał w wyobraźni ludzkiej. Był to zamęt po trzykroć zmaconych żywiołów, ostateczna anarchia. Była to piekielna czeluść obłąkanego morskiego żywiołu.

Co się stało z „Petite Jeanne”? Nie umiem powiedzieć, poganin wyznał mi później, że i on nie wiedział. Została dosłownie rozdarta na pół, potargana, zdruzgotana na miazgę, potrzaskana w drzazgi, unicestwiona. Kiedy odzyskałem przytomność, znajdowałem się w wodzie, płynąc odruchowo — choć bliski zatonięcia. Nie zdawałem sobie sprawy, jak się tam dostałem. Pamiętam tylko, że „Petite Jeanne” rozleciała się na kawałki, prawdopodobnie w chwili gdy wskutek uderzenia straciłem przytomność. Byłem teraz w wodzie i nie pozostawało mi nic innego, jak robić co się da, choć niewiele było do zrobienia. Wiatr dął znowu, a fala znacznie niższa i bardziej regularna wskazywała, że ośrodek burzy został już poza mną. Na szczęście nie było w pobliżu rekinów. Widocznie huragan rozproszył żarłoczną zgraję, która otaczała ginący statek i żywiła się trupami.

Było koło południa, gdy „Petite Jeanne” przestała istnieć, a w jakieś dwie godziny później fale zniosły ku mnie jedną z pokryw łukowych. Padał rześisty deszcz i jedynie wyjątkowo pomyślnemu zbiegowi okoliczności zawdzięczać mogłem to spotkanie. Krótka linka zwieszała się z uchwytu klapy. Dzięki temu mogłem

przetrwac co najmniej jeden dzien, jezeli nie. powroca zarlacze. Po uplywie trzech godzin, a moze nawet nieco pozniej, gdy lezalem' przywarty do klapy i z zamknietymi oczyma usilowalem skupic uwage, by wdychac niezbędną do utrzymania sie przy zyciu ilosc powietrza, a jednoczesnie nie wchlaniac nadmiaru wody, co grozilo zatopieniem, uslyszalem jakies glosy. Deszcz ustał, a wiatr i morze przedziwnie szybko sie uspokajaly. W odleglosci najwyzej dwudziestu stop, na drugiej takiej jak moja pokrywie dostrzeglem kapitana Oudouse i poganina. Walczyli o pokrywe, a w kazdym razie walczyl Francuz.

— Païen noir! — uslyszalem jego okrzyk, a jednoczesnie ujrzałem, jak kopnal kanaka.

Kapitan utracil cale ubranie, z wyjatkiem cięzkich butow. Totez cios okazal sie dotkliwy, zwlaszcza iz trafil poganina w usta i podbrodek i na pol go oglusyl. Spodziewalem sie, ze wyspiarz odpłaci mu nalezycie, lecz on plynal tylko bezradnie., w bezpiecznej odleglosci dziesieciu stop od napastnika. Ilekroć fala znosila go w poblize klapy, Francuz, nie puszczajac jej z rak, kopal go obu nogami. Za kazdym razem obdarzal przy tym kanaka mianem czarnego poganina.

— Zebym cie tylko mogl dostac, z przyjemnoscia utopilbym cie, ty biały bydlaku! — wrzasnałem.

Przyczyna, dla ktorej tego nie zrobilem, bylo wyczerpanie. Sama mysl o wysilku, jakiego by to wymagal, przyprawiala mnie o mdlosci. Przywoialem Wiece wyspiarza do siebie i odstapilem mu czesc klapy. Oswiadczył, ze nazywa sie Otoo i po chodzi z Bora Bora, najbardziej na zachod wysunietej spozród Wysp Towarzyskich. Jak sie dowiedzialem pozniej, pierwszy zdobył ową klape, a dopiero po pewnym czasie spotkal kapitana Oudouse i zaofiarowal mu na niej miejsce, w nagrode za co zostal przepedzony kopniakami.

W ten sposob zetknałem sie z Otoo. Nie byl zawadiaka. Był istotą czula, pełną slodyczy i delikatnosci, choc mierzył blisko' sześć stop i miał miesnie gladiatora. Nie byl zawadiaka, ale nie byl tez tchorzem. Miał serce lwa i nieraz pozniej widzialem, jak narazał sie na niebezpieczenstwa, ktorym nigdy nie osmielilbym sie stawic czola. Chce tu podkreslic, ze choc nie palil sie do burd i staral sie ich nie wywoływac — nigdy nie uchodzil z pola walki, gdy awantura juz sie zaczela. Ale gdy Otoo wkraczal na widownie, wszyscy musieli sie miec na bacznosci jak zeglarze na komende Strzez sie mielizny! Nigdy nie zapomne nauczki, ktora dostal od niego Bill King. Zdarzylo sie to na niemieckim Samoa. Bill King zostal obwoiany mistrzem Marynarki Amerykanskiej w wadze ciezkiej. Był to wielki kawał draba, istny goryl, jeden z tych piesciarzy, co to z ciezkim i pewnym uderzeniem laczą zwinnosć ramion. Wszczal sprzeczke z Otoo i zdazył kopnac go dwukrotnie i raz zdzielic pieścią, nim Otoo uznal za konieczne stanac do walki. Calá sprawa nie trwala nawet czterech minut, po uplywie ktorych nieszczesny Bill King znalazł sie w posiadaniu czterech peknietych zebor, zlamanego przedramienia i wybitej lopatki. Otoo nie miał pojecia o naukowych zasadach boksu. Był po prostu zapaśnikiem z urodzenia, Bill King stracil wiec prawie trzy miesiace na wylizanie sie po zapasach, jakie stoczył owego popoludnia na plazy w Apia.

Znów jednak wybiegłem naprzód. Korzystaliśmy więc wspólnie z pokrywy luku. Zmienialiśmy się kolejno, przy czym jeden z nas leżał na pokrywie i odpoczywał, drugi zaś, zanurzony po kark, trzymał się jej oburącz. Przez dwie doby, na przemian to na klapie, to w wodzie, płynęliśmy po oceanie. Pod koniec byłem już przeważnie nieprzytomny, chwilami zaś słyszałem, jak Otoó bełkotał i majaczył w swym ojczystym na rzeczu. Okoliczność, że byliśmy stale zanurzeni, ustrzegła nas przed śmiercią z pragnienia, choć woda morska i słońce wprawiły nas w przedziwny stan, pośredni między zamarynowaniem a porażeniem słonecznym.

W końcu Otoó uratował mi życie. Kiedy bowiem odzyskałem przytomność, leżałem na piasku w odległości dwudziestu stóp od morza, osłonięty przed blaskiem słońca kilkoma liśćmi palmy kokosowej. Tylko Otoó mógł mnie tam zaciągnąć i wetknąć liście w piach. Leżał teraz, koło mnie. Straciłem powtórnie świadomość, a gdy znów przyszedłem do siebie, otaczała nas chłodna, gwiazdzista noc, Otoó zaś przyciskał do mych warg rozłupany orzech kokosowy.

Byliśmy jedynymi ocalałymi rozbitkami z „Petite Jeanne”. Kapitan Oudouse musiał ulec wyczerpaniu, gdyż po kilku dniach fale wyniosły na brzeg klapę, której się trzymał, ale pustą. Spędziliśmy z Otoó tydzień wśród krajowców na atolu, po czym zostaliśmy zabrani na pokład francuskiego krążownika, który przywiózł nas na Tahiti. Nim jednak to się stało, zdążyliśmy zamienić się imionami. Na Morzach Południowych obrządek ten wiąże z sobą mężczyzn ściślej niż braterstwo krwi. Inicjatywa wyszła ode mnie, Otoó zaś przyjął ją z oznakami najwyższej radości.

— To dobrze — rzekł w narzeczu tahitiańskim — albowiem przez dwa dni śmierć miała oba nasze imiona na ustach.

— Zająknęła się widocznie — zauważyłem z uśmiechem.

— Dokonałeś dzielnego czynu, panie — odrzekł — toteż śmierć nie była na tyle podła, by przemówić.

— Dlaczego nazywasz mnie panem? — zapytałem urażony. — Przecież zamieniliśmy się imionami. Jestem dla ciebie Otoó, a ty dla mnie Charley, i nigdy już to się nie zmieni. Tak chce obyczaj. A nawet gdy umrzemy, jeśli dane nam będzie rozpocząć nowe życie gdzieś poza gwiazdami i sklepieniem niebios, ty nadal będziesz dla mnie Charley, a ja dla ciebie Otoó.

— Tak, panie - odpowiedział z oczami rozpromienionymi i pełnymi czulej radości.

— I znów to samo! — krzyknąłem oburzony.

— Czyż to, co wypływa z mych ust, ma jakieś znaczenie? — bronił się. — Przecież to tylko usta. A w myślach zawsze będę cię zwał Otoó. Ilekroć pomyślę o sobie, będę myślał o tobie. Kiedy ludzie zawołają mnie po imieniu, zawołają ciebie, a ponad niebem i poza gwiazdami nie przestaniesz zwać się dla mnie Otoó. Czy teraz dobrze, panie?

Skryłem uśmiech i powiedziałem, że już dobrze.

Rozstaliśmy się w Papeete. Ja pozostałem tam, by wrócić do sił, on zaś udał się kutrem na swą rodzinną wyspę Bora Bora. Po sześciu tygodniach wrócił.

Zdziwiłem się, ponieważ opowiadał mi o żonie i mówił, że zamierza powrócić do niej i zaprzestać morskich podróży.

— Dokąd się wybierasz, panie? — zapytał po pierwszych pozdrowieniach.

Wzruszyłem ramionami. Odpowiedź na to pytanie nie była łatwa.

— W szeroki świat — odparłem. — W świat, na wszystkie morza i wszystkie wyspy na morzach.

— Pójdę z tobą — powiedział po prostu. — Żona moja nie żyje.

Nie miałem nigdy brata, ale sądząc po braciach innych ludzi, wątpię, czy ktokolwiek miał kiedy brata tak bliskiego, jak dla mnie Otoo. Był mi bratem, lecz równocześnie ojcem i matką. I jeszcze jedno wiem dobrze: dzięki niemu stałem się rzetelniejszym i lepszym człowiekiem. Mało mi zależało na innych, ale w oczach Otoo musiałem żyć uczciwie. Przez wzgląd na niego nie śmiałem się splamić. Widział we mnie ideał, choć obawiam się, że stworzony z własnej czci i miłości. Bywały chwile, kiedy stałem już na samym progu otchłani piekielnej i byłbym się w nią stoczył, gdyby nie myśl o Otoo. Jego duma ze mnie przenikała stopniowo moją istotę, tak że wreszcie jedną z głównych zasad mego postępowania stała się troska, by tej jego dumy nie umniejszyć..

Nie od razu oczywiście zdałem sobie sprawę z uczuć, jakie żywił dla mnie. Nie sądził mnie nigdy, nie krytykował — do piero z czasem domyśliłem się, na jakie wyżyny zostałem przezeń wyniesiony, i począłem rozumieć, jak wielki ból mogłem mu zadać, gdybym nie dorastał do przypisywanej mi miary.

Przez siedemnaście lat stale byliśmy razem. Przez cały ten czas stał u mego boku, czuwając, kiedy spałem, pielęgnując mnie w chorobie, opatrując moje rany, a nawet otrzymując je w mej obronie. Zaciągał się na te same co i ja statki i po społu przemierzyliśmy Ocean Spokojny od Hawaj po przylądek Sydney i od cieśniny Torres do wysp Galapagos. Przewędrowaliśmy szmat świata od Nowych Hebrydów i Wysp Liniowych na zachód, poprzez Luizjady, Nową Brytanię, Nową Irlandię i Nowy Hanower. Trzykrotnie rozbiliśmy się — przy Archipelagu Gilberta, pośród wysp Santa Cruz i w okolicy Fidżi. A handlowaliśmy i zarabialiśmy wszędzie, gdzie tylko dostrzegliśmy możliwość zysku w perłach, muszlach perłowych, koprze, mięczakach jadalnych, szylkrecie lub wyławianiu wraków.

Zacząło się to w Papeete, kiedy Otoo oświadczył, że zamierza towarzyszyć mi przez wszystkie morza i wyspy na morzach.

W owym czasie w Papeete istniał klub, gdzie zbierali się handlarze pereł, kupcy, kapitanowie i kwiat opryszków z całego obszaru Mórz Południowych. Grało się tam wysoko, a piło tego. Niestety wracałem stamtąd o późniejszej porze, niżby wymagała przyzwoitość i dobre obyczaje. Bez względu na to jednak, o której godzinie opuszczałem klub, Otoo zawsze czekał, by mnie odprowadzić do domu.

Z początku uśmiechałem się tylko; potem zacząłem go łąać. Wreszcie oświadczyłem prosto z mostu, że nie potrzebuję niańki, i przez jakiś czas nie widywałem go, gdy wychodziłem z klubu. Zupełnie przypadkowo, mniej więcej po tygodniu, odkryłem, iż odprowadzał mnie nadal, przemykając się chyłkiem w cieniu mangrowców po drugiej stronie ulicy. Cóż mogłem poradzić? Pamiętam jednak, co zrobiłem. Nie zdając sobie z tego sprawy, począłem coraz wcześniej wracać do domu. W noce dżdżyste i burzliwe, gdy szaleństwo i zabawa kwitły w

najlepsze, prześladowała mnie uporczywie myśl, że Otoo odbywa swą ponurą wartą pod ociekającymi wodą mangrowcami. Doprawdy, pod jego wpływem stałem się lepszym człowiekiem. Ale nie miał w sobie nic ze świętoszka. Nie znał też wcale zasad chrześcijańskiej moralności. Wszyscy tubylcy z Bora Bora byli chrześcijanami, on jednak pozostał poganinem; jedynym niewierzącym na wyspie, bezwzględnym materialistą, przekonanym, że po śmierci przestanie żyć. Wierzył wyłącznie w uczciwą grę i prawość postępowania. Drobne podłostki były w jego mniemaniu niemal równie godne potępienia, jak bezmyślne zabójstwo. Sądzę nawet, że wyżej cenił mordercę niż małego krętacza.

Co się tyczy mnie, sprzeciwiał się wszystkiemu, co mogło mi zaszkodzić. Hazardowi nie miał nic do zarzucenia. Sam zresztą uprawiał go z zapalem. Ale wysiadywanie w spelunkach póną nocą, jak mi tłumaczył, zagrażało zdrowiu. Bywał świadkiem, że ludzie, którzy nie dbali o siebie, umierali na febrę. Nie był abstynentem i chętnie pokrzepiał się czymś mocnym, ilekroć wypadło mu moknąć w czasie pracy na łodzi. Ale był zwolennikiem umiarkowanego używania trunków. Widział wiele ludzi, których pociąg do kieliszka przyprawił o zgon lub hańbę.

Dobro moje zawsze leżało mu na sercu. Już z góry myślał za mnie, rozważał moje zamierzenia i przejmował się nimi bardziej niż ja sam. Z początku, kiedy nie wiedziałem jeszcze, jak dalece obchodzą go moje sprawy, musiał odgadywać me zamiary, jak na przykład w Papeete, gdzie omal nie zawiązałem spółki z dość podejrzanym rodakiem, który chciał wciągnąć mnie do jakichś interesów z guanem. Nie wiedziałem, że był łajdakiem, i nie wiedział o tym nikt z białych w Papeete. Otoo również nie był wtajemniczony w jego sprawki, lecz widząc, co się święci, dokonał wywiadu na własną rękę. Wielu żeglarzy krajowców ze wszystkich krańców mórz obija się po wybrzeżu Tahiti, Otoo więc, tylko pełen podejrzeń, gadał z nimi dopóty, aż zebrał dostateczny materiał obciążający. Historia Randolfa Watersa była zaiste bogata. Nie dawałem wiary, gdy Otoo mi ją opowiedział, ale kiedy wygarnąłem wszystko Watersowi, zamilkł od razu, po czym spakował manatki i ulotnił się na pierwszym parowcu zdążającym do Auckland.

Muszę przyznać, że z początku czułem do Otoo pewną urazę za wścibianie nosa w moje sprawy. Wiedziałem jednak, że powoduje nim całkowita bezinteresowność, wkrótce zaś zmuszony byłem uznać jego rozsądek i ostrożność. Miał zawsze oczy otwarte na wszystko, co mogło przynieść mi zysk, a okazywał przy tym przenikliwość i dalekowzroczność. Po pewnym czasie został moim doradcą i doszło do tego, że lepiej ode mnie orientował się w moich interesach. Niewątpliwie dbał o moją korzyść więcej niż ja sam. Odznaczałem się wtedy szeroką beztroską młodości i przekładałem romantyzm życia nad dolary, a przygodę — nad wygodną kwaterę. Dobrze się więc stało, że znalazłem kogoś, kto by się o mnie troszczył. Zdaję sobie teraz sprawę, że gdyby nie Otoo, nie byłbym dożył chwili obecnej.

Spośród wielu przeżyć opowiem jedno dla przykładu. Miałem już pewne doświadczenie w werbowaniu krajowców, nim zająłem się połowem pereł na Paumotach. Przebywaliśmy wraz z Otoo na piaszczystym wybrzeżu Samoa, bez grosza przy duszy, gdy trafiła mi się praca na brygu werbowniczym. Otoo zaciągnął

się na ten bryg jako zwykły marynarz i przez następne sześć lat, na tyłuż co najmniej statkach, tłukliśmy się razem po najdzikszych zakątkach Melanezji. Otoo pilnował, by zawsze być szlakowym wiosłarzem w mej łodzi.

W poszukiwaniu rąk roboczych mieliśmy zwyczaj wysadzać werbownika na brzeg. Łódź ochronna spoczywała na wiosłach w odległości paruset stóp od lądu, podczas gdy łódź werbowniczą, również gotowa do drogi, czuwała przy samym brzegu. Kiedy udawałem się z towarami na ląd, opuszczając me zwykłe miejsce u steru, Otoo natychmiast przesiadał się ze szlaku na rufę, gdzie w fałdach płótna leżał w pogotowiu winchester. Załoga łodzi była uzbrojona w snidery, ukryte pod płócienną zasłonką zwieszającą się z krawędnicy. Kiedy biedzi łem się z kędzierzawymi ludożercami, namawiałem ich i zachęcałem do podjęcia pracy na plantacjach Queenslandu, Otoo czuwał. Niejednokrotnie z cicha rzucał mi ostrzeżenie, skoro dostrzegł jakiś podejrzany ruch lub czającą się zdradę. Kiedy indziej szybki strzał, którym powalał tubylca, był dla mnie pierwszym znakiem ostrzegawczym. Gdy, zaś umykałem ku morzu, zawsze czekał z wyciągniętą dłonią, by ułatwić mi skok do łodzi.

Pamiętam, że pewnego razu, gdyśmy należeli do załogi „Santa Anna”, łódź osiadła nam na mieliźnie właśnie w chwili rozpoczęcia utarczki. Łódź ochronna rzuciła się nam na pomoc, ale gromada krajowców skończyłaby z nami przed jej przybyciem. Otoo dał susa na brzeg, zanurzył obie ręce w towarach i począł rozrzucać na wszystkie strony tytoń, paciorki, siekierki, noże i perkaliki.

Była to pokusa zbyt silna dla kędzierzawych głów. Podczas gdy wydzielali sobie owe skarby, ściągnięta z mielizny łódź zdołała oddalić się od brzegu o czterdzieści stóp. W ciągu zaś następnych czterech godzin udało mi się zwerbować na tymże wybrzeżu trzydziestu krajowców.

Przygoda, o której teraz opowiem, zdarzyła mi się na Malaicie, która jest najdzikszym zakątkiem wschodniej części Archipelagu Salomona. Tubylcy byli usposobieni wyjątkowo życzliwie. Skąd zaś mieliśmy wiedzieć, że cała wioska od dwóch lat z górą zbierała składki na zakup głowy białego człowieka? Te gałgany zajmują się nagminnie zbieraniem głów, a szczególnie cenią głowy białych. Szczęśliwemu zdobywcy miał przypaść w udziale cały wynik zbiórki. Jak już wspomniałem, powitano mnie tak przyjaźnie, że oddaliłem się od łodzi ponad sto kroków.

Otoo ostrzegał mnie i jak zwykle gdy go nie słuchałem, wpadłem w opały.

Zanim się spostrzegłem, z porosłego mangrowcami bagienka wyfrunęła ku mnie chmara oszczepów, w tym co najmniej tuzin celnych. Wziąłem nogi za pas, lecz potknąwszy się o jedną z włóczni, która utkwiała mi głęboko w łydce, upadłem.

Wtedy krajowcy rzucili się za mną z toporkami o wachlarzowatych ostrzach, osadzonymi na długich rękojeściach. Zamierzali odrąbać mi głowę. Chęć zdobycia nagrody tak ich zaślepiła, że w pośpiechu wpadali na siebie, W tym zamęcie uniknąłem szczęśliwie kilku ciosów, rzucając się w prawo i w lewo po piasku.

Wtedy wkroczył na scenę Otoo — zapaśnik co się zowie. Zaopatrzył się gdzieś w ciężką maczugę, która w walce wręcz była bronią stokroć skuteczniejszą od

karabinu. Dostał się w sam gęszcz napastników; by nie mogli go zakłuć włóczniami — nie mówiąc już o toporkach, które w tych warunkach tylko im zawadzały. Walczył o moje życie z furią godną legendarnych. Wikingów. Wprawa, z jaką posługiwał się maczugą, była zadziwiająca. Miażdżył czaszki jak przejrzale pomarańcze. Dopiero gdy odpędził całą gromadę, porwał mnie w ramiona i rzucił się pędem ku morzu, otrzymał pierwsze rany. Wpadł do łodzi trafiony czterema włóczniami, chwycił winchestera i nie zmarnował ani jednego strzału. Kiedy dobiliśmy do szkunera, zajęliśmy się opatrzaniem ran.

Siedemnaście lat spędziliśmy razem. Zawdzięczam mu wszystko. Gdyby nie on, byłbym dziś supercargo, werbownikiem lub może tylko wspomnieniem.

— Wydajesz wszystko, co masz — rzekł mi pewnego dnia — a potem dopiero rozglądasz się za nowym zarobkiem. Łatwo ci teraz zarabiać. Ale kiedy się zestarzejesz i nie będziesz miał odłożonego grosza, znikąd go nie zdobędziesz. Wiem to dobrze, panie. Przyglądałem się życiu białych ludzi. Na wybrzeżu pełno jest starców, którzy kiedyś też byli młodzi i zarabiali niegorzej od ciebie. Teraz są już starzy, a nie mając nic, polują tylko na młodych przybyszów, którzy by zechcieli zaprosić ich na jednego.

Czarni chłopcy mówił dalej — są na plantacjach niewolnikami. Zarabiają po dwadzieścia dolarów rocznie. Harują. Dozorca nie ma ciężkiej pracy. Dosiada konia i popędza czarnych robotników. Dostaje za to tysiąc dwieście dolarów rocznie. Ja jestem marynarzem na szkunerze. Zarabiam piętnaście dolarów miesięcznie dzięki temu, że jestem dobrym marynarzem. Pracuję ciężko. Kapitan ma wszystkie wygody i popija piwo z długich flaszek. Nigdy nie widziałem, by ciągnął linę lub wziął się do wiosła. Zarabia sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Ja jestem marynarzem, on jest nawigatorem. Sądzę, panie, że byłoby bardzo dobrze, gdybyś wyuczył się nawigacji. W ten sposób Otoo dał mi bodźca do nauki. Na moim pierwszym szkunerze pływał jako zastępca kapitana i był bardziej dumny niż ja z mego dowództwa. Potem zaczął z innej beczki:

— Kapitan jest dobrze płatny, panie, ale prowadzi tylko cudzy statek, nigdy więc nie może się uwolnić od odpowiedzialności. Najlepiej zarabia właściciel, który nie rusza się z lądu, otoczony jest służbą i obraca tylko pieniędzmi.

— To prawda, ale szkuner kosztuje pięć tysięcy dolarów, i to w dodatku stary szkuner — odparłem. — Zestarzeję się, nim zdołam zaoszczędzić taką sumę.

— Biali ludzie mogą szybciej dorobić się pieniędzy — ciągnął, wskazując na wybrzeże porośnięte palmami kokosowymi. Działo się to na Wyspach Salomona, gdyśmy płynęli wzdłuż wschodniego wybrzeża Gwadalkanaru, gromadząc ładunek orzechów,

— Dwie mile dzielą ujście tej rzeki od następnego — powiedział. — Równina sięga daleko w głąb lądu. Nie ma ona teraz żadnej wartości. Za rok — kto wie? — może za dwa lata ludzie zapłacą ładny grosz za tę ziemię. Warunki lądowania są dobre. Duże parowce mogą stawać tuż obok na redzie. Jeśli chcesz, kupisz od starego wodza cały ten szmat kraju na cztery mile w głąb za jakieś dziesięć tysięcy wałeczków tytoniu, dziesięć butelek whisky i jeden karabin, co razem kosztować cię będzie około stu

dolarów. Potem zarejestrujesz akt kupna u komisarza, a za parę lat sprzedasz to i zostaniesz właścicielem statku.

Posłuchałem rady i jego słowa sprawdziły się, choć dopiero po trzech latach. Następny interes dotyczył łąk na Gwadalkanarze — dwudziestu tysięcy akrów przejętych od rządu w wieczystą dzierżawę za symboliczny czynsz. Trzymałem tę dzierżawę dokładnie przez trzy miesiące, po czym odstąpiłem ją pewnej spółce za ciężkie pieniądze. Otoo umiał zawsze trafnie przewidywać i w porę dostrzec okazję. Za jego sprawą zająłem się wydobywaniem wraka statku „Doncaster”, kupionego na licytacji za sto funtów. Zarobiłem na czysto trzy tysiące. On także namówił mnie na kupno plantacji na Sawai oraz na interes z orzechami kokosowymi na wyspie Upolu.

Nie żeglowaliśmy już tyle, co za dawnych lat. Byłem zbyt zamożny. Ożeniłem się i moja stopa życiowa wzrosła. Otoo jednak pozostawał zawsze ten sam — kręcił się po domu i biurze, z drewnianą fajką w zębach, w półkoszulku za szylinga na grzbiecie i w lava-lava za cztery szylingi. Nie mogłem w żaden sposób nakłonić go do wydawania pieniędzy. Za wszystkie dobrodziejstwa można mu było odpłacić wyłącznie miłością i Bóg mi świadkiem, że nikt z nas mu jej nie szczędził.

Dzieci po prostu go uwielbiały. Gdyby zaś można było go popsuć, moja żona z pewnością by to zrobiła.

Dzieci! On pierwszy kierował ich drobnymi nóżkami na ścieżce życia. Zaczynał od nauki chodzenia, opiekował się nimi w chorobie, a potem kolejno wyprowadzał je na lagunę i zamieniał w istoty ziemnowodne, gdy ledwie wyrosły z okresu raczkowania. O obyczajach ryb i sposobach ich łowienia nauczył dzieci więcej, niż ja sam wiedziałem. Dotyczyło to także lasu. W wieku lat siedmiu Tom wiedział więcej o lesie, niż mnie się nawet śniło. Mając sześć lat Mary potrafiła dać nurka ze Śliskiej Skały bez zmrużenia oka, choć wielu silnych mężczyzn nie odważyłoby się na ten ryzykowny krok. Kiedy zaś Frank osiągnął ten sam wiek, umiał już wyławiać monety z dna morskiego, nurkując na głębokość trzech sążni. — Moi rodacy z Bora Bora nie lubią pogan, bo wszyscy są chrześcijanami, a ja znów nie lubię chrześcijan z Bora Bora — rzekł do mnie pewnego razu, gdy z myślą, by wydał część pieniędzy, które mu się bezsprzecznie należały, usiłowałem namówić go na odwiedzenie rodzinnej wyspy jednym z naszych' szkunerów. Obmyśliłem tę podróż w nadziei, że doprowadzę Otoo do szczytów rozrzutności.

Wspomniałem o naszych szkunerach, choć w owym czasie były one prawnie tylko moją własnością. Walczyłem z nim długo, by zgodził się wejść do spółki,

— Byliśmy współnikami od rozbitcia się „Petite Jeanne” — odpowiedział w końcu. — Jeśli jednak serce twoje tego pragnie, możemy spółkę naszą zalegalizować. Choć nie mam nic do roboty, wydatki moje są znaczne. Dużo jem, piję i palę, a wiem przecież, co to kosztuje. Nie płacę za grę w bilard, bo gram na twoim stole. Ale mimo to pieniądze płyną. Łowienie ryb na wędkę jest rozrywką bogaczy. Cena haczyków i linki bawełnianej jest zawrotna. Tak jest; musimy zostać prawnymi udziałowcami. Potrzebuję pieniędzy i będę je otrzymywał od prokurenta w biurze.

Odpowiednie dokumenty zostały więc sporządzone i wpisane, gdzie należy. Po

roku jednak musiałem się poskarżyć.

— Charley — rzekłem — jesteś wstrętnym starym oszustem, obrzydliwym sknerą i ńedznym płazem. Przecież twój udział w zyskach za ostatni rok sięga tysięcy dolarów. Prokurent doręczył mi ten wykaz. Wynika z niego, że w ciągu roku pobrałeś wszystkiego osiemdziesiąt siedem dolarów i dwadzieścia centów.

— A czy mi się coś należy? — zapytał z niepokojem.

— Powiadam ci przecież, że tysiące — odpowiedziałem. Twarz jego rozpogodziła się, jak gdyby doznał niezmiernej ulgi.

— To dobrze. Dopilnuj, by prokurent ściśle obliczał moją należność. Gdy mi będzie potrzebna, zażądam jej i nie może wtedy zabraknąć ani centa.

Bo gdyby czegoś brakowało — dodał groźnie — trzeba to będzie ściągnąć prokurentowi z poborów.

A przez cały ten czas, jak się później dowiedziałem, jego testament, sporządzony notarialnie i czyniący mnie jedynym spadkobiercą, spoczywał w kasie pancерnej u amerykańskiego konsula.

Musiał jednak nadejść kres, jak zawsze związkom między ludźmi. Stało się to na Archipelagu Salomona, gdzie za dni naszej burzliwej młodości dokonywaliśmy najdzikszych wybryków. Odwiedziliśmy go raz jeszcze — w zasadzie dla spędzenia wakacji, a przy tej okazji chcieliśmy rzucić okiem na nasze posiadłości na wyspie Florida i zbadać możliwości połowu pereł w cieśninie Mboli. Stanęliśmy na kotwicy w pobliżu Savo, dokąd wybraliśmy się, aby drogą handlu wymiennego nabyć miejscowe ciekawostki.

Okolice Savo pełne są rekinów. Kędzierzawi krajowcy mają zwyczaj wrzucać zmarłych do morza, co oczywiście zachęca rekiny do uważania przyległych wód za swój rewir łowiecki. Na statek wypadło mi wracać małą, przeładowaną tubylczą łódeczką, która w pewnej chwili się wywróciła. Było w niej, a właściwie czepiało się jej czterech wyspiarzy i ja. Szkuner stał w odległości stu jardów. Wołałem właśnie, by spuszczo łódź, gdy jeden z kędzierzawych począł wrzeszczeć. Coś szarpnęło go kilkakrotnie w głąb, wciągając jednocześnie do wody i tę część łódki, której się trzymał. Następnie puścił rękę i zniknął. Chwycił go żarłacz.

Trzej pozostali czarni usiłowali wydrapać się z toni na dno łódki. Krzyczałem i kłąłem, a najbliższego zdzieliłem pięścią, ale na nic to się nie zdało. Byli nieprzytomni ze strachu. Łódka tymczasem mogła utrzymać najwyżej jednego z nich. Pod ciężarem całej trójki stanęła dęba i przechyliła się na bok, zrzucając ich z powrotem do wody.

Zostawiłem czółno i popłynąłem ku szkunerowi w nadziei, że łódź wyłowi mnie po drodze. Jeden z tubylców postanowił mi towarzyszyć i płynęliśmy w milczeniu obok siebie, od czasu do czasu zanurzając twarze w wodzie, by się przekonać, czy nie gonią nas rekiny. Krzyki człowieka pozostałego przy łódce dały nam znać o jego losie. Zaglądałem właśnie w wodę, gdy wielki żarłacz przepłynął tuż pode mną. Mierzył co najmniej szesnaście stóp. Widziałem wszystko. Chwycił wyspiarza w pasie i pociągnął za sobą, podczas gdy nieszczęśnik wystając głową i ramionami z wody wydawał rozdzierające krzyki. Przebył w ten sposób kilkaset stóp i został

wciągnięty w głębinę.

Płynąłem uparcie naprzód w nadziei, że był to może ostatni z uganiających się za zdobyczą rekinów. Okazało się wszakże, że pozostał jeszcze jeden. Czy należał do tych, które poprzednio napadły krajowców, czy może pożywił się dobrze gdzie indziej — nie wiem. Dość że nie okazywał takiego pośpiechu jak jego towarzysze. Nie mogłem teraz płynąć z dotychczasową szybkością, gdyż znaczny wysiłek musiałem poświęcić na śledzenie drapieżnika. Obserwowałem go, gdy po raz pierwszy przystąpił do ataku. Udało mi się szczęśliwie trafić go w nos obu rękami i choć siła zderzenia omal mnie nie zatopiła, jakoś go odegnałem. Nagle zawrócił i począł mnie znowu okręzać. Uratowałem się ponownie, stosując tę samą sztuczkę. Trzeci napad zakończył się dla obu stron niepowodzeniem. Rekin uchylił się w chwili, gdy moje ręce miały właśnie opaść mu na nos, lecz chropowatą skórą (miałem na sobie półkószulek bez rękawów) obdarł mi do żywego ramię od łokcia aż po bark.

Byłem już wyczerpany i straciłem nadzieję. Od szkunera dzieliło mnie jeszcze dwieście stóp. Wypatrywałem nowego natarcia, gdy wtem brązowe ciało przepłynęło między nami. Był to Otoo.

— Płyn do szkunera, panie! — zawołał wesoło, jak gdyby cała sprawa była drobnostką. — Znam się na rekinach. Rekin to mój brat.

Usłuchałem i popłynąłem zwolna dalej, podczas gdy Otoo okręzał mnie, trzymając się stale pomiędzy mną a rekinem, udaremniając jego ataki i dodając mi otuchy.

— Blok dźwigu się zaciął, ale spuszczają już łódź na linach — objaśnił po upływie chwili i zanurzył się, by odparować nowy atak.

Kiedy szkuner był o niespełna trzydzieści stóp, doszedłem kresu sił. Ledwie mogłem się poruszać. Rzucano nam z pokładu liny, ale wciąż padały za blisko. Rekin przekonawszy się, iż nie odnosi żadnej szkody, nabrał odwagi. Kilkakrotnie o włos byłby mnie chwycił, ale zawsze Otoo w samą porę przybywał na ratunek. Rzecz prosta — Otoo mógł się ocalić bez trudu. Nie opuszczał mnie jednak.

— Żegnaj, Charley! Już po mnie! — wyszeptalem ostatkiem tchu.

Czułem zbliżający się koniec. Wiedziałem, że lada chwila wyrzucę ramiona w górę i pójdę na dno. Otoo uśmiechnął się do mnie mówiąc:

— Pokażę ci nową sztukę. Rekin będzie się miał z pyszna! Popłynął do tyłu, skąd właśnie rekin mnie atakował.

— Trochę bardziej w lewo! — krzyknął po chwili. — Jest tam już lina na wodzie. Na lewo, panie, na lewo!

Zmieniłem kierunek i prulem wodę na ślepo. Byłem już bliski utraty przytomności. Gdy chwyciłem linę, usłyszałem krzyk z pokładu. Odwróciłem się i spojrzałem. Ani śladu Otoo. Prawie natychmiast wyłonił się z wody. Obie ręce odcięte miał w przegubie, a z kikutów tryskała krew.

— Otoo! — zawołał miękko. W zwróconych ku mnie oczach dostrzegłem tę samą miłość, która drgała w jego głosie.

Dopiero wtedy, u samego kresu tyłu wspólnie przeżytych lat, nazwał mnie tym

imieniem.

—Żegnaj, Otoo! — krzyknął.

Został porwany w głąb, a tymczasem mnie wciągnięto na pokład, gdzie zemdląłem na rękach kapitana.

Tak zginął Otoo, który ocalił mnie i wyprowadził na człowieka, a w końcu raz jeszcze uratował mi życie. Spotkaliśmy się w paszczy huraganu, a rozstaliśmy u paszczy rekina, z siedemnastu latami koleżeństwa pośrodku, i to koleżeństwa takiego, jakie — śmiem twierdzić — nigdy nie łączyło dotąd człowieka brązowego z białym. Jeśli Jehowa czuwa ze swego wysokiego tronu nad najmarniejszą nawet ptaszyną, chyba niepoślednie miejsce w jego królestwie zajmie Otoo, jedyny poganin z Bora Bora.

DOBRODZIEJSTWO WĄTPLIWOŚCI

I

Carter Watson, z ostatnim numerem jakiegoś czasopisma pod pachą, szedł wolno i ciekawie rozglądał się wkoło. Od dwudziestu lat nie był na tej ulicy, a zaszły tu wielkie i zadziwiające zmiany. To zachodnio-amerykańskie miasto o trzystu tysiącach mieszkańców, miało ich zaledwie trzydzieści tysięcy, kiedy jako chłopiec biegał po jego ulicach. Ulica, po której szedł, była wówczas spokojną ulicą domów mieszkalnych, w przyzwoitej dzielnicy robotniczej. Ale tego późnego popołudnia Watson stwierdził, że wchłonęła ją występna i rozległa dzielnica o złej sławie. Zaroilo się na niej od chińskich i japońskich sklepików i spelunek, chaotycznie pomieszanych z podrzędnymi zakładami białych i knajpami spod ciemnej gwiazdy. Cicha ulica jego młodości stała się najbardziej bandycką dzielnicą miasta.

Spojrzał na zegarek. Było wpół do szóstej. Dobrze wiedział, że jest to senna pora w tego rodzaju dzielnicy, pchała go jednak ciekawość. Przez dwadzieścia lat włości i badania warunków socjalnych na świecie woził ze sobą wspomnienie swego rodzinnego miasta jako czegoś drogiego i pięknego. Zaskoczyła go zmiana, którą tu widział. Musi koniecznie przejść jeszcze kawałek i zobaczyć, jak nisko stoczyło się jego miasto.

I jeszcze coś: Carter Watson miał wyostrzony zmysł społeczny i obywatelski. Zamożny, a dzięki temu niezależny, niechętnie trwonil energią na wielkoświatowe herbatki i wytworne towarzyskie kolacje. Nie pociągały go też ani aktorki, ani konie wyścigowe, ani podobne rozrywki. Jego manią były sprawy etyki i uważał się za nie byle jakiego reformatora, choć jego działalność sprowadzała się przede wszystkim do pisywania artykułów w poważniejszych pismach i kwartalnikach oraz do wydawania pod własnym nazwiskiem jasno i mądrze napisanych książek o klasie robotniczej i wielkomiejskich nędzarzach. Wśród dwudziestu siedmiu ogłoszonych drukiem tytułów, które wyrobiły mu nazwisko, były takie: „Gdyby Chrystus zstąpił do Nowego Orleanu”, „Wyeksploatowany do cna robotnik”, „Reforma czynszowa w Berlinie”, „Wiejskie slumsy Anglii”, „Ludność wschodnich stanów”, „Reforma contra rewolucja”, „Miasteczka uniwersyteckie — rozsadnikiem radykalizmu” i „Jaskiniowiec cywilizacji”.

Ale Carter Watson nie był ani maniakiem, ani fanatykiem. Nie wpadał w rozpacz na widok okropności, które badał i piętnował. Nie płonął ogniem naiwnego entuzjazmu. Ratował go humor, tak jak wielkie doświadczenie i usposobienie konserwatywno-filozoficzne. Nie skłaniał się też ku teoriom błyskawicznych reform. Jego zdaniem społeczeństwo mogło stać się lepsze jedynie dzięki straszliwie powolnej i bardzo bolesnej ewolucji. Nie uznawał ani gwałtownych cięć, ani raptownych odrodzeń. Ludzkość może się uszlachetniać tylko poprzez cierpienie i biedę, tak jak dochodziła do wszystkich zdobyczy socjalnych.

Tego późnego, letniego popołudnia Carter Watson był jednak zdjęty ciekawością. Przystanął przed pretensjonalną knajpą. Wisiał nad nią szyld z napisem „Vendome”, a do wnętrza prowadziło dwoje drzwi. Jedne najwidoczniej wiodły do baru — z tych nie skorzystał — a drugie otwierały się na wąski korytarz. Watson przeszedł go i znalazł się w dużej sali zastawionej stolikami, zupełnie pustej. W półmroku dostrzegł w odległym kącie pianino. Pomyślawszy w duchu, że wróci tu kiedyś i przyjrzy się ludziom, którzy siedzą i piją przy tych licznych stolikach, ruszył wokół sali.

Krótki korytarz wiodł z niej do małej kuchenki, gdzie przy stole siedział samotnie Patsy Horan, właściciel lokalu. Posiłał się śpiesznie przed wieczornym napływem gości. Był zły na cały świat. Rano lewą nogą wstał z łóżka i odtąd wszystko go irytowało. Gdyby ktoś zapytał o to barmanów, pewnie by teraz powiedzieli, że „stary się wściekł”. Ale Carter Watson tego nie wiedział. Gdy wszedł do kuchni, ponury wzrok Patsy Horana padł na czasopismo pod jego pachą. Nie znał Watsona i nie wiedział, że niesie on zwykle ilustrowane pismo. Z głębi swego rozdrażnienia osądził, że ów obcy to zakąsa ludzkości, jeden z tych, którzy zapaskudzają mu wnętrze lokalu przybijając lub rozlepiając plakaty. Barwna okładka pisma utwierdziła go w przekonaniu, że to plakat. Od tegosię zaczęło. Z widelcem i nożem w ręku Patsy podbiegł do Watsona.

— Wynoś się! — ryknął. — Już ja was znam!

Carter Watson osłupiał. Patsy wyskoczył na niego jak diabeł z pudełka.

— Będiesz mi tu ściany niszczył! — krzyczał Patsy wyrzucając z siebie istny potok ohydnych i obraźliwych wymysłów.

— Jeśli nawet czymś pana dotknąłem, zrobiłem to nieumyślnie...

Tyle tylko zdążył powiedzieć Watson, bo Patsy zaraz mu przerwał.

— Wynoś się i nie rozpuszczaj pyska — powtórzył, groźnie wywijając dla większego wrażenia nożem i widelcem.

Carter Watson ujrzał oczyma wyobraźni ten widelec nieprzyjemnie wbity w jego żebra, zrozumiał, że daremnie próbowałby „rozpuszczać pysk”, i szybko zawrócił do wyjścia. Widok tego pokornego odwrotu musiał do reszty rozwścieczyć Patsy Horana, bo ten czcigodny jegomość upuścił nóż i widelec i skoczył na Watsona.

Ważył sto osiemdziesiąt funtów, tyleż co Watson. Pod tym względem mieli równe szanse. Patsy był jednak karczemnym zabijaką, na ślepo prącym naprzód, podczas gdy Watson był bokserem. I pod tym względem on miał przewagę, bo Patsy atakując zapomniał o obronie i ryzykownie zamachnął się prawą pięścią. Watsonowi wystarczyłoby poczęstować go lewym prostym i uciec. Ale Watson miał jeszcze jedną przewagę. Boks i doświadczenie wyniesione z nędznych i podejrzanych dzielnic całego świata nauczyły go panowania nad sobą.

Obrócił się więc w miejscu i zamiast odpowiedzieć ciosem, zrobił unik i przeszedł do zwarcia. Patsy, który szarżował jak byk, miał przewagę rozpędu, Watson zaś, obróciwszy się ku niemu, rozpędu nie miał. W rezultacie obaj całym ciężarem swoich trzystu „sześćdziesięciu funtów runęli z hukiem na ziemię. Watson znalazł się pod spodem i głową dotykał tylnej ściany wielkiego pokoju. Od ulicy dzieliło go

sto pięćdziesiąt stóp. Zastanawiał się szybko. Przede wszystkim należało uniknąć skandalu. Nie chciał dostać się do gazet w mieście swego dzieciństwa, gdzie mieszkało jeszcze wielu krewnych i przyjaciół rodziny..

Dlatego też oplótł rękami człowieka leżącego na nim, przywarł do niego i czekał nadejścia pomocy, która musiała przyjść zwabiona hałasem. I rzeczywiście nadeszła — to znaczy z baru wypadło sześciu mężczyzn i półkolem obstało zapaśników.

— Zabierzcie go — rzekł Watson. — Nie ruszyłem go i nie chcę się bić.

Lecz półkole stało w milczeniu. Watson trwał w niezmienionej pozycji i czekał. Po wielu daremnych próbach ugodzenia go Patsy wdał się w pertraktacje:

— Puść mnie, to i ja cię puszcze — powiedział.

Watson puścił go, Patsy jednak ledwie się podniósł, stanął nad leżącym przeciwnikiem gotów do zadania ciosu.

— Wstawaj! — rozkazał.

Mówił głosem groźnym i nieubłagany, jak Bóg Ojciec w dzień Sądu Ostatecznego, i Watson pojął, że nie może liczyć na zmiłowanie.

— Odejdź pan, to wstanę — odparł.

— Jeśli jesteś dżentelmenem, wstawaj zaraz — rzekł Patsy, a blade oczy pały mu wściekłością, gdy pięść szykowała się do miażdżącego ciosu.

W tej samej chwili cofnął nogę, chcąc kopnąć Watsona w twarz. Watson zasłonił się skrzyżowanymi ramionami i skoczył na nogi tak błyskawicznie, że zamknął w kłamrze przeciwnika, nim ten zdążył uderzyć. Trzymając go raz jeszcze zaapelował do gapiów.

— Chłopcy, zabierzcie go. Widzicie, że go nie ruszam. Nie chcę się bić. Chcę stąd wyjść.

Ludzie w kole ani nie drgnęli, ani się nie odezwali. To milczenie było tak złowróżbne, że Watsonowi ciarki przeszły po krzyżu. Patsy spróbował się wyrwać, co miało ten efekt, że Watson powalił go na wznak i wyrwawszy mu się skoczył do drzwi. Ale koło widzów jak mur zagrodziło mu drogę. Dostrzegł blade, nalane twarze ludzi, którzy nie widują słońca, i zrozumiał, że ma przed sobą nocnych rzeźmieszków, drapieżne zwierzęta wielkowiejskiej dżungli. Odepchnęli go w tył, w objęcia goniącego za nim jak rozjuszony byk Patsy Horana.

W jeszcze jednym zwarcu Watson, chwilowo bezpieczny, zaapelował do bandy opryszków. I znów jego głos był głosem wołającego na puszczy. Wtedy zląkł się nie, na żarty. Znał wiele wypadków, kiedy w takich spelunkach maltretowano samotnych gości, łamano im żebra i masakrowano twarze, kopano i bito na śmierć. Wiedział też, że jeśli ma wyjść cało, nie wolno mu uderzyć ani napastnika, ani nikogo z bandy. Jednakże ogarnęło go uzasadnione oburzenie. Siedmiu na jednego — to w żadnym wypadku nie jest uczciwe! Był zły i zbudziło się w nim drapieżne zwierzę drzemiące w każdym człowieku. Ale przypomniał sobie żonę i dzieci, zaczęłą książkę i dziesięć tysięcy akrów sfalowanej ziemi we własnej, tak lubianej podgórskiej posiadłości. W przelotnej jak błyskawica wizji ujrział błękitne niebo, promienie złotego słońca na ukwieconych łąkach, było leniwie brodzące w strumieniach i błysk rzucającego się w bystrym nurcie pstrąga. Życie było piękne —

zanadto piękne, by miał je ryzykować dla zaspokojenia przyływu zwierzęcych instynktów. Krótko mówiąc, Carter Watson był opanowany i przerażony.

Jego przeciwnik, zamknięty w mistrzowskim zwarciu, próbował się wyswobodzić. Watson znów go powalił, skoczył do drzwi i znów odepchnęło go półkole ludzi o wyblakłych, nalanych twarzach. Nowym unikiem umknął prawemu sierpowemu Horana i chwycił go wpół. Powtarzało się to wiele razy. Watson stawał się coraz zimniejszy, gdy zawiedziony w rachubach Patsy, któremu nie wychodził żaden cios, wściekał się coraz bardziej i próbował walczyć w zwarciach głową. Za pierwszym razem grzmotnął Watsona czołem w nos. Nauczony doświadczeniem Watson przyciskał odtąd w zwarciach głowę do jego piersi. Oszalały z wściekłości Patsy bódł dalej i pokieroszował sobie oko, nos i policzek o ciemną głowę Watsona. A im silniej się kaleczył, tym bódł zacieklej i mocniej.

Taka jednostronna walka trwała od dwunastu do piętnastu minut. Watson nie zadał ani jednego ciosu, szukał tylko ucieczki. Czasem, w krótkich chwilach, gdy odrywał się od przeciwnika i klucząc między stolikami próbował dostać się do wyjścia, ludzie o bladych, nalanych twarzach łapali go za poły marynarki i pchali pod prawy sierpowy depczącego mu po piętach Patsy'ego. Raz po raz i nieskończoną ilość razy Watson przechodził do zwarcia i kładł przeciwnika na obie łopatki, przy czym zawsze okręcał nim i przewracał go w kierunku drzwi. W ten sposób zbliżał się do celu o długość ciała.

W końcu, bez kapelusza, rozczochrany, z krwawiącym nosem i podbitym okiem, wydostał się na chodnik i wpadł w objęcia policjanta.

— Niech pan areштуje tego człowieka — zażądał łapiąc z trudem oddech.

— Hej, Patsy! — zawołał policjant — co się tu u ciebie dzieje?

— Jak się masz, Charley — odpowiedział Patsy. — Ten drab wpadł tutaj...

— Niech pan go areштуje — powtórzył Watson.

— Wynoś się! Zmykaj! — ryknął na niego Patsy.

— Zmykaj! — dorzucił policjant. — Bo jak nie, to ciebie areштуję.

— Dobrze, ale musi pan także areštować tego człowieka. Napadł na mnie bez powodu.

— Napadłeś na niego, Patsy? — zapytał policjant.

— Nie. Daj mi skończyć, Charley, i — na Boga — mam świadków na to, co mówię. Siedzę w kuchni i jem zupę, aż tu wchodzi ten drab i ni stąd, ni zowąd — do mnie. Nawet nie wiem, co to za jeden. Jest pijany.

— Niech pan spojrz na mnie — zaprotestował oburzony socjolog. — Czy jestem pijany?

Policjant spojrz na niego ponuro i groźnie i skinął na Patsy'ego, by mówił dalej.

— Więc ten drab zaczyna się mnie czepiać. „Nazywam się Tim McGrath i rozsmaruję cię na chlebie. Ręce do góry!” — woła. Uśmiechnąłem się, a ten, bęc, bęc, palnął mnie dwa razy i rozlał mi zupę. Spójrz na moje oko. Ładnie mnie urządził.

— Co pan zamierza zrobić? — zapytał Watson policjanta.

— Wynoś się, zmykaj, bo zobaczysz, że cię areштуję — usłyszał w odpowiedzi.

Wtedy w Watsonie zbudziło się poczucie obywatelskiej praworządności.

— Protestuję...

Ale w tej chwili policjant schwycił go za ramię i szarpnął tak mocno, że o mały włos byłby go przewrócił.

— Chodź, aresztuję cię.

— To i jego niech pan weźmie — żądał Watson.

— Akurat! — rzekł policjant. — Po coś na niego napadł, gdy spokojnie jadł zupę?

II

Carter Watson był naprawdę zły. Nie tylko napadnięto go bez powodu, dotkliwie pobito i aresztowano, ale jeszcze wszystkie ranne gazety podały sensacyjny opis jego pijackiej awantury z właścicielem osławionej knajpy „Vendome”. W tych opisach nie było ani słówka prawdy. Patsy Horan i jego poplecznicy szczegółowo opowiedzieli całą bijatykę. Nie ulegało wątpliwości, że Carter Watson był pijany. Trzy razy wyrzucano go z szynku do rynsztoka i trzy razy wracał ziejąc nienawiścią i przysięgając, że wszystkich stąd powymiała.

„Słynny socjolog urznął się i siedział w kozie” — taki był pierwszy tytuł artykułu, który wpadł Watsonowi w oczy na czołowej stronie gazety. Obok ujrzał swoją wielką podobiznę. Inne tytuły głosiły: „Carter Watson ubiega się o mistrzostwo w boksie”, „Carter Watson dostał za swoje”, „Słynny socjolog próbuje wymieść do czysta spelunkę” i „Carter Watson znokautowany przez Patsy Horana w trzeciej rundzie”.

Wypuszczony za kaucją, Carter Watson stanął nazajutrz przed sądem policyjnym oskarżony z urzędu o zakłócenie porządku publicznego przez napad i pobicie niejakiego Patsy Horana. Ale przedtem jeszcze prokurator, który bierze pensję za ściganie wykroczeń przeciw porządkowi publicznemu, odciągnął Watsona na bok na prywatną rozmowę.

— Lepiej byłoby, gdyby pan poniechał sporu — powiedział. — Wie pan co, panie Watson, niech pan się pogodzi z Patsy Horanem. Uściśnijcie sobie ręce i skończcie z tym. Załatwimy sprawę raz dwa. Szepnę słówko sędziemu i umorzy sprawę przeciw panu.

— Wcale nie chcę, żeby umarzał sprawę — zaoponował Watson. — Pańskim obowiązkiem jest mnie przesłuchać, a nie godzić z tym... z tym jegomościem.

— Ach, jeśli tak, to będę pana przesłuchiwał — odparł prokurator.

— Będzie pan też musiał przesłuchać tego Patsy Horana — rzekł Watson. — Bo teraz ja żądam aresztowania go za napad i bijatykę.

— Radzę, niech się pan z nim pogodzi — powtórzył prokurator, a tym razem jego słowa zabrzmiały niemal jak groźba.

Obie rozprawy wyznaczono za tydzień, tego samego ranka, przed sędzią Witbergiem.

— Nie masz żadnych szans — powiedział Watsonowi jego przyjaciel z lat dzieciństwa, dawny naczelny redaktor najpoczytniejszego pisma w mieście. — Każdy wie, żeten człowiek cię poturbował. Ma najgorszą w świecie opinię. Ale to ci

nic nie pomoże. Obie skargi oddała. I to tylko przez wzgląd na twoją osobę. Zwykły śmiertelnik zostałby skazany.

— Nie rozumiem — odparł zdziwiony socjolog. — Ten człowiek napadł mnie nienacka i dotkliwie pobił. Ja nie uderzyłem go ani razu. Ja...

— To nieważne — przerwał mu przyjaciel.

— Więc co jest ważne?

— Posłuchaj: zadarłeś z miejscową policją i całą machiną polityczną. Kim jesteś? Nawet nie stałym mieszkańcem tego miasta. Żyjesz gdzieś na wsi. Tu nie masz praw wyborcy. Co więcej, nie masz żadnego wpływu na wyborców. A za tym właścicielem knajpy pójdzie porządna kupa wyborców z jego okręgu — porządna kupa!

— Chcesz powiedzieć, że sędzia Witberg pogwałci świętość swego urzędu i złamie przysięgę niewinniając tego bydlaka?

— Strzeż się — brzmiała ponura odpowiedź. — O, zrobi to zręcznie. Wyda arcyprawny, arcyuzasadniony wyrok, obfitujący we wszystkie słowa, jakie zna nasz język dla wyrażenia pojęcia przyzwoitości i prawa.

— Jest jeszcze prasa! — wybuchnął Watson.

— Tak, ale w tej chwili nie zwalcza administracji. Czeka cię ciężka przeprawa. Już miałaś próbkę.

— Więc te pętaki od kroniki policyjnej nie napiszą prawdy?

— Napiszą coś na pograniczu prawdy, tak żeby czytelnicy uwierzyli. Wiesz, że piszą, jak im każą. Mają powiedziane, że muszą kręcić i koloryzować, a gdy się do tego zabiorą, będziesz się miał z pyszna. Lepiej od razu poniechaj wszystkiego. Wpadłeś.

— Ale rozprawy już wyznaczono.

— Piśnij tylko słówko i zaraz wszystkiemu łeb ukreć. Człowiek może walczyć z machiną, ale wtedy, kiedy ma machinę za sobą.

III

Carter Watson był jednak uparty. Wiedział, że przegra z machiną, ale przez całe życie gonił za socjologicznymi doświadczeniami, teraz zaś wpadł na coś zupełnie nowego.

Rankiem, w dniu rozprawy, prokurator raz jeszcze spróbował zatuszować sprawę.

— Jeśli takie jest pańskie stanowisko, to chyba wezmę adwokata, by popierał oskarżenie — odparł Watson.

— Nie, nie trzeba — rzekł prokurator. — Biorę za to pensję, by ścigać przestępstwa i będę oskarżał. Ale muszę panu powiedzieć, że nie ma pan żadnych widoków. Złączymy obie sprawy w jedną i niech się pan pilnuje.

Sędzia Witberg spodobał się Watsonowi. Jeszcze młody, niewysoki, w miarę tęgi, czysto wygolony, o inteligentnej twarzy, robi dobre wrażenie. Uśmiech na wargach i wesołe zmarszczki w kątach czarnych oczu potęgowały tylko to wrażenie. Przyglądając mu się i badając go wzrokiem, Watson nabrał niemal pewności, że jego przyjaciel się mylił.

Rozczarował się wkrótce. Zeznania Patsy Horana i jego dwóch zauszników były jednym wielkim łgarstwem złożonym pod przysięgą. Watson nigdy by nie uwierzył, że coś takiego jest możliwe, gdyby sam tego nie doświadczył. Ludzie ci zaprzeczyli istnienia pozostałych czterech mężczyzn. Jeden ze świadków twierdził, że był w kuchni i widział, jak Watson bez powodu napadł na Horana. Drugi miał siedzieć w barze i widzieć, jak Watson dwa razy wracał do knajpy, by rozprawić się z Bogu ducha winnym szynkarzem. Przypisywali zaś Watsonowi tak bogaty rynsztokowy język, że — jak sądził — podważali tym własne zeznania. Trudno było bowiem uwierzyć, żeby on mógł używać podobnych wyrazów. Kiedy zaczęli opowiadać, jak brutalnymi ciosami zasypał twarz biednego Horana i jak rozbił krzesło daremnie usiłując go uderzyć, poczuł tajoną chęć do śmiechu, a jednocześnie i smutek!. Sąd zamienił się w farsę, Watson zaś w obliczu tak bezgrażnej podłości z przygnębieniem myślał o długiej drodze wzwyż, jaka jeszcze leży przed ludzkością.

W obrazie zabijaki i chuligana, namalowanym przez świadków, najgorszy wróg nie poznałby Watsona ani on sam nie poznałby siebie. Ale jak przy wszystkich zagmatwanych krzywoprzysięstwach, tak tutaj widać było sprzeczności i głębokie rysy w zeznaniach. Sędzia jednakże jakoś ich nie dostrzegął, a obaj prokuratorzy i oskarżyciel z ramienia Horana — omijali je zręcznie. Watson nie pomyślał o tym, by zaangażować adwokata, i teraz był z tego zadowolony.

Gdy nadeszła kolej na jego zeznania, ciągle jeszcze zachowywał cień wiary w sprawiedliwość sędziego Witberga.

— Proszę Wysokiego Sądu, przypadkiem szedłem sobie ulicą... — zaczął, ale sędzia mu przerwał,

— Nie jesteśmy tu po to, żeby rozważać, co pan robił przed awanturą — warknął groźnie. — Kto pierwszy uderzył?

— Wysoki Sądzie — bronił się Watson — ja nie mam świadków w tej bójce i dlatego prawdę moich słów można ustalić tylko po wysłuchaniu całej historii...

Znów mu przerwano.

— Nie będziemy tu wydawali czasopism! — wrzasnął sędzia Witberg. Patrzył przy tym tak wrogo i gniewnie, że Watson nie mógł uwierzyć, by był to ten sam człowiek, któremu przyglądał się przed chwilą.

— Kto pierwszy uderzył? — zapytał oskarżyciel ze strony Horana.

W tym miejscu wtrącił się prokurator, pytając, którą z dwóch połączonych spraw rozpatruje się obecnie i na jakiej zasadzie, w tym stadium, jego kolega bada świadka. Tamten zareplikował. Sędzia Witberg wmieszał się zdradzając zupełną nieznamość sprawy. Wszystko to wymagało wyjaśnienia. Rozgorzała generalna bitwa, która skończyła się tym, że obaj prawnicy przeprosili sąd i siebie nawzajem. I tak to szło, a Watsonowi zdawało się, że kilku rzezimieszków obrabia uczciwego człowieka wyciągając mu portmonetkę. Machina pracowała i nic więcej.

— Czemu wszedł pan do knajpy o tak złej sławie? — zapytano go.

— Jako ekonomista i socjolog od wielu lat mam zwyczaj osobiście badać...

Więcej nie zdążył powiedzieć.

— Nic nastu nie obchodzi pańska uczoneść — warknął sędzia. — Pytanie jest

wyraźne i niech pan wyraźnie odpowiada. Czy był pan pijany? O to tylko chodzi.

Kiedy Watson próbował wyjaśnić, że Patsy pokaleczył sobie twarz, gdy usiłował bić głową, otwarcie nie dano mu wiary i wyśmiano, a sędzia Witberg znów wziął go w obroty.

— Czy zdaje pan sobie sprawę z powagi przysięgi, którą pan złożył zobowiązując się mówić prawdę z tego miejsca dla świadków? — zapytał. — Plecie pan jakieś bajeczki. Nikt nie uwierzy, że człowiek przy zdrowych zmysłach pokaleczył się i dalej się kaleczył bijąc wrażliwymi i miękkimi częściami twarzy o pańską głowę. Pan jest przecież inteligentnym człowiekiem. Czy to ma sens?

— Ludzie w gniewie tracą rozsądek — łagodnie odrzekł Watson.

Wtedy to sędzia Witberg poczuł się bardzo obrażony i uniósł się słusznym gniewem.

— Jakim prawem pan to mówi? — wrzasnął. — To nie ma żadnych podstaw. To nie ma żadnego związku ze sprawą. Jest pan świadkiem na okoliczność, jaka się wydarzyła. Sąd nie życzy sobie wysłuchiwać pańskich opinii.

— Odpowiedziałem tylko na pytanie, proszę Wysokiego Sądu — skromnie zaoponował Watson.

— Nic podobnego - wybuchnął sędzia. — Uprzedzam pana, uprzedzam uroczyście, że taka bezczelność może być panu poczytana za obrazę sądu. I niech pan wie, że my tu, w tej sali rozpraw, wiemy, jak przestrzegać prawa i dobrych obyczajów. Wstyd mi za pana!

Gdy następny drobiazgowy spór prawny między przedstawicielami stron przerwał mu opowiadanie o tym, co zaszło w „Vendome”, Carter Watson bez goryczy, ubawiony, ale i smutny, patrzył, jak w jego oczach formuje się obraz maszyny wielkiej i małej, która rządzi krajem. Myślał o bezwstydnym i bezkarnym łapówkach wymuszanych w tysiącach miast przez podobne do pajaków, nędzne kreatury tej maszyny. Miał tu przed sobą sąd i sędziego, których machina podporządkowała służalczo właścicielowi szynku dlatego, że za nim szło mnóstwo wyborców. To zjawisko choć nędzne i marne stanowiło jedno z oblicz wielkiej maszyny, która groźnie rozpierała się w każdym mieście, w każdym stanie i pod tysiącem postaci rzucała cień na cały kraj.

Zadźwięczało mu w uszach znane powiedzonko: „To śmiechu warte” i w szczytowym punkcie sporu zachichotał głośno, na co sędzia zareagował groźnym zmarszczeniem brwi. Ci tyranizujący innych prawnicy i sędzia — myślał Watson — są gorsi, milion razy gorsi od zabijaków, marynarzy na trzeciorzędnych statkach, którzy sami tyranizują, ale i sami się bronią. Ci nędzni łotrzykowie zaś chowali się za majestat prawa. Bili, ale nie wolno było oddać im ciosu, bo za nimi stały cele więzienne i pałki tępych policjantów — płatnych i zawodowych gnębicieli człowieka. Ale Watson nie czuł złości. To wszystko było takie groteskowe, że zatracalo swą obrzydliwość i występność, a on na szczęście miał zbawienne poczucie humoru.

Mimo że go zastraszano i usiłowano zbić z tropu, udało mu się w końcu opowiedzieć szczerze i po prostu, jak to było, i mimo złośliwych krzyżowych pytań

żaden szczegół jego relacji nie został podważony. Różniła się ona kapitalnie od fałszywych zeznań przebijających z historyjek Horana i jego dwóch świadków.

Oskarżyciel ze strony Horana i prokurator podtrzymali pierwotne oskarżenie pozostawiając wszystko sądowi do rozstrzygnięcia. Watson zaprotestował przeciwko temu, ale oskarżyciel publiczny zatkał mu usta mówiąc, że jest oskarżycielem publicznym i wie, co robi.

„Patrick Horan zeznał, że jego życiu zagrażało niebezpieczeństwo i że musiał się bronić — tak zaczynał się wyrok sędziego Witberga. — Carter Watson zeznał to samo. Każdy z nich przysiągł, że pierwsze uderzenie zadała strona przeciwna; każdy też przysiągł, że to on został napadnięty bez powodu. Jest zasadą prawa, że wszelkie wątpliwości należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego. W tym wypadku zachodzi fakt uzasadnionej wątpliwości. Tak więc w sprawie «naród przeciw Carterowi Watsonowi» wspomniany Carter Watson korzysta z dobrodziejstwa wątpliwości i zostaje zwolniony z aresztu. To samo rozumowanie należy zastosować w sprawie «naród przeciw Patrickowi Horanowi». I on korzysta z dobrodziejstwa wątpliwości i zostaje zwolniony z aresztu. Chciałbym, aby obaj oskarżeni uścisnęli sobie ręce i pogodzili się”.

Pierwsze tytuły, jakie wpadły Watsonowi w oczy w gazetach wieczornych, głosiły: „Carter Watson uwolniony od winy i kary”. W drugiej gazecie zobaczył: „Carter Watson uniknął grzywny”. Ale szczytem wszystkiego był nagłówek: „Carter Watson — to swój chłop”. Z tekstu artykułu Watson dowiedział się, że sędzia Witberg doradził przeciwnikom, by podali sobie ręce, co z gotowością uczynili. Dalej czytał: „No, chodźmy to oblać — zaproponował Patsy Horan.

— Oczywiście — odparł Carter Watson.

I wzięwszy się pod ręce powędrowali do najbliższego baru”.

IV

Z całej tej przygody Watson nie wyniósł goryczy. Była ona nowego rodzaju doświadczeniem, które doprowadziło go do napisania jeszcze jednej książki pod tytułem "Postępowanie policyjno-sądowe: próba analizy".

Pewnego letniego ranka, w rok potem, w czasie przejażdżki po swej posiadłości, Watson zsiadł z konia i zaczął się przedzierać malutkim kanionem, chcąc zobaczyć, jak się przyjęły skalne paprocie, które zasadził ubiegłej zimy. Po drugiej, wyższej stronie wąwozu wyszedł na ukwieconą łąkę, cudowne, odludne miejsce, odgródzone od świata wzgórzami i kępami drzew. I tu zobaczył jakiegoś mężczyznę, który musiał przyjść spacerem z hotelu otwieranego na lato w miasteczku o milę stąd. Spotkali się twarzą w twarz i poznali wzajemnie. Letnikiem był sędzia Witberg. Wyraźnie naruszył prawo cudzej własności, bo Watson wszędzie na granicy swej posiadłości ustawił napisy zabraniające wstępu, choć nigdy nie przestrzegał tego zakazu.

Sędzia Witberg wyciągnął rękę na powitanie, ale Watson udał, że jej nie widzi.

— Polityka to wstrętne zajęcie, prawda, panie sędzio? — zauważył. — Oczywiście widzę pańską wyciągniętą rękę, ale nie mam zamiaru jej uścisnąć. W gazetach

czytałem, że po rozprawie podałem rękę Koranowi. Pan wie, że tego nie zrobiłem, ale pozwoli pan sobie powiedzieć, że tysiąc razy wolałbym podać rękę jemu i nędznym kundlom z jego strony niż panu.

Sędzia Witberg był przykro zaskoczony i gdy chrząkał, jąkał się i próbował coś wybąkać, Watsonowi strzelił do głowy pewien pomysł. Zdecydował się na ponury i zabawny żart.

— Nie posądziłbym o wrogość człowieka tak obytego jak pan i tak znającego świat — powiedział sędzia.

— Wrogość? — powtórzył Watson. — Na pewno jej nie żywię. Nie leży w moim charakterze. A żeby tego parni dowieść, niech mi wolno będzie pokazać panu coś ciekawego, coś, czego pan jeszcze nigdy nie widział. — Rozejrzał się wkoło i podniósł ostry kamień wielkości pięści. — Widzi pan to? — powiedział. — Niech pan patrzy.

Z tymi słowy mocno uderzył się w policzek. Kamień przeciął mięso do kości i krew trysnęła strumieniem.

— Był za ostry — oznajmił Watson zdumionemu sędziemu, który pomyślał, że ma do czynienia z wariatem. — Trzeba się trochę potłuc. W takich sprawach należy przede wszystkim być realistą.

Znalazł gładszy kamień i kilka razy porządnie walnął się nim w policzek.

— A, a, a! — zagruchał. — Za parę godzin będę miał piękne zielono-czarne sińce. Najbardziej przekonujący dowód.

— Pan zwariował — drżącym głosem powiedział sędzia. — Niech mi pan nie ubliża — odparł Watson. — Widzi

pan moją posiniaczoną i pokrwawioną twarz? To pan to zrobił, własną prawicą. Dwa razy mnie pan uderzył: pac, pac. To brutalny i nie sprowokowany napad. Moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Muszę się bronić.

Strwożony sędzia cofnął się przed wzniesionymi groźnie pięściami.

— Jeśli mnie pan uderzy, każę pana aresztować — zagroził.

— To samo powiedziałem Patsy Horanowi. I wie pan, co zrobił w odpowiedzi?

— Nie,

— To!

W. tej samej chwili prawa-pięść Watsona z rozmachem wylądowała na nosie sędziego, kładąc przedstawiciela prawa na wznak na trawie.

— Niech pan wstaje! — rozkazał Watson. — Niech pan wstaje, jeśli jest pan dżentelmenem. Jak pan wie, to samo powiedział mi Horan.

Sędzia Witberg nie chciał wstać, ale Watson podniósł go za kołnierz jedynie po to, by podbić mu oko i znów obalić na ziemię. To, co potem nastąpiło, przypominało masakrę Indian. Sędzia Witberg wziął lanie według wszelkich prawideł sztuki. Watson obił mu policzki, uszy, unurzał twarz w ziemi. I przez cały czas zachowywał się tak jak Horan. Z rzadka i bardzo ostrożnie żartobliwy socjolog zadawał naprawdę poważny cios. Raz stawiając znękanego Witberga na nogi, umyślnie rozkwaśił sobie nos o jego głowę. Z nosa poszła natychmiast krew.

— Niech pan patrzy! — krzyknął Watson cofając się i zręcznie rozmazując krew po gorsie koszuli. — To pan to zrobił.. Własną pięścią. Straszne. Ładnie mnie pan

urządził. Znów muszę się bronić.

I ciosem pięści prosto w twarz rzucił sędziego na trawę.

— Każę pana aresztować — łkał ten leżąc.

— To samo mówiłem Patsy'emu.

— Brutalny... — sapał sędzia — nie sprowokowany... — sapnął — napad.

— To samo mówiłem Patsy'emu.

— Zobacz pan... każę pana aresztować.

— Mówiąc po łobuzersku: pośpiesz się, żebyś się. czasem nie spóźnił.

Carter Watson odszedł w dół kanionu, wskoczył na konia i pojechał do miasta.

W godzinę później, kiedy sędzia Witberg dowlókł się przez park do hotelu, aresztował go — z oskarżenia Cartera Watsona — miejscowy policjant pod zarzutem napadu i pobicia.

V

— Wysoki Sądzie — mówił Watson nazajutrz do wiejskiego sędziego, zamożnego farmera, który trzydzieści lat temu skończył „wiejski uniwersytet” — ponieważ ten Salomon Witberg uważa za stosowne skarżyć mnie o pobicie, gdy ja go o to samo oskarżyłem, proponuję złączyć obie sprawy w jedną. Świadek i fakty w obu wypadkach są te same.

Sędzia zgodził się i obie sprawy rozpatrywano łącznie. Watson jako świadek oskarżenia wystąpił pierwszy i opowiedział swoją historię.

— Zbierałem kwiaty — mówił — zbierałem kwiaty na własnym terenie i o niebezpieczeństwie nawet mi się nie śniło. Nagle ten człowiek wyskoczył na mnie zza drzew. „Nazywam się Dodo — mówi — i zrobię z ciebie mokrą plamę. Ręce do góry!” Uśmiechnąłem się, a on na to — bęc, bęc — uderzył mnie, przewrócił na ziemię i rozsypał kwiaty. Wymyślał przy tym ohydnie. To był brutalny i nie sprowokowany napad. Proszę spojrzeć na mój policzek. Proszę popatrzeć na mój nos. Nic z tego nie rozumiałem. Był widocznie pijany. Zanim zdołałem otrząsnąć się ze zdumienia, tak mnie pokaleczył. Moje życie zostało zagrożone i musiałem się bronić. To wszystko, proszę Wysokiego: Sądu, choć na zakończenie muszę dodać, że ciągle nie mogę wyjść z podziwu. Dlaczego mówił, że nazywa się Dodo? Cemu napadł na mnie bez żadnego powodu? W ten sposób Salomon Witberg dostał dobrą lekcję krzywoprzysięstwa. Często z wysokości swego sędziowskiego fotela pobłażliwie wysłuchiwał fałszywych zeznań w sfabrykowanych oskarżeniach. Ale po raz pierwszy tego rodzaju zer znania skierowano przeciw niemu, a on nie zasiadał w roli sędziego i nie miał za sobą ani woźnych, ani pałek policyjnych, ani więzienia.

— Wysoki Sądzie! — wykrzyknął — nigdy jeszcze nie słyszałem takiego steku kłamstw jak te, które tu opowiada ten bezwstydy łągar...

Watson zerwał się na nogi.

— Wysoki Sądzie, protestuję... O tym, co jest kłamstwem, a co prawdą, zadecyduje sąd. Świadek ma tylko opowiedzieć przebieg wypadków. Jego osobiste poglądy i zdanie o mnie nie mają nic do rzeczy.

Sędzia podrapał się w głowę i dość ospale wyraził oburzenie:

— Zupełna racja. Dziwię się panu, panie Witberg. Mówi pan, że jest pan sędzią, człowiekiem znajdującym się na prawie i postępowaniu sądowym, a zachowuje się pan jak laik. Tu mamy prostą sprawę o napaść i pobicie. Naszą rzeczą jest ustalić, kto uderzył pierwszy, a pańskie zdanie o panu Watsonie nas nie interesuje. Niech pan opowiada dalej.

Witberg zagryzłby ze złości rozbite i spuchnięte wargi, gdyby go tak bardzo nie bolały. Opanował się jednak i opowiedział po prostu, uczciwie i szczerze całą historię.

— Wysoki Sądzie — rzekł Watson — proszą, by Sąd zapytał świadka, co robił na moim terenie.

— Bardzo trafne pytanie. Co pan robił na terenach pana Watsona?

— Nie wiedziałem, że należą do niego.

— To było naruszenie cudzej własności, proszę Wysokiego Sądu! — zawołał Watson. — Wszędzie stoją tablice ostrzegawcze.

— Nie widziałem ich — odparł Witberg.

— A ja je widziałem — uciął sędzia. — Rzucają się w oczy. I muszę pana uprzedzić, że jeżeli rozmija się pan z prawdą w małych rzeczach, podważa pan swoje ważniejsze zeznania. Czemu pan uderzył pana Watsona?

— Jak już powiedziałem, nawet go palcem nie tknąłem. Sędzia spojrzał na posiniaczoną i spuchniętą twarz Watsona i przeniósł groźny wzrok na Salomona Witberga.

— Niech pan spojrzy na policzek tego człowieka! — zagrzemiał. — Jeśli go pan nawet nie tknął, to skąd jest taki potłuczony, pokaleczony?

— Jak już mówiłem...

— Niech pan uważa — ostrzegł sędzia.

— Będę uważał. Powiem szczerą prawdę. Sam się uderzył kamieniem. Uderzył się dwoma różnymi kamieniami.

— Czy to wytrzyma krytykę, żeby człowiek, jakikolwiek człowiek przy zdrowych zmysłach sam się tak pokaleczył, bijąc się kamieniem po miękkich i czułych częściach twarzy? — zapytał Carter Watson.

— To wygląda na bajeczkę — zauważył sędzia. — Panie Witberg, czy pan był pijany?

— Nie, proszę Sądu.

— Pan nigdy nie pija?

— Czasem, przy okazji.

Sędzia zastanawiał się nad tą odpowiedzią z miną wielce przenikliwą. Watson skorzystał ze sposobności, by porozumiewawczo mrugnąć do Salomona Witberga, ale ten mocno pokrzywdzony dżentelmen nie dojrzał komizmu sytuacji.

— Bardzo dziwna sprawa, bardzo dziwna — oznajmił sędzia przystępując do ogłoszenia wyroku. — Zeznania obu stron są biegunowo przeciwne. Poza tymi dwoma głównymi świadkami nie ma innych. Każda strona twierdzi, że to ona została napadnięta, a ja nie mam urzędowego sposobu ustalenia prawdy. Mam

jednak własne zdanie, panie Witberg, i radziłbym panu, by się pan odtąd trzymał z dala od posiadłości pana Watsona, a nawet od tego okręgu.

— To oburzające! — wypalił Witberg.

— Niech pan siada! — huknął sędzia. — Jeśli mi pan jeszcze raz przerwie w ten sposób, to będę musiał ukarać pana grzywną za obrazę sądu. I uprzedzam, że grzywna będzie wysoka, bo pan sam jest sędzią i powinien się znać na grzeczności wobec przedstawiciela prawa i na powadze sądu.

A teraz wydam wyrok:

Zasadą prawa jest, że wszelkie wątpliwości należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego. Jak już powiedziałem i raz jeszcze powtarzam, nie mam urzędowego sposobu stwierdzenia, kto uderzył pierwszy. Dlatego z wielkim żalem — zamilkł na chwilę i groźnie spojrział na Witberga — w obu sprawach muszę przyznać oskarżonym dobrodziejstwo wątpliwości. Panowie, jesteście wolni.

— Chodźmy to oblać — rzekł Watson do Witberga, gdy wyszli z sądu, ale obrażony sędzia nie chciał wziąć go pod rękę i powędrować do najbliższego baru.

NA POKŁADZIE

Czy może mężczyzna, dżentelmen, nazwać kobietę świnią?

Mały człowiek rzucił to pytanie całemu towarzystwu, po czym osunął się z powrotem na krzesło i dalej popijał limoniadę z wyrazem zdecydowanej pewności i zaczepnego oczekiwania na twarzy. Nikt nie odpowiedział. Byli przyzwyczajeni do małego jegomościa, do jego wybuchów i egzaltacji.

— Powtarzam: w mojej obecności wyraził się. o pewnej damie, której nikt z was nie zna, że jest świnią. Nie powiedział jakoś delikatniej, tylko tak grubiańsko: świnia. A ja utrzymuję, że nie podobna, by mężczyzna, prawdziwy mężczyzna, mógł w ten sposób odezwać się o kobiecie.

Doktor Dawson niewzruszenie pykał swą czarną fajkę. Matthews, podwinąwszy kolana i objąwszy je ramionami, przyglądał się lecącej mewie. Sweet skończył swą whisky i wodził wzrokiem dokoła, w poszukiwaniu stewarda.

— Zapytuję pana, panie Treloar, czy może mężczyzna nazwać kobietę świnią?

Treloar, który siedział obok, zaskoczony tym nagłym natarciem usiłował się domyślić, z czego też mały jegomość wnosi, że właśnie on mógłby nazwać kobietę świnią.

— Sądzę — zaczął niepewnie — że... hm... to zależy... hm... od kobiety. Tamtemu aż dech zaparło.

— Chce pan powiedzieć...? — spytał drżącym głosem.

— Że widziałem kobiety tak podłe jak świnie, a nawet gorsze.

Zapanowało długie, przykre milczenie. Brutalność odpowiedzi jak gdyby przytłoczyła małego jegomościa. Na twarzy jego odmalowała się głęboka uraza i ból.

— Mówił pan o mężczyźnie, który użył niezbyt pięknego słowa, i osądził go pan — rzekł Treloar zimno i spokojnie. — Teraz ja powiem o pewnej kobiecie — przepraszam — damie, a gdy skończę, poproszę, by z kolei ją pan osądził. Nazwę ją panną Caruthers, głównie dlatego, że to nie jej nazwisko. Rzecz działa się na jednym ze statków towarzystwa P. i O. kilka lat temu.

Panna Caruthers była urocza. Nie, to jeszcze nie jest właściwe określenie. Była zadziwiająca. Pochodziła z najlepszej sfery. Jej ojciec piastował wysoki urząd. Gdybym wymienił nazwisko, wiedzielibyście! natychmiast, o kim mowa. W owym czasie panna odbywała z matką i dwoma służącymi podróż, bo miała spotkać się z ojcem dajmy na to gdzieś na Wschodzie.

Panna Caruthers — darujcie, że się powtarzam — była zadziwiająca. To jedyne odpowiednie słowo. Najsłabsze nawet przymiotniki, gdy mowa o niej, muszą się stać superlatywami. Wszystko umiała lepiej od każdej innej kobiety i od większości mężczyzn. Śpiewać, grać na fortepianie to jeszcze nic. Jak pewien krasomówca wyraził się kiedyś o starym Napoleonie, nie miała sobie równych. Jak ona pływała!

Zdobyłaby sławę i majątek jako zawodowa pływaczka. Należała do tych nielicznych kobiet, które bez strojnych sukni, w prostym kostiumie kąpielowym są jeszcze piękniejsze. A przecież ubierała się jak prawdziwa artystka.

Wracam do jej pływania. Fizycznie była doskonałością. Rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć. Nie odznaczała się potężnymi muskularni akrobatki, tylko delikatnością i kruchością, a zarazem i siłą. To, co robiła, było istnym cudem! Znacie ten dziw, jakim jest kobiece ramię. Łagodnie przechodzi od zaokrąglonego bicepsa i lekko zaznaczonych mięśni przez drobny łokieć i jędrną wypukłość do pięści, małej, nieprawdopodobnie małej, a silnej i jak gdyby toczonej. Takim dziwem było jej ramię. A kiedy widziałem, jak pływa energicznym, szybkim stylem angielskim, no to choć znam się na anatomii, atletyce i podobnych sprawach, było dla mnie zagadką jak potrafi to robić.

Umiała wytrzymać dwie minuty pod wodą. Sprawdzałem z zegarkiem. Żaden mężczyzna na statku, z wyjątkiem Dennitsona, nie potrafił wyłowić za jednym nurkiem tylu monet rzuconych w wodę, co ona. W przedniej części pokładu zrobiono obszerny basen z impregnowanego płótna, głęboki na sześć stóp. Ciskaliśmy do niego drobne monety. Widziałem, jak panna Caruthers dawała nurka z pomostu — ato wcale nie taka łatwa sztuczka — i wyławiała z wody ni mniej ni więcej, tylko czterdzieści siedem monet, rozrzuconych na dnie basenu. Dennitson, spokojny młody Anglik, nigdy jej w tym nie zdystansował, choć zawsze starał się jej dorównać.

Była istną syreną, ale zarazem triumfowała i na lądzie, i na koniu, i... słowem, była uniwersalna. Kto widział, jak ubrana w miękkie tkaniny, otoczona przez pół tuzina podnieconych mężczyzn, niedbale igrała z nimi lub olśniewała dowcipem, atakując ich ze wszech stron, mógł sądzić, że do tego została stworzona. W takich momentach musiałem przypominać sobie, jak wyławiała z basenu czterdzieści siedem monet. Ale taka już była ta wiecznie zadziwiająca kobieta, która wszystko robiła świetnie.

Oczarowywała każdego mężczyznę. Ja również uległem jej czarowi, nie kryję się z tym, i chodziłem za nią jak wszyscy inni. Młodziutki szczeniaki i stare, siwe brytany — ci, którzy powinni mieć więcej doświadczenia — służyli na dwóch łapkach, kręcili się koło fałdów jej sukni, skomlać i łaszac się, gdy gwizdnęła. Każdy postępował w ten sposób, począwszy od młodziutkiego Ardmora, różowego dziewiętnastoletniego cherubinka, który jechał objąć posadę w służbie konsularnej, aż do starego kapitana Bentleya, szpakowatego wilka mors Mego, z pozoru tak uczuciowego jak posąg chińskiego bożka. Miły jegomość w średnim wieku, nazwiskiem zdaje się Perkins, zapomniał, że na statku była jego żona, dopóki panna Caruthers nie przypominała mu o jego obowiązkach.

Mężczyzna był w jej dłoniach woskiem. Wedle życzenia roztapiała go, modelowała delikatnie lub spalała. Mimo iż była wyniosła i nieprzystępna, na statku nie znalazłby się steward, który zawahałby się spełnić jej kaprys, choćby miał samemu „staremu” wylać talerz zupy na głowę. Każdy z was musiał widzieć takie kobiety, pożądane przez wszystkich mężczyzn. Jako uwodzicielka osiągnęła

doskonałość. Była biczem, ukłuciem, płomieniem, iskrą elektryczną. Och, wierzcie mi, chwilami błyskawice jej woli przebijały przez powab i urodę i pogrążały ofiarę w stan otępienia i przerażenia.

Zauważcie też, że względu na to, o czym opowiem, że była dumna. Dumna ze wszystkiego, ze swej rasy, ze swej kasty, ze swej płci, ze swej władzy, dumna w sposób dziwny, kapryśny, straszny.

Komenderowała statkiem, rejsem, wszystkim, nie wyłączając Dennitsona. Najmniej nawet domyślni przyznawali, że Dennitson nas przegonił. Niewątpliwie panna Caruthers lubiła go i uczucie to się potęgowało. Jestem przekonany, że patrzyła na niego łaskawiej niż na dotychczas spotkanych mężczyzn. Nie przestawaliśmy jej uwielbiać i kręcić się koło niej, czyhając na każde skinienie, chociaż wiedzieliśmy, że Dennitson o wiele długości wyprzedza nas w tym wyścigu.

Nigdy nie dowiemy się, do czego by doszło, gdyż dopłynęliśmy do Colombo i zdarzyło się coś zupełnie innego.

Znacie Colombo i wiecie, jak chłopaki tamtejsze nurkują i wyławiają monety w rojącej się od rekinów zatoce. Oczywiście, ryzykują jedynie tam, gdzie pojawiają się rekiny nie atakujące ludzi. Jest doprawdy niepojęte, jak rozpoznają rekiny i odgadują obecność prawdziwego niebezpieczeństwa, żarłacza czy „siwej pielęgniarce”, przybłąkanej z wód australijskich. Niech się tylko taki rekin zbliży, na długo zanim pasażerowie odgadną przyczynę, wszyscy malcy uciekają z wody ratując się w dzikim popłochu.

Było to po podwieczorku. Panna Caruthers stała na pokładzie pod płóciennym dachem, otoczona całą swą świtą. Stary kapitan Bentley, na którego właśnie skinęła, na jej życzenie zgodził się, po raz pierwszy... i ostatni, wpuścić tych chłopców na pomost. Rozumiecie, panna Caruthers była pływaczką i interesowała się nurkowaniem. Zebrała od nas całą kolekcję drobnych monet i sama wrzucała je do wody, pojedynczo i garściami, układała warunki zawodów, ganiła chybienia, rozdawała nadprogramowe nagrody za najzręczniejsze zwycięstwa, słowem, kierowała całym przedstawieniem.

Szczególnie zajmowały ją skoki do wody. Wiadomo, że przy skakaniu nogami naprzód z dużej wysokości trudno jest utrzymać w powietrzu pozycję pionową. Punkt ciężkości ciała męskiego leży wysoko, co powoduje tendencję do wywracania kozłów. Malcy jednak posługiwali się metodą, której panna Caruthers nie знаła i której chciała się nauczyć. Skacząc ze szlupbelek, rzucali się w dół, z głową i ramionami podanymi naprzód, patrząc w wodę. Dopiero w ostatniej chwili raptownie się prostowali i tak wchodzili w wodę.

Śliczny to był widok. Nie nurkowali zbyt dobrze, z wyjątkiem jednego, który robił to doskonale, jak zresztą i wszystkie inne sztuczki. Musiał uczyć go jakiś Europejczyk, bo chłopak dawał nurka prawidłowo „jaskółką” i tak pięknie, jak mi się nigdy nie zdarzyło zobaczyć. Wiecie, głową naprzód, z wielkiej wysokości, trzeba wejść w wodę pod idealnym kątem. Chybić odrobinę — grozi co najmniej skrzywieniem kręgosłupa i kalectwem do końca życia. Niejeden nawet śmiercią przyłacił niezręczność. Ale ów malec potrafił tego dokonać. Skakał z omasztowania

z siedemdziesięciu stóp. Z założonymi na piersiach rękami, z głową odrzuconą w tył, mknął jak ptak w górę, przed siebie i w dół, równoległe do wody, tak że gdyby w tej pozycji uderzył o powierzchnię, rozciąłoby go na połowę. Lecz w momencie, gdy już miał dosięgnąć wody, spuszczał głowę i osłaniał ją wyciągniętymi ramionami, ciało wdzięcznie przeginał ku dołowi i zanurzał się idealnie prosto.

Chłopiec powtarzał skoki raz po raz, zachwycając nas wszystkich, a szczególnie pannę Caruthers. Miał dwanaście, najwyżej trzynaście lat, ale wyglądał najbystrzej z całej gromady. Był ulubieńcem i przywódcą towarzyszków. Choć znajdowało się tam kilku znacznie od niego starszych, wszyscy uznawali jego wyższość. Był pięknym chłopcem, młodym bożkiem z ożywionego spiżu, o szeroko rozstawionych oczach, patrzących rozumnie i odważnie, bańką mydlaną, pyłkiem, wspaniałym płomieniem, iskrą życia. Widywaliście takie cudowne istoty wśród zwierząt, na przykład lamparty, ikonie, stworzenia niespokojne, zbyt żywe, by spocząć, o mięśniach jedwabistych, których każde poruszenie jest pełne wdzięku, każda czynność dzika i nieposkromiona, a skondensowana żywotność i blask życia przelewają się wkoło. Taki był ten chłopiec. Żywotność tryskała z niego jak fosforescencja, iskrzyła się na jego skórze, płonęła w źrenicach. Przysięgłbym nieomal, iż słyszałem trzask jej iskier. Patrząc na niego doznawało się wrażenia, że potężny wiew ozonu przenika do płuc, taki był świeży i młody, tak olśniewający zdrowiem, tak dziko dziki.

Tak wyglądał ów chłopiec. On to właśnie zaalarmował towarzyszków w samej pełni zabawy. Rzucili się ku pomostowi, płynęli, jak mogli najspieszniej, tłocząc się jeden przez drugiego, cisnąc i bryzgając wodą. Z przerażeniem w oczach wdrapywali się i czepiali, gdzie się dało, podawali sobie ręce, aż wszyscy wydostali się na pomost i stanęli wpatrzni w wodę.

— Co się stało? — spytała panna Caruthers.

— Pewno rekin — odparł kapitan Bentley. — Szczęście, że nie złapał żadnego.

— Czy oni boją się rekinów?

— A pani nie? — odpowiedział pytaniem. Zadrżała lekko, spojrziała za burtę i zrobiła grymas.

— Za nic w świecie nie zaryzykowałabym kąpieli tam, gdzie mógłby być rekin — rzekła wzdrygnawszy się ponownie. — Rekiny są straszne! Straszne!

Chłopcy zgromadzili się teraz na pomoście spacerowym i stłoczeni wzdłuż poręczy patrzyli z uwielbieniem na damę, która ich tak hojnie obdarowała. Popis był skończony, więc kapitan Bentley kazał im odejść. Powstrzymała go panna Caruthers.

— Chwileczkę, proszę, panie kapitanie. Zawsze słyszałam, że tubylcy nie boją się rekinów.

Kiwnęła w stronę przywódcy chłopców, by podszedł bliżej, i na migi zachęcała go do ponownego skoku. Potrząsnął głową i wraz z towarzyszami zaczął śmiać się jak z dobrego żartu.

— Rekin — tłumaczył wskazując na wodę.

— Nie — rzekła. — Nie ma tam rekina.

On jednak pokiwał z przekonaniem głową i to samo zrobili stojący za nim chłopcy.

— Nie, nie, nie! — zawołała panna Caruthers, po czym zwróciła się w naszą stronę: — Kto mi pożyczy półkoronówkę i suwerena?

Natychmiast wyciągnęło się ku niej pół tuzina rąk z półkoronówkami i suwerenami. Wzięła dwie monety od młodego Artmore.

Trzymając wysoko półkoronówkę, pokazała ją chłopcom. Lecz tym razem nie rzucili się ku poręczy, co zawsze poprzedzało skoki. Stali głupkowato uśmiechnięci. Ofiarowywała monetę każdemu po kolei, każdy jednak przestępował tylko z nogi na nogę, potrząsał głową i szczyrzył zęby. Cisnęła pieniądze w wodę. Tęskne i żalodne spojrzenia powędrowały za srebrzystym błyskiem spadającej monety, ale żaden z chłopców się nie ruszył.

— Niech pani nie robi tego z suwerenem — szepnął Dennitson.

Nie zważając na ostrzeżenie, podsunęła złoty pieniądz tuż przed oczy najlepszego nurka.

— Nie czyn tego, pani! — rzekł kapitan Bentley. — Chorego kota nie rzuciłbym tam, gdzie jest rekin.

Ale ona roześmiała się, zdecydowana wykonać swój pomysł, i w dalszym ciągu wabiła chłopca.

— Nie kuś go, pani — nalegał Dennitson. — Dla niego to fortuna, gotów za nią skoczyć.

— A pan by nie skoczył? — zapaliła się. — Gdybym to ja rzuciła? — Ostatnie słowa wymówiła łagodnie.

Dennitson potrząsnął głową.

— Pan się wysoko ceni — zauważyła. — Za ile suwerenów by pan skoczył?

— Nie wybito ich dosyć na ten cel — brzmiała odpowiedź. Spierali się przez chwilę. W potyczce słownej z Dennitsonem zapomniała o chłopcu.

— Dla mnie? — spytała bardzo łagodnie.

— Aby uratować pani życie: tak, inaczej nie.

Zwróciła się ponownie do chłopca. Podsunęła mu monetę przed oczy, oślepiając go ogromem jej wartości. Potem udała, że ciska ją za burtę. Chłopiec mimo woli zarobił pół kroku w tym kierunku, lecz powstrzymały go ostre krzyki i napomnienia towarzyszków. Głosy ich brzmiały też gniewem.

— Wiem, że to tylko żarty — rzekł Dennitson. — Niech pani żartuje, ile się pani podoba, lecz na miłość boską, proszę nie rzucać monety.

Czy powodowała ją dziwna wrodzona skłonność do samowoli, czy może nie wierzyła, że skusi chłopaka, niesposób powiedzieć. To, co zaszło, było dla nas wszystkich niespodzianką. Spod płóciennego daszku wyleciała, lśniąca w blasku słonecznym, złota moneta i zakreśliwszy migotliwy łuk w powietrzu, zaczęła spadać. Nim czyjaś ręka zdążyła go powstrzymać, chłopiec przeskoczył poręcz i pięknie poszybował za monetą. Lecieli w powietrzu równocześnie. Śliczny to był widok. Złoty pieniądz ostro werznął się w toń, a w tym samym miejscu, prawie w tej

samej chwili,,niemal bez pluśnięcia, zanurzył się i chłopiec.

Bystrzejsi od nas ciemnoskórzy chłopcy, którzy patrzyli w wodę, krzyknęli. Rzuciliśmy się wszyscy ku poręczy. Niech mi nikt nie wmawia, że rekin musi koniecznie przewrócić się na wznak. Tamten tego nie zrobił. Z wysokości, na której się znajdowaliśmy, w przezroczytej wodzie widać było wszystko. Rekin, olbrzymia bestia, od jednego chwytu przeciął chłopca na dwoje.

Coś jakby szmer czy pomruk zabrzmiało wśród nas. Nie wiem, od kogo pochodził, być może ode mnie. Potem zapanowało milczenie. Panna Caruthers przemówiła pierwsza. Twarz miała trupioblada.

— Ja... ja nigdy nie przypuszczałam — rzekła i zaniósła się urywanym, histerycznym śmiechem.

Usiłowała przywołać na pomoc wszystką swą dumę, by się opanować. Obróciła się niepewnie ku Dennitsonowi, a potem kolejno ku każdemu z nas. W oczach malowała jej się straszna słabość, wargi drżały. Zachowaliśmy się jak brutale, przyznając dziś, gdy wspominał tę scenę. Ale nikt z nas nie drgnął.

— Panie Dennitson — poprosiła — Tom, czy nie odprowadzisz mnie do kajuty?

Patrzył wciąż w jednym kierunku, wzrokiem tak posępnym, jakiego nie zdarzyło mi się widzieć u mężczyzny, i nie poruszył nawet powiekami. Wyciągnął papierosa i zapalił. Kapitan Bentley wydał jakiś nieprzyjemny dźwięk i splunął za burtę. To było wszystko. To — i cisza.

Panna Caruthers odwróciła się i ruszyła pewnie wzdłuż pokładu, lecz po dwudziestu krokach zachwiała się i wsparła ręką o ścianę, by nie upaść. I tak odeszła bardzo powoli, opierając się o kabiny.

Treloar urwał, zwrócił głowę w stronę małego jegomościa i obrzucił go chłodnym, pytającym wejrzeniem.

— Teraz — powiedział w końcu — niech pan ją osądzi. Mały człowieczek zakrztusił się i przełknął ślinę.

— Nie mam nic do powiedzenia — odrzekł. — Nie mam absolutnie nic do powiedzenia.

ZABIĆ CZŁOWIEKA

Chociaż obszerne pokoje i hall były skąpo oświetlone nocnymi lampkami, poruszała się swobodnie szukając nie doczytanego i zarzuconego gdzieś tomiku poezji, o którym teraz dopiero sobie przypomniała. Przekręcivszy kontakt w salonie stanęła w powłóczystym różowym szlafroku z koronkami przy szyi i ramionach. Miała na palcach wszystkie pierścionki, a złociste włosy nie były jeszcze uczesane na noc. Była delikatnej, wdzięcznej urody: miała szczupły owal twarzy, pąsowe usta, leciutko zaróżowione policzki i niebieskie oczy o zmienności kameleona, które posłuszne jej woli rozwierały się szeroko, dziewczęco naiwnie albo patrzyły twardo, chłodne i stalowoszare, lub też zapalały się władczą stanowczością i uporem.

Zgasiła światło, wyszła do hallu i skierowała się w stronę sypialni. U progu zatrzymała się nasłuchując, gdyż z daleka doszedł ją nawet nie jakiś nikły szmer — wrażenie, że coś się porusza. Mogłaby przysiąc, że nic nie słyszała, a przecież w domu zaszła jakaś zmiana. Coś zakłóciło atmosferę nocnego spokoju. Nie wyobrażała sobie, kto ze służących nie śpi jeszcze o tej porze. Nie mógł to być kamerdyner znany z tego, że wcześniej kładł się do łóżka — chyba że go specjalnie zatrzymano. Ani pokojówka, która miała tego wieczoru wychodne.

Drzwi jadalni były zamknięte. Sama nie wiedziała, czemu je otworzyła i weszła do pokoju. Skłoniło ją do tego uczucie, iż tu właśnie czai się coś nieznanego. W jadalni było ciemno. Po omacku znalazła i nacisnęła kontakt. Gdy zabłysło światło, cofnęła się z cichym okrzykiem: „Och!”

Naprzeciwno, obok kontaktu ujrzała mężczyznę przytulonego do ściany. W ręce trzymał rewolwer wymierzony prosto w nią. Mimo przestrach wywołany tym widokiem zauważyła, że broń jest czarna i ma szczególnie długą lufę. Poznała colta. Mężczyzna był średniego wzrostu, odziany pospolicie, oczy miał piwne, twarz ogorzałą. Wydawał się bardzo spokojny. Wycelowaną w jej pierś broń trzymał bez drżenia, oparłszy łokieć o biodro.

— Och! — zawołała. — Przepraszam. Przestraszyliście mnie. Czego chcecie?

— Chcę stąd wyjść — odparł z żartobliwym grymasem ust. — Zabłądziłem w tej dżungli i jeżeli pani zechce wskazać wyjście, nie zrobię nic złego i zniknę natychmiast. -

— Co właściwie tu robicie? — zapytała ostro, jak osoba przywykła do rozkazywania.

— Prosta kradzież, panienko, nic więcej. Pokręciłem się tu, żeby zobaczyć, co by można zgarnąć. Myślałem, że was nie ma w domu, bo widziałem, jak pani wyjeżdżała samochodem w towarzystwie starego. To pewnie tatuś, a pani jest panną Setliffe.

Pani Setliffe zauważyła pomyłkę, doceniła naiwny komplement i postanowiła nie

przeczyć.

— Skąd wiecie, że jestem panną Setliffe? — zapytała.

— To dom starego Setliffe'a, no nie? Skinęła głową.

— Nie wiedziałem, że ma córkę, ale chyba pani jest jego córką. A teraz bardzo będę wdzięczny, jeśli mi pani wskaże wyjście.

— Czemu miałabym to zrobić? Jesteście złodziejem, włamywaczem.

— Gdybym był obyty z tym fachem, sprzątnąłbym te pierścionki z paluszków panienki zamiast grzecznie rozmawiać. Przyszedłem odebrać, co mi się należy od starego Setliffe'a, a nie okradać kobiety. Proszę tylko usunąć się z drogi, a sam trafię do. wyjścia.

Pani Setliffe była niewiastą bystrą. Wyczuła, iż taki człowiek niczym właściwie jej nie grozi. Że nie jest typowym przestępcą — to pewne. Po sposobie wyrażania się poznała w nim człowieka ze wsi, który jakby niósł ze sobą szeroki oddech dalekich, szczyrych pól.

— A jeśli zacznę krzyczeć? — zagadnęła ciekawie. — Jeśli zawołam o pomoc? Nie moglibyście strzelić do mnie... do kobiety?

Zauważyła, że niepokój błysnął w jego piwnych oczach... Odpowiedział wolno i z namysłem, jak gdyby rozwiązując jakieś zawile zagadnienie.

— Zapewne musiałbym panią chwycić za gardło i trochę stłuc.

— Kobietę?

— Musiałbym — odrzekł i zaciął usta. — Pani jest tylko delikatną kobietą, to prawda, ale ja nie mogę iść do mamra. Nie, panienko, naprawdę nie mogę. Na Zachodzie czeka na. mnie przyjaciel. Jest w ciężkich tarapatach i muszę mu pomóc. — Grymas ust stawał się coraz bardziej zacięty. — Chyba mógłbym zdusić pani gardło, bez wielkiej krzywdy dla pani.

Oczy jej nabrały wyrazu dziecięcego niedowierzania.

— Nigdy nie spotkałam się z włamywaczem — zapewniła. — Nie macie pojęcia, jak mnie to zaciekawia.

— Ja nie jestem włamywaczem, panienko, takim prawdziwym... — pośpieszył dodać, widząc, że jest rozbawiona i powątpiewa. — Pewnie na to wygląda, sikoro jestem tu, w cudzym mieszkaniu. Ale pierwszy raz w życiu wziąłem się do takiej roboty. Potrzebne mi były pieniądze, strasznie potrzebne. Przy tym uważałem, że niby odbieram to, co mi się należy.

— Nie rozumiem — zachęciła go uśmiechem. — Przyszliście tu kraść, a kraść znaczy brać cudze.

— I tak, i nie, w tym szczególnym przypadku. Ale lepiej, żebym już sobie poszedł.

Ruszył ku drzwiom, lecz zagrodziła mu odwrót, a stanowiła uroczą przeszkodę. Sięgnął lewą ręką, jakby ją chciał chwycić, ale się zawahał. Był zdjęty czią dla tej delikatnej kobiety.

— No tak! — zawołała z triumfem — wiedziałam, że tego nie zrobicie.

Stał zakłopotany.

— Jeszcze nigdy nie, podniosłem ręki na kobietę — tłumaczył się — nie takie to' łatwe. Lecz zrobię to na pewno, jeśli pani zacznie krzyczeć.

— Czy nie zechcecie posiedzieć kilka minut i porozmawiać? — nalegała. — Taka jestem ciekawa. Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego rabunek jest odebraniem tego, co się wam należy.

Spojrzał na nią z podziwem.

— Zawsze myślałem, że kobiety boją się złodziejów. Ale pani wcale na to nie wygląda.

Roześmiała się wesoło.

— Bo bywają złodzieje i złodzieje. Nie boję się was, gdyż czuję, że nie jesteście z tych, co krzywdzą kobiety. Proszę, porozmawiajmy chwilę. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Jestem zupełnie sama. Mój... mój ojciec wyjechał nocnym pociągami do Nowego Jorku. Służba śpi. Pragnęłabym was czymś poczęstować. Kobiety zawsze szykują kolację dla bandytów złapanych na gorącym uczynku — przynajmniej w powieściach. Ale nie wiem, gdzie szukać jedzenia. Może się czego napijecie?

Zawahał się i nie odpowiedział. Widziała jednak, jak zachwyt rośnie w jego oczach.

— Nie obawiacie się chyba? - zagadnęła. — Nie otruję, przyrzekam. Napiję się także, aby was przekonać, że wszystko jest w porządku.

— Pani to prawdziwa niespodzianka — stwierdził, po raz pierwszy opuszczając broń lufą w dół. — Nikt mi już nie wmówi, że miejskie kobiety są bojaźliwe. Czym pani jest? Drobnym, słodkim stworzonkiem. Ale pani ma nerw i do tego ufność. Niewiele znalazłoby się kobiet, a nawet i mężczyzn, którzy by potraktowali człowieka z rewolwerem, tak jak pani mnie potraktowała. Uśmiechnęła się zadowolona z pochwały i spoważniała.

— To dlatego, że mi się podobacie. Znadto przyzwoity macie wygląd, by być złodziejem. Nie powinniście. Jeżeli źle się wam powodzi, trzeba wziąć się do pracy. No, dalej, proszę odłożyć ten wstrętny rewolwer i porozmawiać ze mną o wszystkim. Powinniście pracować.

— Nie w tym mieście — odrzekł z goryczą. — Zdarłem podeszwy próbując znaleźć zajęcie. Naprawdę: był niegdyś ze mnie chłop na schwał, zanim ruszyłem na poszukiwanie zarobku.

Ubawiona tym żartem roześmiała się wesoło, co mu się najwidoczniej spodobało. Zauważyła to i postanowiła wyzyskać. Natychmiast odeszła od drzwi i stanęła przed kredensem.

— Proszę opowiadać, a ja tymczasem wydostanę coś do picia. Co mam dać? Whisky?

— Owszem, proszę — rzekł idąc za nią, wciąż z wielkim rewolwerem przy boku, i z żalem spoglądając na otwarte, nie strzeżone drzwi.

Napełniła kieliszek na bufecie.

— Przyrzekłam napić się z wami — powiedziała z wahaniem — ale nie lubię whisky. Wolę sherry. Podniosła butelkę, by zobaczyć, czy się zgodzi.

— Pewnie — odparł i skinął głową. — Whisky to napój dla mężczyzn. Nie lubię patrzeć, jak kobieta bierze się do tego. Wino, ot coś dla niewiast.

Trąciła się z nim kieliszkiem. Oczy jej promieniały współczuciem.

— Za dobrą pracę dla was...

Urwała widząc na jego twarzy wyraz zdziwienia i niesmaku. Odjął od skrzywionych ust ledwie tknięty kieliszek.

— Co się stało? — spytała z niepokojem. — Nie smakuje? Czy może się omyliłam?

— Dziwna to jakaś whisky, jak gdyby przypalona czy przydymiona.

— Ach, jaka jestem nieuważna. Nalałam szkockiej whisky, a wyście pewnie przyzwyczaili się do żytniówki. Zaraz zmienię.

Była niemal macierzyńsko troskliwa, gdy stawiała świeży kieliszek i wydobywała właściwą butelkę.

— Lepsze, co? — spytała.

— Tak, panienko; Tego już nie czuć dymem. To prawdziwa whisky. Nie piłem ani kropli od tygodnia. To jest gładkie, oleiste, rozumie pani, nie wytworzone chemicznie.

— Pijecie?

Było to na poły pytanie, na poły zaczepka.

— Nie, panienko, nie ma o czym mówić. Kiedyś zaglądałem do szynków, ale bardzo rzadko. Lecz zdarzają się dni, kiedy dobrze jest zalać robaka.. Dziś właśnie taki dzień. A teraz dziękuję paniencie za wszystko i zmykam.

Pani Setliffe nie chciała jednak rozstać się ze swym włamywaczem. Była kobietą zbyt zrównoważoną, by poddawać się romantycznym nastrojom, ale obecna sytuacja budziła miły dreszczyk. Wiedziała zresztą, że nic jej nie grozi. Człowiek ten, mimo wydatną szczękę i skupiony wyraz piwnych oczu, był bardzo potulny. Przy tym w wyobraźni jej zamajaczył widok liczego grona przyjaciół otaczających ją z zachwytem. Trudno było zrezygnować z takiego audytorium.

— Nie dowiedziałam się jeszcze, jak złodziejstwo w tym przypadku jest po prostu odzyskaniem własności. Proszę sięść o tu, za stołem, i opowiadać.

Podeszła do stołu, usiadła na swoim miejscu i usadowiła go obok. Zauważyła, że ma się wciąż na baczności. Mierzył bystro pokój spojrzeniem i raz po raz zwracał je ku niej z tajonym podziwem, choć nigdy nie na długo. Zauważyła też, że gdy mówiła, zdawał się nasłuchiwać podejrzanych szmerów. Nie rozstawał się z rewolwerem, położył go tylko między nimi, na rogu stołu, ręką ręką przy swej prawej dłoni.

Lecz był na nowym, nieznanym terenie. Przybysz z Zachodu, znawca życia w lesie czy na stepie, z wiecznie czujnym wzrokiem i słuchem, uważny i podejrzliwy, nie wiedział, że pod stołem, tuż u jej nóg, znajduje się przycisk dzwonka elektrycznego. Nigdy nie słyszał, nie śniło mu się nawet o podobnym urządzeniu. Tym razem spryt i ostrożność na nic się zdały.

— To było tak, panienko — zaczął wobec jej nalegań. — Stary Setliffe obłupił mnie kiedyś ze skóry w pewnym drobnym interesie. Gruby kant, ale się udał. Każdy interes się uda, jeśli zostanie podparty kilkuset milionami. Ja tam nie jęczę, i nie mówię źle o ojcu panienki. On mnie nie zna i przypuszczam, nie wie nawet, że mnie skrzywdził. To zbyt wielki tuz, on, który obraca milionami. Pewnie nawet nie słyszał o takim nędznym robaku jak ja. To organizator. Ma rozmaitych specjalistów, co

myślą, projektują i pracują za niego. Niektórzy pobierają podobno wyższe pensje niż prezydent Stanów Zjednoczonych. Ja jestem tylko jednym z tysiąca tych, którym pani ojczulek przetrzął krzyż, to wszystko.

Miałem małą dziurę na skrawku gruntu — maleńka skromna kopalnia z urządzeniem hydraulicznym. Kiedy armia Setliffe'a przeszukała Idaho i zreorganizowała trust (metalurgiczny, zagarnęła całą okolicę i wprowadziła w życie wielki projekt hydrauliczny w Twin Pines. To mnie zrujnowało, nie dali mi żadnej szansy. Zmieciono mnie z placu, zanim się obejrzałem. I oto dzisiejszej nocy, straciwszy cały majątek a mając przyjaciela w potrzebie, wstąpiłem tu, aby odebrać, co mi się należało od pani ojczulka. Tak bardzo mi to było potrzebne, żem chyba grzechu wielkiego nie popełnił.

— Przypuśćmy, że to wszystko jest prawdą — rzekła pani Setliffe — włamanie w każdym razie pozostaje włamaniem. Nie moglibyście bronić się w ten sposób przed sądem.

— Wiem o tym — wyznał potulnie. — To, co słuszne, nie zawsze bywa zgodne z prawem. Dlatego właśnie tak mi jakoś nieswojo siedzieć tu i rozmawiać z panią. Nie, żeby mi jej towarzystwo było nieprzyjemne, owszem, bardzo mi miło... lecz doprawdy, nie chcę, by mnie złapano. Wiem dobrze, co by ze mną zrobili w tym mieście. W zeszłym tygodniu pewien chłopak dostał pięćdziesiąt lat za to, że ściągnął jednemu na ulicy dwa dolary osiemdziesiąt pięć centów. Czytałem o tym w ga zecie. Kiedy czasy są ciężkie, a roboty nie ma, ludzie stają się bezwzględni. I wtedy cii, którzy mają coś, co można im ukraść, również stają się bezwzględni i walą w tamtych. Jeśli mnie złapią, wlepią mi najmniej dziesięć lat. Dlatego tak mi pilno wynieść się stąd.

— Nie, proszę zaczekać. — Podniosła rękę, aby go zatrzymać, a równocześnie odjęła stopę od dzwonka, który co jakiś czas przyciskała. — Nie wiem dotychczas, jak wam na imię.

Zawahał się.

— Proszę nazywać mnie Dave.

— Otóż... Dave... — śmiała się z miłym zakłopotaniem — trzeba coś dla was obmyślić. Jesteście młody, a zaczynacie bardzo źle. Jeżeli teraz chcecie zabrać to, co waszym zdaniem wam się należy, później sięgniecie po to, co będzie się należało już na pewno nie wam. A sam wiecie, czym się to kończy. Zamiast tego musimy znaleźć jakąś uczciwą drogę.

— Potrzebuję pieniędzy i to zaraz — odrzekł z uporem. — Nie dla siebie, lecz dla przyjaciela, o którym wspomniałem. Jest w strasznych tarapatach i muszę mu pomóc teraz albo nigdy.

— Mogę znaleźć wam posadę — zapewniła śpiesznie. — I oczywiście pożyczę pieniędzy, potrzebnych dla przyjaciela. Zwróćcie mi to później ze swych zarobków.

— Trzysta by wystarczyło — rzekł cicho. — To by go uratowało. Ja ręce urobię po łokcie, będę pracował przez cały rok za tę sumę i za utrzymanie, no i jeszcze kilka centów na tytoń.

— Ach, palicie? Że też się nie domyśliłam!

Ręką wyciągniętą tuż nad leżącym rewolwerem wskazywała żółte ślady na jego palcach. Równocześnie oceniła wzrokiem, kto bliżej ma do rewolweru. Zapragnęła pochwycić go jednym szybkim ruchem. Była przeświadczona, że może to osiągnąć, nie miała jednak dostatecznej pewności. Pohamowała się więc i cofnęła rękę.

— Nie zapalicie?

— Mam straszną ochotę.

— Proszę, mnie to nie przeszkadza. Nawet to lubię, papierosy oczywiście.

Lewą ręką sięgnął do kieszeni, wydobyl skrawek bibułki i przełożył go do prawej ręki spoczywającej przy rewolwerze. Sięgnął powtórnie i wysypał na bibułkę szczyptę brunatnego, grubo krajanego tytoniu. Następnie zabrał się do skręcania papierosa obydwoma dłońmi wzniesionymi tuż nad bronią.

— Widząc, jak lawirujecie dokoła tego wstrętnego rewolweru, można by pomyśleć, że to ze strachu przede mną — stwierdziła wyzywająco.

— Nie boję się pani specjalnie, ale okoliczności mnie onieśmiałają.

— A ja się nie bałam.

— Pani nie miała nic do stracenia.

— A życie?

— Racja — przyznał. — I nie przestraszyła się pani. Może boję się niepotrzebnie.

— Nie chcę wyrządzić wam nic złego. — W chwili gdy to mówiła, wyszukała mogą guzik dzwonka i mocno nacisnęła. Oczywiście miała szczere, uczciwe. — Znacie mężczyzn, widzę to, i kobiety. Z pewnością, gdy ja tu próbuję odwieść was od występного życia i znaleźć wam uczciwe zajęcie, to...

Natychmiast ogarnęła go skrucha.

— Bardzo panią przepraszam. To nerwy.

Przy tych słowach cofnął prawą rękę, a gdy zapalił papierosa, opuścił ją na kolana.

— Dziękuję za zaufanie. — Odetchnęła z ulgą, przestała mierzyć wzrokiem odległość dzielącą ją od rewolweru. Nogą wciąż mocno naciskała dzwonek.

— Te trzysta mógłbym wysłać telegraficznie na Zachód dziś w nocy. I gotów jestem pracować za to i za utrzymanie przez cały rok.

— Zarobicie więcej. Mogę obiecać co najmniej siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie. Znacie się na koniach?

Twarz mu się wypogodziła, oczy zaiskrzyły.

— No to jest dla was miejsce u mnie, właściwie u mego... ojca, ale ja godzę służbę. Potrzebuję drugiego stangreta.

— Chodzić w liberii? — przerwał jej ostro. W głosie jego brzmiała durna, na ustach miał szyderyczy grymas wolnego mieszkańca Zachodu.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Oczywiście to nie dla pana. Trzeba coś obmyślić. Mam! Czy potraficie hodować i ujeżdżać dwulatki?

Skinął potakująco.

— Mamy farmę hodowlaną i znalazłoby się tam miejsce. dla takiego człowieka, jak wy. Odpowiada to wam?

— Czy mi odpowiada, panienko? — Głos jego zabrzmiał wdzięcznością i

zachwytem. — Proszę mi tylko wskazać drogę. Jutro mogę zacząć. I zaręczam: nigdy nie pożałuje pani, że wybawiła z kłopotów Hughie Luke'a.

— Zdaje mi się, że miałam was nazywać Dave... — skarciła go dobrotliwie.

— Tak jest, panienko, tak. I za to przepraszam. To było oszukaństwo. Naprawdę nazywam się Hughie Luke. Jeżeli zechce mi pani wskazać adres tej swojej farmy i dać na bilet, pojedę tam z samego rana.

Podczas całej rozmowy pani Setliffe nie przerywała prób z dzwonkiem. Przyciskała go na wszystkie sposoby: trzy sygnały krótkie i długi, dwa krótkie i długi, wreszcie pięć równych. Próbowwała dawać długie serie ostrych dzwonek, a raz przytrzymała stopę na guziku przez całe trzy minuty. Nie wiedziała, czy wypadnie jej zgromić śpiocha — kamerdynera, czy też kazać naprawić dzwonek.

— Bardzo się cieszę — rzekła. — Rada jestem, że się zgadzacie. Nie będzie mi trudno to zrobić. Przede wszystkim jednak musicie mi zaufać, gdy udam się na górę po pieniądze.

Zauważywszy przelotny błysk podejrzenia w jego oczach, dodała śpiesznie:

— Przecież ja wam zawierzę na te trzysta dolarów.

— Ufam pani — odrzekł z galanterią — jestem tylko trochę nerwowy, mimo woli.

— Mam więc pójść?

Lecz zanim Hughie Luke wyraził zgodę, do uszu pani Setliffe dotarł daleki, głuchy szmer. Poznała skrzypienie drzwi kredensowych. Dźwięk był jednak nikły, raczej lekkie drżenie powietrza niż jakiś odgłos i nie byłaby go rozeznała, gdyby w oczekiwaniu nie natężyła słuchu. Ale i on usłyszał. Zdziwił się, choć nadal nie tracił opanowania.

— Co to było? — zapytał.

Zamiast odpowiedzi błyskawicznie sięgnęła lewą ręką po rewolwer. Porwała go w samą porę, w następnym bowiem okamgnieniu jego ręka wykonała ten sam ruch i schwyciła powietrze.

— Siadać! — rozkazała ostro, głosem dotąd mu nie znanym. — Nie ruszać się! Ręce na stół!

Skorzystała z jego lekcji. Zamiast trzymać ciężką broń w wyciągniętej ręce, wsparła przedramię i kolbę rewolweru o stół i wzięła na cel nie głowę, lecz pierś przeciwnika. Był zimny, posłuszny jej rozkazom, świadom, że nie może chybić nawet wskutek odrzutu po strzale. Widział, że rewolwer nie drży w jej dłoni ani ramię jej nie dygoce. Wiedział też dokładnie, jakiej wielkości dziury mogą wywiercić te kule z czubkiem z miękkiego ołowiu. Patrzył nie na nią, lecz na kurek rewolweru, który podniósł się pod naciskiem wskazującego palca na cyngiel.

— Muszę panią uprzedzić, że ten cyngiel jest strasznie cienko nadpiłowany. Nie trzeba zbyt mocno naciskać, bo będę miał dziurę wielkości włoskiego orzecha.

Opuściła nieco kurek.

— Tak lepiej — stwierdził — a najlepiej będzie spuścić całkiem. Widzi pani, jak gładko chodzi. Jeżeli pani chce, wystarczy jedno szybkie szarpnięcie, by podnieść i spuścić kurek i zrobić śliczny bigosik na tej wytwornej posadzce.

W tyle otwarły się drzwi i usłyszał, jak ktoś wszedł do pokoju. Nie odwrócił jednak

głowy. Patrzył na nią i widział twarz innej kobiety, zimną, ostrą, bezlitosną, choć równie olśniewająco piękną. Oczy jej błyszczały jakimś chłodnym ogniem.

— Tomaszu — rozkazała — idź do telefonu zawezwać policję. Czemuś nie przychodził tak długo?

— Przybiegłem, jak tylko usłyszałem dzwonek.

Złodziej nie spuszczał oczu z pani Setliffe, a ona z niego. Przy ostatnich słowach zauważyła w jego wzroku nagłe zdumienie.

— Przepraszam panią — odezwał się kamerdyner — czy nie byłoby lepiej, gdybym wziął jaką broń i obudził służbę?

— Nie, dzwoń na policję. Potrafię zatrzymać tego człowieka. Idź i spraw się szybko.

Kamerdyner wysunął się z pokoju, oni zaś siedzieli wciąż naprzeciw siebie i patrzyli sobie w oczy.

Dla niej była to rozkoszna przygoda. W myśli słyszała już komentarze swych znajomych, odczytywała wzmianki w pismach o tym, jak to młoda, piękna pani Setliffe sama jedna ujęła uzbrojonego opryszka. Będzie to z pewnością sensacją dnia.

— Kiedy zapadnie wyrok, o którym mówiłeś — rzekła chłodno — będziesz miał dosyć czasu na rozmyślanie, jakim byłeś głupcem sięgając po cudze mienie i grożąc kobietom rewolwerem. Będziesz miał czas przekonać się o tym. A teraz mów prawdę. Nie masz żadnego przyjaciela w potrzebie. Wszystko, coś mi opowiedział, to kłamstwo.

Nie odrzekł słowa. Choć utkwiał w nią oczy, zdawał się nic nie widzieć. Istotnie, w owej chwili jej postać przesłoniły mu szerokie, zalane słońcem przestrzenie Zachodu, gdzie mężczyźni i kobiety są wielkoduszniejsi od tych zepsutych mieszczuchów, z którymi stykał się w miastach po trzykroć zgniłego Wschodu.

— No! Czemu milczysz? Dlaczego dalej nie kłamiesz? Czemu nie błagasz o wolność?

— Prosiłbym — odrzekł zwilżając językiem wargi — prosiłbym, gdyby...

— Gdyby co? — zapytała rozkazująco, widząc, że się waha.

— Chciałem znaleźć określenie, które mi pani nasuwa. Jak mówiłem, poprosiłem, gdyby pani była uczciwą kobietą.

Twarz jej pobladła.

— Bądź ostrożny — zagroziła.

— Pani nie odważy się mnie zabić — rzekł szyderczo. — Świat jest doprawdy wstrętną dziurą, jeżeli chodzą po nim takie istoty jak pani, nie jest jednak aż tak zły, by pani mogła mnie zabić. Jesteś zła, ale w tym sęk, żeś słaba w swej złości. Niewielka to rzecz zabić człowieka, ale ty tego nie zrobisz. I tu twoja przegrana.

— Licz się z tym, co mówisz — upomniała ponownie. — Inaczej, przestrzegam, będzie z tobą krucho. Mogę wpłynąć na to, jaki dostaniesz wyrok.

— Coś tam musi być niedobrze z Panem Bogiem — odezwał się nie słuchając — skoro pozwala chodzić po świecie takim istotom jak pani. Trudno doprawdy zrozumieć, w jakim celu płata biednej ludzkości podobne figle. Gdybym ja był

Bogiem...

Dalsze jego wywody przerwało wejście kamerdynera.

— Coś się musiało popsuć w telefonach — zameldował. — Druty pewno pokrzyżowane czy co. Nie mogę połączyć się z centralą.

— Idź zbudzić którego z lokajów, niechaj sprowadzi policjanta, a sam wracaj.

Złodziej i kobieta znowu zostali sami.

— Czy zechce pani odpowiedzieć na jedno pytanie? — zagadnął mężczyzna. — Ten służący wspomniał o jakimś dzwonku. Śledziłem panią jak kot i jestem pewien, że pani nie dzwoniła.

— Dzwonek jest pod stołem, biedny głupcze. Przyciskałam go nogą.

— Dziękuję... Chwilami zdawało mi się, że spotykałam już takich jak pani. Teraz jestem tego pewny. Ja mówiłem szczerze i z zaufaniem, a pani przez cały czas ohydnie kłamała.

Zaśmiała się drwiąco,

— Mów dalej. Mów, co chcesz. To bardzo zajmujące.

— Wabiłaś mnie oczyma, spoglądałaś słodko i łaskawie, wygrywając to, że nosisz spódnicę zamiast spodni, i przez cały ten czas trzymałaś stopę na dzwonku. Doprawdy, to pociecha. Wolę być biednym Hughie Luke i odsiedzieć swoje dziesięć lat więzienia niż tkwić w twojej skórze. Takimi kobietami wybrukowane jest dno piekieł.

Zapanowało milczenie, podczas którego Luke, nie spuszczać jej z oczu, obserwował ją i podejmował jakieś postanowienie.

— Proszę, proszę — nalegała. — Powiedz.

— Owszem, powiem, na pewno powiem. Wie pani, co teraz zrobię? Wstanę z tego krzesła i wyjdę tymi drzwiami. Mógłbym zabrać broń z pani ręk, ale może straciłabyś głowę i wystrzeliła. Zostawiam pani rewolwer. To dobra maszynka. Jak powiedziałem, wyjdę prosto tymi drzwiami, a pani nie wystrzeli. Trzeba mieć odwagę, by zabić człowieka, pani zaś tego brak. Zaczynamy. Proszę się przekonać, czy zdoła pani pociągnąć za cyngiel. Nie zrobię pani nic złego. Wyjdę tymi drzwiami. Odchodzę.

Wciąż wpatrując się w jej oczy odsunął krzesło i stanął wyprostowany. Kurek rewolweru podniósł się do połowy drogi. Patrzyła na broń. On również patrzył.

— Niech pani naciśnie mocniej — doradzał. — Jeszcze mało. Dalej, pociągnij do końca i zabij człowieka. Zrób tak, jak powiedziałem, zabij, rozwal mu czaszkę, by mózg rozprysnął się po posadzce, albo zrób we mnie dziurę jak twoją pięść. Oto co znaczy zabić.

Kurek rewolweru opadał z drżeniem, ale łagodnie. Mężczyzna obrócił się i powoli zdążył ku drzwiom. Powiodła rewolwerem za jego plecami. Dwukrotnie odwiodła kurek do połowy i dwakroć niechętnie opuściła.

W progu, przed samym wyjściem, mężczyzna obejrzał się na chwilę. Na ustach miał pogardliwy uśmiech. Odezwał się cicho, niemal szeptem, ale w szepcie tym skupiła się najgłębsza odraza, gdy rzucił jej w twarz słowo ordynarne, niepowtarzalne.

DOM PYCHY

Percival Ford sam właściwie nie wiedział, po co tu przyszedł. Nie tańczył. Wojskowych nie darzył nadmierną sympatią. Rzecz prosta, znał całe towarzystwo, które posuwało nogami i kręciło się w tańcu tam, na szerokim nadmorskim lanai: oficerów w świeżo wykrochmalonych białych mundurach, cywilów ubranych na biało lub czarno, kobiety z obnażonymi ramionami. Po dwóch latach postoju w Honolulu dwudziesty pułk odchodził do nowego garnizonu na Alasce, a Percival Ford, jako jedna z ważnych figur na Wyspach Hawajskich, nie mógł uniknąć znajomości z oficerami i ich żonami.

Ale przepaść dzieliła znajomość od sympatii. Pułkowe panie budziły w Fordzie lekki dreszcz przerażenia. Pod żadnym względem nie przypominały kobiet w jego guście — podstarzałych matron, starych panien, dziewic w okularach, nad wyraz statecznych osób wszelkiego wieku, a takie właśnie kobiety spotykał na zebraniach komitetów: kościelnego, bibliotecznego i opieki nad przedszkolem. Te same panie przychodziły do niego upraszając o datki i dobre rady. Miał władzę nad nimi dzięki swej wyższości umysłowej, wielkiemu bogactwu i wybitnej pozycji, jaką zajmował wśród handlowej arystokracji hawajskiej. Takich kobiet nie bał się ani trochę. Ich płęć nie była wyzywająca. Otóż to właśnie. Odczuwało się w nich coś innego i coś więcej zarazem niż natarczywa pospolitość. Ford był człowiekiem wybrednym, sam dobrze o tym wiedział. Toteż oficerskie damy, z gołymi rękami i obnażonymi plecami, o śmiałym wejrzeniu, tryskające życiem, pełne wyzywającej kobiecości, raziły jego wrażliwą naturę.

Nielepszego zdania był o oficerach, którzy życie brali lekko, pili, palili i klęli, manifestując najbardziej przyziemne potrzeby ciała w sposób nie mniej bezwstydnym niż ich kobiety. Percival Ford czuł się zawsze źle w towarzystwie wojskowych. Ich też nic do niego nie ciągnęło. Miał wciąż wrażenie, że się zeń wyśmiewają poza jego plecami albo litują się nad nim, albo ledwie go tolerują. Poza tym zdawało mu się, że sama ich bliskość uwypukla jakieś własne jego niedostatki, że zwracają uwagę na takie swe cechy, których on nie posiada — i chwalić Boga, że nie posiada. Brrr! Tacy sami jak ich żony!

W gruncie rzeczy Percival Ford nie zdradzał ani nadmiaru męskości, ani cech zniewieścienia. Wystarczyło na niego spojrzeć, by zrozumieć, skąd się to brało. Zbudowany był dobrze, nie wiedział, co to choroba, a nawet lekkie niedomaganie, ale nie dostawało mu żywotności. Jego organizm był bierny. Jeśli w czyichś żyłach kipi gorąca krew, nie wykarmi ona i nie wymodeluje takiej długiej, pociągłej twarzy, takich wąskich warg, chudych policzków i świdrujących oczek. Strzecha, włosów koloru ziemi, sztywnych i rzadkich, świadczyła o jałowości swej gleby, podobnie jak nos, chudy, delikatnie rzeźbiony, przypominający dziób. Cienka krew Percivala Forda nie dodawała mu animuszu i pozwalała na jedną tylko namiętność, a była nią

cnota. Jak żyć uczciwie — oto nad czym Ford rozmyślał i co go dręczyło. Jego natura pożądała dobrych uczynków tak samo, jak ludzie ze zwykłej gliny pragną kochać i być kochani.

Ford siedział pod drzewami *algarobia*, między tarasem a brzegiem morza. Powiódł oczami po tańczących, a potem odwrócił głowę ku morzu i ponad łagodnie pluszczącą falą patrzył na Krzyż Południa, płonący nisko nad widnokregiem. Irytowały go nagie ramiona kobiet. Gdyby miał córkę, nigdy by nie pozwolił na coś podobnego, przenigdy! Ale myśl o córce była czystą abstrakcją. Nie towarzyszyło jej żadne wyobrażenie. Nie widział córki, żywej kobiety, z rękami i plecami. Uśmiechnął się na samą myśl o małżeństwie. Miał lat trzydzieści pięć, o miłości nie wiedział nic z własnego doświadczenia, ale żywił w tej sprawie nader trzeźwe poglądy. Miłość to instynkt zwierzęcy. Ożenić się potrafi każdy. Żenili się japońscy i chińscy kulisi, w pocie czoła pracujący na plantacjach trzciny cukrowej i polach ryżowych. Żenili się nieodmiennie przy pierwszej lepszej sposobności. A to dlatego, że żyli na tak niskim poziomie. Nic lepszego nie mieli do roboty. Podobnie jak ci oficerowie i ich kobiety. Ale on, Percival Ford, inne, wyższe cele miał na widoku. Różnił się od nich — od nich wszystkich. Znalazł się na tym świecie w sposób, który napawał go dumą. Nie wydała go na świat pospolita miłość małżeńska. Zrodziło go wzniosłe poczucie obowiązku i gorące umiłowanie Sprawy. Ojciec nie ożenił się z miłości. Uczucie do kobiety było szaleństwem, które nigdy nie zmąciło spokoju ducha Izaaka Forda. Kiedy odpowiedział na głos wzywający go, by poszedł między pogan i niósł im słowo boże, nie o małżeństwie myślał i nie żony pragnął. Pod tym względem Percival podobny był do Izaaka Forda, swego rodziciela. Ale Urząd Misyjny oszczędnie gospodarował funduszami. Z właściwą Nowej Anglii przezornością dobrze wszystko zmierzył i zważył, nim w końcu orzekł, iż misjonarze żonaci są, przeciętnie rzecz biorąc, mniej kosztowni, a bardziej wydajni. Wobec czego Urząd kazał ożenić się Izaakowi Fordowi. Co więcej, zaopatrzył go w żonę, inną żarliwą duszę, której ani w głowie było małżeństwo, pragnęła bowiem li tylko czynić dzieło boże wśród pogan. Po raz pierwszy ujrzeli się w Bostonie. Urząd ich spiknął i wszystko załatwił. W tydzień później, już jako para małżeńska, wyruszyli w długą podróż dokoła przylądka Horn. Percival Ford szczycił się tym, że pochodzi z takiego związku. Urodzony na wyżynach, uważał się za arystokratę ducha. Był dumny z ojca. Uczucie to stanowiło jego namiętność. Prosta, surowa postać ojca napawała go pychą. Na biurku postawił sobie miniaturę tego żołnierza Pana. W sypialni wisiał portret Izaaka Forda z czasów, kiedy ojciec służył Monarchii jako premier. A był nim nie dlatego, by pożył zaszczytów i bogactw tego świata, lecz jedynie dlatego, iż jako premier, a potem bankier mógł tym większe usługi oddać sprawie duszpasterstwa wśród pogan. Niemcy, Anglicy i cała reszta zgrai handlarzy pokpiwała z Izaaka Forda twierdząc, że kupczy zbawieniem duszyczek. Ale on, syn Izaaka, inaczej patrzył na te sprawy. Kiedy tubylcy, wyzwoliwszy się nagle z ustroju feudalnego, nie mając najmniejszego pojęcia, co to jest własność ziemi, zaczęli wyzbywać się za bezcen gruntów, właśnie Izaak Ford stanął między tłumem spekulantów a ich łupem i objął w posiadanie rozległe i żyzne ziemie. Nic

dziwnego, że zgraja handlarzy nie wspomina go dobrze. A przecież Izaak Ford nigdy nie uważał swoich olbrzymich bogactw za osobistą własność. Uważał się za sługę bożego. Z dochodów budował szkoły, szpitale, kościoły. Nie jego wina, że cukier, po gwałtownym spadku cen, dawał czterdzieści procent na czysto, że założony przez niego bank mógł sobie pozwolić na sfinansowanie kolei żelaznej, że, między innymi, pięćdziesiąt tysięcy akrów pastwiska w Oahu, za które swego czasu Ford płacił po dolarze za akr, rodziło potem osiem ton cukru z akra co osiemnaście miesięcy. O nie, Izaak Ford był ponad wszelką wątpliwość postacią bohaterską, godną stanąć — tak w skrytości ducha myślał Percival — obok pomnika Kamehameha I przed gmachem sądu. Izaak Ford odszedł z tego świata, ale on, jego syn, prowadzi dalej zbożne dzieło ojca równie twardą, jeśli nie tak samo świetną, ręką.

Znów spojrzął na lanai. „Jaka jest różnica — pytał sam siebie — między bezwstydnym *hula* tańczonym przez Hawajki, przepasane girlandą z traw, a tymi płasami wydekoltowanych kobiet mej własnej rasy? Gzy jest jakaś istotna różnica, czy też są to tylko dwa stopnie tego samego bezwstydu?”

Podczas gdy ważył w myślach ten problem, jakaś ręka spoczęła na jego ramieniu, — Halo, Ford, co ty tu robisz? Czy to trochę nie za wesołe dla ciebie?

— Staram się być pobłażliwy, nawet gdy widzę, co się tu dzieje, doktorze Kennedy — odparł Percival z powagą. — Siądź na chwilę.

Doktor Kennedy usiadł i głośno klasnął w dłonie. Natychmiast zjawił się biało ubrany kelner Japończyk.

Doktor zamówił whisky z wodą sodową, po czym zwrócił się do milionera:

— Tobie, oczywiście, nie proponuję.

— Owszem, też bym się czegoś napił — odrzekł Ford stanowczym tonem. Doktor zrobił wielkie oczy, kelner czekał. — Proszę lemoniadę.

Doktor, widząc, że Ford zażartował sobie z niego, roześmiał się serdecznie i popatrzył na muzykantów pod drzewem hau.

— Co to? Orkiestra „Aloha”. Zdawało mi się, że we wtorki wieczorem grają zawsze w Hotelu Hawajskim. Coś tu się pokiełbało.

Przez chwilę zatrzymał wzrok na jednym z muzyków, grającym na gitarze i śpiewającym hawajską piosenkę przy wtórze wszystkich instrumentów. Twarz doktora spoważniała, kiedy patrzył na śpiewaka, i pozostała poważna, gdy zwrócił się do swego towarzysza.

— Słuchaj, Ford — powiedział — czy nie uważasz, że mógłbyś już zostawić w spokoju Joe Garlanda? Podobno sprzeciwiłeś się wnioskowi Komisji Popierania Rozwoju Wysp, która chce wysłać Garlanda do Stanów w związku z ofertą sprzedaży nart wodnych. Chciałem o tym z tobą pomówić. Sądziłem, że chętnie byś się go stąd pozbył. Skończyłoby się to prześladowanie.

— Prześladowanie? — Brwi Percivala Forda uniosły się pytająco.

— Nazwij to, jak chcesz — ciągnął Kennedy. — Szczyłeś tego biedaka całymi latami. Przecież to nie jego wina. Sam musisz przyznać.

— Nie jego wina? — Cienkie wargi Percivala Forda ściągnęły się mocno. — Joe

Garland to rozpustnik i wałkoń. Nigdy grosza nie szanował.

— Ale to jeszcze nie powód, żebyś mu tak deptał po piętach. Obserwuję cię od początku. Pierwszym twoim krokiem po powrocie ze studiów było wylanie Garlanda z plantacji, na której pracował jako przychodni *luna*. Ty, wielki milioner, i on, zarabiający sześćdziesiąt dolarów miesięcznie!

— Nie był to wcale mój pierwszy krok — odparł Percival Ford apodyktycznym tonem, jakiego zwykł używać na posiedzeniach komitetów. — Ostrzegalem go. Zarządzający plantacji twierdził, że Garland jest zdolnym robotnikiem. Pod tym względem nic przeciwko niemu nie miałem. Szło mi o to, co robił po pracy. Burzył moje dzieło, zanim udało mi się je zbudować. Jakiż sens miały moje szkoły niedzielne i wieczorowe oraz kursy krawieckie, kiedy wieczorami zjawiał się Joe Garland ze swoim wiecznym piekielnym brząkaniem na gitarze i *ukulele*, pił na zabój i tańczył *hula*! Po udzieleniu mu ostrzeżenia poszedłem do niego — nigdy tego nie zapomnę — poszedłem do robotniczych baraków. Był wieczór. Już z daleka słyszałem, że śpiewają *hula*. A potem zobaczyłem tam dziewczyny, bezwstydną, tańczące przy księżycu, te same dziewczęta, nad którymi tyle pracowałem, żeby je nauczyć czystego, cnotliwego życia. Trzy z nich, pamiętam doskonale, właśnie ukończyły szkołę misyjną. Oczywiście zwolniłem Joe Garlanda. Wiem, że to samo robił w Hilo. Ludzie mówili, że się wtrącam do nie swoich spraw, kiedy przekonałem Masona i Fitcha, by wyrzucili go z pracy. Ale sami misjonarze mnie o to prosili. Garland niszczył ich dzieło swym złym przykładem.

— Później, kiedy pracował na kolei, twojej własnej kolei, wyrzucono go bez żadnego powodu — nacierał Kennedy.

— Wcale nie — padła szybka odpowiedź. — Wezwałem go do mego gabinetu i rozmawiałem z nim pół godziny.

— Wyrzuciłeś go za nieróbstwo?

— Za niemoralne życie, proszę szanownego pana. Doktor roześmiał się sarkastycznie.

— Kto, u diabła, dał ci prawo ferowania wyroków? Czy to, że jesteś obszarnikiem, daje ci władzę nad nieśmiertelnymi duszami tych, którzy uginają karków na twoich gruntach? Jestem twoim lekarzem domowym. Czy mam się spodziewać, że jutro zadekretujesz, bym przestał pić whisky z wodą sodową, bo inaczej popadnę w niełaskę? Ba! Bierzesz życie zbyt serio, mój drogi. Poza tym, kiedy Joego przyłapali na szmuglu (nie pracował już wtedy u ciebie) i przysłał ci kartkę z prośbą, żebyś zapłacił za niego grzywnę, pozostałeś głuchy na prośbę i chłopak musiał odbyć karę sześciu miesięcy ciężkich robót na rafach. Pomyśl, wystawiłeś go na pastwę losu. Brutalnie odepchnąłeś od siebie. A przecież pamiętam dzień, kiedy przyszedłeś do szkoły. Myśmy mieszkali w internacie, ty przychodziłeś tylko na lekcje. Trzeba cię było ochrzcić. Trzy razy nura do basenu pływackiego — jak pamiętasz, taka była przepisowa porcja dla każdego nowicjusza. A tyś się cofnął. Powiedziałeś, że nie umiesz pływać. Byłeś wystraszony, histeryzowałeś...

— Tak, wiem — wycedził Percival Ford. — Byłem wystraszony. I skłamałem, bom umiał pływać... Ale się bałem.

— Czy pamiętasz, kto cię wtedy bronił? Kto kłamał za ciebie więcej niż ty sam? Kto przysięgał, że na pewno nie umiesz pływać? Kto skoczył do basenu i wyciągnął cię po pierwszym zanurzeniu i kogo za to chłopcy omal nie utopili, bo zdążyli zauważyć, że jednak umiesz pływać?

— Oczywiście, wiem o tym — odparł Ford chłodno — ale jeden szlachetny uczynek w młodych latach nie rozgrzesza całego późniejszego życia wypełnionego złymi postępkami.

— Garland nie zrobił ci nigdy nic złego, to znaczy nie uczynił tego osobiście, bezpośrednio?

— Nie — brzmiała odpowiedź Percivala Forda. — Dlatego właśnie moje stanowisko jest bez zarzutu. Nie mam do niego żadnych pretensji osobistych. Jest niedobrym człowiekiem, i tyle. Jego życie jest złe...

— Inaczej mówiąc, nie zgadza się z twoim poglądem na to, jak trzeba żyć — przerwał doktor.

— Niech ci będzie. To nie ma znaczenia. Joe nic nie robi... — Z tej prostej przyczyny, że wypędzasz go z każdej pracy.

— Jest niemoralny...

— Eee, daj spokój, Ford. Wciąż ta sama piosenka. Jesteś nieodrodnym dzieckiem Nowej Anglii. Garland to pół-kana: ka. Twoja krew jest letnia, jego — gorąca. Życie co innego znaczy dla ciebie, a co innego dla Garlanda. On idzie przez życie śmiejąc się, śpiewając i tańcząc, radosny, życzliwy ludziom, naiwny jak dziecko, każdemu przyjaciel. Ty jesteś objazdowa ambona, przyjaźnią darzysz tylko ludzi prawych, a kto jest prawym człowiekiem, ty wiesz najlepiej. A któż wie naprawdę? Ty wiesz żywot pustelnika, Joe Garland żyje zdrowo. Który z was więcej ma z życia? Za to, że żyjemy, otrzymujemy zapłatę. Kiedy płaca jest zbyt nędzna, człowiek rzuca robotę. Oto, możesz mi wierzyć, przyczyna każdego świadomego samobójstwa. Joe Garland umarłby z głodu, gdyby miał żyć z pensji, jaką tobie płaci życie! On jest, widzisz, z innej gliny. A ty także zamorzyłbyś się na śmierć, gdybyś miał z życia to co on: śpiew, miłość...

— Żądem, jeśli łaska — przerwał Ford. Doktor Kennedy uśmiechnął się.

— Dla ciebie słowo miłość nie oznacza nic więcej poza tym, coś o nim wyczytał w słowniku. Ale miłości prawdziwej, czystej jak rosa, czulej i drżącej — nie znasz. Jeśli Bóg stworzył ciebie i mnie, jeśli stworzył mężczyzn i kobiety, to — możesz mi wierzyć — stworzył także miłość. Wróćmy jednak do rzeczy. Pora, żebyś przestał szczuć Joe Garlanda. To niegodne ciebie, tchórzliwe. Powinieneś podać mu rękę.

— Czemuż to ja, a nie ty na przykład? — zapytał Ford. — Dlaczego ty nie podasz mu ręki?

— Owszem, pomagałem mu i właśnie teraz staram się pomóc. Usiłuję nakłonić cię, byś nie odrzucał wniosku Komisji zalecającej wysłanie go do Stanów. Pracę w Hilo u Masona i Fitcha też ja mu znalazłem. Sześć razy wystarałem mu się o posadę, i sześć razy ty go przepędziłeś. Mniejsza z tym. Pamiętaj tylko o jednym — odrobina szczeroci ci nie zaszkodzi — to brzydko cudzą winą obarczać Joe Garlanda. Wiesz dobrze, że jesteś tu osobą najmniej powołaną. Dobrego smaku, mój

stary, to nie dowodzi. To po prostu nieprzyzwoitość.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz — odparł Percival Ford. — Opętała cię jakaś mętna teoria naukowa dziedziczności i nieodpowiedzialności osobistej. Ale jaka teoria może uwolnić od odpowiedzialności za złe postęпки Joe Garlanda, a jednocześnie uczynić odpowiedzialnym za te postęпки mnie, i to w wyższym stopniu niż kogokolwiek innego, niż samego Garlanda — tego ani rusz nie mogę zrozumieć.

— Coś mi się zdaje, że tylko subtelność i dobry smak nie pozwalają ci mnie zrozumieć — parsknął doktor. — Wszystko to bardzo pięknie, można ze względów towarzyskich o pewnych rzeczach nie mówić, ale ty posunąłeś się dalej.

— A cóż ja ukrywam? Bądź łaskaw powiedzieć. Doktor Kennedy był zły. Rumieńce po normalnej porcji whisky nagle znacznie mu pociemniały. — Nie przyznajesz się do syna twego ojca — powiedział.

— Cóż to ma znaczyć?

— Do kroćset tysięcy, człowieku! Powiedziałem ci chyba całkiem wyraźnie. Ale chcesz, proszę bardzo: syn Izaaka Forda... Joe Garland — twój brat.

Percival Ford milczał. Na jego twarzy malowała się irytacja i zgorzienie. Kennedy przyglądał mu się z zaciekawieniem. Minęło kilka długich minut. Doktor zmieszał się i przestraszył.

— Mój Boże! — zawołał. — Nie powiesz mi chyba, że nie wiedziałeś o tym.

Jak gdyby w odpowiedzi policzki Percivala Forda zbieleły.

— To potworny żart — odezwał się — potworny. Doktor opanował się.

— Wszyscy o tym wiedzą — zaczął. — Myślałem, że ty także wiesz. A jeśli było inaczej, pora, byś się dowiedział. Rad jestem, że miałem okazję otworzyć ci oczy. Joe Garland i ty jesteście braćmi — przyrodnimi braćmi.

— To kłamstwo! — krzyknął Ford. — Sam nie wiesz, co mówisz. Matką Joe Garlanda była Eliza Kunilio. (Doktor skinął głową). Pamiętam ją dobrze, miała staw z kaczkami i zagon *taro*. Ojcem był Joseph Garland, znany nygus. (Doktor potrząsnął głową). Umarł jakieś dwa, trzy lata temu. Alkoholik. Dlatego i Joe jest ladaco. Oto twoja dziedziczność.

— I nikt ci nie powiedział? — zapytał po chwili doktor z nutą zdziwienia.

— Doktorze Kennedy, powiedział pan straszną rzecz. Nie mogę tego puścić mimo uszu. Albo pan przedstawi dowody, albo...

— Sam się przekonaj. Odwróć się i popatrz. Widzisz go teraz z profilu. Spójrz na jego nos. To nos Izaaka Forda. Twój jest słabszą odbitką ojcowskiego. Patrz. Linie nosa Garlanda są grubsze, poza tym wszystko się zgadza.

Percival Ford patrzył na mieszańca, który grał na gitarze pod drzewem *hau*. Zdawało mu się, że doznał przywidzenia i patrzy na *widmo*, własnej osoby. Rys po rysie oślepiął nieodpartym podobieństwem. Nie, to raczej on, Percival Ford, był cieniem tego muskularnego, doskonale zbudowanego mężczyzny. A rysy jednego i drugiego wyraźnie przypominały Izaaka Forda. I nikt mu o tym nie powiedział! Dobrze znał twarz ojca. Miniatury, portrety i fotografie ojca przesuwwały mu się w pamięci i raz po raz dostrzegał w twarzy muzykanta wyraźne lub ukryte

podobieństwa. Tylko dziełem szatana mogło być to odtworzenie surowego oblicza Izaaka Forda w miękkich i zmysłowych rysach Garlanda. Nagle muzykant odwrócił się ku nim. Percivalowi błysnęła myśl, że oto widzi ojca nieboszczyka, który patrzy nań z twarzy Joe Garlanda.

— To. drobiazg — słyszał jakby z daleka głos doktora. — Swego czasu wszystko się tu przemieszało. Sam wiesz, jak było; Patrzyłeś na to przez całe życie. Marynarze poślubiali królowe, płodzili księżniczki, i tam dalej. Zwykła to była rzecz na Wyspach Hawajskich.

— Ale nie dla mojego ojca — przerwał Percival Ford.

— Ano właśnie — Kennedy wzruszył ramionami. — Siła kosmiczna, instynkt życia. Stary Izaak Ford był człowiekiem sztywnym jak drut i tam dalej. Wiem, że stało się coś niepojętego, najbardziej niepojętego dla Izaaka. On sam nie więcej z tego rozumiał niż ty. Instynkt życia, i basta. Pamiętaj o jednym: Izaak Ford miał w żyłach odrobinę niespokojnej krwi i Joe Garland odziedziczył ją wraz z całym instynktem życia i siłą kosmiczną, a tyś przejął po ojcu wszystką krew ascety. Jeśli więc masz krew zimną, dobrze ułożoną i posłuszną, to jeszcze nie powód, żebyś się boczył na Joe Garlanda. Kiedy Joe obraca wniwecz twoje dzieło, nie wolno ci zapominać, że to Izaak Ford stoi po obu stronach i jedną ręką niszczy to, co zrobił drugą. Powiedzmy sobie *szczerze*: ty jesteś prawą ręką Izaaka, a Joe Garland lewą.

Percival Ford nic nie odpowiedział. Doktor Kennedy wypił resztę whisky, o której zapomniał w czasie rozmowy. Zza tarasu dał się słyszeć hałaśliwy klakson samochodu wzywający doktora.

— Jest mój wóz — powiedział wstając doktor. — Muszę jechać. Przykro mi, żeś tak się przejął tym, co ci powiedziałem, ale swoją drogą dobrze się stało. Wiedz jedno: Izaak Ford miał tylko odrobinę bujnej krwi i ta krew w całości dostała się Joe Garlandowi. I jeszcze jedno. Jeśli lewa ręka twego ojca podniesie się na ciebie, nie obcinaj jej. Zresztą Joe to równy chłopak. Szczerze mówiąc, gdybym miał wybierać, z którym z was wolałbym mieszkać na bezludnej wyspie, wybrałbym Joego.

Małe, bose dzieci baraszkowały obok na trawie, ale Percival Ford ich nie widział. Wpatrywał się uporczywie w śpiewaka pod drzewem *hau*. Przesiadł się nawet, żeby być bliżej niego. Urzędnik z portu przechodził w pobliżu, powłócząc starymi nogami, które odmawiały mu posłuszeństwa. Od czterdziestu lat mieszkał na Wyspach. Percival Ford kiwnął na niego. Stary podszedł z wielkim szacunkiem. Zdziwił się, że Percival Ford był łaskaw go zauważyć.

— John — zaczął Ford. — Chcę się od ciebie czegoś dowiedzieć. Siadaj, proszę.

Urzędnik usiadł niezgrabnie, oszołomiony niespodziewanym zaszczytem. Przymrużył oczy, spojrzął na Forda i wyjąkał:

— Tak, panie prezesie, dziękuję.

— Słuchaj, John, kim jest Joe Garland?

John wypatrzył się na niego, zmrużył oczy, chrząknął i nic nie powiedział.

— Gadaj — rozkazał Percival Ford. — Kim on jest?

— Pan prezes żartuje sobie ze mnie — zdołał wykrztusić stary.

— Pytałem całkiem serio.

. Urzędnik cofnął się.

— Czyżby pan nie wiedział? — Pytanie to było już odpowiedzią.

— Chcę się dowiedzieć.

— Otóż Joe... — zaczął. John i bezradnie rozejrzał się wokół. — A może lepiej by się pan spytał kogo innego? Wszyscy myśleli, że pan wie. Myśmy zawsze...

— Tak, mów dalej.

— Myśmy zawsze myśleli, że właśnie dlatego pan się go czepia.

Fotografie i miniatury Izaaka Forda roily się w mózgu jego syna. Duch Izaaka Forda zdawał się unosić w powietrzu.

— Dobrej nocy życzę panu prezesowi — dosłyszał Perei-val i zobaczył, że urzędnik chce pokuśtykać dalej.

— John! — krzyknął.

John wrócił i stanął przy nim, mrugając powiekami i nerwowo oblizując wargi.

— I nie powiedziałaś mi.

— Ach, o Garlandzie?

— Tak, o Garlandzie. Kim on jest?

— Jest pańskim bratem, panie prezesie. Mówię to, co powie każdy.

— Dziękuję, John. Dobranoc.

— To pan nie wiedział? — zapytał stary. Najgorsze miał już za sobą i chętnie by teraz został.

— Dziękuję, John. Dobranoc — powtórzył Ford.

— Tak jest, panie prezesie, dziękuję, panie prezesie. Zanosi się na deszcz. Dobranoc, panie prezesie.

Z czystego nieba przyprószonego gwiazdami i poświatą księżyca spadł nagle deszcz drobny i lekki jak mgielka. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Dzieci dalej bawiły się biegając boso po trawie i skacząc na piasek. Deszczyk szybko przeleciał. Na południowym wschodzie Diamentowa Głowa rysowała się ostro czarną plamą w kształcie greckiej wazy na tle wygwieżdzonego nieba. Senne fale przypływu przyskały pianą na piasek i rosily murawę. Daleko widniały w świetle księżyca czarne plamki głów pływaków. Zamilkł chór śpiewający walca i wśród ciszy, gdzieś pod drzewami, zabrzmiał kobiecy śmiech, krzyk miłości. Percival Ford wzdrygnął się i przypomniał sobie słowa doktora. Przy czólnach wyciągniętych na piasek ujrzał tubylców, mężczyzn i kobiety, spoczywających leniwie niby „zjadacze lotosu”. Niewiasty były w białych holoku. Na tle jednego *holoku* ujrzał czarną głowę sternika wspartą na kobiecym ramieniu. Nieco dalej, w miejscu, gdzie pasmo piasku rozszerzało się u wejścia do laguny, Ford dostrzegł parkę idącą ramię w ramię. Kiedy podeszli do oświetlonego *lanai*, zauważył, że kobieta uwolniła się od męskiego ramienia, które obejmowało jej kibić. Gdy go mijali, Ford poznał w mężczyźnie znajomego kapitana, a w niej — córkę majora, i skinął im głową. Instynkt życia — otóż to, świetnie powiedziane. I znów spod ciemnego drzewa *algaroba* rozległ się kobiecy śmiech, który był krzykiem miłości. Obok fotela Forda przeszła bona Japonka. Prowadziła za rękę i strofowała bosego chłopczyka, który musiał już iść do łóżka. Śpiewacy cicho i słodko zanucili hawajską pieśń miłosną.

Oficerowie i ich damy, objąwszy się, znów sunęli i wirowali na *lanai*. I jeszcze raz zaśmiała się kobieta pod drzewami *algaroba*.

Percivalowi Fordowi wszystko to bardzo się nie podobało.

Irytował go miłosny śmiech kobiety i sternik, co złożył głowę na białym *holoku*, i pary, które spacerowały na brzegu morza, i oficerowie tańczący z paniami, i głosy śpiewaków opiewające miłość, i jego brat, który śpiewał wraz z nimi pod drzewem *hau*. Najbardziej jednak drażnił go ów śmiech kobiety. Dziwne myśli przysły mu do głowy. Był synem Izaaka Forda i co się przytrafiło ojcu, zdarzyć się może synowi. Na myśl o tym poczuł na policzkach blady rumieniec i doznał uczucia dojmującego wstydu. Przerażeniem napawało go to, co miał w krwi. To tak, jakby się nagle dowiedział, że jego ojciec był • trędowaty i że on sam może mieć we krwi zarazek tej strasznej choroby. Izaak Ford, surowy żołnierz Pana — stary obłudnik! Czymże się różnił od byle nygusa? Dom pychy, wzniesiony przez Percivala Forda, walił mu się na głowę.

Mijały godziny, towarzystwo pułkowe śmiało się i tańczyło, hawajska orkiestra grała, a Percival Ford mocował się z problemem, który nagle go przytłoczył. Oparłszy łokieć o stół, skłonił głowę na rękę. Sprawiał wrażenie znużonego obserwatora, lecz po cichu odmawiał pacierze. W przerwach między tańcami wojskowi, ich panie i cywile podchodzili do niego i coś tam uprzejmie brzęczeli. A kiedy wracali na taras, Ford podejmował walkę w miejscu, gdzie ją przerwał.

Zaczął składać na nowo ideał Izaaka Forda, który mu się rozleciał w kawałki. Jako cementu użył chytrej i wyrafinowanej logiki. Było to spoidło z gatunku tych, jakie powstają w chemicznych laboratoriach mózgow egotystów. Działo doskonale. Nie ulegało wątpliwości, że ojciec stworzony był z lepszej gliny niż jego otoczenie, a przecież stary Izaak jeszcze się for: mował. Dopiero on, Percival Ford, osiągnął doskonałość. Na dowód tego zrehabilitował ojca, a sam równocześnie wznosił się wyżej. Jego mizerna osoba urastała do olbrzymich rozmiarów. Był dostatecznie wielki, aby przebaczyć. Rozpłomieniała go ta myśl. Izaak Ford był wielki, ale on jest większy, bo potrafi przebaczyć Izaakowi, a nawet wnieść go znów w swej pamięci na piedestał, co prawda nie tak już święty jak dawniej. Wyrażał nawet podziw Izaakowi Fordowi za to, że odwrócił się plecami do owocu swego jedyne go fałszywego kroku. Doskonale, on też owoc ten zignoruje.

Tańce dobiegały końca. Orkiestra zagrała „Aloha Oe” i zbierała się do odejścia. Percival Ford klasnął w dłonie. Zjawił się kelner Japończyk.

— Powiedz temu człowiekowi, że chcę z nim mówić — Ford wskazał palcem Joe Garlanda. — Niech zaraz tu przyjdzie.

Joe Garland podszedł i przez szacunek dla Forda zatrzymał się parę kroków dalej, nerwowo przebierając palcami struny gitary, którą trzymał jeszcze w ręce. Percival nie prosił go, by usiadł.

— Jesteś moim bratem.

— Hm, wszyscy o tym wiedzą. — W odpowiedzi brzmiała nuta zdziwienia.

— Tak, słyszałem — sucho odparł Percival Ford. — Ale ja dowiedziałem się o tym dopiero dziś wieczór.

Nastąpiło milczenie. Przyrodni brat czekał zmieszany, "a Percival Ford chłodno obmyślał następne zdanie.

— Pamiętasz, jak przyszedłem do szkoły i chłopcy wrzucili mnie do wody? — zapytał.— Dlaczego mnie broniłeś?

Przyrodni brat uśmiechnął się nieśmiało.

— Bo wiedziałeś?

— Tak, dlatego.

— Ale ja nie wiedziałem — dodał Percival równie sucho jak przedtem.

— Tak.

Znów zapadło milczenie. Służba zaczęła gasić światła na *lanai*.

— Ale dziś... pan wie — powiedział przyrodni brat.

Percival Ford zmarszczył brwi. Potem uważnie przyjrzał się tamtemu.

— Ile chcesz za to, że wyjedziesz stąd i nigdy nie wrócisz?

— Nigdy nie wrócę? — wyjąkał Joe Garland. — To jedyny kraj, jaki znam. W innych krajach jest zimno. Nie znam ich. Tu mam wielu przyjaciół. Tam nikt mi nie powie: „Aloha, Joe, mój drogi!”

— Powiedziałem: nigdy nie wrócisz — powtórzył Percival Ford. — „Alameda” odpływa jutro do San Francisco.

Joe Garland był zdumiony.

— Ale dlaczego? — zapytał. — Przecie już pan wie, że jesteśmy braćmi.

— Właśnie dlatego. Jak sam powiedziałeś, wiedzą o tym wszyscy. Zapłacę ci tak, że nie pożalujesz.

Cała nieśmiałość i zakłopotanie zniknęły z twarzy Joe Garlanda. Nie dzieliła ich już przepaść urodzenia i pozycji społecznej.

— Chcesz, żebym wyjechał?

— Chcę, byś wyjechał i nigdy nie wrócił — odparł Percival. W tej krótkiej chwili, która błysnęła i zgasła, dane mu było zobaczyć, jak brat wyrasta przed nim niczym góra, a on sam kurczy się i maleje do rozmiarów mikroskopijnej drobiny. Nie jest jednak dobrze ujrzyć swój prawdziwy obraz ani nie można tak długo patrzeć na siebie i żyć. Toteż tylko na mgnienie oka Percival ujrzał siebie i brata, w świetle prawdy, po czym znów opanowało go nędzne i nienasycone „ja”.

— Jak powiedziałem, bardzo ci się to opłaci. Nie będzie ci źle. Dobrze zapłacę.

— Dobra jest — powiedział Joe Garland. — Wyjadę. Odwrócił się i chciał odejść.

— Joe! — zawołał tamten. — Jutro rano wstąpię do mojego adwokata. Pięćset dolarów z góry i dwieście miesięcznie, póki będziesz się trzymał z dala od Wysp.

— Jesteś bardzo dobry — cicho odpowiedział Joe Garland. — Jesteś zbyt dobry. W każdym razie, twoich pieniędzy nie potrzebuję. Jutro odjadę na „Alamedzie”.

Odszedł bez pożegnania. Percival Ford klasnął w dłonie.

— Kelner — powiedział do Japończyka — lemoniada! Siedział nad lemoniadą i długo z zadowoleniem uśmiechał się do siebie...

YAH! YAH! YAH!

Był Szkotem, pijanicą i tego ciągnął whisky, zaczynając punktualnie o szóstej z rana od pierwszej kolejki, którą powtarzał w regularnych odstępach czasu przez cały dzień aż do udania się na spoczynek, co zwykle następowało o północy. Sypiał zaledwie pięć godzin na dobę, a przez pozostałe dziewiętnaście był najspokojniej w świecie pijany. W ciągu tych ośmiu tygodni, jakie spędziłem z nim na atolu Oolong, nie widziałem go trzeźwego ani przez chwilę. Prawdę mówiąc, sypiał tak krótko, że nigdy nie miał czasu wytrzeźwieć. Stanowił okaz najwspanialszego i najregularniejszego pijaka, jakiego spotkałem.

Nazywał się McAllister. Był już stary i kiepsko trzymał się na nogach. Ręce mu się trzęsły jak paralitykowi, co zwłaszcza można było zauważyć, gdy sobie nalewał whisky, choć nie pamiętam, by kiedykolwiek uronił bodaj kropelkę. Dwadzieścia osiem lat przeżył na Melanezji, od niemieckiej Nowej Gwinei aż po niemieckie Wyspy Salomona, i tak całkowicie zespolił się z tą częścią świata, że zazwyczaj posługiwał się owym poczwarnym językiem, zwanym *beche-de-mer*. Tak na przykład w rozmowie ze mną „słońce on wyleźć” oznaczało wschód słońca, „*kai-kai* przynieść” — że podano obiad, a „mój brzuch on pękać” — że cierpi na żołądek. Był niewielkiego wzrostu, zawiędły i spalony od wewnątrz i od zewnątrz ognistym spirytusem i ognistym słońcem. Zdawał się niejako spo pielony, przypominał kawałek żużlu, żużlu ożywionego i jeszcze niezupełnie wystygłego, a poruszał się sztywno, kanciasto, jak automat. Lada podmuch wiatru mógłby go porwać. Ważył dziewięćdziesiąt funtów.

Ale najbardziej zdumiewającą rzeczą była jego władza. Atol Oolong miał sto czterdzieści mil obwodu. W jego lagunie sterowało się według kompasu. Zamieszkiwało na nim sześć tysięcy Polinezyjczyków, krzepkich mężczyzn i kobiet, często liczących sześć stóp wzrostu i po kilkaset funtów żywej wagi. Atol znajdował się o dwieście pięćdziesiąt mil od najbliższego lądu. Dwa razy do roku zawijał tu mały szkuner, ażeby zabrać ładunek kopry. Jedynym białym na Oolongu był McAllister, drobny kupiec i niepoprawny pijaczyna — a przecież żelazną ręką sprawował rządy nad atolem i jego sześcioma tysiącami dzikich. Kiedy kazał im przyjść — przychodzili, kiedy powiedział: odejść! — znikali. Nigdy nie podawali w wątpliwość jego rozkazu ani osądu. Był swarliwy, jak potrafi być tylko stary Szkot, i ustawicznie wtrącał się do ich osobistych spraw. Kiedy Nugu, córka króla, zapragnęła poślubić Haunaua z drugiego końca atolu, jej ojciec wyraził na to zgodę, ale McAllister sprzeciwił się i małżeństwo nie doszło do skutku. Kiedy król chciał zakupić od arcykapłana pewną wysepkę na lagunie, McAllister powiedział „nie”. Król winien był Kompanii około stu osiemdziesięciu tysięcy orzechów kokosowych i póki tego nie zapłacił, nie mógł wydać ani jednego orzecha na inny cel.

Jednakże król i jego poddani nie kochali McAllistera. Po prawdzie nienawidzili go

okropnie i o ile mi wiadomo, cała ludność z kapłanami na czele przez trzy miesiące daremnie usiłowała wymodlić sobie jego śmierć. Szatany, które nań nasyłali, budziły zgrozę, ale ponieważ McAllister nie wierzył w szatany, nie miały nad nim żadnej władzy. Wobec pijanych Szkotów zawodzą wszelkie czary. Zbierano resztki jedzenia, których dotknęły jego usta, pustą butelkę po whisky, orzech kokosowy, z którego pił, a nawet jego ślinę i odprawiano nad tym przeróżne diabelstwa. Ale McAllister żył nadal. Cieszył się doskonałym zdrowiem. Nigdy nie miewał febry, kaszlu ani kataru, dyzenteria go omijała, a złośliwe ropnie i obrzydliwe schorzenia skóry, atakujące; na równi białych i czarnych w tym klimacie, nie miały się go w ogóle. Musiał być tak nasiąknięty alkoholem, że zarazki nie mogły się go uczepić. Wyobrażałem sobie, jak opadają na ziemię gradem mikroskopijnych drobinek, gdy tylko znajdą się w zasięgu jego przesyconej wódką aury. Nikt go nie kochał, nawet zarazki, on zaś kochał jedynie whisky, a jednak żył.

Była to dla mnie zagadka. Nie mogłem pojąć, jak to się dzieje, że sześć tysięcy krajowców ulega temu wynędzniałemu, zasuszonemu tyranowi. Cud prawdziwy, że nie zginął nagłą śmiercią już dawno temu. Ludność atolu, w przeciwieństwie do tchórzliwych Melanezyjczyków, była zawadiacka i wojownicza. Na wielkim cmentarzysku, u wezłowi i w nogach mogił, spoczywały pamiątki dawnych, krwawych wydarzeń — łopaty do wykrawania tłuszczu wielorybiego, stare, zardzewiałe bagnety i kordelasy, miedziane sworznie, żelazne części rudli, harpuny, bombardy, cegły, które mogły pochodzić jedynie z pieców do wytapiania tłuszczu na okrętach wielorybicznych, oraz stare działka spiżowe z szesnastego wieku, które były potwierdzeniem legend o dawnych hiszpańskich żeglarzach.

Na Oolongu okręt za okrętem spotykała katastrofa. Niecałe trzydzieści lat temu statek wielorybiczny „Blennerdale”, który wpłynął na lagunę dla dokonania naprawy, dostał się do niewoli wraz z całą załogą. W podobny sposób zginęła załoga „Gasketu”, statku przewożącego drzewo sandałowe. Wielki francuski bark, „Toulon”, który przed atolem zaskoczyła cisza morska, zdobyli wyspiarze po zaciętej walce i zatopili w przesmyku Lipau, przy czym kapitanowi udało się uciec szalupą wraz z garścią marynarzy. Hiszpańskie działka zaś świadczyły o klęsce jakiegoś okrętu dawnych odkrywców. Wszystkie te wydarzenia należą już do historii i można je odnaleźć w „Księdze Żeglarskiej Południowego Pacyfiku”. Jednakże miałem się jeszcze dowiedzieć, że istnieje także inna historia, nie pisana. Tymczasem zachodziłem w głowę, dlaczego sześć tysięcy pierwotnych dzikusów pozostawia przy życiu jednego zwyrodniałego szkockiego despotę.

Pewnego upalnego popołudnia siedziałem z McAllisterem na werandzie wychodzącej na lagunę, która mieniła się niczym klejnot cudnymi barwami. W tyle, za szerokim na sto jardów pasmem usianego palmami piasku, fale pełnego morza, okalającego z zewnątrz atol, rozbijały się z hukiem o rafy. Było straszliwie gorąco. Znajdowaliśmy się pod czwartym stopniem szerokości geograficznej i słońce, które w swojej wędrówce na południe minęło przed kilkoma dniami równik, wisiało wprost nad naszymi głowami. Nie było wcale wiatru — nawet najłżejszego podmuchu. Okres południowo-wschodnich pasatów dobiegał przedwcześnie końca,

a północno-zachodni monsun nie zaczął jeszcze wiać.

— Nie potrafią tańczyć ni cholery — powiedział McAllister. Zdarzyło mi się bowiem napomknąć, że tańce polinezyjskie

stoją wyżej od papuaskich, czemu McAllister zaprzeczył tylko z wrodzonej kłótności. Było jednak za gorąco, aby się spierać, więc nie odrzekłem ani słowa. Poza tym nigdy nie widziałem, jak tańczą ludzie z Oolongu.

— Ja panu tego dowiodę — oznajmił przyzywając skinieniem zwerbowanego do pracy czarnego chłopca z Nowego Hanoweru, który pełnił funkcje kucharza i służącego. — Ty, chłopak, ty powiedziec król, żeby tu przyjść do mnie.

Chłopiec odszedł, a po chwili zjawił się pierwszy minister, zmieszany, zakłopotany, tłumacząc się gęsto i przepraszając. Krótko rzekłszy, król spał i nie można mu było przeszkadzać.

— Król spać mocno za bardzo — oświadczył na zakończenie.

McAllister wpadł w taką pasję, że pierwszy minister w popłochu wziął nogi za pas i wrócił z samym królem. Tworzyli przepyszną parę, zwłaszcza monarcha, który musiał liczyć nie mniej niż sześć stóp i trzy cale wzrostu. Rysy jego twarzy miały w sobie coś orlego, co często się spotyka u Indian północno-amerykańskich. Urodził się i wychował do rządzenia. Gdy słuchał, oczy jego miotają błyskawice, lecz mimo to potulnie zastosował się do rozkazu McAllistera, który polecił mu zwołać kilkuset co najlepszych tancerzy i tancerek z wioski. Jakoż zaczęli tańczyć i tańczyli tak przez dwie mordercze godziny w piekących promieniach słońca. Najwyraźniej nie kochali za to McAllistera, ale jemu było to obojętne i w końcu odprawił tancerzy wśród wyzwisk i szyderstw.

Nikczemna służalczość tych wspaniałych dzikusów była przerażająca. Skąd się to brało? Na czym polegała tajemnica tego człowieka? W miarę jak dni upływały, dziwiło mnie to coraz bardziej i chociaż wciąż miałem dowody jego niepodzielnej władzy, nie mogłem ani rusz znaleźć klucza do tej zagadki.

Pewnego dnia zdarzyło mi się wspomnieć McAllisterowi o moim rozczarowaniu z powodu nieudanej próby nabycia pary pięknych, pomarańczowych muszli. W Sydney dostałbym za nie pięć funtów jak nic. Zaofiarowałem dwieście cegiełek tytoniu właścicielowi, który jednak domagał się trzystu. Gdy mimochodem o tym napomknąłem, McAllister natychmiast posłał po niego, zabrał mu obie muszle i wręczył je mnie. Pozwolił mi zapłacić za nie tylko pięćdziesiąt cegiełek. Krajowiec przyjął tytoń i był najwyraźniej uradowany, że wykręcił się tak łatwo. Co do mnie, postanowiłem w przyszłości trzymać język na wodzy. I wciąż łamałem sobie głowę nad sekretem władzy McAllistera. Posunąłem się nawet tak daleko, że zapytałem go wprost, ale tylko przymknął jedno oko, zrobił tajemniczą minę i pociągnął następny haust whisky.

Pewnej nocy popłynąłem łowić ryby na lagunie w towarzystwie Otiego, krajowca, któremu odebrano owe muszle. Potajemnie dodałem mu jeszcze sto pięćdziesiąt cegiełek tytoniu, wskutek czego nabrał dla mnie szacunku graniczącego z czcią, co było o tyle osobliwe, że liczył sobie przynajmniej dwa razy więcej lat niż ja.

— Dlaczego wy kanaka tacy strachliwi? — zagadnąłem. — Ten kupiec, on jeden

człowiek. Wy kanaka dużo za bardzo ludzi. Wy ludzie kanaka jak psy: dużo strach przed ten człowiek. On was nie zjeść. Dlaczego wy taki wielki strach?

— A jakby dużo człowiek kanaka jego zabić? — zapytał.

— To on umrzeć — odparłem. — Wy ludzie kanaka. dawno temu zabić dużo biały człowiek. Dlaczego bać się ten biały?

— Tak, my ich dużo zabić — brzmiała odpowiedź. — Daję słowo! Mnóstwo! Dawno. Raz, jak ja być młody za bardzo, jeden duży okręt tu przyplłynąć. Wiatr on nie wiać. Dużo człowiek kanaka wsiąść w czółna, w dużo czółna i złapać ten okręt. My bardzo się bić. Dwóch, trzech biały człowiek strzelać jak diabeł. My nie bać. My podplynąć, wejść na okręt dużo człowiek, może pięćdziesiąt razy po dziesięć. Na ten okręt być jedna biała kobieta. Ją jeszcze nigdy nie widzieć biała kobieta. Dużo biały człowiek zabity. Jeden kapitan, on nie zabity. I jeszcze pięć, sześć biały człowiek nie zabity. Kapitan on krzycheć. Kilka biały człowiek oni bić. Jeden biały człowiek spuścić łódź i wszyscy oni wsiąść. Kapitan, on opuścić w łódź biała kobieta. A potem mocno wiosłować mnóstwo. Mój ojciec wtedy być silny człowiek. On w nich rzucić dzida. Ta dzida wejść w bok ta biała kobieta. I nie zatrzymać się, ale wyjść z drugi bok. Ona umrzeć. Ja nie bać. Dużo kanaka nic nie bać.

Widocznie musiałem urazić dumę starego Otiego, gdyż nagle ściągnął swą *lava-lava* i pokazał mi bliźnę pochodzącą najwyraźniej od kuli. Zanim zdążyłem coś powiedzieć, jego linka poczęła nagle wylatywać z czółna. Przytrzymał ją i próbował wyciągnąć, ale ryba snadź okręciła linkę naokoło gałęzi koralu. Obrzucił mnie spojrzeniem pełnym wyrzutu za to, że odwróciłem jego uwagę, wyskoczył za burtę nogami naprzód i znalazłszy się pod wodą przekoziółkował, po czym spłynął na dno wzdłuż linki. W tym miejscu było głęboko na dziesięć sążni. Wychyliłem się i śledziłem ruchy jego stóp, które niknęły mi z oczu zapalając upiorne ogniki pośród bladej fosforescencji. Dziesięć sążni, czyli sześćdziesiąt stóp, było dla tego starca fraszką w porównaniu z wartością haczyka i linki. Po dłuższej chwili, która zdawała się trwać z pięć minut, choć pewnie nie przekroczyła minuty, dojrzałem, jak wypływał opromieniony białym światłem. Wynurzył się na powierzchnię i wrzucił do czółnadziesięciofuntowego sztokfisa, w którego pysku tkwił nienaruszony haczyk z linką.

— Może być — powiedziałem bezlitośnie — że wy nie mieć strach dawno temu. Ale teraz wy mieć mnóstwo strach przed ten biały człowiek.

— Tak, mnóstwo strach — wyznał, najwyraźniej chcąc skończyć z tym tematem. Przez następne pół godziny rzucaliśmy i wyciągaliśmy linki w milczeniu. Potem zaczęły brać przynętę małe rekiny, więc utraciwszy po jednym haczyku wybraliśmy linki z wody i czekali, aż rekiny odpłyną.

— Ja tobie powiedzieć prawda — odezwał się Oti. — Wtedy ty wiedzieć, dlaczego my teraz bać.

Zapaliłem fajkę i zamieniłem się w słuch, a Oti opowiedział mi w potwornym, *bêche-de-mer* historię, którą tutaj przekładam na zwykły język. Poza tym opowieść utrzymana jest w takim samym duchu i porządku, w jakim usłyszałem ją z ust Otiego.

— Po tamtej bitwie wbiliśmy się w pychę. Często walczyliśmy z obcymi białymi, co żyją na morzu, i zawsześmy ich zwyciężali. Kilku z nas zginęło, ale cóż to jest w porównaniu do tych tysięcznych bogactw, jakie znajdowaliśmy na statkach? A potem któregoś dnia, ze dwadzieścia albo dwadzieścia pięć lat temu, wpłynął przez przesmyk na lagunę szkuner. Był duży i miał trzy maszty. Załoga składała się z pięciu białych i blisko czterdziestu czarnych z Nowej Gwinei i Nowej Brytanii. Przy płynęli tu łowić trepangi. Statek stanął na kotwicy po drugiej stronie laguny, koło Pauloo, a jego łodzie rozproszyły się wszędzie i załogi rozbiły obozowiska na plażach, aby tam wędzić trepangi. Rozdzielając się w ten sposób, osłabili się, gdyż ci, którzy łowili tutaj, byli o pięćdziesiąt mil od tych, co zostali na szkunerze stojącym koło Pauloo, a inni odpłynęli jeszcze dalej.

Nasz król zwołał przywódców na radę, a ja należałem do osady czółna, które całe popołudnie i całą noc płynęło przez lagunę, aby dać znać ludziom z Pauloo, że rano napadniemy jednocześnie na wszystkie obozowiska, oni zaś mają zdobyć szkuner. My, którzyśmy przynieśli tę wieść, byliśmy zmęczeni wiosłowaniem, lecz mimo to wzięliśmy udział w ataku. Na szkunerze znajdowali się dwaj biali, kapitan i drugi oficer, oraz z pół tuzina czarnych. Kapitana i trzech jego ludzi schwytaliśmy na brzegu i zabili, ale przedtem położył trupem ośmiu naszych strzelając z dwóch rewolwerów. Bo trzeba dodać, że walczyliśmy z bliska, pierś w pierś.

Odgłosy walki powiedziały oficerowi, co się święci; załadował więc żywność, wodę i żagiel do małej łódki, która nie miała więcej niż dwanaście stóp długości. Uderzyliśmy na szkuner w tysiąc ludzi, a nasze czółna pokryły lagunę. Prócz tego dęliśmy w konchy, śpiewali pieśni wojenne i bębnilo wiosłami o boki czółen. Co mógł nam zrobić jeden biały i trzech czarnych chłopców? Nic — i oficer o tym wiedział.

Biali ludzie to szatany. Często przyglądałem się im, jestem już teraz stary i wreszcie zrozumiałem, dlaczego zabrali wszystkie wyspy na morzu. Dlatego właśnie, że to szatany. O, siedzisz tu ze mną w czółnie. Jeszcze z ciebie prawie chłopak. Nie jesteś mądry, bo co dzień mówię ci wiele rzeczy, których nie wiesz. Kiedy byłem malcem, wiedziałem więcej o rybach i ich obyczajach niż ty obecnie. Jestem starym człowiekiem, ale mogę opuścić się aż na dno laguny, a ty nie potrafisz podążyć za mną. Do czego ty w ogóle jesteś zdatny? Nie wiem; chyba tylko do walki. Nie widziałem cię nigdy walczącego, ale wiem, żeś podobny do swoich braci i że na pewno bijesz się jak szatan. Poza tym jesteś głupiec podobnie jak twoi bracia. Nie wiesz, kiedy przegrywasz. Będziesz się bił aż do śmierci, a wtedy już za późno połapać się, żeś pobity.

Otóż słuchaj, co zrobił ten oficer. Kiedyśmy podpłynęli, pokrywając morze czółnami i dmąc w konchy, odbił w łódce od szkunera razem z trzema czarnymi chłopcami i zaczął wiosłować w stronę przesmyku. W tym także był głupcem, bo żaden mądry człowiek nie wypłynie na morze w tak małej łodzi. Jej burty wystawały nad wodę o niespełna cztery cale. Ścigało go dwadzieścia czółen z dwustu młodymi ludźmi. Gdy my przepływaliśmy pięć sążni, jego chłopcy posuwali się o jeden. Nie miał żadnych szans, ale był głupi. Stanął w łodzi z karabinem i zaczął

strzelać. Nie strzelał dobrze, ale kiedyśmy się przybliżyli, wielu z nas zabił albo poranił. Mimo to nadal nie miał żadnej możliwości ocalenia.

Pamiętam, że przez cały czas palił cygaro. Płynęliśmy prędko, a gdy byliśmy już o czterdzieści stóp, opuścił karabin, zapalił od cygara laskę dynamitu i cisnął w nas. Potem zapalił następną i jeszcze jedną, i tak rzucił w nas bardzo szybko wiele tych lasek. Teraz wiem, że musiał porozszczepiać końce lontów i powtykać w nie główki zapalek, bo chwytaly ogień od razu. Zresztą lonty były bardzo krótkie. Niektóre laski dynamitu wybuchaly w powietrzu, ale większość rozerwała się w czólnach. A za każdym razem, gdy wybuchaly w czólnie, już było po nim. Z dwudziestu czólen połowa poszła w drzazgi. Czólno, w którym siedziałem, zostało rozerwane wraz z dwoma ludźmi siedzącymi obok mnie. Laska dynamitu upadła między nich. Inne czólno zaczęły zawracać i uciekać. Wtedy oficer ryknął: „Yah! Yah! Yah!” Znów zaczął strzelać i wielu naszych uciekając zginęło od kul w plecy. A czarni w jego łodzi wiosłowali bez przerwy. Widzisz, że mówiłem ci prawdę: ten oficer był szatanem.

Ale to jeszcze nie wszystko. Zanim zszedł ze szkunera, podpalił statek i tak porozkładał proch i dynamit, że wszystko wybuchło jednocześnie. Na pokładzie było kilkuset naszych ludzi, którzy właśnie próbowali zagasić pożar wciągając wodę wiadrami przez burtę, gdy wtem statek wyleciał w powietrze. I tak utraciliśmy wszystko, o cośmy walczyli, a poza tym zginęło wielu naszych. Czasami jeszcze teraz, na starość, miewam złe sny i słyszę straszny jak grom krzyk tego oficera: „Yah! Yah! Yah!” Ale tamci, co byli w obozowiskach, wyginęli do nogi.

Oficer przepłynął przesmyk w tej małej łódce, a myśmy byli pewni, że już po nim, bo jakże taka łódeczka z czterema ludźmi mogła utrzymać się na oceanie? Minął miesiąc, aż tu któregoś rana, między jednym szkwałem deszczowym a drugim, wplył przez przesmyk szkuner i rzuca kotwicę naprzeciw wioski. Król i przywódcy zwołali wielką naradę i w końcu postanowiono, że za kilka dni napadniemy na statek. Tymczasem, ponieważ zawsze mieliśmy zwyczaj zachowywać pozory przyjaźni, podpłynęliśmy czólnami przywożąc wiązki orzechów kokosowych, ptactwo i świnie na handel. Ale gdy nasze czólno zbliżyły się do statku, ludzie z pokładu zaczęli do nas strzelać, a kiedyśmy rzucili się do ucieczki, zauważyłem tego oficera, co wówczas wypłynął na morze w małej łodzi. Wskoczył teraz na burtę statku, zaczął tańczyć i krzyczeć: „Yah! Yah! Yah!”

Tego popołudnia przyplnęły od szkunera trzy niewielkie łodzie pełne białych ludzi. Przeszli przez całą wieś strzelając do każdego, kogo napotkali. Wystrzelali też drób i świnie. My, którzyśmy uniknęli śmierci, wskoczyliśmy do czólen i powiosłowali na lagunę. Oglądając się widzieliśmy wszystkie chaty w ogniu. Pod wieczór zobaczyliśmy wiele czólen z Nihi, tej wioski, która leży na północnym wschodzie, nad przesmykiem Nihi. Tylko tyłu ich zostało, a wioskę, podobnie jak naszą, spalił drugi szkuner, który wplynął przez tamten przesmyk.

Wiosłowaliśmy dalej w ciemnościach na zachód, ku Pauloo, ale w nocy usłyszeliśmy zawodzenia kobiet i natknęliśmy się na wielką flotyllę czólen. Było to wszystko, co pozostało z Pauloo, też leżącego w zgliszczach, bo trzeci szkuner

przyplynał przesmykiem Pauloo. Jak widzisz, ten oficer i jego czarni wcale nie utonęli. Dostał się na Wyspy Salomona i tam opowiedział swym braciom, co zrobiliśmy na atolu Oolong. Wszyscy jego bracia oznajmili, że przyjdą nas ukarać, i przyplynie na tych trzech szkunerach, a nasze trzy wioski zrównali z ziemią.

I cóż mieliśmy robić? Rano dwa szkunery dopędziły nas od nawietrznej na środku laguny. Wiał silny pasat i powywracali dziesiątki czółen. A karabiny nie milkły ani na chwilę. Rozproszyliśmy się niczym latające ryby, gdy uciekają przed bonitą, a było nas tylu, że tysiące zmykały we wszystkie strony, ku wysepkom na skrajach atolu.

Potem szkunery zaczęły nas ścigać po całej lagunie. W no cy udawało się nam przemknąć obok nich. Ale wiedzieliśmy, że nazajutrz albo za dwa, trzy dni wrócą i znowu nas pognają na drugi koniec laguny. I tak się stało. Już nie liczyliśmy ani nie mogliśmy spałmętać zabitych. Prawda, że nas było wielu, a tamtych mało. Ale cóż mogliśmy zrobić? Ja byłem w jednym z dwudziestu czółen, pełnych ludzi, którzy nie bali się śmierci. Uderzyliśmy na najmniejszy szkuner. Powystrzelali nie wiedzieć ilu naszych. Ciskali w czółna dynamit, a kiedy im go zabrakło, zlewali nas wrzółtkiem. Karabiny nie przestawały gadać ani na chwilę. Ci, których czółna rozbito, ginęli od kul podczas ucieczki wplaw. A oficer wciąż tańczył na dachu kajuty i ryczał: „Yah! Yah! Yah!”

Każda chata na każdej, nawet najmniejszej, wysepce poszła z dymem. Nie ocalała ani jedna świnka czy kura. Nasze studnie zanieczyszczono wrzucając do nich trupy albo też zasypano po wręby skałkami koralowymi. Przed przybyciem szkunerów było nas na Oolongu dwadzieścia pięć tysięcy. Gdy odpłynęły, zostało ledwie trzy, jak się zaraz przekonasz.

Wreszcie szkunery zmęczyły się pędzaniem nas tam i z powrotem. Popłynęły więc do Nihi, na północny wschód. Potem zaczęły nas gnać ciągle na zachód. Ich dziewięć szalup też było na wodzie. Po drodze przetrząsali każdą wysepkę. Pędzili nas tak przed sobą, pędzili i pędzili dzień po dniu. A co noc wszystkie trzy szkunery i dziewięć szalup stawało łańcuchem od skraju do skraju laguny, abyśmy me zawrócili i nie zdołali się wymknąć.

Nie mogli nas tak gnać bez ustanku, bo laguna gdzieś się kończyła, więc wreszcie tych z nas, co pozostali przy życiu, wpędzili na ostatnią ławicę piaskową w zachodniej stronie. Dalej otwierało się już pełne morze. Było nas dziesięć tysięcy i pokryliśmy całą tę ławicę od skraju laguny aż po huczące z drugiej strony atolu fale pełnego morza. Nikt nie mógł się położyć. Nie było miejsca. Staliśmy bok w bok i ramię w ramię. Dwa dni nas tak trzymali, a oficer wdrapywał się od czasu do czasu na olinowanie, drwił z nas i krzyczał: „Yah! Yah! Yah!”, aż zaczęliśmy gorzko żałować, żeśmy przed miesiącem zrobili krzywdę jemu i jego szkunerowi. Nie mieliśmy co jeść i staliśmy tak dwa dni i dwie noce. Małe dzieci pomarły, pomarli też starzy, słabi i ranni. Co najgorsze, nie mieliśmy wody, aby ugasić pragnienie, a przez dwa dni prażyło nas słońce i nigdzie nie było ani odrobiny cienia. Wielu męzczyzn i kobiet weszło do morza i potonęło, a fale wyrzuciły ich ciała z powrotem na plażę. Przyszła też plaga much. Niektórzy podplnęli wplaw do szkunerów, ale

wystrzelano ich do ostatniego. My zaś, pozostali przy życiu, żałowaliśmy bardzo, że w naszej pysze poważyliśmy się napaść na trzymasztowy szkuner, który przyplłynął łowić trepangi.

Rankiem trzeciego dnia przybyli w małej łodzi kapitanowie trzech statków z tym oficerem. Wszyscy mieli karabiny i rewolwery. Zaczęli z nami rozmawiać. Mówili, że przestali nas zabijać tylko dlatego, że już ich to zmęczyło. A my odpowiedzieliśmy, że żałujemy i nigdy więcej nie pokrzywdzimy białego człowieka, na dowód zaś uległości posypaliśmy sobie głowy piaskiem. Wszystkie kobiety i dzieci podniosły taki wrzask o wodę, że przez jakiś czas nikt nie mógł ich przekrzyczeć. W końcu powiedzieli, jaka nas spotka kara. Musimy naładować wszystkie trzy szkunery koprą i trepangami. Zgodziliśmy się, bo chcieliśmy wody, serca nasze były zgnębione i wiedzieliśmy, że w walce jesteśmy dziećmi wobec białych ludzi, którzy biją się jak szatany. A gdy już skończyły się rozmowy, oficer wstał i zaczął z nas kpić i ryczeć: „Yah! Yah! Yah!” Potem odpłynęliśmy czółnami w poszukiwaniu wody.

Przez całe tygodnie w ciężkim trudzie chwytailiśmy i wędzili trepangi, zbieraliśmy kokosy i przerabiali je na koprę. Dzień i noc ze wszystkich plaż na wszystkich wysepkach atolu Oolong wznosiły się chmury dymu. Tak płaciliśmy za zły postępek. Albowiem w tych dniach śmierci w mózgu każdego z nas wypaliła się jasno prawda, że bardzo źle jest krzywdzić białego człowieka.

Kiedy szkunery wypełnione już były koprą i trepangami, a nasze drzewa obrane z kokosów, trzech kapitanowie i oficer zwołali nas na wielką rozmowę. Powiedzieli, iż bardzo są radzi, że dostaliśmy nauczkę, a myśmy po raz tysięczny powtórzyli, bardzo żałujemy i więcej już tego nie zrobimy. I znów posypaliśmy sobie głowy piaskiem. Wtedy kapitanowie orzekli, że wszystko to bardzo dobrze, lecz aby nam pokazać, że o nas nie zapominają, przyślą diabła, którego na zawsze zapamiętamy, ilekroć przyjdzie nam chęć skrzywdzić białego człowieka. Oficer raz jeszcze naśmiał się z nas i zaryczał: „Yah! Yah! Yah!” Następnie sześciu naszych ludzi, których mieliśmy za dawno zmarłych, wysadzono na ląd z jednego ze szkunerów, a statki rozwinęły żagle i odpłynęły przez przesmyk w kierunku Wysp Salomona.

Tych sześciu, których wysadzono na ląd, najpierwej złapało owego diabła, naślanego przez kapitanów.

— I przyszła wielka choroba — przerwałem rozpoznawszy podstęp. Na pokładzie szkunera panowała odra i sześciu jeńców umyślnie nią zarażono.

— Tak, wielka choroba — ciągnął Oti. — To był potężny diabeł. Najstarsi ludzie nie słyszeli o czymś podobnym. Tych kapłanów, którzy jeszcze żyli, pozabijaliśmy za to, że nie umieli pokonać diabła. Choroba się szerzyła. Mówiłem, że dziesięć tysięcy naszych stało bok w bok i ramię w ramię na tamtej ławicy. Kiedy choroba odeszła, zostało przy życiu trzy tysiące. A że kokosy przerobiliśmy na koprę, więc zaczął się głód.

— Ten kupiec — kończył Oti — on jak kawałek błoto. On jak śmierdzący ślimak, co zdycha, kiedy go *kai-kai*. On jak pies, chory pies z dużo pcheł. My nie bać ten kupiec. My bać dlatego, że on biały człowiek. My dobrze za bardzo wiedzieć, że źle

zabijać biały człowiek. Ten chory pies kupiec, u niego dużo brat, dużo biały człowiek taki jak ty, co walczyć jak szatan. My nie bać ten przeklęty kupiec. Czasem kanaka mnóstwo źli na niego i kanaka chceć go zabić, ale kanaka myśleć: on diabeł i kanaka słyszeć ten oficer krzyczeć: „Yah! Yah! Yah!” i kanaka go nie zabić.

Oti założył na haczyk kawałek mątwy, który oderwał zębami od żywego, wijącego się ciała potwora, po czym haczyk ra zem z przynętą znikł w głębinie wśród białych lśnień fosforescencji.

— Rekin już nie podpłynąć! — powiedział.

— Myślę, że złapiemy dużo ryb. Linka szarpnęła się gwałtownie. Począł ją szybko wybierać oburącz i rzucił na dno czółna wielkiego, drgającego sztokfiszka.

— Jak słońce on wyleźć, ja zrobić ten przeklęty kupiec podarunek z ten duża ryba — powiedział Oti.

ZRODZONA Z NOCY

Było to w starym klubie Alta Inyo upalnego jak na San Francisco wieczoru. Przez otwarte okna wpadał stłumiony i odległy gwar ulic. Rozmowa zaczęła się od ustawy o walce z korupcją oraz ostatnich oznak, że poważnie zagroziła ona życiu miasta i potoczyła się poprzez groteskową wprost nikczemność i zepsucie wypływające z ludzkiej podłości i wzajemnej nienawiści, aż wreszcie padło nazwisko O'Briena, obiecującego młodego pięściarza, który wczoraj wieczór zginął na ringu. Od razu powiało czymś świeżym. O'Brien był młodzieńcem z zasadami i idealistą. Nie pił, nie palił, nie przeklinał i był zbudowany jak młody bóg. Książkę do nabożeństwa zabierał nawet na ring. Znalezione ją w szatni w kieszeni jego kurtki... już potem.

Był samą Młodością, czystą, zdrową i nieskalaną, cudem i pięknem, które ludzie próbują wyczarować, gdy już je utracili i weszli w wiek dojrzały. I tak dobrze je wyczarowaliśmy, że ogarnęła nas atmosfera romantyczności i na godzinę przeniosła daleko od miasta i jego groźnych pomruków. Właściwie zaczął Bardwell, który zacytował urywek z Thoreau; ale dopiero stary Trefethan, łysy, z podwójnym podbródkiem, podjął temat i przez najbliższą godzinę był dla nas wcieleniem Romantyczności. Najpierw zastanawialiśmy się, ile też whisky zdążył wypić po obiedzie, ale bardzo szybko zapomnieliśmy o tym.

— Było to w 1898 — miałem wtedy trzydzieści pięć lat — zaczął. — Wiem, że dodajecie w myśli. Zgadza się. Mam teraz czterdzieści siedem, a wyglądam o dziesięć lat starzej. Lekarze mówią... do diabła z lekarzami!

Podniósł szklanekę do warg i wolno pociągał whisky, by się uspokoić.

— Byłem młody... kiedyś. Byłem młody dwanaście lat temu, miałem włosy na głowie i brzuch wciągnięty jak u charta, a najdłuższy dzień wydawał mi się za krótki. W 1898 byłem chłopem na schwał. Pamiętasz, Milner? Znałeś mnie przecież wtedy. Czy nie nazwałbyś mnie zuchem?

Milner skinął głową i przyznał mu rację. Tak jak Trefethan był inżynierem górniczym i również zbił majątek w Klondike.

— Oczywiście, stary — powiedział. — Nigdy nie zapomnę, jak powyrzucałeś za drzwi tych drwali owej nocy, gdy jakiś reporterzyna rozpętał awanturę. Slavin wyjechał — zwrócił się do nas — a jego zarządca poszczuł ludzi na Trefethana.

— A spójrzcie teraz na mnie — z goryczą rzekł Trefethan. — Oto co ze mnie zrobił Goldstead. Bóg jeden wie, ile milionów, a w duszy pustka. W żyłach też. Nie ma już w nich rzetelnej, czerwonej krwi. Jestem jak meduza, wielka galaretowata masa, jak...

Ale zabrakło mu porównania i poszukał pociechy w szklance.

— Kobiety oglądały się za mną wtedy i odwracały głowy, by spojrzeć po raz drugi. Dziwne, że się nie ożeniłem. Ale ta dziewczyna. O tym zacząłem wam opowiadać. Spotkałem ją gdzieś na krańcach świata i zacytowała mi te słowa z Thoreau, co

przed chwilą Bardwell. O tych bogach zrodzonych z dnia i zrodzonych z nocy.

Zdarzyło się to, gdy zająłem już działki nad Goldstead, a nie podejrzewałem jeszcze, jakim skarbem będzie ta rzeczka, i wyruszyłem na wschód poprzez Góry Skaliste, zbaczając ku Wielkiemu Jezioru Niewolniczemu. Tam na północy Góry Skaliste są czymś więcej od górskiego grzbietu. Są granicą, linią podziału, murem nieprzystępnym i nieprzebytym. Nikt nie przechodzi z jednej strony na drugą, choć były wypadki, że wędrowni traperzy przedostawali się na drugą stronę, ale większość ginęła po drodze. I właśnie to mnie skusiło. Z takiego wyczynu każdy byłby dumny. Nawet teraz szczycę się nim więcej niż czymkolwiek innym, co w życiu zrobiłem.

Za tymi górami leży świat całkiem nieznanym. Nikt jeszcze nie zbadał jego olbrzymich połaci. Są tam rozległe doliny, w których nie postąpiła noga białego człowieka, i plemiona indiańskie prawie tak prymitywne, jak dziesięć tysięcy lat temu... prawie, bo mieli już pewne kontakty z białymi. Od czasu do czasu bowiem przechodzili grupkami przez góry, by handlować i na tym koniec. Nawet Kompanii Hudsonskiej nie udało się ich odnaleźć i osiedlić.

Wracam do dziewczyny. Szedłem w górę strumienia — w Kalifornii nazwalibyście go rzeką — niezaznaczonego na mapie i nie nazwanego. Była to piękna dolina, to zamknięta między dwoma stromymi, skalnymi ścianami, to znów rozwierająca się w szeroką i długą, cudowną równinę, z trawą do ramion, łąki usiane były kwiatami, a tu i ówdzie wyrastała kępka drzew — jodeł dziewiczych i wspaniałych. Psy niosły ciężki bagaż, miały łapy pokaleczone i padały ze zmęczenia, ja zaś rozglądałem się za jakimś obozowiskiem Indian, by kupić od nich sanie, nająć poganiaczy i z pierwszym śniegiem ruszyć dalej. Była już późna jesień i nie mogłem wyjść z podziwu, że te kwiaty jeszcze się trzymają. Powinienem był być w Ameryce podbiegunowej, wysoko w Górach Skalistych, a przecież gdzie okiem sięgnąć, słały się wiecznie żywe kwiaty. Kiedyś dotrą tam biali osadnicy i obsieją całą dolinę pszenicą.

Wreszcie dostrzegłem smugę dymu, usłyszałem szczekanie indiańskich psów i wszedłem do obozowiska. Indian było tam z pięciuset, ale takich najprawdziwszych, a z ilości szop do wędzenia mięsa domyśliłem się, że jesienne łowy wypadły im dobrze. Potem, ujrzałem ją... Lucy. Bo tak miała na imię.

Z Indianami mogłem rozmawiać tylko na migi, póki nie zaprowadzili mnie do dużego wigwamu, wiecie, takiego półnamiotu otwartego na tę stronę, gdzie pali się obozowe ognisko. Był on cały z łosiowych skór, złocistych, opalonych nad ogniem i ręcznie wyprawionych. Wewnątrz panowały czystość i ład, jak w żadnym indiańskim namiocie. Łoże usłano ze świeżutkich łapek jodłowych, pokrytych górą futer i błamem łabędzich skórek na samym wierzchu — błamem białych łabędzich skórek, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem.. A na nim, skrzyżowawszy po turecku nogi, siedziała Lucy. Skórę miała koloru orzecha. Mówiłem wam o niej — dziewczyna. Ale nie była dziewczyną. Była kobietą, amazonką, śniadą kobietą z krwi i kości w pełnym rozkwicie. Oczy zaś miała błękitne.

To właśnie zaparło mi dech, te oczy, błękitne, nie jasnobłękitne, ale ciemne jak

niebo i morze stopione w jedno, i bardzo mądre. I jeszcze coś więcej: był w nich uśmiech, serdeczny uśmiech... ciepły i ludzki... czy mam powiedzieć — kobiecy? Tak, to były oczy kobiece. Prawdziwie kobiece. Wiecie, co to znaczy. To chyba wystarczy. W tych błękitnych oczach był jednocześnie i dziki niepokój, tęsknota i idealny spokój, jakiś filozoficzny, wszechwiedzący spokój.

Trefethan urwał raptownie.

— Myślicie, moi drodzy, że jestem zalany. Nic podobnego. To dopiero moja piąta szklanka po obiedzie. Jestem śmiertelnie trzeźwy. I bardzo poważny. Siedzę tu przed wami ramię w ramię z moją świętą młodością. To nie ja, „stary” Trefethan, opowiadam wam, to moja młodość. I ona mówi, że były to naj. cudowniejsze oczy, jakie w życiu widziałem — tak bardzo spokojne i niespokojne zarazem, tak bardzo mądre i bardzo ciekawe, bardzo stare i bardzo młode. Zaspokojone, a jednak ogromnie tęskne. Słuchajcie, nie potrafię ich opisać. Gdy opowiem wam o Lucy, może lepiej zrozumiecie.

Nie wstała na przywitanie, ale podała mi rękę. „Witaj, przybyszu” — powiedziała.

Mówiła ostrym, nadgranicznym, zachodnim akcentem. Wy obraźcie sobie moje zdumienie. To była kobieta, biała kobieta, ale te metaliczne nuty w głosie! Zdziwiająca, że biała kobieta mieszkała tu, za najodleglejszymi granicami świata... ale ten akcent! Wiecie, on ranił; Zgrzytał jak fałszywa nuta. A jednak, powiem wam, że ta kobieta była poetką. Sami zobaczycie.

Odesłała Indian. I słowo daję, odeszli jak trasie. Ślepo słuchali jej rozkazów. Była Tą Której Trzeba Słuchać. Kazała mężczyznom przygotować dla mnie chatę i nakarmić moje psy. Zrobili i to. Tak znali mores, że nie zwędzili mi nawet sznurowadła od mokasyna. Była prawdziwą Tą Której Trzeba Słuchać. Przyznaję, że ciarki mi przeszły po krzyżu i zimno mi się zrobiło, gdy tam, o tysiąc mil za niczyją ziemią, spotkałem białą kobietę, która przewodziła dzikusom.

„Przybyszu — (powiedziała — jesteś pierwszym białym mężczyzną, który stanął w tej dolinie. Siadaj i porozmawiaj chwilę, a potem coś zjemy. Którędy się przedostałeś?”

I znów ten akcent! Ale odtąd zapomnijcie o nim, aż do końca opowiadania. Mówię wam, że sam o nim zapomniałem siedząc tam na brzeżku łabędziej kołdry, słuchając i patrząc na tę najbardziej niezwykłą kobietę, jaka kiedykolwiek zeszła ze stronic Thoreau czy książki innego autora.

Na zaproszenie Lucy zatrzymałem się tydzień w tej dolinie. Obiecała dać mi psy, sianie i Indian, którzy przeprowadzą mnie przez najwygodniejszą przełęcz Gór Skalistych leżącą o pięćset mil od obozowiska. Wigwam Lucy stał nieco na uboczu, na wysokim brzegu rzeki, a parę młodych Indianek gotowało jej i usługiwało. Gadaliśmy więc i gadali ze sobą, aż spadł pierwszy śnieg i padał dalej szykując mi wspaniałą sannę. A oto historia Lucy:

Urodziła się na pograniczu, w rodzinie ubogich osiedleńców. Wiecie, co to znaczy: praca i praca, przez cały czas ciężka i nie kończąca się praca.

„Nie znałam uroków świata — powiedziała. — Nie miałam na to czasu. Wiedziałam, że są gdzieś tam, naokoło chaty, ale zawsze trzeba było piec chleb,

pracę, szorować i pracować od rana do nocy. Nieraz zupełnie umierałam z tęsknoty, by się wyrwać w świat, zwłaszcza na wiosnę, gdy śpiew ptaków doprowadzał mnie do szału. Chciało mi się biec w wysokiej trawie, moczyć stopy w rosie, przeleźć ogrodzenie i biec dalej przez las, na przełęcz, by objąć okiem brzwiat. Och, dręczyły mnie różne pragnienia: by wędrować dnem kanionów, włóczyć się od jeziora do jeziora, przyjaźnić z szczurami wodnymi i nakrapianym pstrągiem, by cichcem przyglądać się wiewiórkom, królikom i innym małym puchatym zwierzątkom, podglądać ich zwyczaje i życie. Zdawało mi się, że gdybym tylko miała czas, pełzałabym wśród kwiatów, a gdybym była dobra i cicha, słyszałabym, co szepczą między sobą o mądrych rzeczach, o których zwykłym śmiertelnikom nawet się nie śniło”.

Trefethan zamilkł i czekał, aż napełni mu szklanę.

— Kiedy indziej powiedziała: „Chciałam biegać po nocach jak dzikie zwierzę, nic, tylko biec w świetle księżyca i gwiazd, - biała i naga w mroku, który — wiedziałam — musi być jak chłodny aksamit. I biec, i biec, i biec. Pewnego wieczoru nie mogłam już dłużej wytrzymać. Dzień był niezwykle gorący i ciasto nie chciało mi rosnąć; i masło się nie ubiło, byłam więc podniecona i zła. Tego wieczoru wspomniałam ojcu o moich marzeniach. Spojrzał na mnie zdziwiony i trochę zaniepokojony i dał mi jakieś dwie pigułki. Powiedział, żebym się położyła do łóżka i wyspała, a na rano będę zdrowa i wesola. Potem już nigdy nie zwierzałam się ani jemu, ani nikomu z moich pragnień”.

Górskie gospodarstwo rodziców Lucy podupadło zupełnie, umarło śmiercią głodową i cała rodzina przeniosła się do Seattle. Lucy od rana do nocy pracowała w fabryce. Wiecie, zabójczo ciężka praca. Po roku została kelnerką w jakiejś podrzędnej restauracji — garkuchni, jak sama mówiła.

Kiedyś powiedziała mi: „Myślę, że tęskniłam za romantycznością, ale próżno by jej szukać w garnkach, zlewach, fabryce czy tanich knajpach”.

Mając osiemnaście lat wyszła za mąż za człowieka, który jechał otworzyć w Juneau restaurację. Miał odłożone parę dolarów i wydawał się bogaczem. Nie kochała go, podkreśliła to wyraźnie, ale miała już wszystkiego dosyć i chciała uciec od wiecznej harówki. Poza tym Juneau — to Alaska i tęsknoty Lucy przerodziły się w pragnienie zobaczenia tego bajkowego kraju. Mało go jednak widziała. Jej mąż otworzył knajpę, tanią restauracyjkę, i Lucy szybko zobaczyła, po co się z nią ożenił. Chciał zaoszczędzić pensję służby. Musiała zarządzać knajpą i robić wszystko, od podawania do zmywania naczyń. Gotowała też prawie cały czas, a ciągnęło się to cztery lata.

Możecie sobie wyobrazić to dzikie leśne stworzenie z silnymi instynktami pierwotnymi, łaknące przestrzeni, a zamknięte w obrzydliwym szynku na cztery śmiertelnie długie lata?

„To wszystko było takie bezsensowne — mówiła. — Bezmyślne. Po co się urodziłam? Czyż w życiu tylko o to chodzi, żeby pracować, pracować i zawsze być zmęczonym? Kłaść się zmęczonym i budzić zmęczonym, gdy każdy dzień podobny jest do poprzedniego, chyba że jest jeszcze cięższy?” Mówiła, że słyszała od klechów

o życiu wiecznym, ale nie uważała, by to, co robi, przygotowywało ją do nieśmiertelności.

Wciąż jednak marzyła, choć już rzadziej. Przeczytała parę książek, Bóg raczy wiedzieć jakich. Pewnie jakichś powieści brukowych, ale były one pożywką dla jej wyobraźni.

„Czasem — opowiadała — gdy z żaru bijącego od pieca tak mi się kręciło w głowie, że zemdlałabym, gdybym nie zaczerpnęła świeżego powietrza, wystawiałam głowę przez okno kuchenne, zamykałam oczy i widziałam najcudowniejsze obrazy. Nagle zdawało mi się, że idę polną drogą. Wszędzie jest czysto i cicho, ani krzty kurzu czy brudu. Strumienie szemrzą na cudnych łąkach, jagnięta się bawią, wietrzyk niesie woń kwiatów, a nad tym — łagodny blask słońca. Wspaniałe krowy brodzą po kolana w spokojnych jeziorkach, dziewczęta kąpią się w zagięciu rzeki, białe, zgrabne, natu ralne, i wiem, że jestem w Arkadii. Czytałam o niej kiedyś w jednej z książek. Może za chwilę zza zakrętu wyjadą rycerze w zbrojach lśniących w słońcu' albo jakaś dama na śnieżnobiałej klaczy. W oddali majaczą wieżycy zamku. Albo myślałam, że za najbliższym zakrętem ujrzę jakiś pałac, biały i zwiewny jak w bajce, z bijącymi fontannami, tonący w kwiatach; i pawie na trawnikach. Potem otwierałam oczy, uderzał mnie żar płyty kuchennej i słyszałam głos Jake'a, mojego męża, który wołał: «Czemu nie podajesz bobu? Myślisz, że mogę tu czekać godzinami?» Romantyczność! Najbliżej może otarłam się o nią wtedy, kiedy pijany ormiański kucharz rzucił się na mnie z nożem, w ataku delirium, a ja sparzyłam sobie rękę o kuchnię, nim powaliłam go tłuczkiem od kartofli.

Tęskniłam za beztroskim życiem, za pięknem, za romantycznością. Ale zdawało się, że nie mam szczęścia, że urodziłam się specjalnie po to, by gotować i zmywać naczynia. Wówczas w Juneau panował dziki tłok. Przyglądałam się innym kobietom, ale nie zachwyciło mnie ich życie. Chciałam chyba być czysta. Nie wiem czemu, ale tak chciałam. I myślałam sobie, że właściwie wszystko jedno, czy umrę zmywając talerze, czy żyjąc tak jak one”.

Trefethan zamilkł na chwilę. Zbierał myśli.

— Taką oto kobietę spotkałem tam w Arktyce. Władza plemieniem dzikich Indian i łowiskami na paru tysiącach mil kwadratowych. A doszło do tego w bardzo prosty sposób, choć równie dobrze mogła żyć i umrzeć wśród patelni i garnków. Lecz „wraz z podszeptem spełniły się rojenia”. Tego tylko potrzebowała i to się też stało.

„Przebudzenie przyszło pewnego dnia — mówiła. — Zstąpiło ze skrawka gazety. Pamiętam każde słowo i mogę je powtórzyć”. Zacytowała urywek z „Wołania ludzkości” Thoreau: „Młode sosny, które co roku wyrastają na polu, są dla mnie pocieszającym zjawiskiem. Mówimy o cywilizowaniu Indian, ale to nie jest odpowiednia nazwa dla wydzwignięcia ich w górę. Dzięki temu, że Indianin zazdrośnie strzeże niezależności i samotności swego mrocznego, leśnego życia, zachowuje łączność z ojczystymi bogami i od czasu do czasu dostępuje zaszczytu rzadkiego i niezwykłego obcowania z przyrodą. Zna się z gwiazdami, którym obce są nasze knajpy. Spokojny blask jego duszy, przyćmiony tylko dlatego, że daleki,

przypomina słaby, ale kojący blask gwiazd w porównaniu z jasnym, lecz obojętnym i krótkotrwałym światłem świec. Mieszkańcy Wysp Towarzyskich mieli swoich bogów zrodzonych z Dnia, których jednak uważa się za dużo młodszych od bogów... zrodzonych z Nocy”.

Powtórzyła to słowo w słowo, a ja zapomniałem o jej akcencie, bo mówiła uroczyście, składała wyznanie wiary, jeśli chcecie — pogańskiej, i zamykała w sobie całą jej istotę.

„Reszta tekstu była oderwana — powiedziała z wielką pustką w głosie. — To był tylko skrawek gazety. Ale ten Thoreau był mądrym człowiekiem. Szkoda, że nic o nim nie wiem” — zamilkła na chwilę i przysięgam, że twarz jej przybrała wyraz niewypowiedzianej świętości, gdy zakończyła:

„Mogłabym być dla niego dobrą żoną”.

Potem opowiadała dalej: „Od razu po przeczytaniu tego urywka zrozumiałam, jak to jest ze mną. Byłam zrodzona z Nocy. Mnie — zrodzonej z Nocy — całe życie upływało wśród zrodzonych z dnia. Dlatego nigdy nie zadowalało mnie gotowanie i zmywanie naczyń, dlatego pragnęłam biegać nago w blasku księżyca. I wiedziałam, że ten wstrętny, mały szynk w Juneau nie był miejscem dla mnie. Powiedziałam więc sobie: «Dość tego». Spakowałam skąpe manatki i ruszyłam w drogę. Jake zobaczył mnie i próbował zatrzymać.

— Co robisz? — zapytał.

— Rozchodzimy się, ty i ja. Idę w głąb puszczy, bo tam jest moje miejsce.

— Ani mi się waź! — krzyknął usiłując chwycić mnie i zatrzymać. — Gotowanie uderzyło ci na mózg. Posłuchaj, co ci powiem, zanim pójdziesz i zrobisz jakie głupstwo.

Wyciągnęłam rewolwer, małego colta 44, i powiedziałam:

— On odpowie za mnie — i poszłam”.

Trefethan wychylił szklanką do dna i kazał nalać sobie nową.

— I wiecie, moi drodzy, co potem zrobiła? Miała dwadzieścia dwa lata. Całe życie spędziła przy garnkach, a o świecie wiedziała akurat tyle, co ja o czwartym czy piątym wymiarze. Wszystkie drogi prowadziły do celu jej marzeń. Nie, nie poszła do żadnej sali tańca. W tej części Alaski, podobnej do rączki od patelni, lepiej podróżować wodą, poszła więc prosto na brzeg. Indiańskie czółno odpływało do Dyea. Znacie takie czółna: dłubanki z jednego pnia, wąskie, głębokie i długie na sześćdziesiąt stóp. Lucy zapłaciła Indianom parę dolarów i wsiadła do łódki.

„Romantyczność? — mówiła mi. — Romantyczność zaczęła się od razu. W czółno zabrały się trzy rodziny i było tak ciasno, że ani szpilki wetknąć. Psy i dzieci włożyły wszędzie, a dorośli wiosłowali i pchali łódkę naprzód. Wkoło nas i nad nami posępne spiętrzone góry, kłębowisko chmur i słońce. I cisza! Wspaniała, wielka cisza! Raz widziałam dym myśliwskiego obozowiska, daleki, włóczący się wśród drzew. Przypominało to majówkę, cudowną majówkę. Spełniały się moje marzenia i byłam przygotowana, że coś musi się lada chwila wydarzyć. I wydarzyło się.

Ten nasz pierwszy obóz na wyspie! Chłopcy łapiący w ujściu rzeczki ryby na oścień i olbrzymi jelen, którego jeden z Indian powalił tuż obok nas. Wszędzie rosły

kwiaty, a o parę kroków od brzegu trawa była gęsta, soczysta i sięgała aż po szyję. Poszłam przez nią z paroma dziewczynami. Wdrapałyśmy się na wzgórek, nazbierałyśmy jagód i jakichś korzonków, kwaskowatych i jadalnych. Natknęłyśmy się na wielkiego niedźwiedzia, który jadł jagodową kolację. Powiedział «Uuuf!» i uciekł nie mniej od nas przerażony. I potem obóz, dym obozowego ogniska, zapach świeżej jeleniej pieczeni. Cudowne! Nareszcie byłam ze zrodzonymi z Nocy i wiedziałam, że do nich należę. Po raz pierwszy w życiu położyłam się spać szczęśliwa. Uchyliłam róg namiotu i patrzyłam w gwiazdy, odcinające się na czarnym tle wielkiej góry, słuchałam szeptów nocy i wiedziałam, że to samo czeka mnie jutro, zawsze i zawsze, bo już nie wrócę. I nigdy nie wróciłam.

Romantyczność! Poznałam ją nazajutrz. Mieliśmy przeciąć zatokę szeroką co najmniej na jakieś dwanaście, piętnaście mil. Nagle w środku drogi dmuchnął szkwał. Tej nocy znalazłam się sama na brzegu z psem — wilczurem, jedyna pozostała przy życiu”.

Wyobraźcie sobie — przerwał opowiadanie Trefethan — czółno zatoneło, a wszyscy Indianie rozbili się o skały. Tylko ona wyszła cało. Uczepiła się psiego ogona, a morze wyniosło ją szczęśliwie między skałami na malusieńką plażę, jedyną na przestrzeni wielu mil.

„Na moje szczęście— mówiła dalej Lucy — był to kontynent. Poszłam więc w głąb, przez lasy i góry, jakbym szła do jakiegoś celu, jakbym czegoś szukała i wiedziała, że to znajdę. Nie bałam się. Byłam zrodzona z Nocy i puszcza nie mogła mnie zabić. Na drugi dzień znalazłam, czego szukałam. Weszłam na małą polankę i zobaczyłam na pół rozwaloną chatę. Nikt do niej nie trafił od wielu lat. Dach się zapadł. Zetlałe koce leżały na pryczy, a garnki stały na piecu. Ale nie to było najdziwniejsze. Nie zgadniesz, przybyszu, co znalazłam na skraju lasu: szkielety ośmiu koni przywiązanych do drzew. Musiały zdechnąć z głodu i pozostały po nich tylko rozproszone kości. Każdy z tych koni objuczony był ładunkiem. Leżał on teraz tu, wśród szkieletów — farbowane płócienne wory z łosiowymi mieszkami w środku, a w mieszkach... no, jak ci się zdaje, co?”

Zamilkła, sięgnęła w kąt posłania między łapki jodłowe i wyciągnęła skórzany worek. Rozwiązała go i na moje di wonie spłynął potok tak pięknego złota, jakiego jeszcze nie widziałem: całe grudki, złoty piasek, gruby pył, ale najwięcej czystych bryłek; a wszystko tak szorstkie i świeże, że nie nosiło prawie śladów przemysłu.

„Mówiłeś, przybyszu — podjęła — że jesteś inżynierem górniczym i znasz ten kraj. Czy możesz wymienić jakieś złoża, które ma kolor tego złota?”

Nie mogłem. W złocie nie było śladu srebra. Było niemal czyste. Powiedziałem jej o tym.

„Tak — rzekła — sprzedaję je po dziewiętnaście dolarów uncja. Za złoto z Eldorado nie płacą wyżej siedemnastu, a za złoto z Minook — nie dostanie się pełnych osiemnastu. Więc to znalazłam wśród kości zwierząt; osiem worków złota po sto pięćdziesiąt funtów w każdym”.

„Ćwierć miliona dolarów!” — krzyknąłem.

„Tak też sobie z grubsza obliczam. Masz romantykę! Długie lata żyłam jak

niewolnik, a wystarczyło mi wyjść na spotkanie przygodzie, by w trzy dni doświadczyć aż tylu rzeczy. Cóż stało się z ludźmi, którzy wydobyli to złoto? Często, bardzo często zastanawiam się nad tym. Zostawili konie objuczone i przywiązane do drzew i zniknęli z powierzchni ziemi jak duchy. Nie słyszałam o nich nigdy. Nikt nic o nich nie wie. Jako zrodzona z Nocy, uważam . się prawną ich dziedziczką”.

Trefethan umilkł, by zapalić cygaro.

— Wiecie, co zrobiła? Ukryła złoto, zabrawszy ze sobą trzydzieści funtów na brzeg. Tam zatrzymała przejeżdżające czółno, pojechała do faktorii Pata Healy'a w Dyea, nabyła ekwipunek i przeprawiła się przez przełęcz Chilcoot. Zdarzyło się to w 1888 roku, na osiem lat przed wybuchem gorączki złota w Klondike i Yukon był jeszcze zupełnie dziki. Lucy bała się Indian, ale wzięła ze sobą dwie młode sąuaw, przeszła przez jeziora i ruszyła w dół rzeki do obozowisk nad dolnym Yukonem. Wiele lat włóczyła się po tej krainie, a potem przywędrowała tam, gdzie ją spotkałem. Spodobało jej się tutaj, — gdy — jak mówiła — ujrzała „olbrzymiego karibu, brodzącego po kolana w purpurowych irysach na dnie doliny”. Po, radziła sobie jakoś z Indianami, leczyła ich, zdobyła ich zaufanie i stopniowo — władzę nad nimi. Tylko raz stąd odjechała i wtedy z garstką młodych Indian przeprawiła się przez Chilcoot, odgrzebała kryjówkę ze złotem i przewiozła je do siebie.

„I tu teraz żyję, przybyszu — zakończyła swą opowieść — a oto masz mój największy skarb”.

Zdjęła woreczek z jeleniej skóry, który nosiła na szyi niby medalion, i rozwiązała go. Wewnątrz, owinięty w natłuszczony jedwab, leżał poółkły ze starości, zniszczony i wybrudzony skrawek gazety ze słowami Thoreau.

„I czuje się pani szczęśliwa, zadowolona? — spytałem. — Mając ćwierć miliona dolarów nie potrzebowałaby pani pracować tam, w Stanach Zjednoczonych. Tu musi brakować pani wielu rzeczy”.

„Niewielu. Nie zamieniłabym się z żadną kobietą w Stanach Zjednoczonych. Ci Indianie to moi rodacy, i tu jest moje miejsce. Ale czasem — w jej oczach zapaliło się to namiętne pragnienie, o którym już wam mówiłem — ale czasem gorąco pragnę, by znalazł się tu ten Thoreau”.

„Czemu?”

„Żebym go mogła poślubić. Chwilami czuję się straszliwie samotna. Jestem tylko kobietą... prawdziwą kobietą. Słyszałam o innych kobietach, które jak ja ruszyły w świat i robiły przedziwne rzeczy, o takich, co były żołnierzami albo marynarzami. Ale one same były dziwne. Były bardziej podobne do mężczyzn niż do kobiet. Wyglądały jak mężczyźni i nie odczuwały zwykłych kobiecych potrzeb. Nie tęskniły ani do miłości, ani do dzieci, które by się tuliły do ich piersi lub garnęły do kolan. Ja jestem inna. Spójrz, przybyszu, czy przypominam mężczyznę?”

— Nie przypominała mężczyzny. Była kobietą, piękną, śniadą kobietą o jędrnych, krągłych kształtach i cudownych ciemnobłękitnych kobiecych oczach.

„Czyż nie jestem kobietą? — zapytała, — Jestem. I w dodatku bardzo kobiecą. A co najdziwniejsze, choć ze wszystkim innym zrodzona z Nocy, przestaję nią być, gdy chodzi o małżeństwo. Myślę, że ten gatunek ludzi szuka podobnych sobie

gatunkiem. Tak jest ze mną i zawsze tak było”.

„To znaczy, że...” — zacząłem.

„Nigdy — powiedziała i z niekłamaną szczerością spojrzała mi w oczy. — Miałam tylko jednego męża, jego nazywam Wołem. I myślę, że ciągle jeszcze prowadzi szynk w Juneau. Niech mu się pan przyjrzy, jeśli pan tam wróci, a przekona się pan, że to trafne przezwisko”.

Rzeczywiście w dwa lata potem zobaczyłem jej męża. Był taki, jakim go odmalowała: krzepki i tępy wół, włóczący się między stołami i usługujący gościom.

„Przydałaby się panu żona do pomocy” — powiedziałem.

„Miałem ją kiedyś”.

„Owdowiał pan?”

„Aha. Dostała hysia. Zawsze mówiła, że zwariuje z, żaru kuchennego i zwariowała. Pewnego dnia zmierzyła do mnie z rewolweru i zwała czółnem z Siwashami. Wpadli w burzę i utonęli wszyscy”.

Trefethan zajął się szklanką i milczał.

— No, a ta (kobieta? — przypomniał mu Milner. — Przerwałeś, kiedy historia zrobiła się najciekawsza, w najdelikatniejszym miejscu.

— No cóż — zaczął Trefethan — jak sama' mówiła, była dzikuską we wszystkim z wyjątkiem małżeństwa, bo chciała mieć białego męża. Bardzo mile, ale niedwuznacznie o tym mówiła. Chciała wyjść za mnie.

„Przybyszu — powiedziała — bardzo mi się podobasz. Musisz lubić takie życie, bo inaczej nie przywędrowałbyś tu późną jesienią przez Góry Skaliste. To jest cudowne miejsce. Nie znajdziesz wiele podobnych. Czemu nie miałbyś tu osiąść. Będę ci dobrą żoną”.

Musiałem się zdecydować. Czekala na odpowiedź. Nie wstydzę się przyznać, że pokusa była wielka. Byłem już na pół zakochany. Wiecie, że jestem kawalerem. I przebiegając pamięcią całe moje życie, nie ukrywam, że żadna kobieta nie pociągała mnie tak jak Lucy. Ale cała historia była zbyt absurdalna, zełgałem więc jak dżentelmen. Powiedziałem, że jestem żonaty.

„Czy żona czeka na ciebie?” — zapytała.

Powiedziałem, że tak.

„I kocha cię?”

„Tak”.

Na tym się skończyło. Nigdy nie usiłowała postawić na swoim... tylko raz, a wtedy pokazała pazury.

„Wystarczyłoby — powiedziała — jedno moje słowo i nie odszedłbyś. Jeden rozkaz i musiałbyś zostać. Ale go nie wydam. Nie chcę cię, jeśli tego nie pragniesz... i jeśli mnie nie chcesz”.

Zaopatrzyła mnie we wszystko i wyprawiała w drogę.

„Wielka szkoda, że odjeżdżasz — rzekła przy rozstaniu. — Podobasz mi się i lubię ciebie. Wróć, jeśli kiedy zmienisz zdanie”.

Wtedy ogromnie pragnąłem jednego: chciałem ją pocałować na pożegnanie i nie wiedziałem, jak to zrobić i jak ona to przyjmie. Mówiłem wam, że się w niej

podkochiwałem. Ale sama to załatwiła.

„Pocałuj mnie — powiedziała — żeby zostało bodaj wspomnienie”.

I pocałowaliśmy się tam na śniegu, w dolinie za Górami Skalistymi. Zostawiłem ją na szlaku i popędziłem za psami. Sześć tygodni zajęła mi droga przez przełęcz do pierwszej osady nad Wielkim Jeziorem Niewolniczym.

Gwar ulicy docierał do nas jak oddalony szum przyboju. Kelner, ruszając się bez szmeru, przyniósł nowe syfony. W tej ciszy głos Trefethana rozbrzmiał dźwiękiem pogrzebowego dzwonu.

— Lepiej byłoby, gdybym został. Spójrzcie na mnie.

Spojrzeliliśmy na jego szpakowate wąsy, łysinę, na worki pod oczami, obwisłe policzki i podbródek. Dojrzeliliśmy jego otyłość, gnuśność i znużenie — upadek i ruinę mocnego ongiś człowieka, który jednak żył za dobrze i za łatwo.

— No, stary, jeszcze nie jest za późno — niemal szeptem rzekł Bardwell.

— Na Boga! Gdybym nie był takim tchórzem! — wykrzyknął Trefethan. — Wtedy mógłbym wrócić do niej. Żyje tam ciągle. Zdołałbym się jeszcze podźwignąć i żyłbym długo... z nią... tam. Zostać tu — to samobójstwo. Ale jestem już starym człowiekiem. Czterdzieści siedem lat. Spójrzcie na mnie. Całe nieszczęście — uniósł szklanę i popatrzył na nią — całe nieszczęście, że takie samobójstwo to rzecz łatwa. Skapcianałem. Przeraża mnie myśl o długiej podróży za psim zaprzęgiem, boję się porannego mrozu i zlodowaciałych rzemieni uprzęży.

Machinalnie podniósł szklanę do ust. W nagłym ataku złości zrobił ruch, jakby chciał ją cisnąć o ziemię. Ale zawahał się i zmitygował. Przyłożył szklanę do warg i chwilę czekał. Potem roześmiał się ochryple i gorzko, ale jego słowa zabrzmiały uroczyście.

— Wypijmy za zrodzoną z Nocy. Była prawdziwym cudem.

MEKSYKANIN

I

Nikt nie znał jego przeszłości, a zgoła nic o nim nie wiedzieli członkowie Komitetu Junty. Był dla nich prawdziwą zagadką ten wielki patriota, który po swojemu, ale z nie mniejszym niż oni oddaniem pracował dla nadchodzącej rewolucji meksykańskiej. Zrozumieli to późno, gdyż nikt z Komitetu go nie lubił. Kiedy po raz pierwszy zjawił się w zatłoczonym, pełnym zgiełku lokalu Junty, wszyscy powzięli podejrzenie, że jest szpiclem, jednym z płatnych agentów tajnej policji Diaza. Zbyt wielu ich towarzyszy siedziało w cywilnych i wojskowych więzieniach rozsianych po całym obszarze Stanów Zjednoczonych; inni, zakuci w kajdany i wydalenii do Meksyku, stanęli tam pod murem i zostali rozstrzelani.

Na pierwszy rzut oka chłopiec nie sprawiał dodatniego wrażenia. Mógł mieć najwyżej osiemnaście lat i jak na swój wiek był niezbyt wyrośnięty. Oświadczył, że nazywa się Felipe Rivera i chce pracować dla rewolucji. To wszystko, ani słowa więcej. Żadnych dalszych wyjaśnień. Stał i czekał. Na jego ustach nie było uśmiechu, oczy pozostały chłodne.

Wielkiemu, zamaszystemu Paulino Vera ciarki przeszły po kościach. Chłopak miał w sobie coś odpychającego, straszne go, krył jakąś tajemnicę. W jego czarnych oczach czały się jadowite błyski, które przywodziły na myśl żmiję. Oczy te płonęły zimnym ogniem ogromnej, stężałej goryczy. Przeniósł błyszczący wzrok z twarzy spiskowców na maszynę do pisania, na której pilnie stukała malutka pani Sethby. Kiedy spojrzała w górę, ich oczy spotkały się przelotnie. Pani Sethby także doznała nieokreślonego uczucia i pod jego wpływem przerwała pracę. Zanim zaczęła pisać dalej, musiała przeczytać list od początku.

Paulino Vera spojrzał na Arrellano i Ramosa. Wszyscy po kolei wymienili pytające spojrzenia. Ich oczy wyrażały brak decyzji i nieufność. Ten szczupły chłopak był Nieznanym i niósł z sobą grozę rzeczy niewiadomych. Był zagadką, czymś, co nie mieściło się w głowach tych rewolucjonistów, których zaciekle nienawiść do Diaza i jego tyranii nie była przecież niczym więcej jak uczuciem zwykłych, uczciwych patriotów. Tu zaś kryło się coś innego, ale co — nie wiedzieli. Wreszcie Vera, zawsze najbardziej impulsywny i szybki w decyzji, pierwszy przerwał milczenie.

— Bardzo dobrze — rzekł chłodno. — Powiadasz, że chcesz pracować dla rewolucji. Zdejm marynarkę. Powieś ją tam. A teraz chodź... pokażę ci... gdzie są wiadra i szmaty. Podłoga jest brudna. Zacznesz od tego, że wyszorujesz podłogę tutaj i w innych pokojach. Wymyjesz także spluwaczki. Potem zabierzesz się do okien.

— Czy to będzie dla dobra rewolucji? — spytał chłopiec.

— Tak, dla dobra rewolucji — odparł Vera.

Rivera ogarnął ich chłodnym, podejrzliwym spojrzeniem. Potem zdjął

marynarkę.

— Dobrze — powiedział.

I nic więcej. Odtąd co dzień przychodził do roboty — zamiatał, szorował, sprzątał. Wygarniał popiół z pieców, przynosił węgiel i podpałkę i rozpalał ogień, zanim najgorliwszy z członków Komitetu zasiadł za swym biurkiem.

— Czy mógłbym tu nocować? — spytał pewnego razu. Aha! Toś ty taki! Diazowi służysz! Kto nocował w lokalu Junty, miał dostęp do ich tajemnic, do list nazwisk i adresów towarzyszy w Meksyku. Prośbie odmówili i Rivera • nigdy więcej już o tym nie wspomniał. Nie wiedzieli, gdzie sypia ani gdzie i za co je. Pewnego razu Arrellano ofiarował mu parę dolarów. Rivera potrząsnął głową na znak odmowy. Kiedy zaś Vera próbował go nakłonić, aby wziął pieniądze, powiedział:

— Pracuję dla rewolucji.

W naszych czasach wywołanie rewolucji wymaga wielkich pieniędzy, Junta więc zawsze była w potrzebie. Członkowie Komitetu cierpieli głód i nie szczydzili swych sił. Najdłuższy dzień był dla nich jeszcze za krótki. Czasem jednak zdawało się, że rewolucja upadnie z braku kilku dolarów. Doszło do tego, że Komitet przez dwa miesiące nie płacił czynszu i gospodarz groził im eksmisją. Wtedy to właśnie Felipe Rivera, chłopiec do posług, odziany w tanie, nędzne i wytarte ubranie, położył na biurku May Sethby sześćdziesiąt dolarów w złocie. Powtórzyło się to jeszcze kilka razy. Pewnego dnia trzysta listów, wytraskanych na niestrudzonej maszynie do pisania (apele o pomoc materialną i poparcie przez zorganizowane grupy robotników, prośby do redaktorów naczelnych gazet, by więcej miejsca poświęcali rewolucji w Meksyku, protesty przeciw samowoli, jakiej dopuszczały się sądy Stanów Zjednoczonych wobec rewolucjonistów), leżało czekając na frankowanie i wysyłkę. Zniknął już złoty zegarek Vera, staromodny repetier, pamiątka po ojcu. Zniknęła również złota obrączka z palca May Sethby. Sytuacja była beznadziejna. Ramos i Arrellano w rozpaczach targali swoje długie wąsy. Listy trzeba wysłać, a przecież poczta nie sprzedaje znaczków na kredyt. Wówczas Rivera włożył kapelusz i wyszedł. Gdy wrócił, położył na biurku May Sethby tysiąc dwucentowych znaczków..

— Czy to nie jest przypadkiem przeklęte złoto Diaza? — powiedział Vera do towarzyszy.

Podnieśli brwi — nie wiedzieli, co o tym sądzić. A Felipe Rivera, który mył podłogi dla rewolucji, gdy było trzeba, przynosił złoto i srebro i oddawał je na cele Junty.

Oni jednak, mimo wszystko, nie mogli polubić Rivery.

Nie znali go, a drogi tego chłopca nie były ich drogami. Ni& zwierzał się nikomu. Udaremniał wszelkie próby pociągnięcia go za język. Choć był jeszcze chłopcem, jakoś nie mogli zebrać na odwagę i wziąć go na spytki.

— Może to wielki, samotny duch. Nie wiem, naprawdę nie wiem — bezradnie rozkładał ręce Arrellano.

— Nie ma w nim nic ludzkiego — mówił Ramos.

— Jego serce wyschło doszczętnie — dodawała May Sethby. — Wypaliła się w nim wszelka radość. Ma w sobie coś z nieboszczyka, a przy tym jakąś straszliwą

żywołność.

— Przeszedł przez piekło — mówił Vera. — Tak może wyglądać tylko ten, kto przeszedł przez piekło, a przecież to jeszcze chłopiec.

Mimo *to* nie mogli *go* polubić. Nigdy z nimi nie rozmawiał, o nic nie pytał, niczego nie doradzał. Ale kiedy rozmowa o rewolucji stawała się gorąca, przysłuchiwał się stojąc, bez żadnego wyrazu na twarzy, niczym martwy przedmiot i tylko w oczach jego płonął zimny ogień. Z twarzy na twarz, z jednego mówcy na drugiego przenosił wzrok i drążąc oczami jak świdry z roziskrzonego lodu, zbijał ich z tropu, siał niepokój.

— On nie jest szpiclem — powiedział raz Vera do May Sethby. — Jest patriotą, zobaczy pani, największym patriotą z nas wszystkich. Wiem o tym. Mówi mi to serce i rozum. A jednak nic więcej o nim nie wiem.

— Ma niedobry charakter — odparła May Sethby.

— Tak — rzekł Vera i wzdrygnął się. — Patrzył na mnie tymi oczami. Nie ma w nich miłości. Te oczy grożą. Są dzikie jak ślepią tygrysa. Wiem, że gdybym zdradził rewolucję, Ri-vera mnie zabije. On nie ma serca. Jest twardy jak stal, okrutny i zimny jak mróz. Przypomina blask księżycy w noc zimową, kiedy wędrowiec zamarza na samotnym szczycie górskim. Nie boję się Diaza i jego zbirów, boję się tego chłopca. Mówię pani prawdę. Boję się. Rivera jest tchnieniem śmierci.

A jednak właśnie Vera przekonał innych, aby po raz pierwszy zaufali Riverze. Było to w czasie, kiedy zerwała się łączność między Los Angeles a meksykańską Dolną Kalifornią. Trzej towarzysze własnymi rękami wykopali sobie groby i zostali nad nimi rozstrzelani. Dwaj inni stali się więźniami Stanów Zjednoczonych w Los Angeles. Juan Alvarado, dowódca wojsk federalnych, był potworem. Krzyżował wszystkie plany Junty. Nie mogli już porozumiewać się ani ze starymi, ani ze świeżo pozyskanymi rewolucjonistami w Dolnej Kalifornii.

Młody Rivera otrzymał instrukcje i został wysłany na południe. Gdy wrócił, łączność znów była nawiązana, a Juan Alvarado nie żył. Znaleziono go w łóżku z nożem wbitym w pierś po ręką. Nie było to przewidziane w instrukcjach, jakie otrzymał Rivera, ale towarzysze z Junty wiedzieli dokładnie, gdzie się obracał. O nic go nie pytali. Sam też nic nie mówił. Towarzysze tylko popatrzyli po sobie — zrozumieli wszystko.,

— Już wam mówiłem — rzekł Vera. — Diaz powinien bać się tego chłopca więcej niż kogokolwiek innego. Rivera jest nieubłagany. To ręka sprawiedliwości.

May Sethby powiedziała to, co czuli wszyscy: chłopak miał złe skłonności. Wkrótce zaświadczyły o tym namacalne dowody. Rivera przychodził raz z rozciętą wargą, to znów z podbitym okiem lub obrzękłym uchem. Było jasne, że wszczyna burdy w owym innym świecie, gdzie jadł, spał, zdobywał pieniądze i chadzał drogami, których nie znali. Z czasem nauczył się składać gazetkę rewolucyjną, którą Junta wydawała raz na tydzień. Zdarzały się jednak dni, kiedy nie mógł wykonywać tej pracy, gdyż palce miał spuchnięte w kostkach, kciuki rozbite, jedno lub drugie ramię zwisało bezwładnie, a na twarzy malował się wyraz niewypowiedzianego bólu.

— Awanturnik — mówił Arrellano.

— Bywalec spelunek — dodawał Ramos.

— Ale skąd on bierze pieniądze? — pytał Vera. — Dzisiaj znów się dowiedziałem, że zapłacił rachunek za papier — sto czterdzieści dolarów.

— Przynosi je ze swoich wypraw — powiedziała May Sethby. — Nigdy nie usprawiedliwia swej nieobecności.

— Powinniśmy go śledzić — zaproponował Ramos.

— Nie chciałbym być tym, który chodzi za nim — zauważył Vera. — Boję się, że zobaczylibyście mnie jeszcze tylko raz., na moim pogrzebie. Ten chłopiec jest w szponach jakiejś strasznej namiętności. Nikomu, nawet samemu Bogu, nie pozwoli zastąpić sobie drogi do celu.

— Czuję się przy nim jak dziecko — wyznał Ramos.

— Jest w nim — rzekł Arrellano — jakaś pierwotna siła. To wilk czający się do skoku, grzechotnik, jadowity skorpion.

— Jest wcieleniem rewolucji — dodał Vera. — Jej płomieniem i duchem, nienasyconym pragnieniem zemsty, która zabija w milczeniu. Jest aniołem mścicielem przemykającym wśród głuchej nocy.

— Chce mi się płakać, kiedy o nim myślę — powiedziała May Sethby. — Przecież nie zna nikogo, a nienawidzi wszystkich. Nas toleruje tylko dlatego, że nasza działalność odpowiada jego pragnieniom. Jest sam, zupełnie sam... — Głos jej się załamał, tłumila łkanie, oczy zaszyły jej mgłą.

Drogi i czyny Rivery były istotnie okryte tajemnicą. Zdarzało się, że nie widzieli go przez cały tydzień. Raz nie było go miesiąc. Kończyło się to zawsze tak samo: wracał i bez słowa kładł złote monety na biurku May Sethby. I znów mijały dni i tygodnie, kiedy cały swój czas spędzał w biurze Junty. Potem, w nieregularnych odstępach czasu, zniknął na cały dzień, od wczesnego ranka do wieczora. Wróciwszy pozostawał w lokalu Junty do późnej nocy. Kiedyś Arrellano zastał go o północy przy składaniu czcionek. Palce miał spuchnięte, a rozcięte wargi jeszcze krwawiły.

II

Zbliżała się chwila przełomowa. Rewolucja zależała od Junty, a Junta była w opałach. Potrzebowali pieniędzy bardziej niż kiedykolwiek, a zdobyć je było coraz trudniej. Patrioci oddali już wszystko, co mieli, i więcej dać nie mogli. Zbiegli z Meksyku peoni, pracujący na szlakach kolejowych, oddawali Juncie połowę swych skąpych zarobków. Ale potrzeby były znacznie większe. Ciężki, wieloletni trud konspiracyjnej roboty miał wydać owoce. Nadchodził czas. Zbliżała się chwila wybuchu rewolucji. Jeszcze trochę nacisnąć, jeszcze jeden bohaterski wysiłek, a przechyli się szala zwycięstwa. Junta dobrze znała swój Meksyk. Rewolucja, gdy już wybuchnie, będzie sama dalej się rozwijała. Aparat państwowy Diaza rozleci się jak domek z kart. Pogranicze stoi w pogotowiu. Pewien Jankes na czele setki ludzi z organizacji „Przemysłowych Robotników Świata” tylko czeka na znak, aby przejść granicę i wszcząć walkę o Dolną Kalifornię. Ale musi otrzymać broń.

W całym kraju, aż po brzegi Atlantyku, wszyscy, z którymi Junta była w kontakcie, potrzebowali broni: zwykli awanturnicy, rycerze fortuny, bandyci,

rozgoryczeni amerykańscy obywatele, socjaliści, anarchiści, prostytutki, wygnańcy z Meksyku, peoni zbiegli z niewoli, górnicy z Coeur d'Alene i Colorado, których wpędzono jak bydło w zagrody i okładano batami, pałający tym większą żądzą odwetu — słowem, wszelkie harde dusze wyrzucone za burtę dzisiejszego, piekielnie skomplikowanego świata. Zewsząd nieustannie wołano o karabiny i amunicję, amunicję i karabiny.

Tylko przerzucić tę różnorodną, dyszącą zemstą rzeszę rozbitków przez granicę i — rewolucja gotowa! Obsadzą komorę celną i północne porty Meksyku. Diaz nie będzie mógł stawić oporu. Nie ośmieli się rzucić swych głównych sił na północ, gdyż będzie chciał utrzymać południe. Ale południe też ogar nie płomień rewolucji. Lud powstanie. Jedno za drugim poddawać się będą miasta. Stan za stanem przechodzić będzie w ich ręce. Wreszcie zwycięskie armie rewolucji okrążą ze wszystkich - stron miasto Meksyk, ostatnią twierdzę Diaza.

Ale trzeba pieniędzy. Mieli dość ludzi, niecierpliwych i zawziętych, którzy potrafią zrobić użytek z broni, znali handlarzy broni, którzy mogli jej dostarczyć. Przygotowanie rewolucji wyczerpało jednak Juntę. Wydali ostatniego dolara, wyszło ostatnie źródło wpływów, przymierający głodem patrioci oddali ostatniego centa, a wielka sprawa wciąż jeszcze ważyła się na szali. Karabinów i amunicji! Obdarte bataliony muszą otrzymać broń. Lecz skąd? Ramos oplakiwał swoje skonfiskowane dobra. Arrellano gorzko żałował rozrzutności w latach młodości. May Sethby zastanawiała się, czy byłoby dziś inaczej, gdyby Komitet lepiej gospodarował swymi funduszami.

— I pomyśleć, że wolność Meksyku zależy od marnych kilku tysięcy dolarów! — wołał Paulino Vera.

Rozpacz malowała się na twarzach wszystkich. Ich ostatnia nadzieja, José Amarillo, który niedawno wstąpił do organizacji i przyrzekł dać pieniądze na jej cele, został pochwycony na swej hacjendzie w Chihuahua i rozstrzelany pod ścianą własnej stajni. Właśnie otrzymali o tym wiadomość.

Rivera, który klęcząc szorował podłogę, podniósł wzrok. Szczotka zastygła mu w rękach pokrytych po łokcie brudnymi mydlinami.

— Czy pięć tysięcy wystarczy? — spytał.

Spojrzeli nań ze zdumieniem. Vera skinął głową. Nie mógł mówić, lecz nagle odzyskał nadzieję.

— Zamówcie karabiny — rzekł Rivera, po czym wygłosił najdłuższe przemówienie, jakie słyszeli z jego ust,

— Czas ucieka. Za trzy tygodnie przyniosę wam pięć tysięcy. Tak będzie nawet lepiej. Zrobi się cieplej i łatwiej będzie walczyć. Zresztą nic więcej nie mogę zrobić.

Vera próbował stłumić rosnącą w nim nadzieję. Wszystko to było nieprawdopodobne. Tyle już drogich sercu marzeń roz wiało się od czasu, kiedy zaczął swą rewolucyjną grę. Wierzył temu obdartemu chłopcu, który mył podłogę dla rewolucji, ale jednocześnie nie śmiał mieć nadziei.

— Zwariowałeś — powiedział.

— Za trzy tygodnie — odparł Rivera. — Zamówcie karabiny.

Wstał, obciągnął zakasane rękawy koszuli i włożył marynarkę.
— Zamówcie karabiny — powtórzył. — Odchodzę.

III

W kantorze Kelly'ego — po dniu pełnym rwetesu, telefonowania na wszystkie strony i przekleństw — odbywało się nocne posiedzenie. Kelly miał roboty po uszy, ale nic się nie kleiło. Trzy tygodnie temu przywiózł z Nowego Jorku Danny Warda. Organizował spotkanie Warda z Billy Cartheyem. Carthey od dwóch dni leży w łóżku ciężko poturbowany. Fakt . ten starannie ukrywa się przed sprawozdawcami sportowymi. Nie ma kto zastąpić Cartheya. Kelly rozesłał telegramy do bokserów lekkiej wagi na Wschodzie, ale wszyscy byli już związani umowami i terminami. Teraz zaświtała nadzieja, co prawda niewielka.

— Bezczelny to ty jesteś — powiedział Kelly obrzuciwszy spojrzeniem Riverę. Gniew i nienawiść płonęły w oczach chłopca, ale twarz pozostała obojętna.

— Położę Warda — rzekł krótko.

— Skąd wiesz? Czyś go widział kiedy na ringu? Rivera potrząsnął głową.

— Ward położy cię jedną ręką i z zamkniętymi oczami. Rivera wzruszył ramionami.

— Czy masz jeszcze coś do powiedzenia? — warknął manager.

— Położę Warda.

— Z kim już walczyłeś? — spytał Michael Kelly. Michael był bratem managera.

Prowadził totalizatora w „Yellowstone” i zarabiał ciężkie pieniądze na kibicach boksu.

Rivera w odpowiedzi zaszczycił go tylko gniewnym spojrzeniem.

Sekretarz managera, młodzieniec o wyglądzie sportowca, parsknął śmiechem.

— No dobrze. Znasz Roberta. — Kelly pierwszy przerwał wrogie milczenie. — Powinien być tu lada chwila. Posłałem po niego. Usiądź i zaczekaj. Sądząc na oko, nie masz żadnych widoków. Tu nie może być lipy. Pierwsze miejsca idą, jak wiesz, po piętnaście dolarów.

Przyszedł Roberts, wyraźnie pod dobrą datą. Był to jegomość wysoki, chudy i mocno sfatygowany. Chód miał płynny i powolny, mówił zaś tak samo, jak chodził.

Kelly od razu przystąpił do rzeczy.

— Słuchaj, Roberts. Chwaliłeś się, żeś odkrył tego małego Meksykanina. Wiesz, że Carthey złamał rękę. No, tak. A ten mały żółtek beczelnie się tu pcha i powiada, że może zastąpić Cartheya. Co ty na to?

— W porządku, Kelly — Wycedził Roberts. — On może walczyć.

— Powiedz jeszcze, że ten chłopak położy Warda — warknął Kelly.

Roberts zamyślił się.

— Nie, tego nie mówię. Ward to gwiazda, król ringu. Ale z Rivery klopsów tak łatwo nie robi. Znam tego chłopca. Nikt nie da rady wyprowadzić go z równowagi. Jeszcze nie widziałem, żeby wyszedł z siebie. A walczy równie dobrze obu rękami. Może posłać na deski z dowolnej pozycji.

— Nie o to chodzi. Rzecz w tym, jakie widowisko Rivera może dać publiczności. Ty

przez całe życie szkoliłeś i trenowałeś bokserów. Zdejmuję kapelusz, gdy mówisz o tych sprawach. Czy Riverę stać na taką walkę, żeby publiczność wiedziała, za co płaci?

— Na pewno. A przy tym zmorduje Warda ile wlezie. Nie znasz tego chłopca, Kelly, a ja znam. Sam go przecież odkryłem. To człowiek bez nerwów. Diabeł wcielony. Ward rozdziawi gębę ze zdumienia, gdy bliżej pozna tego samorodka, a wy zrobicie to samo. Nie twierdzę, że Rivera zwycięży, ale pokaże taką walkę, że uznacie go za wschodzącą gwiazdę.

— No, dobrze. — Kelly odwrócił się do sekretarza. — Proszę zadzwonić do Warda — powiedział. — Uprzedziłem go, że jeśli znajdę kogoś, to go tutaj poproszę. Jest niedaleko, w „Yellowstone”. Obnosi się tam i zdobywa popularność.

Kelly zwrócił się znów do trenera.

— Napijesz się, Roberts?

Roberts wysączył szklanke whisky z wodą sodową i język mu się rozwiązał.

— Nie mówiłem ci jeszcze, w jaki sposób odkryłem tego cudaka. Jakies dwa lata temu pokazał się w salach treningowych. Właśnie trenowałem Prayne'a do meczu z Delaneyem. Prayne to drań. Wali bez litości. Rozkwasił nielecho gębę swemu partnerowi i nie mogłem znaleźć takiego, co by chciał z nim pracować. Byłem już w rozpacz, gdy wreszcie wpadł mi w oko ten mały, wygłodzony Meksykanin, który kręcił się nam pod nogami. Zawołałem go, dałem mu rękawice i — jazda, do roboty! Chłopak był twardy jak kamień, ale słaby. A o boksie nie miał zielonego pojęcia. Prayne stłukł go na kwaśne jabłko. Meksykanin, choć ledwie żywy, wytrzymał dwie rundy, nim zemdłał. Był po prostu wygłodzony. Prayne tak przerobił chłopca, że rodzona matka by go nie poznała. Dałem mu pół dolara i porządny obiad. Trzeba było widzieć, jak on żarł. Okazało się, że od dwóch dni nie miał nic w ustach. Myślałem, że już się więcej nie pokaże. Ale na drugi dzień znów przyszedł. Ciało miał zeszywniałe i potłuczone, lecz gotów był zarobić drugie pół dolara i dobry obiad. Spisywał się coraz lepiej. To urodzony bokser, a przy tym nieprawdopodobnie zawzięty. Nie ma serca, tylko kawałek lodu. Odkąd go znam, nigdy gęby porządnie nie otworzył. Robi swoje, i koniec.

— Widziałem go — powiedział sekretarz. — Często pracuje dla pana.

— Wszyscy nasi lepsi chłopcy zaprawiali się na nim — odparł Roberts. — Wiele się przy dym nauczyłem. Zauważyłem, że mógłby położyć niejednego z nich. Ale nie ma serca do boks. Nie lubi tego sportu, to po nim widać.

— W ciągu ostatnich kilku miesięcy występował w różnych małych klubach — wtrącił Kelly.

— Właśnie. Nie wiem, co mu się stało. Nagle krew w nim zagrała. Wziął się do roboty i porozkładał wszystkich tutejszych chłopców. Zdaje się, że potrzebował pieniędzy. No i zarobił coś niecoś, chociaż po jego ubraniu tego nie widać. Dziwny człowiek. Nikt nie wie, czym on się właściwie zajmuje. Przychodzi, robi swoje i natychmiast znika. Czasem nie widać go całymi tygodniami. Rad żadnych nie słucha. Jego manager mógłby zrobić majątek, ale on nie chce mieć managera. Zobaczycie, jak się będzie targował, gdy przyjdzie do omówienia warunków

spotkania.

W tej chwili przyszedł Danny Ward. Przybył w asyście swego managera i trenera. Wniósł z sobą powiew zdobywczej pogody ducha i dobrego humoru. Witał się na prawo i lewo, dowcipkował, przygadywał, rozdawał uśmiechy. Więcej w tym było pozy niż szczerości. Ward był dobrym aktorem i uważał miłe obejście za doskonały atut w walce o powodzenie w świecie. W gruncie rzeczy jednak pod maską jowialności ukrywał się zimnokrwisty bokser i wyrachowany byznesmen. Ci, którzy znali go lepiej i częściej mieli z nim do czynienia, mówili, że Danny ma łeb do interesów. Zawsze brał udział w rozmowach na temat finansowych warunków spotkań. Niektórzy stanowczo twierdzili, że manager jest tylko pionkiem w jego ręku.

Rivera w niczym nie był podobny do Warda. W żyłach jego płynęła krew indiańska zmieszana z hiszpańską. Zaszył się teraz w kącie pokoju. Siedział tam milczący i bez ruchu, tylko jego czarne oczy bacznie śledziły ich twarze.

— A więc to jest ten facet — rzekł Danny szacując okiem swego domniemanego partnera. — Jak się masz, stary!

Oczy Rivery błysnęły gniewem, lecz nie odpowiedział na powitanie. Nie znosił gringów, tego zaś nienawidził z całego serca.

— Mój Boże! — Danny z uśmiechem zwrócił się do managera. — Czy ty nie chcesz przypadkiem, abym walczył z głuchoniemym?

Kiedy zaś przestali się śmiać z tego dowcipu, dodał:

— Chudo w tym waszym Los Angeles, jeśli nie mogliście wygrzebać nic lepszego. Z kądregoście przedszkola go wzięli?

— Ależ, Danny, to dobry chłopak, słowo daję — tłumaczył mu Roberts. — Wcale nie taka łatwa sztuka, jakby się zdawało.

— A poza tym sprzedaliśmy już pół sali — nastawał Kelly. — Musisz się zgodzić, Danny. Zrobiliśmy, cośmy mogli.

Danny jeszcze raz obrzucił Riverę lekceważącym spojrzeniem i westchnął.

— Mam wrażenie, że długo z nim nie będę się bawił — powiedział. — Żeby mi tylko nie spuchł.

Roberts parsknął śmiechem.

— Bądź jednak ostrożny — powiedział manager Warda. — Z nieznanym przeciwnikiem nie wolno ryzykować, bo taki przyczai się czasem, rąbnie znienacka i cześć!

— Ależ dobrze — uśmiechnął się Danny. — Będę ostrożny. Od razu go usadzę, a potem będę się z nim obchodził jak z jajkiem. Byle tylko zadowolić naszą kochaną publiczność. Co byś powiedział na piętnaście rund, Kelly? A potem — do łóżeczka!

— Owszem — odparł Kelly. — Tylko musisz dobrze się zgrywać.

— A teraz do rzeczy — rzekł Danny i przez chwilę liczył coś w pamięci. — Oczywiście, dla nas sześćdziesiąt pięć procent wpływu za bilety wstępu, tak samo jak z Cartheyem. Tylko inaczej się podzielimy. Mnie z tego wystarczy cztery piąte.

Tu zwrócił się do swego managera.

— Czy tak?

Ten skinął głową.

— Czy zrozumiałeś? — spytał Kelly Riverę. Meksykanin potrząsnął głową.

— Słuchaj, to jest tak... — począł tłumaczyć Kelly — wasz dochód wyniesie sześćdziesiąt pięć procent wpływu za bilety. Jesteś żółtodziób i nikt cię nie zna. Podzielcie się tak, że dostaniesz dwadzieścia procent, a Danny — osiemdziesiąt. Będzie to sprawiedliwy podział, prawda, Roberts?

— Najzupełniej sprawiedliwy — zgodził się Roberts. — Widzisz, Rivera, twoje nazwisko nic jeszcze nie mówi.

— Sześćdziesiąt pięć procent — ile to może być w gotówce? — zapytał Rivera.

— Och, może pięć, a może nawet osiem tysięcy dolarów — pośpieszył z wyjaśnieniem Danny. — W każdym razie coś koło tego. Twój udział wyniesie tysiąc do tysiąca sześciuset dolarów. Będzie to niezła zapłata za lanie; jakie weźmiesz od takiego boksera jak ja. Cóż ty na to?

Odpowiedź Riverę wprowadziła ich w zdumienie.

— Zwycięzca bierze wszystko — powiedział stanowczo. Zapanowała grobowa cisza..

— Jakbyś znalazł, Danny — odezwał się wreszcie manager Warda.

Danny potrząsnął głową.

— Ja boksem zajmuję się nie od wczoraj — powiedział. — Nie podejrzewam sędziego ani nikogo z tu obecnych. Nie mówię też o bukmacherach i kantach, które czasem się zdarzają. Powiem tylko tyle, że to kiepski interes dla takiego zawodnika jak ja. Mogę walczyć, ale na pewniaka. Szkoda każdego słowa. Co będzie, jak złamię rękę? A może jakiś drań podsunie mi narkotyki? — Z wielką powagą potrząsnął głową. — Wygram, czy przegram, muszę dostać swoje osiemdziesiąt procent. Cóż ty na to, Meksykaninie?

Rivera zaprzeczył ruchem głowy.

Danny wybuchnął. Nagle stał się rozbrajająco szczery.

— Ach, ty brudasio! Mogę ci zaraz rozkwasić gębę.

Roberts powoli podniósł się z krzesła i stanął między obu bokserami.

— Zwycięzca bierze wszystko — powtórzył posępnie Rivera.

— Dlaczego się upierasz? — spytał Danny.

— Bo mogę cię pokonać — odparł Rivera.

Danny zrobił ruch, jakby chciał zrzucić marynarkę. Ale jego manager wiedział, że mistrz się zgrywa. Danny nie zdjął marynarki i dał się przebłagać. Wszyscy byli za nim. Rivera stał sam na boku. ..

— Słuchaj, szczeniaku — począł nalegać Kelly. — Jesteś zerem. Wiemy, żeś ostatnio pokonał paru kiepskich tutejszych bokserów. Danny to klasa. W następnym spotkaniu staje do walki o tytuł mistrza. A ciebie nikt nie zna. Poza Los Angeles nikt o tobie nie słyszał.

— Usłyszą. — Rivera wzruszył ramionami. — Usłyszą po tej walce.

Danny nie mógł już wytrzymać.

— Czy naprawdę przyszło ci do głowy, że możesz mnie pokonać? — zapytał.

Rivera skinął głową.

— Ach, bądźże rozsądny, Rivera — tłumaczył mu Kelly. — Pomyśl, jaką reklamę zrobi ci ta walka.

— Potrzebuję tylko pieniędzy — odpowiedział Rivera.

— Nie zarobisz ich na mnie nawet za tysiąc lat — zapewnił go Danny.

— To dlaczego się nie zgadzasz? — zapytał Rivera. — Jeżeli pieniądze same idą ci w ręce, czemu ich nie chcesz brać?

— Chcę, jak Boga kocham! — krzyknął Ward nagle zdecydowany. — Zatłukę cię na śmierć, kochasiu. Żartów ci się zachciało. Kelly! Pisz umowę. Zwycięzca bierze wszystko. Ogłoś to w prasie sportowej. Powiedz im, że walka będzie na całego. Dam temu smykowi po nosie.

Sekretarz Kelly'ego zaczął już spisywać umowę, gdy Danny mu przerwał:

— Zaczekaj! — Tu zwrócił się do Rivery: — A jak będzie z wagą?

— Waga przy ringu — odparł Meksykanin.

— Ani mi się śni, mój mały. Jeżeli zwycięzca bierze wszystko, to ważenie odbędzie się o dziesiątej rano;

— Ale zwycięzca weźmie wszystko? — zapytał Rivera. Danny skinął głową. Sprawa była załatwiona. Wejdzie na ring w pełni swych sił.

— Dobrze, waga o dziesiątej — rzekł Rivera. Pióro sekretarza znów zaskrzypiało.

— Ależ to oznacza różnicę pięciu funtów wagi — strofował Roberts Rivere. — Niepotrzebnie się na to zgodziłeś. Jużes przegrał. Danny będzie silny jak byk. Jesteś skończonym głupcem. Teraz na pewno cię pokona. Nie masz żadnych szans. Będiesz wygłądał jak kropla rosy w piekle.

Jedyną odpowiedzią Rivery było zimne i nienawistne spojrzenie. Pogardzał nawet tym gringiem, którego uważał za najlepszego z nich wszystkich.

IV

Wejście Rivery na ring ledwie zauważono. Powitały go rzadkie i słabe oklaski. Publiczność niczego się po nim nie spodziewała. Był w jej oczach barankiem wydanym na rzeź wielkiemu Danny. Poza tym publiczność doznała rozczarowania. Spodziewała się pełnej napięcia walki między Danny Wardem a Billy Cartheyem, a musiała zadowolić się spotkaniem z tym małym i mizernym nowicjuszem. Niezadowolenie ze zmiany zawodnika wyraziło się w zakładach. Stawiano teraz za Wardem dwa, a nawet trzy przeciw jednemu. Ten zaś, na którego publiczność postawiła pieniądze, ma też jej serce.

Młody Meksykanin usiadł w swym rogu i czekał. Minuty wlokły się nieznośnie. Danny kazał mu czekać na siebie. Był to stary kawał, ale zawsze działał na początkujących bokse rów. Ogarniał ich lęk coraz większy, kiedy siedzieli tak — twarzą w twarz z własnym strachem i obojętną, tonącą w kłębach dymu publicznością. Tym razem jednak sztuczka spaliła na panewce. Roberts miał słuszną rację. Rivera nie tracił zimnej krwi. Delikatniej unerwiony i bardziej wrażliwy niż ktokolwiek inny na sali, potrafił zachować kamienny spokój. Atmosfera przesądzonej klęski, jaka unosiła się nad jego rogiem, zupełnie mu się nie udzielała.

Jego sekundantami byli nieznanymi gringowie, patałachy, nędzne odpadki bokserkiego sportu, ludzie bez czci i własnej woli. Oni też byli pewni że ich zawodnik skazany jest na klęskę.

— Pilnuj się dobrze — ostrzegał go Spider Hagerty. Spider był jego pierwszym sekundantem. — Trzymaj się jak najdłużej, oto co Kelly kazał ci powiedzieć. Inaczej gazety napiszą, że znów było zwyczajne mordobicie i na całe Los Angeles obsmarują to spotkanie.

Wszystko to bynajmniej nie dodawało Riverze otuchy, ale nic sobie z tego 'nie robił. Pogardzał zawodowcami. Boks był znienawidzoną zabawą nienawistnych gringów. Jął się tego zajęcia i służył za piłkę treningową tylko dlatego, że umierał z głodu. Fakt, że był stworzony do boksu, nic dlań nie znaczył. Nienawidził tego sportu. Dopiero gdy przyszedł do Junty, zaczął walczyć o pieniądze. Przekonał się wówczas, że to łatwy sposób zarobkowania. Zresztą nie on pierwszy na świecie zdobywał powodzenie w zawodzie, którym pogardzał.

Nie myślał wiele. Wiedział tylko, że musi wygrać. Nie było innego wyjścia. Nikomu w tej zatłoczonej sali nawet się nie śniło, jakie potężne siły stoją za Riverą i podtrzymują go na duchu. Danny Ward walczył dla zysku i o łatwe życie, jakie mógł mieć za pieniądze. To, o co walczył Rivera, płonęło w jego mózgu: gdy siedział samotnie w rogu ringu czekając na swego chytrego przeciwnika, przed szeroko rozwartymi oczami ukazywały mu się oślepiające, straszliwe wizje tak wyraźnie, jakby były rzeczywistością.

Widział białe mury fabryk w Rio Blanco, widział sześć tysięcy wygłodzonych robotników o szarych twarzach i małe, siedmio- i ośmioletnie dzieci ciężko pracujące na długich zmianach za dziesięć centów dziennie. Widział śmiertelnie blade twarze żywych trupów — mężczyzn zatrudnionych w farbiarniach. Pamiętał, że jego ojciec hale farbiarni nazywał „jaskiniami samobójców”. Rok pracy w takiej norze oznaczał śmierć. Ujrzał podwórko ich domu. Matka kręci się koło kuchni i haruje od rana do wieczora, a przecież znajduje czas, aby otoczyć syna najtkliwszą miłością. Ukazał mu się ojciec, wielki, barczysty, wąsaty mężczyzna, który wszystkich kochał, lecz serce miał tak wielkie, że mieściła się w nim także ogromna miłość do żony i małego muchacho bawiącego się w kącie patio . Nie nazywał się wtedy Felipe Rivera, lecz Fernandez — tak jak jego rodzice. Na imię mu było Juan. Później sam zmienił imię i nazwisko, gdy się dowiedział, że nazwisko Fernandez znienawidzone było przez prefektów policji i żandarmów.

Wielki i dobry Joaquin Fernandez! Wiele miejsca zajmował w wizjach Rivery, który dawniej mało rozumiał, lecz gdy teraz patrzył w przeszłość, rozumiał wszystko. Widział ojca składającego czcionki w małej drukarni, to znów za biurkiem zarzuconym papierami — w pośpiechu gryzmołącego bez końca nierówne linijki. Po raz wtóry przeżywał niezwykle wieczory, kiedy robotnicy przekradali się jak złodzieje pod osłoną mroku i zbierali u ojca. Wiedli z nim długie rozmowy, a mały muchacho leżał w kącie i często nie mógł zasnąć.

Jakby z daleka usłyszał głos Spidera Hagerty'ego.

— Żebyś tylko nie zwał się na samym początku. Tak mówi Kelly. Bierz lanie, bo

ci za to płacą.

Minęło dziesięć minut, a on wciąż siedział w swoim rogu. Danny nie dawał znaku życia — widocznie przeciągał trick do ostatecznych granic.

Nowe wizje zapłonęły przed oczyma duszy Rivery. Strajk lub raczej lokaut, ponieważ robotnicy z Rio Blanco pomagali swym strajkującym braciom z Puebla. Głód, wyprawy na wzgórze po jagody, korzenie i trawy, które jedli i które skręcały im z bólu żołądki. A potem potworny widoki pustka przed sklepem Towarzystwa, tysiące umierających z głodu robotników, generał Rosalio Martinez i żołnierze Porfirio Diaza, i ziejące śmiercią karabiny... Zdawało się, że nigdy nie zamilkną i że krzywda robotników zawsze obmywać się będzie w ich własnej krwi. I wreszcie — ta noc! Platformy wysoko załadowane zwłokami pomordowanych, wywożące do zatoki Vera Cruz pokarm dla rekinów. Pełzał wśród straszliwych stosów szukając ojca i matki. Odnalazł ich zwłoki, odarte z odzieży i zmasakrowane. Pamiętał zwłaszcza matkę, a raczej tylko jej głowę — reszta ciała przywalona była stosem trupów. Zagrzechotały karabiny żołnierzy Porfirio Diaza. Znowu przypadł do ziemi i pełzał jak szczuty przez sforę psów górski kojot.

Do uszu jego dobiegł potężny ryk, niczym łoskot wzburzonego morza, i ujrzał Danny Warda; wraz ze świtą trenerów i sekundantów szedł na ring środkowym przejściem. Sala dzikim wrzaskiem witała swego ulubieńca i pewnego zwycięzcę. Jego imię było na ustach wszystkich. Cała sala trzymała z Wardem. Nawet sekundanci Rivery poweseleli, gdy Danny zręcznie przemknął się między linami i wszedł na ring. Na jego twarzy pojawiały się raz po raz szerokie uśmiechy, a kiedy Danny uśmiechał się, czynił to każdym rysem, aż po zmarszczki w kącikach oczu i aż do głębi źrenic. Jeszcze nie było tak wesołego boksera. Twarz Danny Warda była żywą reklamą dobrego samopoczucia i szczerzej życzliwości dla ludzi. Znał tutaj wszystkich. Żartował, śmiał się i pozdrawiał z ringu przyjaciół. Ci, którzy siedzieli dalej, nie mogąc opanować podziwu, krzyczeli na całe gardło: „Danny! Danny!” Burzliwa owacja trwała dobre pięć minut.

Na Riverę nikt nie zwracał uwagi. Nie istniał dla publiczności. Obrzękła twarz Spidera nachyliła się do jego ucha.

— Żebyś się tylko nie spietrał — ostrzegał Spider. — I pamiętaj o instrukcjach Kelly'ego. Musisz wytrzymać do końca. Nie rozłóż się. Jeśli się rozłożysz, mamy polecenie sprawić ci w szatni lanie. Zrozumiano? Bij się i tyle!

Na sali rozległy się oklaski. Danny szedł ku niemu przez ring. Nachylił się, ujął prawicę Rivery w obie ręce i potrząsnął nią z wylewną serdecznością. Uśmiechnięte oblicze. Danny'ego znalazło się tuż przy twarzy Rivery. Publiczność wyła z zachwyty dla sportowej postawy swego ulubieńca: witał przeciwnika jak rodzony brata. Wargi Danny'ego poruszyły się, a publiczność, sądząc, że serdecznie pozdrawia Riverę, znowu ryczała z podziwu. Jeden Rivera usłyszał słowa Warda.

— Ty mały szczurze meksykański — zasyczało spomiędzy wesoło uśmiechniętych warg Danny'ego — już ja cię obrobie, że tchórz z ciebie wylezie!

Rivera nie poruszył się. Nie powstał z miejsca. Tylko jego oczy płonęły nienawiścią.

— Wstań, szczeniaku! — zawołał ktoś z tyłu.

Tłum oburzony - niesportową postawą Rivery gwizdał i krzyczał. On jednak ani drgnął. Huragan oklasków towarzyszył Danny'emu, kiedy wracał na swoje miejsce.

Gdy Danny zrzucił ubranie, rozległy się okrzyki zachwytu. Zbudowany był doskonale, tryskał zdrowiem i siłą, ciało miał gibkie, skórę białą i gładką jak u kobiety. Był uosobieniem wdzięku, prężności i siły. Dowiódł tego w dziesiątkach walk. Fotografie Warda pojawiały się we wszystkich pismach sportowych.

Gdy Spider Hagerty ściągnął Riverze sweter, ogólny jęk dał się słyszeć na sali. Smagłość skóry sprawiała, że Rivera wydawał się chudszy, niż był w rzeczywistości. Mięśnie miał silne, ale nie uwydatniały się tak jak u jego przeciwnika. Publiczność nie zauważyła, że ma szeroką klatkę piersiową, i nic nie wiedziała o jego wytrzymałości, błyskawicznej reakcji mięśni i niezwykle czułym systemie nerwowym, który oplatał jego ciało, czyniąc zeń wspaniałe mechanizm bojowy. Sala widziała tylko smagłego osiemnastoletniego młodzieńca o chłopięcych kształtach. Danny — to zupełnie co innego. Był mężczyzną dwudziestoczteroletnim i wyglądał na prawdziwego mężczyznę. Kontrast jeszcze bardziej rzucił się w oczy, kiedy stanęli obok siebie na środku ringu i słuchali ostatnich pouczeń sędziego.

Rivera zauważył, że Roberts siedzi tuż za dziennikarzami. Był bardziej pijany i mówił jeszcze wolniej niż zwykle.

— Uszy do góry, Rivera — cedził Roberts. — On nie może cię zabić, pamiętaj o tym. Rzuci się z miejsca na ciebie, ale nie daj się zastraszyć. Blokuj, trzymaj dystans, idź na zwarcie. Wielkiej krzywdy ci nie zrobi. Niech ci się zdaje, że on cię młóci na sali treningowej.

Nic nie świadczyło o tym, że Rivera usłyszał.

— Ponury, diabli syn — mruknął Roberts do sąsiada. — Zawsze był taki.

Rivera nie patrzył już przed siebie swym zwykłym, pełnym nienawiści spojrzeniem. Oślepiła go wizja niezliczonej ilości karabinów. Jak daleko mógł sięgnąć wzrokiem, aż do miejsc na górze, po dolarze, twarze widzów zmieniły się w karabiny. I widział długą granicę meksykańską, spaloną i wyjałowioną przez słońce, a wzdłuż niej gromady obdartych ludzi czekających tylko na karabiny.

Rivera stał w rogu i czekał. Jego sekundanci wyśliznęli się poza liny i zabrali brezentowe krzeselko. W przeciwległym rogu kwadratowego ringu stał Danny i patrzył na niego. Uderzył gong, mecz się zaczął. Publiczność zawyła z zachwytu. Nigdy nie widziała tak wspaniałego początku walki. Gazety miały słuszość. Walka była ostra. Danny potężnym susem przebył trzy czwarte odległości dzielącej go od przeciwnika. Widać było wyraźnie, że chce zmiażdżyć meksykańskiego chłopca. Nacierał nie jednym, nie dwoma i nie tuzinem ciosów. Był to wir uderzeń, huragan siejący zniszczenie. Rivera zniknął. Przywalała go lawina ciosów zadawanych ze wszystkich stron i z każdej pozycji przez doświadczonego mistrza boksu. Danny rzucał go na sznury, sędzia ich rozdzielał i Rivera znów leciał na sznury.

Nie była to walka, lecz jatki. Każda publiczność, z wyjątkiem bywalców meczów bokserskich, miałaby dość emocji już po pierwszej minucie. Danny najwidoczniej pokazywał, co umie, i robił to doskonale. Publiczność tak była pewna wyniku walki,

tak podniecona i tak trzymała stronę Danny'ego, że nie zauważyła, iż Meksykanin stoi jeszcze na nogach. Sala zupełnie zapomniała o Riverze. Rzadko go zresztą widziano, tak chłopca pokrywał morderczy atak Danny'ego. Minęła minuta, potem dwie. Gdy sędzia rozdzielił zawodników, widzowie ujrzeni na chwilę Meksykanina. Miał przeciętą wargę, z nosa ciekła mu krew. Kiedy się odwrócił i chwiejnym krokiem poszedł do zwarcia, ujrzeni na jego plecach czerwone, krwawe pręgi od uderzeń o sznury. Ale publiczność nie zauważyła, że jego piersi nie podnosił przyśpieszony oddech i że oczy płonęły jak zwykle zimnym blaskiem. Zbyt wielu zawodników, ubiegających się o tytuł mistrza boks, próbowało na nim druzgocących ataków i okrutnie młóciło go w obozach treningowych. Przywykł wytrzymywać te ataki za pół dolara od treningu, a potem za piętnaście dolarów tygodniowo — twardą to była szkoła, ale wiele się w niej nauczył.

Potem stało się coś zupełnie niesłychanego. Burza kotłująca się na ringu nagle ustała. Rivera stał sam. Danny, straszliwy Danny leżał na wznak. Ciało przebiegały mu drgawki, jakby szamotała się w nim powracająca z trudem świadomość. Nie zachwiał się i nie osunął zwolna na deski. Prawy sierp Ri-very poraził go nagle jak śmierć. Sędzia odepchnął Riverę jedną ręką, stanął nad powalonym gladiatorem i liczył sekundy. Bywalcy zawodów bokserskich zwykle witają celny nokaut hałaśliwymi objawami zachwyty. Dziś sala milczała. Nikt nie spodziewał się tego, co nastąpiło. W pełnej napięcia ciszy sala słuchała, jak sędzia liczy sekundy. Nagle w tej ciszy dał się słyszeć tryumfalny głos Roberta:

— Mówiłem wam, że walczy obu rękami!

W piątej sekundzie Danny przewrócił się na twarz, a gdy sędzia odliczył siódmą sekundę, uklęknął na jedno kolano, gotów podnieść się po odliczeniu dziewiątej, a przed dziesiątą. Gdyby na „dziesięć” kolano jego dotykało jeszcze podłogi, uznano by go za znokautowanego. W chwili gdy kolano oderwie się od desek, uważa się, że zawodnik stoi na nogach. Ri vera miał wtedy prawo znów go powalić. Ale mu się to nie udało. Postanowił uderzyć, gdy kolano oderwie się od podłogi. Obszedł przeciwnika, lecz sędzia znalazł się między nimi. Ri-vera wiedział, że sekundy odliczane są zbyt wolno. Wszyscy gringowie byli przeciw niemu, nawet sędzia.

Na „dziewięć” sędzia silnie odepchnął Riverę w tył. Nie było to „fair”, ale wystarczyło, aby Danny mógł wstać. Znów się uśmiechał. Zgięty w pół, osłaniając ramionami twarz i brzuch, sprytnie wpakował się w zwarcie. Według wszelkich prawideł walki sędzia powinien był je przerwać, ale nie uczynił tego i Danny przylgnął do Rivery jak skorupiak wyrzucony na brzeg przez falę. Z każdą chwilą odzyskiwał siły. Szybko zbliżała się ostatnia minuta rundy. Jeśli wytrzyma do końca, będzie miał całą minutę odpoczynku i przyjdzie do siebie. Wytrwał uśmiechając się, mimo że jego położenie było rozpaczliwe.

— Ten się zawsze uśmiecha! — krzyknął ktoś z sali, a publiczność zaśmiała się z ulgą.

— Okropne ma uderzenie ten meksykański brudas! — szepnął Danny do trenera, z trudem łapiąc powietrze, podczas gdy sekundanci gorączkowo uwijali się koło niego.

Podczas drugiej i trzeciej rundy nic ciekawego się nie wydarzyło. Danny, chytry i wytrawny król ringu, walczył na dystans, blokował i stawiał opór jedynie po to, by przyjąć do siebie po ogłuszającym ciosie otrzymanym w pierwszej rundzie. W czwartej rundzie był znowu sobą. Doznał wstrząsu i oszołomienia, ale dzięki dobrej kondycji odzyskał siły. Zrezygnował już z taktyki zmierzającej do zmiążdżenia przeciwnika. Meksykanin okazał się niebezpieczny. Danny odwołał się teraz do swego kunsztu bokserkiego. Znał doskonale wszystkie sztuczki, był niezwykle zręczny, miał ogromne doświadczenie. Nie mógł zadać decydującego ciosu, zaczął więc nader umiejętnie stosować serie krótkich ciosów nękających. Na każdy cios Rivera odpowiadał trzema, ale były to tylko uderzenia karcące, nie zabójcze. W sumie jednak ciosy te były niebezpieczne. Nabral szacunku do tego amatora, który walczył tak samo dobrze lewą, jak prawą ręką i obu pięściami zadawał diabłu celne krótkie ciosy.

Rivera lewymi prostymi rozbijał ataki Danny'ego, bynajmniej przy tym nie oszczędzając jego warg i nosa. Danny jednak umiał się dostosować do każdej sytuacji. Nie darmo miał zostać mistrzem. Mógł dowolnie zmieniać styl walki. Teraz począł walczyć w półdystansie. Z bliska sam był szczególnie groźny, a ponadto zabezpieczał się przed lewymi prostymi przeciwnika. Publiczność znów oszalała, gdy Danny wspaniale przełamał obronę i zadał krótki cios z dołu, którym wyrzucił Meksykanina w powietrze i zwałił na deski. Rivera, klęcząc na jednym kolanie, korzystał z liczonych sekund, by przyjąć do siebie, ale równocześnie zdawał sobie sprawę, że sędzia śpieszy się, jak może.

W siódmej rundzie Danny znów zastosował swój szatański krótki cios z dołu. Tym razem Rivera tylko się zachwiał. Danny jednak wykorzystał chwilę słabości przeciwnika i drugim uderzeniem przerzucił go przez sznury. Rivera spadł na głowy siedzących pod ringiem dziennikarzy, którzy wpełchnęli go z powrotem na róg platformy. Przyklęknął na jedno kolano i odpoczywał, podczas gdy sędzia szybko liczył sekundy. Na ringu, za sznurami, przez które musiał przeleźć, czekał Danny. Sędziemu ani się śniło interweniować i odsunąć Danny'ego.

Publiczność odchodziła od zmysłów z zachwytem. Ktoś krzyknął:

— Zabij go, Danny, zabij!

Liczne głosy podjęły ten okrzyk i mogło się zdawać, że to bojowy zew wilków.

Danny czyhał, ale Rivera już na „osiem” przemknął się nagle pod linami i wszedł bezpiecznie w zwarcie. Sędzia starał się odciągnąć Riverę, by Danny mógł go uderzyć, słowem — pomagał swemu faworytowi tyle, ile tylko może pomóc nieuczciwy sędzia.

Rivera trzymał się jednak dobrze, a szum w głowie szybko mu przechodził. Wszystko się zgadzało. Miał do czynienia z nienawistnymi gringami, którzy przecież nigdy nie postępują ją uczciwie. Znowu ujrzał oślepiające wizje: długie szlaki kolejowe wiodące przez pustynię; meksykańscy żandarmi i amerykańscy policjanci; więzienia i areszty; łaziki przy cysternach z wodą na stacjach — panorama nędzy i cierpienia, jaką oglądał w czasie wędrówki po strajku i ucieczce z Rio Blanco. Lecz widział też idącą przez jego kraj w blasku sławy czerwoną rewolucję. Widział przed

sobą karabiny. Każda znienawidzona twarz — to karabin. Walczy o broń. Sam jest orężem. Jest rewolucją. Walczy za cały Meksyk.

Zachowanie Rivery zaczynało już gniewać publiczność. Cemu nie chce wzięcia, które mu się należy? Oczywiście, dostanie w skórę, ale dlaczego tak się opiera! Niewielu widzów było zainteresowanych jego zwycięstwem. Stawiali na fuksa i stanowili pewien ściśle określony procent tłumu grającego w totalizatora. Wierząc w zwycięstwo Danny'ego, postawili jednak na Meksykanina w stosunku cztery do dziesięciu lub jeden do trzech. Sporo było zakładów o to, ile rund Rivera wytrzyma. Wielkie pieniądze stawiali przy ringu widzowie, którzy twierdzili, że Meksykanin nie wytrzyma siedmiu, a nawet sześciu rund. Zwycięzcy tych zakładów, zadowoleni, że ryzykowna gra szczęśliwie się skończyła, teraz wraz z resztą publiczności oklaskiwali swego prawdziwego faworyta.

Rivera nie dawał się pokonać. W ósmej rundzie Danny na próżno próbował powtórzyć swój cios z dołu. W dziewiątej Rivera znów wprowadził salę w osłupienie. W czasie zwarcia zwinnym, szybkim ruchem oderwał się od przeciwnika i w wąskim odstępie, jaki powstał między nimi, prawą ręką zadał cios z dołu. Danny runął i na dziesięć sekund miał spokój. Tłum ogarnęło przerażenie. Danny został pobity własną bronią. Jego słynny cios prawą z dołu obrócił się przeciw niemu. Rivera nie próbował go dopaść, gdy podniósł się w dziewiątej sekundzie. Sędzia jawnie osłaniał Danny'ego, chociaż w odwrotnej sytuacji, kiedy Rivera chciał podnieść się z desek, stał beczynnie.

W dziesiątej rundzie Rivera dwukrotnie zastosował ten sam cios, wyprowadzony z wysokości pasa do podbródka przeciw nika. Danny'ego ogarnęła rozpacz. Choć uśmiech nie schodził mu z twarzy, powrócił do swych morderczych ataków. Huragan ciosów nic mu jednak nie pomógł, a Riverze nie przeszkodził rzucić go na deski trzy razy pod rząd. Danny nie odzyskiwał już sił tak szybko jak na początku spotkania. W jedenastej . rundzie jego położenie stało się bardzo poważne. Ale od tej chwili, aż do czternastej rundy, dał pokaz najzręczniejszej walki w całej swej bokserkiej karierze. Trzymał dystans, blokował, oszczędzał się i usiłował zebrać siły. Walczył przy tym tak nieuczciwie, jak to potrafi tylko wytrawny bokser. Uciekał się do najrozmaitszych sztuczek i podstępów — w zwarcich niby niechcący uderzał głową, przytrzymał pięść Rivery przyciskając ją ramieniem do siebie, to znów zatykał mu rękawicą usta, aby utrudnić oddech. Często w zwarcich przez rozbite, lecz wciąż uśmiechnięte wargi ochrypłym głosem szeptał Riverze do ucha wstrętne, obelżywe słowa. Wszyscy, zarówno sędzia, jak i cała sala, trzymali z Dannym, pomagali mu i domyślali się, do czego zmierza. Po tylu niespodziankach ze strony nieznanego boksera Danny całą nadzieję pokładał teraz w jednym, decydującym ciosie. Wystawiał się na razy, udawał, markował, przeciągał walkę, czekając, aż przeciwnik odsłoni się i będzie można uderzyć z całej siły. Wtedy odwróci się karta. W podobnej sytuacji pewien słynny bokser wygrał walkę dwoma ciosami: prawą w splot słoneczny i lewą w szczękę. Mógł jeszcze zrobić to samo. Słyszał przecież z tego, że póki się trzymał na nogach, uderzenie miał mocne i zachowywał siłę w rękach.

Sekundanci Rivery nie bardzo troszczyli się o niego w czasie przerw między rundami. Niby machali rękami, ale nie dawało to powietrza jego zdyszanyemu płucom. Spider Hagerty udzielał mu pouczeń, Rivera wiedział jednak, że są to złe rady. Wszyscy byli przeciw niemu. Otaczała go zdrada. W czternastej rundzie znów powalił Danny'ego i stał odpoczywając, z rękami opuszczonymi, podczas gdy sędzia liczył sekundy. Z drugiej strony ringu dobiegły go podejrzane szepty. Zobaczył, że Michael Kelly podszedł do Roberta, nachylił się i coś szepcze mu do ucha. Miał koci słuch i zdołał pochwycić urywki rozmowy. Chciał usłyszeć nieco więcej, gdy więc Danny się podniósł, manewrował tak, aby wejść w zwarcie przy sznurach.

— Musi... — mówił Michael, a Roberts mu przytakiwał. — Danny musi wygrać... inaczej stracę majątek... wpakowałem w to kupę własnej forsy. Jeśli Rivera wytrzyma piętnastą rundę, leżę na amen... Ten chłopak ciebie posłucha. Zrób coś.

Od tej chwili widzenia nie odwracały już uwagi Rivery. Próbowali go wystrychnąć na dudka. Jeszcze raz powalił Danny'ego i stał odpoczywając, z opuszczonymi rękami. Roberts wstał.

— Ma dość — rzekł. — Idź do swego rogu.

Powiedział to głosem rozkazującym, podobnie jak mówił do Rivery w czasie treningów. Ale Meksykanin spojrzał nań z nienawiścią i czekał, aż Danny się podniesie. Podczas minuty przerwy, gdy wrócił do rogu, podszedł doń manager Kelly i zaczął mówić.

— Dostyc tego, do ciężkiej cholery — szeptał chrapliwym głosem. — Kładź się, Rivera. Posłuchaj mnie, a zrobisz karierę. Następnym razem dam ci położyć Danny'ego. Ale dziś musisz ustąpić.

Po oczach Rivery widać było, że słyszał. Nie dał jednak po sobie poznać, czy się zgadza, czy nie.

— Czemu nic nie mówisz? — zapytał Kelly ze złością.

— Przegrasz, tak czy siak — dodał Spider Hagerty. — Już się sędzia o to postara. Słuchaj Kelly'ego i kładź się.

— Poddaj się, kochasiu — błagał Kelly. — Pomogę ci zdobyć tytuł mistrza.

Rivera nie odpowiedział.

— Pomogę, jak Boga kocham — powtórzył Kelly.

Gdy uderzył gong, Rivera wyczuł, że coś się święci. Ale nie na sali. Cokolwiek to było, czyhało na niego tu, na ringu, całkiem blisko. Danny jakby odzyskał poprzednią pewność siebie. Śmiałość jego ataków przerażyła Riverę. Coś tutaj knuli przeciw niemu. Danny natarł, ale Rivera unikał spotkania. Od skoczył w bok na bezpieczną odległość. Przeciwnik dążył niewątpliwie do zwarcia. Widocznie było mu to potrzebne do jakiejś sztuczki. Rivera cofał się i wymykał Danny'emu, ale wiedział, że prędzej czy później nie uniknie zwarcia i podstępny. Powziął rozpaczliwą decyzję: spróbuje szczęścia. Gdy Danny znów natarł na niego, Rivera udał, że chce się z nim zewrzeć. W ostatniej chwili, kiedy ciała ich już miały się zetknąć, zgrabnie odskoczył w tył. W tej samej sekundzie z rogu Danny'ego dały się słyszeć okrzyki: „faul!” Za wcześnie — Rivera ich nabrał. Sędzia nie wiedział, co robić. Już miał na ustach orzeczenie, ale nim zdążył się odezwać, jakiś chłopak przenikliwym głosem

krzyknął z galerii:

— Tylko bez kantów!

Danny głośno łząc Riverę rzucił się na niego. Meksykanin dalej się cofał. Postanowił nie zadawać już ciosów w tułów. W ten sposób tracił połowę szans zwycięstwa, lecz wiedział, że zwyciężyć może jeszcze tylko wtedy, gdy będzie walczył na dystans. Byle co wystarczy teraz, aby sędzia zdyskwalifikował go za nieuczciwą walkę.

Danny nie zachowywał już żadnych środków ostrożności. Przez dwie rundy grzmocił Riverę, który nie miał odwagi przyjąć walki z bliska. Meksykanin zbierał grąd uderzeń, byle tylko uniknąć zgubnego zwarcia. Podczas tego wspaniałego końcowego ataku Warda publiczność zerwała się z miejsc i po prostu oszalała. Już nic nie rozumieli. Widzieli tylko, że ich ulubieniec mimo wszystko zwycięża.

— Czemu nie walczysz? — wołali z gniewem do Rivery. — Ty tchórze! Tchórze! Nie uciekaj, szczeniaku! Bij się! Zabij go, Danny! Zabij! Już go masz, Danny! Zabij!

W całej sali jeden Rivera zachował zimną krew. Z pochodzenia i temperamentu był najgorętszy z nich wszystkich. Ale przeszedł już w życiu przez takie piekło, że ten zbiorowy szal i wrzask dziesięciu tysięcy gardeł, narastający jak huragan, robił na nim wrażenie lekkiego powiewu chłodu w letni wieczór.

W siedemnastej rundzie Danny zebrał wszystkie siły. Riverę ugiął się i zatoczył w tył pod ciężarem ciosu. Ramiona zwisły mu bezwładnie. Danny uznał, że nadeszła pora. Chłopak był na jego łasce. Lecz Rivera tylko zmylił w ten sposób czujność przeciwnika i zadał mu straszliwy cios w szczękę. Danny upadł. Gdy się podniósł, Rivera powalił go potężnym ciosem prawej w nasadę szczęki. Powtórzył to trzy razy. Żaden sędzia nie mógłby uznać tych ciosów za faul.

— Och, Bill, Bill! — płaczącym głosem zawołał Kelly do sędziego.

— Nie da rady! — żałośnie odparł sędzia. — Nie ma się do czego przyczepić.

Danny, rozbity, ale bohaterski, podniósł się jeszcze raz. Kelly i inni widzowie z pierwszych rzędów zaczęli wołać policję, by przerwała mecz, choć sekundanci Danny'ego nie chcieli rzucić ręcznika. Rivera ujrzał, jak gruby komisarz policji niezgrabnie przełazi przez liny. Nie wiedział, co to znaczy. Gringowie są zdolni do tyłu podstępów! Ward jak pijany zataczał się bezradnie przed nim. Sędzia i komisarz już mieli złapać Riverę, gdy zadał ostatni cios. Nie trzeba było przerywać walki. Danny już się nie podniósł.

— Licz! — ochryplym głosem krzyknął Rivera.

Gdy sędzia skończył wyliczanie, sekundanci Danny'ego odnieśli go do rogu.

— Kto wygrał? — zapytał Rivera.

Sędzia niechętnie ujął jego dłoń w rękawicy i uniósł w górę.

Nikt nie gratulował Riverze. Odszedł sam do swego rogu, w którym sekundanci nie postawili jeszcze krzeselka. Oparł się plecami o sznury i spojrzał na nich z nienawiścią. Potem powiódł wzrokiem po sali, aż ogarnął całe dziesięć tysięcy gringów. Kolana pod nim drżały, łkał z wyczerpania. Doznał zawrotu głowy i mdłości: znieprawione twarze kołysały mu się przed oczami. Nagle przypomniał sobie, że to są karabiny. Zdobył karabiny! Rewolucja może się rozpocząć.

NA KOBIERCU MAKALOA

W przeciwieństwie do kobiet większości ras południowych Hawajki starzeją się ładnie i z wiekiem szlachetnieją. Chociaż niewiasta siedząca pod drzewem *hau* nie uciekała się do pomocy szminki czy innych chytrych prób ukrycia tego, co czas spustoszył, sędzia, właściwy do orzekania w takich sprawach, wszędzie na świecie prócz Hawaj nie dałby jej więcej niż lat pięćdziesiąt. Ale jej dzieci i wnuki wiedziały i wiedział Roscoe Scandwell, który był jej mężem od lat czterdziestu, że ma sześćdziesiąt cztery lata i w dniu dwudziestym drugim czerwca skończy sześćdziesiąt pięć. Nie wyglądała jednak na to, choć do czytania wkładała okulary, zdejmowała je zaś, gdy jej wzrok miał powędrować ku gromadce dzieci bawiących się na trawniku.

Kobieta żyła w warunkach wspaniałych, tak wspaniałych jak starodawne drzewo *hau* wielkości domu, pod którym siedziała niczym w domu, tyle przestronnej wygody zapewniały sprzęty ustawione w jego cieniu; w warunkach tak wspaniałych jak trawnik, którego zielony kobierzec, po cenie szacunkowej dwustu dolarów za stopę, rozpościerał się w kierunku lądu aż do bungalow, nie mniej godnego, wspaniałego i kosztownego. W kierunku przeciwnym, widoczny spoza zasłony palm kokosowych stustopowej wysokości, był ocean za grzbietem raf ciemnoniebieski i ku horyzontowi przechodzący w niebieski z odcieniem indygo, w lagunie lśniący jedwabistą gamą jaspisu, szmaragdu i turmalinu.

A byj j to tylko jeden z sześciu domów Marty Scandwell. Jej dom w mieście, w odległym o kilka mil Honolulu, położony przy ulicy Nuuanu między pierwszą a drugą fontanną, należałoby raczej nazwać pałacem. Całe zastępy gości znały wygodę i rozkoszną atmosferę domu Marty na szczycie Tantalusa, domu wśród pagórków wulkanicznych, domu *mauka* (podgórskiego) i domu *makai* (nadmorskiego) na wielkiej wyspie Hawaj. Jednakże dom na Waikiki nie ustępował tamtym ani pod względem piękności, ani dostojności czy luksusu, Dwaj japońscy pomocnicy ogrodnika strzygli hibiskusy, trzeci ze znajomością rzeczy pielęgnował długi żywopłot z *cereusów*, które miały niedługo obsypać się kwiatami w swym tajemniczym nocnym kwitnieniu. Japoński służący w nieskazitelnie białym ubraniu niósł tacę z przyborami do herbaty, za nim szła japońska pokojówka w stroju narodowym, śliczna jak barwny motyl i podobna do trzepoczącego skrzydłami motyla, tak niecierpliwie pragnęła usłużyć swej pani. Druga japońska pokojówka, z naręczem włochatych ręczników, śpieszyła przez trawnik w prawo, ku kabinom nadmorskim, skąd zaczynały wychodzić dzieci w kostiumach kąpielowych. Dalej, w cieniu palm nad brzegiem oceanu, dwie chińskie niańki w ślicznych ludowych strojach — białych *jiszon* i prostych spodniach, z czarnymi warkoczami spadającymi na plecy, pilnowały dwóch niemowląt w wózkach.

A wszystko to — służba, niańki, wnuczęta — należało do Marty Scandwell.

Podobnie jak do niej należał koloryt skóry wnuków — nie pozostawiająca cienia wątpliwości barwa hawajska, powstała pod działaniem hawajskiego słońca. Dzieci były zaledwie w jednej ósmej lub jednej szesnastej Hawajczykami, czyli że siedem ósmych lub piętnaście szesnastych białej krwi przepływało pod ich skórą, nie zdołało jednak zatrzeć odrobiny złotawego polinezyjskiego brązu. Mimo to tylko wytrawny obserwator mógłby zauważyć, że baraszkuje dzieci nie są białymi czystej krwi. Roscoe Scandwell, dziadek, był w stu procentach biały, Marta była biała w trzech czwartych, ich liczne córki i synowie — w siedmiu ósmych; wnuki miały albo piętnaście szesnastych białej krwi, albo siedem ósmych, w przypadku gdy ich ojcowie czy matki posiadający siedem ósmych białej krwi weszli w związki z podobnymi mieszaiącami. Szczep był po obu stronach dobry. Roscoe wywodził się w prostej linii z purytanów Nowej Anglii, Marta w linii nie mniej prostej — z królewskiego rodu Hawaj, którego genealogię sławiono w hawajskich *meles* na tysiąc lat przed przyjęciem pisma.

W oddali zatrzymał się samochód i wysiadła z niego, kobieta, której można by było dać lat najwyżej sześćdziesiąt. Szła przez trawnik lekkim krokiem dobrze pielęgnowanej kobiety czterdziestoletniej, w rzeczywistości miała jednak lat sześćdziesiąt osiem. Marta wstała i przywitała, ją z hawajską serdecznością — objęła, pocałowała w usta, przy czym twarze i nawet ciała obu kobiet wyrażały szczerą i bezmiar niefałszowanego afektu. Powtarzały się w kółko okrzyki: „siostra Bella” i „siostra Marta”, przeplatane bezładnymi pytaniami o siebie wzajem i o stryja Tego, brata Tamtego i ciotkę Jeszcze Inną, aż wreszcie, gdy minęło pierwsze wzruszenie, kobiety — z oczami zwilgotniałymi od czulej miłości — usiadły spoglądając na siebie ponad filiżankami z herbatą. Na pozór mogłoby się zdawać, że ich rozstanie trwało lata. W rzeczywistości tylko dwa miesiące dzieliły je od ostatniego widzenia, jedna zaś miała lat sześćdziesiąt cztery, druga sześćdziesiąt osiem. Ale wszystko wyjaśniał fakt, że obie miały w piersi jedną czwartą gorącego słońcem i gorącą miłością serca Hawaj.

Dzieci otoczyły idiotkę Bellę ze wszystkich stron, jak fale przypląwu, i zostały przez nią szczerze wycalowane i wyściskane, po czym w towarzystwie opiekunek odeszły na plażę.

— Postanowiłam na kilka dni pojechać nad morze. Pasat właśnie przestał wiać — wyjaśniła Marta.

— Jesteś tu już dwa tygodnie; — Bella uśmiechnęła się czule do młodszej siostry. — Powiedział mi o tym brat Edward. Przyszedł na pokład i koniecznie chciał mnie zawieźć wpierw do Ludwika i Doroty, żebym zobaczyła ich pierwszego syna. Zupełnie oszalał na punkcie tego wnuka.

— Litości! — zawołała Marta. — Nigdy bym nie przypuszczała, że to tak długo.

— A gdzie Anna? I Małgorzata? — spytała Bella.

Marta wzruszyła rozłożystymi ramionami. Gestem tym wyraziła bezgraniczną i wszystko przebaczącą miłość do dwóch samowolnych i bardzo macierzyńskich córek, które na to popołudnie pozostawiły dzieci pod jej opieką.

— Małgorzata jest na zebraniu Koła Pracy Społecznej. Zamierzają wysadzić obie

strony Alei Kalakaua drzewami i krzewami hibiskusa — odparła. — Anna ściera właśnie na drogach opony wartości osiemdziesięciu dolarów po to, żeby zebrać siedemdziesiąt pięć dolarów na Brytyjski Czerwony Krzyż. Dzisiaj jest ich dzień zbiórki.

— Roscoe musi być bardzo dumny — powiedziała Bella i natychmiast zauważyła błysk dumy w oczach siostry. — Dowiedziałam się w San Francisco o pierwszej dywidendzie wypłacanej przez Ho-o-la-a. Pamiętasz, jak dla dzieci biednej Abbie kupiłam tych akcji za tysiąc dolarów, po siedemdziesiąt pięć centów sztuka? I jak powiedziałam, że je sprzedam, jeżeli cena skoczy do dziesięciu dolarów?

— Wszyscy się wtedy z ciebie śmieli, i z każdego, kto je kupował — przytaknęła Marta. — Ale Roscoe wiedział, co robi. Dziś są notowane po dwadzieścia cztery dolary.

— Sprzedałam mój pakiet telegraficznie, ze statku, po równo dwadzieścia — ciągnęła Bella. — I teraz Abbie sprawia sobie suknie jak szalona. Jedzie z May i Tootsie do Paryża.

— A Karol?

— Och, nie ma obawy, Karol skończy naturalnie swój Yale ...

— Co i tak było murowane, a o czym ty wiesz najlepiej. — Marta zaatakowała siostrę, w sposób uroczy posługując się dwudziestowiecznym żargonem.

Bella przyznała się do grzesznego zamiaru opłacenia kosztu studiów uniwersyteckich syna swej szkolnej przyjaciółki. Po czym dodała, zadowolona z siebie:

— Ale zawsze przyjemniej, że zrobią to za mnie Ho-o-la-a. Chociaż w pewnym sensie jest to zasługa Roscoe, ponieważ kupując akcje zaufałam jego zdaniu. — Rozejrzała się uważnie, obejmując wzrokiem nie tylko piękno, wygodę i spokój, które tutaj panowały, lecz także ogrom piękna, wygody i spokoju, jakie one roztaczały wokół siebie w oazach podobnych do tej, rozsianych po wyspie.

— Wszyscy nasi mężowie dali nam dobrobyt stworzony z tego, cośmy im wniosły.

— I szczęście... — zaczęła Marta, lecz urwała z podejrzaną raptownością.

— I szczęście... wszystkim prócz siostry Belli — dokończyła Bella przebacząc jej nietakt.

— Straszna sprawa to twoje małżeństwo — wyszeptała Marta tkliwie, z bezgranicznym współczuciem. — Byłaś taka młoda. Stryj Robert nie powinien był cię zmuszać.

— Miałam zaledwie dziewiętnaście lat — przytaknęła Bella. — Ale nie można winić o nic George'a Castnera. Zresztą pomyśl, co on dla mnie zrobił jeszcze z za grobu. Stryj Robert postąpił mądrze. Wiedział, że George ma zdolność przewidywania, że jest dalekowzroczny, energiczny i wytrwały. Poznał się — a było to pięćdziesiąt lat temu — na wartości praw wodnych Nahala, których wtedy nikt nie doceniał. Ludzie myśleli, że George walczy o kupno pastwisk, a on walczył o przyszłość wody. Sama wiesz najlepiej, jak mu się powiodło. Niekiedy bliska jestem uczucia wstydu na myśl o moich dochodach. Nie. Nie z winy George'a nasze małżeństwo nie ułożyło się szczęśliwie. Gdyby żył, mogłabym być z nim szczęśliwa

aż po dziś dzień. Wiem o tym. — W zamyśleniu potrząsnęła głową. -Nie, nie była to jego wina. Ani niczyja. Nawet nie moja. Jeżeli w ogóle można kogoś winić — tu uśmiech tęskny i ciepły pozbawił ją słowa, które miała wypowiedzieć — jeżeli można w ogóle kogoś winić, to tylko stryj Johha.

— Stryj Johna! — zawołała Marta ze zdumieniem. — Gdybym miała wybierać między jednym a drugim, powiedziałabym, że to stryj Robert zawinił. Ale stryj John!

Uśmiech Belli dowodził, że jest pewna swego.

— Przecież to stryj Robert zmusił cię do małżeństwa z George'em Castnerem — nalegała Marta.

— Słusznie — przytaknęła Bella. — Ale nie idzie tu o męża, tylko o konia. Chciałam pożyczyć konia od stryja Johna i stryj pozwolił. Tak się to wszystko zaczęło.

Zapadła cisza nabrzmiała uczuciem, zagadkowa, a gdy zbliżyły się płynące od strony plaży głosiki dzieci i łagodne upomnienia azjatyckich służących, Martę Scandwell przebiegł dreszcz nagle powziętego, śmiałego postanowienia. Kazała dzieciom odejść.

— Uciekajcie, maleństwa, uciekajcie. Babcia chce porozmawiać z ciocią Bellą..

Cienkie, słodkie dyszkanty dziecięcych głosów odpłynęły na kraniec trawnika. Marta z dociekliwością idącą z głębi serca przyjrzała się smutnym liniom, które tajona boleść przez pół wieku rzeźbiła na twarzy siostry. Obserwowała te linie od lat blisko pięćdziesięciu. Teraz stłumiła delikatność hawajskiej natury, aby po raz pierwszy od tylu lat przełamać milczenie.

— Bello... — zaczęła. — Nie wiedzieliśmy nic. Samaś nigdy o tym nie wspominała. Ale zastanawialiśmy się, och, jakże często...

— I nigdy nie pytaliście o nic — wyszeptwała Bella z wdzięcznością.

— Za to pytam się teraz... nareszcie. Nadszedł zmierzch naszego życia. Posłuchaj ich głosów! Czasem odczuwam przerażenie na myśl, że to są wnuki, moje wnuki, że jestem ich babką — ja, która zaledwie wczoraj byłam silną, zdrową, beztruską dziewczyną dosiadającą konia, pływającą w pianistych falach oceanu, zbierającą *opihis* podczas odpływu, przekomarzającą się z wielbicielami. Teraz, na progu starości, zapomnijmy o wszystkim prócz tego, że cię kocham, siostrze, i że ty mnie kochasz.

Oczy obu kobiet zalśniły łzami. Bella wyraźnie pragnęła mówić.

— Przypuszczaliśmy, że zawinił George Castner — ciągnęła Marta. — I domyślaliśmy się szczegółów. Zimny był z niego człowiek, ty byłaś gorącą Hawajką. Musiał być chyba okrutny. Zdaniem brata Walcotta bił cię i...

— Nie, nie! — przerwała Bella. — George Castner nie był nigdy brutalny, nie był zwierzęciem. Czasem żałowałam, że nie jest. Nigdy mnie nie uderzył. Nigdy nie podniósł na mnie ręki, nigdy nie podniósł głosu. Nigdy... siostrze, czy mi uwierzysz? Och, proszę, uwierz mi... nigdy nie kłóciliśmy się, nie wpadali w gniew. Ale jego dom... nasz dom w Nahala był szary. Nie znalazłabyś w nim barw innych niż szare, posępne, zimne, a ja przecież jaśniałam wszystkimi kolorami słońca i ziemi, krwi i

hawajskiej rasy. Bardzo mi było zimno w Nahala, szaro i zimno z tym moim szarym, zimnym mężem. Wiesz przecież, Marto, że on był szary. Szary jak Emerson na portretach, które widywaaliśmy w szkole. Skórę miał szarą. Słońce, powietrze, godziny spędzone w siodle nie zdołały przybrązować mu skóry. A wewnątrz był tak szary jak na zewnątrz.

Miałam zaledwie dziewiętnaście lat, kiedy stryj Robert powziął za mnie postanowienie. Jakże mogłam wiedzieć? Stryj Robert rozmawiał ze mną, tłumaczył, jak to ziemia hawajska przechodzi stopniowo w ręce *haolów* (białych). Wodzowie hawajscy wypuszczali z rąk własność hawajska. Majątki kobiet ze znakomitych rodów, które wychodziły za mąż za *haolów*, rozrastały się zdumiewająco pod zarządem ich białych mężów. Stryj Robert dał mi za przykład dziadka Rogera Wiltona; który wziął za babką Wilton tę biedną ziemię *mauka* i dokupił grunty, i założył hodowlę Kilohana...

— Która nawet już wtedy ustępowała tylko hodowli Parkerów — przerwała dumnie Marta.

— Stryj Robert powiedział, że gdyby nasz ojciec był tak przewidujący jak nasz dziadek, Kilohana powiększyłaby się o połowę ówczesnej własności Parkerów, dzięki czemu znalazłaby się na pierwszym miejscu. Mówił też, że nigdy, prze nigdy wołowe mięso nie potanieje. I dodał, że przyszłością Hawaj jest cukier. Było to pięćdziesiąt lat temu i czas pokazał, ile słuszności miał stryj Robert. Powiedział mi jeszcze, że młody Mole, George Castner, jest przewidujący i zajdzie daleko, że w domu jest nas dużo dziewcząt, a grunty Kilohana powinny z prawa przejść na chłopców, i że jeśli wyjdę za George'a, będę miała zapewnioną piękną przyszłość.

Miałam tylko dziewiętnaście lat. Dopiero co wróciłam do domu po skończeniu Królewskiej Szkoły Głównej... bo działo się to, nim nasze dziewczęta zaczęły jeździć na studia do Stanów. Ty, siostrzo Marto, należałaś do pierwszych, które otrzymały wykształcenie na amerykańskim kontynencie. Cóż mogłam wiedzieć o miłości i mężczyznach, co mogłam wiedzieć o małżeństwie? Wszystkie kobiety wychodziły za mąż. Było to ich celem w życiu. Matka, babka... jak daleko sięgnąć wstecz, wszystkie miały mężów. Moim celem w życiu było wyjść za mąż za George'a Castnera. Tak rzekł stryj Robert w swojej mądrości, a ja wiedziałam, że był mądry. Zamieszkałam więc z George'em w szarym domu w Nahala.

Pamiętasz ten dom. Ani jednego drzewa, tylko pagórki porośnięte trawą, za nimi wysokie góry, w dole ocean — i wiatry. Wiatry Waimea i Nahala, oba u nas wiały, a także wiatr *kona*. Ale niewiele bym sobie z nich robiła, podobnie jak niewieleśmy sobie z nich robili w Kilohana czy w Mana, gdyby Nahala nie była taka szara i gdyby nie był szary mój mąż, George. Mieszkaliśmy tam sami. George zarządzał Nahalą dla Glennów, którzy wrócili do Szkocji. Otrzymywał tysiąc osiemset dolarów rocznie, a ponadto mięso, konie, cowbojów do służby i mieszkanie w domu na ranczy...

— W tamtych czasach była to wysoka płaca — wtrąciła Marta.

— Dla George'a Castnera, za usługi, jakie oddawał, pensja była bardzo licha — broniła go Bella. — Żyłam z nim trzy lata. Nie zdarzyło się ani razu, żeby rankiem

wstał z łóżka później niż o wpół do piątej. Całą duszą był oddany chlebobdawcom. Skrupulatnie uczciwy w rozliczeniach, poświęcał im pełną miarę — albo i więcej — swego czasu i energii. Może to właśnie powiększało szarzyznę naszego życia. Ale posłuchaj, Marto. Z tysiąca ośmiuset dolarów odkładał co roku tysiąc sześćset. Pomyśl tylko! Żyliśmy we dwoje za dwieście dolarów na rok. Na szczęście nie pił ani nie palił. Musiało nam to starczyć także na odzienie. Sama szyłam wszystkie swoje suknie. Możesz je sobie wyobrazić. Cowboye rąbali drzewo na opał, poza tym całą robotę ja wykonywałam. Gotowałam, piekłam, szorowałam...

— Ty, która od dzieciństwa nie wiedziałaś, co to życie bez służby! — rzekła Marta współczująco. — W Kilohana mieliśmy ich całe zastępy.

— Och, najgorsza była ta licha, naga, dokuczliwa bieda! — Wykrzyknęła Bella. — Na jak długo, na jak bardzo długo musiał mi starczyć funt kawy! Szczotka wycierała się do drewna, zanim George kupił nową! I ta wołowina! Pieczeń wołowa i wołowina suszona, rano, wieczór i w południe! I owsianka! Nigdy potem nie wzięłam do ust owsianki ani żadnej innej kaszy podawanej na śniadanie.

Nagle Bella wstała i odeszła kilka kroków. Przez chwilę spoglądała niewidzącymi oczami na bogactwo barw rafy koralowej, usiłując odzyskać równowagę. A gdy wróciła do Marty, w postawi jej było znowu dostojeństwo, swobodna pewność siebie, wdzięk, których nie pozbawi kobiety hawajskiej żadne krzyżowanie ras. Bardzo *haole* była Bella Castner, cerę miała jasną i piękną. A jednak gdy wracała na miejsce, podniesiona wysoko głowa, spokojne spojrzenie podłużnych brązowych oczu pod królewskimi łukami brwi, łagodny zarys warg, które po latach sześćdziesięciu ośmiu wciąż świadczyć mogły o słodczy dawnych pocałunków — wszystko to czyniło z niej istny wizerunek Hawajki ze znakomitego, prastarego rodu, nie zatarty mimo obfitości białej krwi. Wyższa; była niż jej siostra Marta i chyba bardziej majestatyczna.

— Wiesz, wszyscy nas znali z ubogiej kuchni — zaśmiała się Bella pogodnie. — Odległość z Nahala do najbliższego osiedla ludzkiego wynosiła wiele mil. Niekiedy zapóźnieni po dróżni albo tacy, których złapała w drodze burza, zajeżdżali do nas na noc. Wiesz, Marto, jaka była wtedy — i jest nadal — obfitość wszystkiego na wielkich ranczach. Jakże ludzie się z nas śmiali! „Więc co z tego? — zapytywał George. — Oni żyją chwilą obecną, dniem dzisiejszym. Za dwadzieścia lat, Bello, przyjdzie kolej na nas. Oni będą dokładnie tym, czym są dzisiaj. Będą jedli nam z ręki. Trzeba będzie ich wtedy żywić, będą tego potrzebowali. A wtenczas my ich nakarmimy do syta, bo będziemy bogaci... aż ci się boję powiedzieć, jak bardzo bogaci. Ale wiem, co wiem, a ty musisz mi zaufać”.

George miał rację. W dwadzieścia lat później — chociaż on tego nie dożył — mój dochód wzrósł do tysiąca dolarów miesięcznie. Ach, nawet nie wiem, ile wynosi obecnie! Ale wtedy miałam zaledwie dziewiętnaście lat, mówiłam więc George'owi: „Dzisiaj! Dzisiaj! Przecież my żyjemy dzisiaj. Za dwadzieścia lat może już nas nie będzie na świecie. Chcę nowej szczotki. I jest w sprzedaży tani gatunek kawy, tylko o dwa centy na funcie droższy od tego okropieństwa, które pijemy. Dlaczego nie mogę smażyć jajek na maśle — dzisiaj? Tak bardzo pragnęłabym mieć chociaż

jeden nowy obrus. A nasza pościel! Wstyd mi, kiedy ścielę łóżka gościom, chociaż Bóg świadkiem, że nieczęsto odważają się u nas zatrzymać”.

„Cierpliwości, Bello — odpowiadał George. — Niedługo, najwyżej za kilka lat ci, którzy teraz niechętnie siadają u naszego stołu czy śpiąją w naszej pościeli, dumni będą, gdy ich do siebie zaprosimy... ci, którzy tego dożyją. Pamiętasz, jak to było ze Stevenssem, kiedy umarł w zeszłym roku? Żył szeroko, wesoło, przyjaciel wszystkich, tylko wróg siebie samego. Ludzie w Kohala musieli go pochować na swój koszt, bo nie zostawił nic prócz długów. Przekonasz się, innych czeka to samo. Weź na przykład twojego brata Hala. W tym tempie nie pożyje dłużej niż pięć lat, a ponadto łamie serca swoim stryjom. Albo taki ksiązę Lilolilo. Przelatuje koło mnie jak burza, za nim na koniach z pół setki silnych kanaków, którym na lepsze by wyszło, gdyby wzięli się do pracy i pomyśl leli o przyszłości, bo ksiązę Lilolilo nigdy nie zostanie królem Hawai. Nie dożyje tego”..

George miał rację. Brat Hal umarł. Umarł też ksiązę Lilolilo. Ale George nie we wszystkim miał rację. On, który nie pił ani nie palił, nigdy nie nadużywał siły ramienia w miłosnym uścisku ani nie tracił sekundy czasu na dotyk warg w pocałunku dłuższym niż najbardziej przelotne muśnięcie, który wstawał zawsze przed pianiem koguta i zasypiał, zanim wypaliła się jedna dziesiąta nafty w lampie, który nigdy nie myślał o śmierci, umarł przed bratem Halem i księciem Lilolilo.

„Bądź cierpliwa, Bello — mówił stryj Robert. — George Castner jest człowiekiem z przyszłością. Dobry zrobiłem dla ciebie wybór. Twoje obecne utrapienia są utrapieniami na drodze do ziemi obiecanej. Hawajczycy nie będą zawsze rządzili Hawajami. Tak jak pozwolili, aby bogactwo wymknęło im się z rąk, tak też wypuszczą z rąk władzę. Władza i ziemia zawsze idą w parze. Nadejdą wielkie zmiany, wybuchną rewolucje — nikt nie wie ile i jakiego rodzaju. Ale jedno jest pewne: w końcu *haole* zdobędą ziemię i władzę. A wtedy ty zostaniesz pierwszą damą Hawai, co tak jest niewątpliwe jak to, że George Castner zostanie wielkorządcą Hawai. Tak zapisane jest w księgach. Dzieje się tak wszędzie tam, gdzie *haole* wiodą spór z ustępliwymi rasami. Ja, twój stryj Robert, który jestem pół Hawajczykiem i pół białym, wiem, co mówię. Cierpliwości, Bello, cierpliwości”.

„Kochana Bello” mówił stryj John. A ja wiedziałam, że w sercu ma dla mnie czułość. Bogu dzięki, nigdy nie radził, żebym była cierpliwa. Wiedział. Był bardzo mądry. Ludzki i pełen serca, dlatego mądrzejszy niż stryj Robert i George Castner, którzy poszukiwali rzeczy materialnych, nie ducha, którzy woleli wpisywać pozycje do księgi głównej niż zliczać uderzenia serca przy sercu, którzy woleli sumować długie kolumny cyfr niż wspominać uściski czy pieśczętę spojrzenia, słowa, dotyku. „Kochana Bello” mówił stryj John. Stryj John wiedział. Słyszeliśmy wszyscy o jego miłości do księżniczki Naomi. Był wiernym kochankiem. Kochał tylko ten jeden je dyny raz. Ludzie mówili, że po jej śmierci zdziwaczał. To prawda. Miał tylko tę jedną miłość w życiu. Pamiętasz jego pokój w domu w Kilohana, którego progę nie wolno nam było przekraczać? Przekonaliśmy się dopiero po śmierci stryja Johna, że było to miejsce poświęcone jej pamięci. „Kochana Bello” mówił tylko i nie dodawał nic więcej, ale ja wiedziałam, że on wie.

A miałam zaledwie dziewiętnaście lat i krew miałam gorącą od hawajskiego słońca, mimo że w trzech czwartych byłam biała. I nie znałam w życiu nic prócz wspaniałości dzieciństwa spędzonego w Kilohana, prócz wykształcenia zdobytego w Królewskiej Szkole Głównej w Honolulu, prócz mojego szarego męża w Nahala z jego szarymi kazaniami, stosującego w praktyce nakazy trzeźwości i oszczędności, i prócz dwóch bezdzietnych stryjów, z których jeden odznaczał się chłodną zdolnością przewidywania, drugi miał złamane serce i był zatopionym w marzeniach kochankiem zmarłej księżniczki.

Wyobraź sobie ten szary dom! Ja, która znałam beztroskę, uciechy, dźwięczącą śmiechem radość życia w Kilohana i u Parkerów w starym Mana, i w Puuwaawaa! Pamiętasz przecież. Żyliśmy w tamtych czasach w feudalnym przepychu. Czy uwierzysz, czy zdołasz mi uwierzyć, Marto, że moja maszyna do szycia w Nahala była jedną z tych, które pierwsi misjonarze przywieźli na Wyspy? Taki maleńki, zwariowany przyrząd z kółkiem poruszającym ręką!

Robert i John dali George'owi za mnie w posagu każdy po pięć tysięcy dolarów. Ale George prosił, żeby to zostało tajemnicą. Tylko my czworo wiedzieliśmy o tej sumie. I podczas gdy ja szłam sobie na mojej zwariowanej maszynie tanie *holoki*, on kupował ziemię — wiesz, te grunty w górnym Nahalu — kawałek po kawałku, przy czym każdą transakcję poprzedzały najzaciętsze targi prowadzone z miną człowieka w skrajnej nędzy. Dzisiaj sam kanał Nahala przynosi mi czterdzieści tysięcy na rok.

Ale czy było warto? Cierpiałam niedostatek. Ach, gdyby choć raz oszalały z miłości George zgniótł mnie w uścisku swych ramion! Gdyby choć raz poświęcił mi pięć minut z czasu przeznaczonego na własną pracę czy obowiązki względem chlebodawców! Niekiedy miałam ochotę krzyczeć albo chlusnąć mu w twarz tę wieczną owsiankę z miski, albo cisnąć o ziemię maszyną do szycia i zatańczyć na niej *hula* — tylko po to, żeby on wybuchnął, żeby wpadł w gniew, żeby stał się ludzki, brutalny, żeby był wreszcie człowiekiem, a nie szarym, zimnym półbogiem.

Tragiczny wyraz, prędko znikł z twarzy Belli. Roześmiała się szczerze na wspomnienie czegoś wesołego.

— Kiedy wpadałam w taki nastrój, George przypatrywał mi się z powagą, z powagą badał mi puls i oglądał język, z powagą odmierzał porcję oleju rycynowego, z powagą kazał mi się kłaść wcześniej do łóżka, obkładał mnie gorącymi fajerkami i zapewniał, że rano poczuję się lepiej. Wcześniej do łóżka! Nasze najbardziej szaleńczo długie wieczory kończyły się o dziewiątej! Zazwyczaj szliśmy spać o ósmej. Oszczędność nafty. W Nahala nie jadałszy obiadów. Pamiętasz ten długi stół w Kilohana, przy którym podawano obiady? Ale my z George'em jadałszy tylko kolacje. A potem on siadał po jednej stronie stołu, tuż przy lampie, i przez godzinę czytał stare, pożyczone pisma, a ja siadałam po drugiej stronie i cerowałam jego skarpetki i bieliznę. Nosił zawsze takie tandetne, liche rzeczy. A kiedy on kładł się spać, ja także szłam do łóżka. Byłoby to marnotrawstwo nafty, gdyby tylko jedno miało z niej korzystać. George przygotowywał się do spania zawsze w ten sam sposób: nakręcał zegarek, zapisywał do dziennika stan pogody w tym dniu,

zdejmował buty — niezmiennie najpierw prawy, potem lewy — i ustawiał je jeden obok drugiego na podłodze w nogach łóżka, po swojej stronie.

Nie znałam nigdy tak czystego człowieka. Nigdy po raz drugi nie wkładał tej samej bielizny. Ja robiłam pranie. Był aż boleśnie czysty. Golił się dwa razy dziennie. Używał do mycia dwa razy więcej wody niż kanakowie. Pracował za dwóch *haole*. I pierwszy dostrzegł przyszłość wód Nahala.

— I dał ci bogactwo, ale nie dał szczęścia — wtrąciła Marta.

— Czym jest właściwie bogactwo, siostrze Marto? Mój nowy pierce-arrow przyjechał ze mną na statku. Trzeci w ciągu dwóch lat. Ale czymże są wszystkie samochody i wszystkie bogactwa świata w porównaniu z kochankiem — z tym jedynym kochankiem, towarzyszem, z którym chce się żyć, pracować u jego boku, cierpieć, weselić się, z tym jedynym mężczyzną, mężem, kochankiem...

Głos Belli rozplątał się w ciszy. Siostry siedziały milcząc, podczas gdy przez trawnik kuśtykała ku nim staruszka z kijem w rękę, zdeformowana, skurczona, pochylona pod ciężarem stuletniego życia. Jej oczy — a raczej szparki obwiedzione zwiedłą skórą — były bystre niczym oczy ichneumona. Przysiadła najpierw u stóp Belli i w czystej hawajskiej mowie mamrotała śpiewnie bezzębnymi wargami *mele*, pochwalną pieśń na cześć Belli i jej przodków, dodając zaimprovizowane powitanie na Hawajach, dokąd Bella wróciła przez wielkie morze z dalekiej Kalifornii. Podczas gdy stara kobieta mamrotała swą pieśń jej zręczne palce masowały obciążone jedwabnymi pończochami nogi Belli, od kostki, poprzez łydkę, do kolana i uda.

Oczy obu sióstr jaśniały wilgotnym blaskiem, gdy stara służąca z kolei powtarzała swoje *mele* i masowała nogi Marty, i potem, gdy rozmawiały z nią w starodawnej mowie i zadawały odwieczne pytania o zdrowie i wiek, i pra-prawnuków. Ona masowała je, kiedy były jeszcze dziećmi w wielkim domu w Kilohana, podobnie jak przez niezliczone pokolenia kobiety z jej rodu masowały kobiety z ich rodu. Gdy ta krótka wizyta dobiegła końca, Marta odprowadziła staruszkę przez trawnik do bungalow, gdzie włożyła jej do ręki pieniądze i nakazała dumnym, pięknym japońskim pokojówkom podać zniszczonej przez wiek Hawajce *poi*, które robi. się z korzeni lili wodnej, *iamaka*, czyli rybę surową, tłuczone orzechy *kukui* i wreszcie *limu*, potrawę z morskich wodorostów, miękką nawet dla kogoś bezzębnego, lekką i aromatyczną. Objawiły się tu starodawne więzy feudalne, wierność poddanego dla pana i odpowiedzialność, do jakiej poczuwał się pan względem podda nego. Marta, która ze swoją anglosaską krwią była biała w trzech czwartych, pozostała Hawajką pełnej krwi w tym, że pamiętała i zachowywała niemal zapomniane zwyczaje dawnych dni.

Gdy Marta wracała przez trawnik pod drzewo *hau*, Bella podziwiała wzrokiem wzruszającą autentyczność jej postaci, jej rasy. Pocałowała ją serdecznie. Marta by ja odrobinę niższa od Belli, ale tylko odrobinę, i sylwetkę miała może mniej majestatyczną, za to o proporcjach pięknych, szlachetnych, o kształtach raczej złagodzonych niż wyostrzonych przez wiek; jej ciało polinezyjskiej naczelniczki rodu zachwycało żywością pod fałdami na wpół obcisłej, pięknie układającej się w ruchu, czarnej jedwabnej *holoku*, obszytej czarną koronką i droższej niż najdroższy

paryski model.

Gdy siostry podjęły przerwana rozmowę, Obserwator zdołałby zauważyć zdumiewające podobieństwo ich czystych, prostych profilów, szerokich kości policzkowych, wysokich czół, bogactwa stalowych włosów, ślicznych ust, których kształt wyrzeźbiły dziesięciolecia świadomej, wysublimowanej dumy, i pięknych, cienkich łuków brwi nad równie pięknymi, podłużnymi oczami. Ręce obu kobiet, prawie nie zmienione i nie zniekształcone przez wiek, zachwycały smukłością długich, zwężonych ku końcowi palców, miłośnie wymasowanych i ukształtowanych w dzieciństwie przez stare Hawajki podobne tej, która właśnie jadła *poi, iamaka* i *limu*.

— Żyłam tak przez rok — podjęła Bella — i czy wiesz, Marto, stopniowo wszystko zaczęło się układać. Przywiązywałam się po trochu do George'a, mojego męża. Kobiety już są takie. Przynajmniej ja byłam taka. Bo George był dobry, sprawiedliwy. Miał wszystkie odwieczne, rzetelne cnoty purytanina. Zaczęłam więc przywiązywać się do niego, lubić go... nawet chyba kochać. I gdyby stryj John nie pożyczył mi tego konia, na pewno szczerze bym George'a pokochała i do końca żyła z nim szczęśliwie... Naturalnie jakimś życiem bez uniesień.

Widzisz, nie znałam mężczyzn innych, ciekawszych, lepszych. Zaczęłam z radością spoglądać na niego ponad stołem, gdy czytał w krótkiej przerwie między kolacją a spaniem, z radością łowiłam uchem i wsłuchiwałam się w stuk kopyt jego konia, gdy wieczorem wracał do domu po całodziennym objeździe ranczy. A jego skąpe pochwały były prawdziwymi pochwałami i przenikały mnie dreszczem szczęścia. Tak, Marto, rumieniłam się słuchając jego pedantycznych, sprawiedliwych pochwał za rzecz zrobioną dobrze czy słusznie.

I wszystko by się ułożyło, żylibyśmy zgodnie przez resztę naszego życia, gdyby George nie musiał wsiąść na statek i pojechać do Honolulu. W interesach. Miał jechać na dwa tygodnie lub dłużej, najpierw w sprawach Glennów, potem w swoich własnych, żeby kupić nową ziemię w górze Nahala. Czy wiesz, że kupił ogromny szmat dzikiej i pagórkowatej ziemi — bezwartościowej, gdyby nie woda — a także sam dział wodny, po śmiesznej cenie pięć i dziesięć centów za akr?

Powiedział wtedy, że potrzebna mi odmiana. Chciałam pojechać z nim do Honolulu. Ale wzięwszy pod uwagę wydatki, zdecydował, że pojedę do Kilohana. Mój pobyt w domu nie tylko nic nie kosztował, ale co więcej, dawał oszczędność w wydatkach na biedne pożywienie, które zjadłabym będąc sama w Nahala, przez co George mógł kupić więcej nahalskiej ziemi. A w Kilohana stryj John zgodził się pożyczyć mi konia. Och, przez pierwsze dni czułam się w domu jak w raju. Początkowo wprost trudno mi było uwierzyć, że na świecie istnieje tyle jedzenia. Marnotrawstwo w kuchni przygnębiało mnie. Dopatrywałam się go na każdym kroku, tak wzięłam sobie do serca nauki George'a. Ach, w pomieszczeniach kuchennych starzy krewni służby i rozmaici powinowaci pieczeniarze jadali lepiej, niż myśmy się kiedykolwiek żywili z George'em. Pamiętasz, jak to było u nas w Kilohana i jak było u Parkerów — młody wół bity do każdego posiłku i ryby słodkowodne przynoszone przez gońców z jeziora Waipio i Kiholo, i wszystkie

najlepsze i najrzadsze przysmaki sezonu...

I miłość, miłość okazywana tak, jak myśmy ją umieli okazywać w rodzinie! Wiesz, co dla nas znaczył stryj John. A po za nim był brat Walcott i brat Edward, i wszystkie młodsze siostry prócz ciebie i Sally, które przebywałyście w szkole, i ciotka Elżbieta, i ciotka Janet z mężem i dziećmi, właśnie w odwiedzinach. Ach, to nieustanne obejmowanie się i nieustanne pieszczoty, wszystko, za czym tęskniłam przez pełne znoju dwanaście miesięcy. Byłam tego spragniona. Byłam jak niedobitek z zatopionej łodzi, który upada na piach wybrzeża i chłepce słodką wodę w pienistych źródelkach u korzeni palm.

I oni przyjechali konno z Kawaihae, gdzie zeszli na ląd z królewskiego jachtu, wspaniała, tłumna kawalkada. Jechali parami, w girlandach kwiatów, młodzi, szczęśliwi, weseli, na koniach z ranczy Parkerów. Było ich trzydzieścioro, a z nimi setka cowboyów z ranczy i tyleż samo ich własnych sług — królewski dwór w objeździe. Mówię naturalnie o objeździe księżniczki Lihue, rozgorączkowanej i umierającej, o czym wszyscyśmy wiedzieli, na straszne suchoty. Ale towarzyszyli księżniczce jej siostrzeńcy, księżę Lilolilo, witany wszędzie jako przyszły władca, i młodszy jego bracia, Kahekili i Kamalau. Była tam także Ella Higginsworth, która utrzymywała — i słusznie — że w żyłach jej płynie krew po przodkach Kauai tak znakomita, jaką nie może się poszczycić panująca rodzina. Była Dora Niles i Emily Lowcroft... ach, po cóż wyliczać je wszystkie! Z Ellą Higginsworth dzieliłam pokój w Królewskiej Szkole Głównej. Orszak odpoczywał u nas przez godzinę. Nie częstowaliśmy ich *luau*, bo *luau* czekało u Parkerów, a podaliśmy tylko piwo i mocniejsze napoje dla mężczyzn, dla " kobiet lemoniadę, pomarańcze i orzeźwiający arbuzy.

Obejmowałyśmy się i ścisnęłyśmy z Ellą i z księżniczką, która mnie pamiętała, i z innymi dziewczętami i kobietami. Ella przemówiła za mną do księżniczki i księżniczka sama mnie zaprosiła na objazd. Miałam przyłączyć się do nich w Mana, skąd wyruszali za dwa dni. Uderzyło mi to wszystko do głowy, byłam jak szalona — ja, po roku niewoli w szarej Nahala. Wciąż jeszcze miałam dziewiętnaście lat i właśnie za tydzień koń, czyłam dwadzieścia.

Nie przeczuwałam tego, co miało nastąpić. Tak byłam zajęta kobietami, że nie zwróciłam uwagi na Lilolilo. Widziałam go tylko z daleka, wysoki i krzepki górował postacią nad innymi mężczyznami. Nigdy jeszcze nie uczestniczyłam w książęcym objeździe. Widywałam świętę, gdy podejmowano ją w Kilohana i Mana, ale byłam za młoda na objazd, a potem przyszła szkoła i małżeństwo. Wiedziałam, co mnie czeka — dwa tygodnie w raju i pustka przez następne dwanaście miesięcy w Nahala.

Poprosiłam stryja Johna, żeby mi pożyczył wierzchowca, to jest naturalnie trzy wierzchowce, bo musiałam zabrać ze sobą cowboya do posług i luzaka. Nie było wtedy dróg ani samochodów. Ach, Marto, ten mój wierzchowiec! Nazywał się Hilo. Nie pamiętasz go. Byłaś wtedy w szkole, a zanim wróciłaś w następnym roku, Hilo skreślił kark i zabił jeźdźca podczas łowienia dzikich stad. Słyszałaś na pewno... taki młody oficer amerykańskiej marynarki.

— Porucznik Bowsfield — przytaknęła Marta.

— Hilo! Byłam pierwszą kobietą, która go dosiadła. Miał trzy lata, prawie cztery, dopiero niedawno ujeżdżony. Sierść miał tak czarną i tak wspaniale żywą, że zapalające się w niej błyski otaczały go niczym pancierz z roziskrzonego srebra. Był najroślejszym wierzchowcem na ranczy, potomkiem Królewskiego Pioruna i dzikiej klaczy, złapanym zaledwie przed kilku tygodniami. Nigdy nie widziałam tak pięknego konia. Miał krągły, mocno wiązany tułów wierzchowca stworzonego do górskich jazd, pierś szeroką, wypukłą, a do tego rasowy łeb i szyję smukłą, lecz mocną i uszy wrażliwe — nie za małe, bo to by dowodziło krnąbrności, ani nie za duże, bo to wskazywałoby na muli upór. Nogi i kopyta też miał piękne, bez skazy — pewne i mocne, o pęcinnie długiej i sprężystej, dzięki czemu był dla jeźdźca cudem wygody.

— Pamiętam, jak ksiązę Lilolilo mówił stryjowi Johnowi, że jesteś najlepiej jeżdżącą konno niewiastą na Hawajach — wtrąciła Marta. — Było to w dwa lata później, kiedy wróciłam już ze szkoły do domu, a ty wciąż mieszkałaś w Nahala.

— Lilolild tak powiedział! — wykrzyknęła Bella. Światło zabłysło nagle w jej podłużnych, brązowych oczach, gdy przerzuciła w myślach most ponad przestrzenią lat do kochanka nieżyjącego od bez mała pół wieku. Z delikatną skromnością, wrodzoną wszystkim kobietom hawajskim, pokryła spontaniczny wybuch uczucia panegirykiem. na cześć Hilo.

— Och, kiedy galopował ze mną w górę lub w dół trawiastych stoków, było to jak cudowny bieg z przeszkodami, bo w długich susach nie dotykał prawie trawy — skakał jak jelen, jak foksterier, jak królik. I brykał, i tańczył, i hulał! Był wierzchowcem godnym generała, godnym Napoleona lub Kitchenera. A oczu nie miał wcale dzikich, tylko takie... takie łobuzerskie, inteligentne, jakby cieszył się z jakiegoś żartu i miał ochotę śmiać się albo go powtórzyć. Poprosiłam więc stryja Johna, żeby mi pożyczył Hilo. Stryj John spojrzał namnie, ja wpatrywałam się w niego, a chociaż nic nie powiedział, czułam, że jego serce mówi „droga Bello”, i wiedziałam także, że gdy patrzy na mnie, przed oczyma staje mu obraz księżniczki Naomi. Stryj John przyrzekł dać mi Hilo. I tak się zaczęło.

Ale stryj nalegał, żebym wpierw sama wypróbowała wierzchowca. Był trudny, wspaniały i trudny. Nie był jednak przewrotny, złośliwy. Wymykał mi się, wciąż i wciąż, ale ani razu nie dałam mu tego poznać. Nie bałam się go i to mi pomogło wyczuć jego nastrój, dzięki czemu odpędziłam od niego wszelką myśl, że ma nade mną przewagę.

Zastanawiałam się często, czy stryj John przewidywał to, co miało nastąpić. Wiem, że gdy jechałam do Mana, aby połączyć się z orszakiem księżniczki, myśl taka nawet nie powstała mi w głowie. Ach, radosne były to dni! Pamiętasz, z jakim przepychem podejmowali gości starzy Parkerowie. Polowania z włócznią na dziki, polowania ze strzelbą na stada dzikiego bydła, objeżdżanie i cechowanie koni. W pomieszczeniach dla służby tłok, cowboye zjechali się ze wszystkich stron. I przybyły dziewczęta z Waimea i z Waipio, z Honokaa i Paauilo — widzę je dotąd, jak siedzą w długich rzędach na szczycie murku otaczającego zagrodą do ujeżdżania koni i przygotowują *leis* dla cowboyów, swoich kochanków. I te noce, wonne noce,

śpiew *mele* w powietrzu, tańczenie *hula* i pary miłosne przechadzające się pod drzewami wielkich ogrodów Mana...

I książę... — Bella umilkła. Przez długą chwilę jej wciąż piękne, drobne zęby wgrzyzały się głęboko w dolną wargę, a niewidzące oczy błędziły po dalekim szafirze horyzontu, podczas gdy starała się odzyskać panowanie nad sobą. Kiedy napięcie minęło, przeniosła wzrok na siostrę.

— Był księciem, Marto. Widziałas go w Kilošana, gdy wróciłaś z seminarium. Mógł zachwycić oczy każdej kobiety... tak. I każdego mężczyzny. Miał lat dwadzieścia pięć, wiek świetnej, męskiej dojrzałości, a był wspaniały i królewski nie tylko ciałem, ale i duchem. Jakkolwiek szalonym rozrywkom się oddawał, jakkolwiek zuchwałym i dzikim zabawom, nie zapominał nigdy, że pochodzi z rodziny królewskiej i że wszyscy jego przodkowie byli władcami — aż do tego pierwszego i wysławianego w genealogiach, który przeprawił się na podwójnych czółnach na Tahiti i Raiate i z powrotem. Był pełen wdzięku, czarujący, dobry, uczynny, przyjacielski, ale także surowy, szorstki, groźny, kiedy zbyt go podrażniono. Trudno mi to wyrazić słowami. Był mężczyzną, mężczyzną w każdym calu i księciem w każdym calu, z domieszką swawoli chłopięcej i z domieszką żelaza, która uczyniłaby go dobrym i silnym władcą Hawajów — gdyby zasiadł na tronie.

Widzę go jeszcze takim, jakim ujrzałam go wtedy, tamtego pierwszego dnia, kiedy dotknęłam jego ręki i rozmawiałam z nim... zaledwie kilka nieśmiałych słów wypowiedzianych przez kobietę od roku poślubioną szaremu *haole* w szarej Nahala. Było to przed pół wiekiem — pamiętasz, Marto, że nasi młodzi mężczyźni nosili wtedy białe buty i spodnie, białe jedwabne koszule i oszalałymi barwne hiszpańskie szarfy wiązane w pasie — i przez pół wieku ten jego obraz nie zbladł w mojej pamięci. Lilolilo stał pośrodku gromadki osób na trawniku, a ja szłam z Ellą Higginsworth, która miała mnie przedstawić. Właśnie w tym momencie księżniczka Lihue rzuciła Elli jakąś żartobliwą uwagę i Ella przystanęła, aby jej odpowiedzieć, mnie pozostawiając o krok wysuniętą naprzód..

Jego wzrok zatrzymał się na mnie przypadkiem, gdy stałam tak samotna, zmieszana i onieśmielona. Och, jakże wyraźnie go widzę, z głową odrzuconą nieco do tyłu, w pozie wyniosłej, swobodnej, władczej, a tak jednocześnie beztroskiej i tak dla niego charakterystycznej. Nasze oczy spotkały się. Pochylił ku mnie głowę, czy też raczej ją wyprostował. I nie wiem, co się wtedy stało. Czy to on mi rozkazał? Czy ja go posłuchałam? Nie wiem. Wiem tylko, że wyglądałam pięknie, z włosami przybranymi wonnym *maile*, odziana we wspaniałe *holoku*, które stryj John mi pożyczył z sanktuarium księżniczki Naomi; i wiem również, że zaczęłam iść ku niemu poprzez trawnik Mana i że on ruszył mnie naprzeciw. Szliśmy tak ku sobie poprzez trawnik, sami, jak gdybyśmy szli ku sobie przez, karty księgi życia.

Czy byłam bardzo piękna, siostrzo Marto, kiedy byłam młoda? Nie wiem. Nie wiem. Ale w tej chwili jedynej, kiedy wraz z nim zbliżała się do mnie i przenikała mi serce całą jego urodą, całą majestatyczną męskością, zbudziło się we mnie nagle poczucie własnego piękna... Jakże mam to wyrazić? Było to tak, jak gdyby w nim

zrodzona doskonałość przeniesiona została we mnie i mnie udoskonaliła.

Czy byłam piękna, bardzo piękna, siostrze Marto, kiedy miałam dziewiętnaście lat, niespełna dwadzieścia?

Marta, sześćdziesięcioczeroletnia Marta spojrzała na Bellę, która miała lat sześćdziesiąt osiem, i szczerze przytaknęła. A w duchu wyraziła podziw dla tego, co w tej chwili widziała: szyja Belli, wciąż pełna i kształtna, dłuższa niż szyja przeciętnej Hawajki, istna kolumna majestatycznie podpierająca jej królewską głowę; twarz o wysokich kościach policzkowych, o szlachetnym czole; włosy gęste, wysoko upięte, połyskujące srebrną patyną lat, wciąż w lokach, kontrastujące ostro z czystą linią cienkich, czarnych brwi i głębokich, brązowych oczu. Wzrok Marty, w skromnym onieśmieleniu na widok tego, co ujrzała, przesunął się w dół; poprzez wspaniałe zarysy piersi i szlachetne, czyste linie ciała aż ku stopom obciążonym w jedwab, obutym w pantofelki na wysokich obcasach — małym, kształtnym, o łuku niemal hiszpańskim i doskonale foremnym podbiciu.

— Kiedy jest się młodym w czas jednej jedynej młodości! — zaśmiała się Bella. — Lilolilo był księciem. Nauczyłam się na pamięć jego rysów i wszystkich zmian, jakim podlegały... potem, podczas naszych bajkowych dni i nocy nad wodami rozspiewanych jezior, nad oceanem szemrzącym sennie w pienistych zalewach i na górskich ścieżkach. Poznałam jego piękne, śmiałe oczy i czarne, proste brwi, poznałam nos, który ponad wszelką wątpliwość zdradzał rasę Kamehameha, i każdą najmniejszą, najdrobniejszą linię w pięknym zarysie jego warg. Nie ma ust piękniejszych nad usta Hawajczyka, Marto.

Jego ciało... Był królem między atletami, od wijących się niesfornie włosów aż po kostki nóg mocnych jak zbrązowiała stal. Wczoraj nazwano przy mnie jednego z wnuków Wilderów „księciem Harvardu”. Litości! Czym by nazwali, czym by mogli nazwać mojego Lilolilo, gdyby stanął obok tego chłopca Wilderów i całej jego drużyny z Harvard!

Bella umilkła i oddychała głęboko, zaciskając jednocześnie piękne, małe dłonie spoczywające na rozłożystym, obciążonym jedwabiem podołku. I gdy przeżywała tak od nowa dni spędzone ze swym księciem, przez skórę jej twarzy przebił się delikatny rumieniec i ciepłem rozświetlił oczy.

— No więc... zgadłaś, Marto? — spytała Bella z zuchwałym wzruszeniem ramion, spoglądając siostrze prosto w oczy. — Wyruszyliśmy z rozbawionej Mana i rozpoczęliśmy radosny objazd — ścieżkami zastygłej lawy do Kiholo, gdzie pływaliliśmy i łowiliśmy ryby, ucztowaliśmy i spaliśmy leżąc na gorącym piasku pod palmami. Dalej do Puuwaawaa, gdzie znowu polowanie na dziki z włóczniami i łowienie stad na łąkach, i łowy na dzikie barany z górskich pastwisk. Potem jeszcze dalej przez ziemię Kona, dalej na *mauka*, do pałacu królewskiego w Kailua, dalej kąpiel w wodach Keauhou, dalej nad zatokę Kealakekua, do Napoopoo, do Honaunau. I wszędzie ludzie wychodzący na drogę z rękami pełnymi darów — kwiaty i owoce, ryby i mięswo. Serca ich były przepełnione miłością i pieśnią, głowy pochylone w ukłonie należnym członkom królewskiego rodu, na ustach mieli okrzyki radosnego zdumienia lub śpiewne *mele* o dawnych- i niezapomnianych dniach.

Co byś na moim miejscu zrobiła, siostró Marto? Wiesz, jacy my jesteśmy, my... Hawajczycy. Wiesz, jacy byliśmy przed pół wiekiem. Lilolilo był zachwycający. Ja — niebaczna na wszystko. Lilolilo mógł sam zbudzić w każdej kobiecie zuchwalstwo. Ja byłam zuchwała podwójnie, bo szara, zimna Nahala pobudzała mnie do szaleństwa. Wiedziałam. Nie łudziłam się ani przez chwilę. Nie miałam nadziei. W tamtych czasach o rozwodzie nikomu się nawet nie śniło; Żona George'a Castnera nie mogła zostać królową Hawai, nawet gdyby tak prędko nie wybuchły zapowiedziane przez stryja Roberta rewolucje i gdyby Lilolilo został królem. Ale ja nie myślałam o tronie. Jedyne królestwo, jakiego mogłabym pragnąć, to życie u boku Lilolilo jako jego żona i towarzyszka. Nie zrobiłam tego błędu. Nie sięgałam po rzecz niemożliwą i nie snułam złudnych marzeń.

Samo powietrze wokół nas było przepojone miłością. A Lilolilo był najprawdziwszym kochankiem. Przyozdabiał mnie wciąż nowymi *lei*, jego gońcy przynosili dla mnie *lei* z dalekich ogrodów różanych Mana... pewnie je pamiętasz... pięćdziesiąt mil po ścieżkach zastygłej lawy i przez pastwiska, ale w swych posłaniach z kory bananowej tak były świeże i lśniące od rosy, jak w chwili zrywania. Miały jard długości, a ich maleńkie różowe pączki wyglądały niczym nawleczone na nić neapolitańskie korale. Podczas *luau*, podczas nigdy nie kończących się *luau* kazał mi siadać na swoim kobiercu Makaloo, na książęcym kobiercu, który był tabu dla wszystkich innych śmiertelników, chyba że sam Lilolilo sobie tego życzył lub raczył zezwolić, aby ktoś na nim usiadł. I zanurzałam palce w jego własnej *pa wai holo*i (miseczce do płu kania palców), gdzie w ciepłej wodzie pływały płatki wonnych kwiatów. I niebaczna na to, że wszyscy widzą tę bezgraniczną łaskawość, sięgałam do jego *pa paakai* po szczypty czerwonej soli, po *limu*, po tarte orzechy *kukui* i pieprz *chili*; i do jego *ipu kai* (miseczka na sos rybny) z drzewa *kou*, z której sam wielki Kamehameha jadał podczas wielu podobnych objazdów. I to sarno było ze wszystkimi najrzadszymi przysmakami, przeznaczonymi tylko dla niego i księżniczki — z *nelu* i *ake*, z *palu* i *alaala*. Jego *kahili* wachlowały mi ciało, jego służba była moją służbą i on był mój. A ja od stóp szczęśliwych aż po włosy przybrane kwiatami byłam kobietą kochaną.

Ponownie drobne zęby Belli przygryzły dolną wargę, ponownie spojrzała pustym wzrokiem ku morzu — i ponownie zdołała zapanować nad sobą i swymi wspomnieniami.

— Jechaliśmy dalej i dalej, przez Kona, przez Kau, z Hoopuloa i Kapua do Honuapo i Punaluu — całe życie zamknięte w dwóch krótkich tygodniach. Kwiat kwitnie tylko raz. To był mój czas kwitnienia. Lilolilo u mego boku, ja na wspaniałym Hilo — królowa nie Hawai, lecz Lilolilo i miłości. Mówił, że jestem kruchą bańką piękna i barwy na czarnym grzbiecie lewiatana, że jestem delikatną kroplą rosy na dymiącym grzbiecie strumienia lawy, tęczę mknącą na chmurach burzowych...

Bella ponownie umilkła.

— Nie będę ci powtarzała, co mi jeszcze mówił — rzekła z powagą. — Powiem tylko, że to, co mówił, było samym płomieniem miłości i samą istotą piękną, i że

układał dla mnie *hula* o naszych nocach pod rozgwieżdzonym niebem i śpiewał je w obecności wszystkich, gdy podczas uczt leżeliśmy na matach, ja na jego kobiercu Makaloa...

I dalej jechaliśmy do Kilauea... sen tak prędko dobiegał końca. Wrzuciliśmy naturalnie do krateru bulgocącej lawy naszą ofiarę dla Pele, bogini ognia — *lei* z kwiatów *maile*, ryby, twarde *poi* owinięte w wilgotne liście *ti*. I znowu dalej przez starodawną Puna, ucztowaliśmy, śpiewali, tańczyli w Kohouaiea, w Kamaili i Opihikao, pływaliśmy w słodkich jeziorach Kalapana. I w końcu dotarliśmy do Hilo nad brzegiem oceanu.

Tu nadszedł koniec. Nigdyśmy o tym nie mówili. Był to koniec uznany przez nas oboje bez słów. Jacht czekał już. Spóźniliśmy się o wiele dni. Honolulu wzywało do powrotu, wieść głosiła, że król jest coraz bardziej *pupule* (pomieszany), że misjonarze katolicy i protestanci knują spiski, że zapowiadają się kłopoty z Francją. I podobnie jak przed dwoma tygodniami wylądowali w Kawaihae, roześmiani, rozśpiewani i przystrojeni kwiatami, tak też wyjeżdżali z Hilo. Wesołe było to rozstanie, towarzyszyły mu śmiech i igraszki, tysiące ostatnich poleceń, upomnień i żartów. Kotwicę podniesiono przy wtórze pieśni książęcych śpiewaków zebranych na górnym pokładzie, a wtedy my, w dużych czółnach i welbotach, ujrzelśmy, jak pierwszy podmuch wiatru wydyma żagle i jak powiększa się przestrzeń między nami.

Podczas tego podniecenia i zamieszania Lilolilo, który musiał żegnać się z wielu i z wielu wymieniać żartobliwe słowa, stanął przy burcie, pochylił się i spojrzał mi prosto w twarz. Na głowie miał moje *lei* z kwiatów *ilima*, przeze mnie uplecione i przeze mnie włożone. I nagle ci na jachcie zaczęli rzucać do łodzi *lei*, każde swojemu wybrańcowi czy wybrance. Nie oczekiwałam niczego, nie miałam nadziei. A choć łudziłam się częstą gorąco pragnącego serca, wiedziałam jednak, że moja wesoła i dumna twarz nie zdradza nic. Lilolilo uczynił to, co musiał uczynić. Od początku wiedziałam, że tak postąpi. Patrząc mi wciąż szczerze i uczciwie w oczy, zdjął z głowy moje piękne *lei* z kwiatów *ilima* i rozerwał je na dwoje. Widziałam, że jego wargi poruszają się i bezdźwięcznie wypowiadają jedno jedyne słowo: „*pau*”. Koniec. Spoglądając wciąż na mnie rozerwał *lei* jeszcze raz na pół i rzucił drobne ułamki nie mnie, tylko w morze, w powiększającą się między nami przestrzeń. *Pau*. Był to koniec...

Bella długo błędziła pustym wzrokiem po linii horyzontu.

Marta nie śmiała na głos wyrazić współczucia, które łzami napełniło jej oczy.

— Tego jeszcze dnia ruszyłam w drogę powrotną. Jechałam starą, trudną ścieżką wzdłuż wybrzeża Hamakua — podjęła Bella głosem początkowo osobliwie suchym i szorstkim. — Pierwszy dzień nie był bardzo ciężki. Opanowała mnie drętwota. Tak byłam przepełniona cudownością tego, o czym miałam zapomnieć, iż nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, że muszę o tym zapomnieć. Noc spędziłam w Laupahoehoe. Wiesz, przypuszczałam, że nie zmrużę oka. A tymczasem zmęczona konną jazdą, wciąż odrętwiała, spałam całą noc jak nieżywa.

Ach, ale ten dzień następny w podmuchach wichury i ulewnym deszczu! Wiatr

dał, deszcz zacinał. Ścieżka była nie do przebycia. Konie co chwila się potykały. Początkowo cowboy, którego stryj John pożyczył mi razem z końmi, sprzeciwiał się i protestował, potem zrezygnowany jechał za mną potrząsając bezustannie głową i mamrocąc pod nosem, że jestem *pupule*. Luzaka zostawiliśmy w Kukuihaele. Ścieżkę błotną przebyliśmy wpław jak rzekę błota. W Waimea cowboy musiał zmienić konia. Ale mój Hilo trzymał się dzielnie. Od świtu do północy siedziałam w siodle, aż wreszcie w Kilohana stryj John zdjął mnie z konia, wniósł do domu, obudził kobiety, kazał im rozebrać mnie i wymasować, poił mnie grzanym winem palmowym, które sprowadziło sen i zapomnienie. Wiem, że musiałam mówić przez sen, bredzić. Stryj John zapewne wszystkiego się domyślił. Ale nigdy nie powiedział o tym nikomu ani słowa, nawet mnie. Jakiegokolwiek miał domysły, zamknął je w poświęconym pokoju księżniczki Naomi. Pozostały mi niejasne strzępy wspomnień tamtego dnia — rozpaczliwy, oszalały bunt przeciwko losowi... włosy rozpuszczone, rozwiane na wietrze, ociekające wodą... nieprzerwane strumienie łez mieszające się ze strumieniami ulewy... namiętne wybuchy żalu do świata złego i przewrotnego... bicie rękami w łęk siodła... szorstkie słowa rzucane cowboyowi. Pamiętam, jak kłulałam ostrogami boki biednego, wspaniałego Hilo. Prosto z serca wydzieraała mi się modlitwa, aby rozwścieczony koń stanął dęba i zwałił się na mnie, i zmiażdżył moje ciało, na zawsze je oszpecił albo zrzucił mnie z siodła poza ścieżkę, skąd stoczyłabym się w dół *palis* (przepaści). Wtedy przy moim imieniu zostałyby wypisane *pau* tak nieodwołalne, jak nieodwołalne było *pau* na wargach Lilolilo, gdy darł *lei* z kwiatów *ilima* i wrzucał je do morza...

George, mój mąż, przebywał w Honolulu dłużej, niż zamierzał. Kiedy wrócił do Nahala, czekałam już na niego. Objął mnie z namaszczeniem, pocałował przelotnie w usta, z powagą obejrzał mi język, postawił diagnozę i posłał do łóżka z gorącymi fajerkami i porcją oleju rycynowego. Weszłam z powrotem w szare życie Nahala, jakbym weszła w mechanizm zegara i stała się jednym z jego kółek czy zębów, obracających się z nieuchronną, bezlitosną regularnością. George wstawał z łóżka co dzień o czwartej trzydzieści, a o piątej siedział już na koniu. I piliśmy wciąż tę ohydłą taną kawę, jedliśmy tę wieczną owsiankę i na zmianę świeżą wołowinę i suszoną, świeżą wołowinę i suszoną. Gotowałam, piekłam, szorowałam. Kręciłam kółko zwariowanej maszyny do szycia i robiłam sobie tanie *holoku*. Co wieczór, przez bezkresną wieczność dwóch jeszcze lat, siadywałam naprzeciw niego po drugiej stronie stołu i do godziny ósmej cerowałam tanie skarpetki i tandetną bieliznę, podczas gdy on czytał pisma sprzed roku, bo był zbyt skąpy, żeby je zaprenumerować. A potem przychodziła pora spania — naftę trzeba przecież oszczędzać — i George nakręcał zegarek, zapisywał stan pogody do dziennika, zdejmował buty, wpierw prawy, potem lewy i ustawiał jeden obok drugiego w nogach łóżka, po swojej stronie.

Ale teraz George nie stawał mi się coraz bliższy, jak wtedy, zanim księżniczka Lihue zaprosiła mnie na objazd i zanim stryj John pożyczył mi konia. Bo widzisz, Marto, tamto by się nie zdarzyło, gdyby stryj John mi odmówił. Ale poznałam miłość i poznałam Lilolilo. Jakie więc widoki mógł mieć teraz George na zdobycie

mojej miłości i mojego szacunku? Przez następne dwa lata w Nahala byłam umarłą kobietą, która w ja kiś sposób poruszała się i mówiła, piekła, szorowała, cerowała skarpetki i oszczędzała nafty... Doktorzy powiedzieli, że zaziębił się przez tę tandetną bieliznę, kiedy podczas nawałnic zimowych wyprawiał się wciąż do górskich źródeł Nahala.

A jak umarł, nie odczułam smutku. Mój smutek trwał już nazbyt długo. Nie odczułam także radości. Radość moja umarła nad brzegiem oceanu, kiedy Lilolilo rzucił do morza *lei* z kwiatów *ilima*. Lilolilo umarł w miesiąc po George'u. Nie widziałam go już nigdy, odkąd rozstaliśmy się w Hilo. Och, niejednego miałam potem wielbiciela. Ale byłam jak stryj John. Kochać mogłam tylko raz. Stryj John miał w Kilohana miejsce poświęcone swojej Naomi, ja przez pięćdziesiąt lat miałam w sercu miejsce poświęcone memu Lilolilo. Jesteś, siostrze Marto, pierwszą osobą, której pozwoliłam wejść do tego miejsca...

Samochód objechał półkole podjazdu i stanął. Wysiadł z niego mąż Marty i zaczął iść ku nim przez trawnik. Roscoe Scandwell — prosty jak trzcina, smukły, siwowłosy, o pełnej wdzięku żołnierskiej postawie — należał do „Wielkiej Piątki”, która dzięki powiązaniom interesów rozstrzygała o losach. Hawai. Chociaż pochodził z Nowej Anglii i był czystej krwi białym, pocałował wpierw Belle — z całego serca, objąwszy ją ramionami, po hawajsku. Jego bystry wzrok powiedział mu, że miały tu miejsce kobiece zwierzenia; ale mimo śladów głęboko przeżywanych wzruszeń Roscoe dostrzegł, że opromieniony dojrzałą mądrością zapanował między kobietami łagodny, cichy spokój.

— Elsie przyjeżdża z maleństwami. Dostałem od nich depezę wysłaną ze statku — oznajmił pocałowawszy żonę na przywitanie. — Zatrzymają się u nas kilka dni i pojedą potem dalej do Maui,

— Zamierzałam umieścić cię w pokoju różowym — planowała na głos Marta Scandwell. — Ale myślę, że lepiej będzie umieścić tam Elsie z dziećmi i niańkami, więc ty dostaniesz pokój królowej Emmy.

— Mieszkałam tam ostatnim razem i przyznają, że go wolę — powiedziała Bella.

Roscoe Scandwell wiedział wszystko o hawajskiej miłości i hawajskim sposobie okazywania miłości, Wysoki, smukły, wytworny między dwiema postaciami kobiet o szlachetnych proporcjach, opasał ramionami ich pełne kibicie i poprowadził je do domu.

ZEW KRWI

Tęsknota za włóczęgą po nocy, po dniu Jak pies się na łańcuchu przyzwyczajęń miota, I oto znów się budzi z zimowego snu Zew zwierzęcy i dziki, co wabi za wrota.

I. NAWRÓT DO PRYMITYWU

Gdyby Buck czytał gazety, byłby się dowiedział, że nie tylko jemu, ale w ogóle wszystkim silnym, długowłosym psom na przestrzeni od Puget Sound do San Diego zagraża niebezpieczeństwo. A to dlatego, że ludzie, błądząc po omacku w arktycznym mroku, znaleźli żółty metal i że tysiące mężczyzn pośpieszyło gorączkowo na Północ, gdy towarzystwa okrętowe i transportowe rozgłosiły na cały świat o tym odkryciu. Ludziom tym potrzebne były psy — duże psy o silnych mięśniach niezbędnych do pracy i puszystej sierści chroniącej je przed mrozem.

Buck mieszkał w dużym domu położonym w słonecznej dolinie Santa Clara. Była to posiadłość sędziego Millera. Dom stał z dala od drogi na wpół ukryty wśród drzew, poprzez które dostrzec było można szeroką, przewiewną werandę, otaczającą go z czterech stron. Do domu prowadziły zwirowane alejki wijące się wśród rozległych trawników pod splecionymi gałęzmi wysokich topoli.

Część gospodarcza, położona za domem, przedstawiała się jeszcze okazalej. Stały tam ogromne stajnie, gdzie rej wodziło kilkunastu chłopców stajennych, dalej rzędy obrośniętych winem domków dla służby i wiele porządnie utrzymanych zabudowań gospodarczych; na dużej przestrzeni ciągnęły się winnice, zielone pastwiska, sady i zagony truskawek. Dalej znajdowała się studnia artezyjska i duży ocementowany basen, gdzie synowie sędziego zażywali porannej kąpieli i chłodzili się w upalne popołudnia.

A nad całym tym królestwem panował Buck. Tu się urodził i tu spędził cztery lata swego życia. Co prawda były tam jeszcze inne psy. Nie mogło być inaczej w tak wielkim gospodarstwie, ale psy te nie wchodziły w rachubę. Zjawiały się i znikaly, mieszkały w zatłoczonej psiarni lub rezydowały ukryte w zakątkach domu, tak jak Toots, japoński mopsik, czy też Ysabel, bezwłosy meksykańczyk — dziwne stwory, które rzadko wysuwały nos poza dom lub stąpały po gołej ziemi. Ponadto było tam jeszcze co najmniej ze dwadzieścia foksterierów groźnie obszczekujących Tootsa i Ysabel, które pod opieką legionu pokojówek, uzbrojonych w szczotki i miotełki, przyglądały im się przez okno.

Ale Buck nie był ani psem pokojowym, ani podwórzowym. Do niego należało całe królestwo. Pływał w basenie lub polował z synami sędziego, towarzyszył jego córkom, Mollie i Alice, podczas dalekich spacerów o zmroku lub wczesnym

rankiem. W długie wieczory zimowe leżał w gabinecie u stóp swego pana, przed ogniem huczącym na kominku. Wnuków sędziego nosił na grzbiecie lub baraszkował z nimi na trawie i strzegł podczas niebezpiecznych wypraw do studni na podwórzu stajennym, a nawet dalej, aż do okólnika i zagonów truskawek. Buck kroczył dumnie wśród sfory terierów, Tootsa zaś i Ysabel całkowicie ignorował, gdyż był królem — królem wszelkiego" stworzenia. Wszystko, co pełzało, chodziło czy latało w posiadłości sędziego Millera, podlegało mu, nie wyłączając ludzi.

Ojciec jego, Elmo, ogromny bernard, był nieodłącznym towarzyszem sędziego, a Buck wstępował w jego ślady. Buck nie dorównywał wzrostem ojcu — ważył tylko sto czterdzieści funtów, gdyż jego matka, Shep, była szkockim owczarkiem. Mimo to owe sto czterdzieści funtów, a także poczucie własnej godności, które wypływało z dostatniego życia i powszechnego szacunku, pozwalały Buckowi zachowywać się z igraszką królewskim dostojeństwem. W ciągu tych czterech lat, które upłynęły od jego szczeniństwa, Buck pędził życie sytego arystokraty. Nosił się dumnie i nie był pozbawiony odrobiny egoizmu, jaki cechuje niekiedy właścicieli ziemskich, żyjących w odosobnieniu. Nie stał się jednak zwykłym rozpieszczonym psem pokojowym i to go uratowało. Polowanie i temu podobne wiejskie rozrywki nie pozwalały mu obrosnąć tłuszczem i rozwijały mięśnie, a zamiłowanie do wody wzmacniało go i utrzymywało w zdrowiu, tak jak wszystkich zwolenników zimnej kąpieli.

Takim więc psem był Buck jesienią 1897 roku, gdy na wieść o odkryciu złota w Klondike ludzie z całego świata zaczęli ścigać ku mroźnej Północy. Lecz Buck nie czytał gazet, a na domiar złego nie wiedział, że Manuel, jeden z pomocników ogrodnika, jest niepożądaną znajomością. Manuel miał jeden grzeszny nałóg — pasję do chińskiej loterii. Co gorsza, przy hazardzie miał jedną nałogową słabość — wierzył w system, co musiało go doprowadzić do zguby. Gra wedle systemu wymaga pieniędzy, a pensja pomocnika w ogrodzie ledwie wystarcza na utrzymanie żony i liczego potomstwa.

Owego pamiętnego wieczoru zdrady Manuela sędzia był na zebraniu Towarzystwa Producentów Rodzynek, a chłopcy organizowali klub lekkoatletyczny. Nikt nie widział, jak Buck szedł z Manuelem przez sad, myśląc, że idzie sobie na zwykłą przechadzkę. Z wyjątkiem jednego jedyne go człowieka nikt nie widział ich przybycia na małą stacyjkę kolejową zwaną College Park. Człowiek ten zamienił kilka słów z Manuelem, po czym brzęknęły podawane z ręki do ręki pieniądze.

— Trzeba było zapakować towar, zanim go dostarczyłeś — odezwał się ponuro nieznajomy, a wtedy Manuel podwójnie okręcił linką szyję Bucka poniżej obroży.

— Zaciągnij tylko, a zdusisz go z łatwością — powiedział Manuel; nieznajomy mruknął potakująco.

Buck pozwolił założyć sobie linkę ze spokojem i godnością. Niewątpliwie był to niepożądany zabieg, ale pies przyzwyczał się wierzyć znanym sobie ludziom i uznawać, że są mądrzejsi od niego. Gdy jednak końce linki znalazły się w rękach nieznajomego, warknął groźnie. Okazał tylko niezadowolenie, uważając w swej dumie, że okazać je znaczy tyle, do rozkazać. Lecz ku zdumieniu Bucka sznur

zaciśnął mu się na szyi, pozbawiając go tchu. W nagłym porywie wściekłości skoczył na człowieka, ale ten, nie czekając, chwycił go za gardło i zręcznym ruchem powalił na grzbiet. Sznur zaciskał się bezlitośnie, podczas gdy Buck walczył jak szalony, z wywalonym językiem, ciężko dysząc. Nigdy jeszcze w życiu nie potraktowano go tak niegodziwie i nigdy jeszcze nie był tak wściekły. Lecz opadł z sił, oczy zasły mu mgłą i nie był świadom ani nadejścia pociągu, ani tego, że dwaj złoczyńcy wrzucili go do towarowego wagonu.

Gdy odzyskał przytomność, poczuł, że boli go język i że wiozą go w jakimś wehikule. Ochrypli gwizd lokomotywy przed przejazdem wyjaśnił Buckowi, gdzie się znajduje. Tyle razy podróżował z sędzią Millerem, że wrażenie jazdy w wagonie bagażowym było mu dobrze znane.

Otworzył oczy. Rozbłysł w nim niepohamowany gniew porwanego króla. Nieznajomy chciał szybkim ruchem chwycić go za gardło, ale Buck był jeszcze szybszy. Szczęki jego zwarły się na ręce człowieka i nie zwolniły chwytu, dopóki zaciśnięta linka ponownie nie pozbawiła psa przytomności.

— Tak, on ma takie napady — powiedział nieznajomy, ukrywając pokrwawioną rękę przed konduktorem, który nadszedł zwabiony odgłosem walki. — Mój szef kazał go zawieźć do San Francisco. Jakiś nadzwyczajny psi doktor ma go podobno wyleczyć.

O tej nocnej podróży nieznajomy opowiadał długo i szeroko w małej szopie za pewną knajpą w portowej dzielnicy San Francisco.

— Dostanę tylko pięćdziesiątkę — mówił ze złością — a nie podjąłbym się tego po raz drugi za tysiąc żywą gotówką.

Ręce miał owinięte zakrwawioną chustką, prawą zaś nogawkę rozdartą od kostki aż do kolana.

— Ile dostał ten drugi cwaniak? — spytał oberżysta.

— Sto — brzmiała odpowiedź. — Nie chciał wziąć ani grosza mniej, słowo daję.

— To razem sto pięćdziesiąt — obliczał szynkarz. — A pies jest na pewno wart tyle — albo skończony dureń ze mnie.

Złodziej rozwiązał zakrwawioną szmatę i obejrzał pokaleczoną rękę. — Żebym tylko nie dostał wścieklizny...

— Co ma wisieć, nie utonie — roześmiał się szynkarz. — No, pomóż mi teraz, zanim się stąd wyniesiesz.

Oszołomiony, na wpół żywy, z obolałą szyją i językiem, Buck próbował stawić opór dręczycielom. Lecz ci powalili go na ziemię i przy dusili, aby potem spokojnie przepiłować grubą mosiężną obrożę. Po czym zdjęli mu linkę z szyi i wepchnęli go do małej klatki.

Tam przeleżał pozostałe godziny posępnej nocy. Zraniona duma podsyciała w nim wściekłość. Nie mógł zrozumieć, co to wszystko znaczy. Czego chcą od niego ci obcy ludzie? Dlaczego trzymają go w tej ciasnej skrzyni? Podświadomie dręczyło go przecucie nadciągającego nieszczęścia. Buck zrywał się kilkakrotnie w ciągu nocy na skrzypnięcie otwieranych drzwi w nadziei, że zobaczy sędziego lub przynajmniej jego synów. Lecz za każdym razem ukazywała się tylko nalana twarz szynkarza,

który przyglądał mu się w słabym blasku łojowej świecy. I za każdym razem radosne szczeknięcie zamierało Buckowi w gardle, przeradzając się w groźny pomruk.

Ale szynkarz pozostawił go w spokoju i dopiero z rana zjawili się czterej ludzie, którzy zabrali skrzynię. Nowi dręczyciele— pomyślał Buck. Wygląd tych brudnych i obdartych postaci wzbudził w nim odrazę. Toteż rzucił się z furią na kraty. Ale ludzie śmiali się tylko i drażnili go kijami, które pies chwycił w zęby, dopóki nie zrozumiał, że o to im właśnie chodziło. Wtedy położył się i bez dalszego oporu pozwolił wstawić skrzynię do wagonu. Od tej chwili dla uwięzionego w skrzyni Bucka rozpoczęła się wędrówka z rąk do rąk. O losach jego decydowali teraz urzędnicy kolejowi: z jednego wagonu przeniesiono go do drugiego, potem platforma przewiozła go wraz z ładunkiem skrzynek i paczek na prom parowy, stamtąd wozem dojechał do wielkiej stacji kolejowej i wreszcie znów załadowano go do wagonu pośpiesznych przesyłek.

Przez dwa dni i dwie noce wagon ten ciągnęły przeraźliwie gwiżdżące lokomotywy i przez dwa dni i dwie noce Buck nic nie jadł i nic nie pił. Rozgoryczony, groźnym warknięciem odpowiedział na pierwsze przyjazne odruchy obsługi pociągu, za co ludzie odplacili mu dokuczaniem. Gdy rzucał się na kraty drżąc z wściekłości i tocząc pianę, śmiali się z niego i drażnili go. Warczeli i szczekali udając złe psy, miauczeli jak koty i piali jak koguty, uderzając rękami, po bokach. Buck wiedział, że ich zachowanie jest bardzo głupie, ale tym bardziej czuł się urażony w swojej dumie i tym gwałtowniejszy wzbierał w nim gniew. Głodu nie odczuwał tak dotkliwie, ale pragnienie dręczyło go okrutnie i wzmagało wściekłość. Nic dziwnego więc, że wrażliwy i nerwowy pies dostał na skutek złego traktowania gorączki, którą potęgowało zapalenie wyschniętego i spuchniętego gardła i języka.

Jedna rzecz go cieszyła: zdjęto mu linkę z szyi. Linka ta dawała jego oprawcom niesprawiedliwą przewagę, ale za to teraz im pokaże. Nigdy nie zdołają mu jej po raz drugi założyć. Buck przyrzekł to sobie. Przez dwa dni i dwie noce nic nie jadł ani nie pił i podczas tych dwóch dni i nocy męczarni nagromadził się w nim ogrom wściekłości, która nie wróżyła nic dobrego temu, kto by go pierwszy zaatakował. Oczy nabiegły mu krwią, przeistoczył się w rozjuszoną bestię. Tak się zmienił, że sam sędzia by go nie poznał. A obsługa kolejowa odetchnęła z ulgą, gdy w Seattle wyładowano go z pociągu.

Czterej ludzie ostrożnie przenieśli skrzynię z wozu na jakieś małe podwórko otoczone wysokim murem. Po chwili zjawił się tam barczysty mężczyzna w czerwonym swetrze mocno rozciągniętym przy szyi i pokwitował w książce woźnicy odbiór przesyłki. Oto nowy oprawca — pomyślał Buck i rzucił się dziko na kraty skrzyni. Człowiek uśmiechnął się ponuro i poszedł po siekiere i pałkę.

— Chyba go teraz nie wypuścisz? — zapytał woźnica.

— Dlaczego nie — odpowiedział człowiek w czerwonym swetrze, podważając siekiere deski skrzyni.

W okamgnieniu wszyscy czterej tragarze rzucili się do ucieczki i usadowili bezpiecznie na murze, aby stamtąd przyglądać się widowisku.

Buck chwycił zębami trzaskające deski, szarpał i mocował się z nimi. Gdzie tylko wbijała się siekiera, tam od wewnątrz pojawiał się natychmiast pysk groźnie warczącego psa. Furia, z jaką pragnął się wydostać, dorównywała zimnej zaciętości, z jaką człowiek w czerwonym swetrze pracował nad uwolnieniem go ze skrzyni.

— Wyłaż, czerwonooki diable — powiedział, wyrąbawszy otwór dostatecznie duży, aby Buck mógł się przez niego precisnąć. Jednocześnie rzucił siekierę na ziemię, przekładając pałkę do prawej ręki.

Buck wyglądał istotnie jak czerwonooki diabeł, gdy naprężył się do skoku, z najeżoną sierścią, z pianą na pysku, ze wściekłym błyskiem w nalanych krwią oczach. Nagle rzucił się na człowieka całym ciężarem swych stu czterdziestu funtów, naładowany wściekłością gromadzoną w ciągu dwóch dni i nocy. W chwili skoku, gdy jego szczęki już, już miały się zacisnąć na ręce człowieka, otrzymał straszliwy cios. Zawisnął jak gdyby w powietrzu, przejmujący ból zwarł mu szczęki, wreszcie zwałił się na ziemię padając na grzbiet. Nigdy jeszcze nie został uderzony pałką, nie mógł więc zrozumieć, co się stało. Z pomrukiem, w którym więcej było jęku niż gniewu, zerwał się znowu do skoku. I znowu otrzymał cios, który bezlitośnie zwałił go z nóg. Teraz wiedział, co to znaczy pałka, lecz wściekłość przeważała nad ostrożnością. Raz po raz atakował i za każdym razem padał pod ciosem pałki.

Po jednym szczególnie mocnym uderzeniu Buck podźwignął się z trudem, zbyt ogłuszony, aby dalej walczyć. Chwiały się osłabły, krew ciekła mu z nosa, pyska i uszu, całe jego piękne futro spryskane było krwawą śliną. Wtedy człowiek podszedł bliżej i z przerażającą siłą uderzył go w nos. Wszystkie dotychczasowe cierpienia wydały się Buckowi niczym w porównaniu z tym potwornym bólem; ze straszliwym, nieomal lwim rykiem pies skoczył ponownie na swego oprawcę. Lecz ten, przrzuciwszy pałkę z prawej ręki do lewej, spokojnie chwycił psa za dolną szczękę i mocno szarpnął najpierw w dół, potem w górę. Buck zatoczył koło w powietrzu, potem półkole i zwałił się na piach.

Po raz ostatni zaatakował. Lecz człowiek przyjął go najpotężniejszym ciosem, rozmyślnie zachowanym na ostatek. Pies zwinął się w skoku i padł bez czucia.

— Co, nie mówiłem, że tresuje psy jak złoto? — zawołał entuzjastycznie jeden z widzów siedzących na murze.

— Taką zabawę lubi mieć co dzień, a dwa razy przy święcie — odpowiedział woźnica włączając na wóz i zacinając konie.

Buck odzyskał przytomność, ale nie odzyskał sił. Leżał tam, gdzie padł, patrząc na człowieka w czerwonym swetrze. — Nazywa się Buck — mówił do siebie mężczyzna, odczytując list szynkarza, który donosił o wysłaniu skrzyni i jej zawartości. — No cóż, Bucku, mój zuchu — ciągnął dalej dobrodusznym tonem — mieliśmy małą potyczkę i najlepiej zrobimy, jeśli na tym poprzestaniemy. Teraz już wiesz, jak się masz zachowywać, a ja wiem, coś ty za jeden. Jeśli będziesz dobrym pieskiem, to wszystko w porządku — będziemy żyli w zgodzie. Inaczej zatłukę cię na śmierć. Zrozumiałeś?

Mówiąc to, odważnie głaskał łeb, który tak bezlitośnie przed chwilą katował, a

choć sierść Bucka zjeżyła się mimo woli pod dotykiem tej ręki, znosił pieszczołę bez sprzeciwu. Gdy mężczyzna przyniósł mu wody, pies wypił chciwie, a później pożarł ogromną porcję surowego mięsa, biorąc kęs po kęsie z ręki człowieka.

Został zwyciężony (wiedział o tym), ale nie został złamany. Zrozumiał raz na zawsze, że nie ma żadnych widoków zwycięstwa w walce z człowiekiem uzbrojonym w pałkę. Dostał nauczkę i nie zapomniał jej do końca życia. Pałka stała się dla niego objawieniem. Było to jego pierwsze zetknięcie z panowaniem prawa pięści i prawo to uznał. Przyszłość ukazywała mu się w groźnym świetle, a chociaż patrzył w życie nieustraszenie, postanowił stawić mu czoło z całą dotąd uśpioną, a teraz zbudzoną chytrą swoją pierwotnej natury.

Mijał dzień za dniem i coraz to przybywały inne psy, w skrzyniach lub prowadzone na linach, niektóre łagodne, inne szalejące i warczące, tak jak kiedyś Buck. Widział, jak wszystkie psy bez wyjątku poddawały się władzy człowieka w czerwonym swetrze. Za każdym razem, gdy patrzył na nowe brutalne widowisko, nauczka utrwałała mu się coraz lepiej w pamięci: człowiek z pałką w ręku jest prawodawcą, jest panem, którego należy słuchać, ale przed którym niekoniecznie należy się upokarzać. Buck nigdy się tym nie splamił, chociaż widział, jak inne zbite psy łąsiły się doczłowieka, machając ogonami i liżąc mu ręce. Ale widział też psa, który nie chciał się ani upokorzyć, ani usłuchać, toteż zabity został w walce o przewagę.

Co pewien czas zjawiali się obcy ludzie, których rozmowy z człowiekiem w czerwonym swetrze przybierały różne tony — to podniecenia, to uniżoności. A w przypadku, gdy na zakończenie rozmowy pieniądze przechodziły z rąk do rąk, przybysze zabierali ze sobą jednego lub kilka psów. Buck zastanawiał się, gdzie one znikają, bo już nigdy nie zjawiały się z powrotem. Lecz lęk przed przyszłością był tak silny, że Buck cieszył się za każdym razem, gdy wybór nie padał na niego.

Wreszcie jednak i na niego przyszła kolej. O losie Bucka zdecydował mały, zasuszony człowieczek, który mówił łamaną angielszczyzną i używał wielu dziwnych ordynarnych i niezrozumiałych wyrazów.

— Sacredam! — zawołał ujrzawszy Bucka. — Co za cholernie byczy pies! Ha! Ile?

— Trzysta, a i to jest darmo — szybko odpowiedział człowiek w czerwonym swetrze. — Masz przecie rządowe pieniądze, więc nie będziesz się chyba targował, co, Perrault?

Perrault uśmiechnął się. Biorąc pod uwagę szaloną zwyczajną cenę na psy wskutek nienasyconego popytu, była to niezbyt wygórowana suma za tak piękne zwierzę. Rząd kanadyjski nie straci na tej transakcji ani szybkość poczty rządowej na tym nie ucierpi. — Perrault znał się na psach i gdy tylko spojrział na Bucka, poznał, że taki okaz zdarza się jeden na tysiąc. „Jeden na dziesięć tysięcy” — dodał w myśli.

Buck zobaczył, że pieniądze przeszły z rąk do rąk i wcale się nie zdziwił, gdy mały, zasuszony człowieczek zabrał go ze sobą wraz z Curly, dobroduszną nowofunlandką. Wtedy po raz ostatni widział mężczyznę w czerwonym swetrze; a gdy razem z Curly patrzyli z pokładu „Narwala” na oddalające się miasto Seattle, po raz ostatni widział ciepłe południe.

Perrault zabrał Curly i Bucka pod pokład i oddał pod opiekę olbrzymowi o ciemnej twarzy, imieniem François. Perrault był kanadyjskim Francuzem i miał śniadą cerę, ale François był Metysem o francusko-kanadyjskiej krwi i miał skórę znacznie ciemniejszą. Obaj należeli do typu ludzi nie znanych jeszcze Buckowi (miał w przyszłości poznać ich znacznie więcej) i chociaż nie darzył ich nigdy miłością, niemniej jednak nauczył się ich szanować. Zrozumiał szybko, że Perrault i François wymierzają sprawiedliwość uczciwie, spokojnie i bezstronnie oraz że za dobrze znają naturę psów, aby dać się im oszukać.

Pod pokładem „Narwala” Buck i Curly poznali jeszcze dwa psy. Jednym z nowych towarzyszy było wielkie, śnieżnobiałe zwierzę ze Szpicbergen. Przywieziony przez jakiegoś kapitana statku wielorybniczego, Szpic brał już poprzednio udział w wyprawie geologicznej w tundry północnej Kanady.

Był przyjacielski, ale zdradliwy — uśmiechał się w oczy, knując jednocześnie podstęp, jak na przykład, gdy podczas pierwszego posiłku ukradł Buckowi kość. Gdy Buck skoczył, by go ukarać, bat François świsnął w powietrzu, wcześniej dosięgając złodzieja. A Buckowi nie pozostało nic innego, jak tylko podnieść porzuconą kość. Buck uznał, iż François postąpił sprawiedliwie, i od tej chwili zaczął rosnać jego szacunek dla Metysa.

Drugi z nowych towarzyszy ani nie przejawiał życzliwości, ani jej dla siebie nie żądał. Nie próbował także okradać nowoprzybyłych. Był to ponury, zgryźliwy osobnik, który wyraźnie dał Curly do zrozumienia, że życzy sobie, aby go pozostawiono w spokoju, bo w przeciwnym razie będzie źle. Nazywał się Dave i tylko jadł, spał, w przerwach ziewał, i nic go w ogóle nie obchodziło, nawet to, że „Narwal”, płynąc przez cieśninę Queen Charlotte, zaczął się kołysać, chwiać z boku na bok i podskakiwać na falach jak opętany. Gdy Buck i Curly denerwowali się, półprzytomni ze strachu, Dave podniósł głowę jakby znudzony, zaszczycił ich obojętnym spojrzeniem, ziewnął i znowu zapadł w sen.

Dzień i noc statek dygotał w takt niezmordowanego terkotu śruby i chociaż jeden dzień nie różnił się niczym od drugiego, Buck zauważył, że robi się coraz zimniej. Wreszcie pewnego ranka śruba umilkła i na „Narwalu” zapanował nastrój pełen podniecenia. Buck odczuł to, podobnie jak inne psy, i poczuł, że wkrótce nastąpi jakaś zmiana. François wziął je wszystkie na smycz i wyprowadził na pokład. Przy pierwszym kroku na zimnej powierzchni pokładu łapy Bucka zagłębiły się w coś białego i puszystego, podobnego do błota. Odskoczył z warknięciem. Z góry także padało coś białego. Otrząsnął się, ale po chwili biały puch pokrył go znowu. Powąchał to coś z ciekawością, a potem polizał. Zapieкло jak ogień i w jednej sekundzie zniknęło. To go zadziwiło. Spróbował jeszcze raz, znowu z tym samym skutkiem. Ludzie wybuchnęli śmiechem, a Buck zawstydził się, sam nie wiedząc czemu. Po raz pierwszy zobaczył śnieg.

II. PRAWO PIĘŚCI I KLÓW

Pierwszy dzień pobytu na brzegu zatoki Dyea wydawał się Buckowi koszmarnym snem. Każda godzina pełna była wstrząsów i niespodzianek. Wyrwany z samego serca cywilizacji, znalazł się nagle w samym środku dzikości. Nie było to już leniwe, rozłoneczone życie, na które składały się próżniactwo i nuda. Nie znano tu ani spokoju, ani odpoczynku, nie znano co to choćby krótka chwila bez lęku. Panował zamęt i nieustanny ruch, a życiu ciągle zagrażało niebezpieczeństwo. Należało się mieć stale na baczności, gdyż zarówno psy, jak ludzie nie byli psami i ludźmi z miasta. Były to wszystko bez wyjątku rozbestwione istoty, nie uznające innego prawa, jak prawo pięści i klów.

Buck nigdy nie widział psów walczących ze sobą tak, jak walczyły te dzikie bestie, i pierwsze doświadczenie stało się dla niego niezapomnianą lekcją. Co prawda doświadczenia tego nie zdobył własnym kosztem, gdyż wówczas nie pozostałby przy życiu, aby z tej nauki korzystać. Ofiarą padła Curly. Obóz znajdował się wtedy koło składu drzewa. Curly swoim zwyczajem zbliżyła się przyjaźnie do jednego z psów husky, wielkości dorosłego wilka, choć znacznie mniejszego od niej. Bez żadnego ostrzeżenia nastąpił błyskawiczny skok, głuche kłapnięcie zębami, równie szybki odskok i skóra na łbie Curly została rozdarta od oka aż po szczękę.

Był to wilczy sposób walki — zadać cios i odskoczyć; ale na tym się nie skończyło. Ze czterdzieści husky zbiegło się ze wszystkich stron i otoczyło walczących zwartym kołem, stojąc w pełnym napięcia milczeniu. Buck nie rozumiał tego milczącego napięcia ani chciwego oblizywania się patrzących. Curly rzuciła się na przeciwnika, który ponownie szarpnął ją zębami i odskoczył w bok. Następny jej atak odbił w przedziwny sposób piersią, zwalając ją z nóg. Curly już więcej nie wstała. Na to właśnie czekały przyglądające się psy. Rzuciły się na nią warcząc i skowycząc, a wyjąca z bólu Curly zniknęła pod skłębioną masą ciał.

Wszystko stało się tak nagle i niespodziewanie, że Buck osłupiał.

Widział, że Szpic wywalił czerwony jęzor w sposób, który u niego oznaczał śmiech. Widział też, jak François, wy machując siekierą, skoczył w sam środek kłębówiska. Trzech ludzi z kijami pomagało mu rozpędzić psy. Nie trwało to długo. Zaledwie kilka minut minęło od upadku Curly, gdy ostatni z napastników został odpędzony. Lecz Curly leżała bezwładna, nieżywa, na skrwawionym, stratowanym śniegu, niemal dosłownie rozdarta na strzępy, a śniady Metys stał nad nią miotając przekleństwa. Obraz ten często nawiedzał Bucka w snach. A więc tak się to odbywa! Nieczysta gra. Upadniesz i już po tobie. Cóż, trzeba będzie uważać, żeby nigdy nie upaść. Szpic wywalił jęzor i zaśmiał się znowu, i od tej chwili Buck zapalał do niego zajadłą, śmiertelną nienawiścią.

Zanim zdołał się uspokoić po wstrząsie spowodowanym tragiczną śmiercią Curly, Buck przeżył nowy wstrząs. François włożył na niego jakąś kombinację pasków i klamer. Było to podobne do uprzęży, którą w domu sędziego chłopcy stajenni nakładali na konie. Buck musiał teraz pracować, tak jak pracowały konie, ciągnąc

François na saniach do lasu otaczającego dolinę i wracać z ładunkiem drzewa na opał. Chociaż boleśnie dotknięty w swej godności rolą zwierzęcia pociągowego, za mądry był, żeby się buntować.

Z energią zabrał się do pracy i starał się jak mógł, chociaż wszystko to było dla niego nowe i dziwne. François był surowy, wymagał natychmiastowego posłuszeństwa i osiągał je za pomocą bata. Dave, doświadczony dyszlowy, chwycił Bucka zębami za tylne łapy, ilekroć ten popełnił błąd. Szpic, nie mniej doświadczony przodownik, prowadził zaprzęg i chociaż nie zawsze mógł dosięgnąć Bucka, ostro karciał go od czasu do czasu warczeniem lub sprytnie przerzucał ciężar ciała w uprzęży, szarpiąc przy tym Bucka w odpowiednim kierunku. Buck był bardzo pojętny i pod wskazówkami swoich towarzyszy i François robił ogromne postępy. Zanim powrócili do obozu, umiał już zatrzymywać się na „stój” i ruszać na „idź”, zataczać szeroki łuk na zakrętach i nie przeszkadzać dyszlowemu, gdy załadowane sanie najeżdżały na nich, pędząc z góry.

— Trzy bardzo dobre psy — powiedział François do Perrault. — Ten Buck ciągnie jak szatan. W mig go nauczyłem.

Po południu Perrault, któremu pilno było wyruszyć w drogą z pocztą, zjawił się z dwoma nowymi psami. Nazywał je Billy i Joe. Byli to dwaj bracia, oba prawdziwe husky. Chociaż z jednej matki, różnili się od siebie jak dzień od nocy. Jedyną wadą Billego była zbyt dobra dusza. Natomiast Joe, wprost przeciwnie, był zgorzkniały i zamknięty w sobie, miał złośliwe spojrzenie i warczał przy lada okazji. Buck powitał nowe psy przyjaźnie. Dave zignorował je zupełnie, a Szpic postanowił dać nauczkę najpierw jednemu, potem drugiemu. Billy pomachał pojednawczo ogonem, a później, widząc, że z pojednania nic nie będzie, rzucił się do ucieczki i skomlał (wciąż jeszcze pojednawczo), gdy ostre zęby Szpica rozdarły mu bok. Ale Joe nie dał się zaskoczyć. Szpic usiłował go podejść, lecz wszelkie jego próby spełzały na niczym, gdyż Joe błyskawicznie odwracał się do niego przodem, z najeżoną sierścią, położonymi po sobie uszami, obnażonymi kłami, warcząc, kłapiąc zębami, z szatańskim błyskiem w oczach — uosobienie desperackiej odwagi. Tak przerażający był ten widok, że Szpic musiał zrezygnować z próby podporządkowania go sobie. Ale chcąc pokryć niepowodzenie, rzucił się na nieszkodliwego i skomlałego Billa i przepędził go aż na koniec obozu.

Wieczorem Perrault przyprowadził jeszcze jednego psa. Był to stary husky, długi, chudy, wycieńczony, z bliznami na pysku świadczącymi o licznych walkach. Miał tylko jedno oko, z którego groźnie wзираło męstwo nakazujące szacunek. Nazywał się Sol-leks, co oznacza „Ten Gniewny”. Podobnie jak Dave, nie żądał niczego, nic z siebie nie dawał i niczego nie oczekiwał. A gdy wkroczył powoli i godnie do ich kręgu, nawet Szpic pozostawił go w spokoju. Miał jedno dziwactwo, które Buck odkrył na swoje nieszczęście. Nie mógł ścierpieć, gdy zbliżano się do niego od strony oka, na które nie widział. Buck niechcący popełnił ten błąd i po raz pierwszy zrozumiał, jak niewłaściwe było jego zachowanie, kiedy Sol-leks rzucił się na niego i rozdarł mu łopatkę, pozostawiając ranę długą na trzy cale. Od tej pory Buck unikał podchodzenia do Sol-leksa z niewłaściwej strony i nigdy więcej nie

doznał od niego przy krości. Wydawało się, że podobnie jak Dave pragnie on jedynie, by go pozostawiono w spokoju. Chociaż, jak z czasem Buck miał się o tym przekonać, każdy z nich posiadał jeszcze inną, i to znacznie istotniejszą ambicję.

Tego wieczora Buck stanął wobec wielkiego zagadnienia: jak przebyć noc. Namiot oświetlony świecą wabił ciepłem wśród białego pustkowia. Lecz gdy Buck, uważając to za rzecz naturalną, wszedł do środka, zarówno Perrault jak i François obsypali go przekleństwami i jęli rzucać weń naczynia kuchenne, dopóki ochłonawszy ze zdumienia nie uciekł sromotnie w mroźną noc. Zimny wiatr przeszywał go na wskroś i ze szczególną zjadliwością wgryzał się w świeżą ranę. Buck położył się na śniegu drżąc cały i próbował zasnąć, ale mróz szybko poderwał go na nogi. Zrozpaczony i bezradny wędrował pośród licznych namiotów, ale wszędzie było tak samo zimno. Tu i ówdzie napadały na niego obce psy, lecz Buck jeżył wówczas sierść na karku warcząc groźnie (gdyż uczył się szybko) i napastnicy ustępowali mu z drogi.

Wreszcie wpadł na pomysł: wróci i zobaczy, jak sobie poradzili jego towarzysze z zaprzęgu. Przekonał się ze zdziwieniem, że wszyscy znikli. Znowu przewędrował cały wielki obóz szukając ich i znowu powrócił w pobliże namiotu. Czyżby byli w namiocie? Nie, to niemożliwe, to w takim razie nie wypędzono by jego. Więc gdzie mogli się podziać? Z opuszczonym ogonem, drżąc na całym ciele, bardzo samotny i zagubiony krążył dokoła namiotu. Nagle śnieg osunął mu się spod przednich łap i Buck zapadł się w dół. Coś poruszyło się pod nim. Odskoczył, warcząc, z sierścią zjeżoną ze strachu przed czymś niewidzialnym i nieznanym. Lecz uspokojony cichutkim, przyjaznym szczeknięciem powrócił, aby sprawdzić, co to było. Powiew ciepłego powietrza uderzył go w nozdrza — a tam, pod śniegiem, zwinięty w kłębek leżał Billy. Zaskomlał pojednawczo, pokręcił się przymilnie, aby wykazać swą życzliwość i dobre chęci, a nawet odważył się, na znak zgody, polizać pysk Bucka ciepłym, wilgotnym językiem.

Nowa lekcja. A więc to tak sobie radzili! Nie zastanawiając się dłużej, Buck wybrał odpowiednie miejsce, po czym z wielkim przejęciem i niepotrzebnym wysiłkiem wygrzebał dołek. W okamgnieniu ogrzał go swoim ciałem i nareszcie zasnął. Dzień był długi i męczący, toteż Buck spał mocno i smacznie, chociaż od czasu do czasu warczał i szczeakał, dręczony złymi snami.

Otworzył oczy dopiero wtedy, gdy usłyszał odgłosy budzącego się obozowiska. Z początku nie wiedział, gdzie się znajduje. W nocy padał śnieg i zasypał go całkowicie. Zwały śniegu uciskały go ze wszystkich stron. Ogarnął go strach — przemożny strach dzikiego stworzenia przed pułapką. Był to znak, że życie jego zaczyna iść śladem dawnych przodków, był bowiem cywilizowanym psem, nawet zanadto cywilizowanym, i nie znając z własnego doświadczenia pułapki, nie mógł się jej przecież obawiać. Wszystkie mięśnie skurczyły mu się odruchowo, sierść zjeżyła na grzbiecie; z groźnym warknięciem wyskoczył wprost w oślepiające światło dnia, wzbijając dookoła iskrzący się obłok śniegu. Zanim jeszcze wylądował na ziemi, ujrzał biały obóz rozpościerający się przed nim i wtedy zrozumiał, gdzie się znajduje. Przypomniawszy sobie wszystko, co zaszło od chwili przechadzki z

Manuelem aż do wygrzebania legowiska poprzedniego wieczoru.

Powitał go okrzyk François.

— A co, nie mówiłem? — zawołał Metys do Perrault. — Ten Buck uczy się piorunem.

Perrault poważnie skinął głową. Jako kurierowi rządu kanadyjskiego, wiozącemu ważną pocztę, zależało mu na zdobyciu najlepszych psów i był bardzo zadowolony z posiadania Bucka.

W ciągu godziny trzy nowe husky przybyły do obozu. Było teraz razem dziewięć psów. Zanim upłynął kwadrans, wszystkie zostały zaprzężone i podążyły szlakiem ku kanionowi Dyea. Buck cieszył się, że już ruszyli, i chociaż praca była ciężka, spełniał ją bez szczególnej przykrości. Zdziwiło go podniecenie, ożywiające cały zaprzęg, które z kolei udzieliło się i jemu. Lecz jeszcze bardziej zadziwiająca wydała mu się przemiana, jaka zaszła w Davie i Sol-leksie. Były to inne psy, całkowicie zmienione z chwilą, gdy znalazły się w zaprzęgu. Opadła z nich bierność i obojętność. Stały się czujne i czynne; przejęte swoją pracą, irytowały się niepomiarnie, gdy najmniejsze opóźnienie czy zamieszanie utrudniało ją. Ciężki trud w zaprzęgu zdawał się być najwyższym sensem ich istnienia, celem życia i jedyną rzeczą, która sprawiała im zadowolenie.

Dave był dyszlowym, czyli pierwszym psem przy saniach, przed nim był Buck, następnie Sol-leks, dalej szła reszta, również zaprzężona pojedynczo, aż do przodownika, którego godność piastował Szpic.

Buck został umieszczony między Dave'em i Sol-leksem, aby mógł korzystać z ich nauk. Buck był równie pojętym uczniem, jak tamci dwaj dobrymi nauczycielami; nigdy nie pozwalali mu popełniać błędów, wspomagając swe nauki ostrymi zębami. Dave był sprawiedliwy i bardzo mądry. Nigdy nie gryzł Bucka bez powodu i nigdy nie omieszkał ugryźć go, gdy na to zasłużył. A ponieważ bat François wspierał nauki Dave'a, Buck doszedł do przekonania, że lepiej być posłusznym niż szukać odwetu. Pewnego razu, podczas krótkiego postoju, zaplątał się w uprzęż i opóźnił odjazd. Dave i Sol-leks rzucili się na niego i wymierzili mu surową karę. Wskutek tego uprzęż poplątała się jeszcze bardziej; od tej pory Buck pilnie uważał, żeby się to więcej nie zdarzyło. I zanim upłynął dzień, tak dobrze przewyciężył wszystkie trudności, że towarzysze prawie mu już nie dokuczali, bat François ciął coraz rzadziej, a nawet Perrault zaszczyił Bucka starannym przeglądem jego łap.

Był to ciężki etap szlaku, gdyż droga wiodła w górę kanionu przez Owczy Obóz, ponad Scales i linię zasięgu drzew, poprzez lodowce i zasypane śnieżne na setki stóp głębokie i przez wielkie pasmo gór, zwane Chilcoat Divide, które rozdziela słone i słodkie wody oraz groźnie strzeże smutnej i pustej Północy. Szybko przebyli szlak biegnący w dół, wzdłuż łańcucha jezior wypełniających wygasłe kratery wulkanów, i późnym wieczorem dotarli do ogromnego obozu nad jeziorem Bennett, gdzie tysiące poszukiwaczy złota budowało łodzie, czekając, aż lody ruszą z wiosną.

Buck wyrył sobie legowisko w śniegu i wyczerpany usnął snem sprawiedliwego, lecz zbyt wcześnie zerwano go w mroźnych ciemnościach i zaprzężono' wraz z towarzyszami do sań.

Tego dnia zrobili czterdzieści mil, ponieważ szlak był już przetarty. Ale nazajutrz i przez wiele następnych dni musieli w ciężkim trudzie sami przecierać ślad i przez to wolniej posuwali się naprzód. Zazwyczaj Perrault szedł przed zaprzęgiem, ubijając trasę śnieżnymi raketami, aby ułatwić psom drogę. François przy hamowidle kierował saniami, rzadko zmieniając się z Perrault. Kurierowi zależało na pośpiechu, chlubił się przy tym swoją znajomością lodu wprost nieodzowną w tych warunkach, gdyż jesienny lód był bardzo cienki, a gdzie rwał silniejszy prąd, nie było go wcale.

Dzień po dniu, przez wiele, wiele dni, Buck ciężko pracował w zaprzęgu. Zawsze rozbijano obóz po ciemku, a o szarym świcie byli już w drodze, mając kilka świeżo przebytych mil za sobą. I znowu zatrzymywano się o zmierzchu, psy zjadały swoją porcję ryby i zagrzebywały się w śniegu. Buck stał się niezwykle żarłoczny. Jego dzienna porcja, wynosząca półtora funta suszonego na słońcu łososia, wydawała się niczym. Nigdy nie miał dość i cierpiał ustawiczny głód. Tymczasem inne psy, ważące mniej i nawykłe do tych warunków życia, utrzymywały się w dobrej formie, chociaż dostawały tylko funt ryby.

Buck szybko stracił wybredność cechującą jego dawne życie. Zawsze jadł powoli, ale teraz przekonał się, że współtowarzysze po skończeniu swoich ryb zabierają się do jego porcji. Przeciwno temu nie mógł się obronić. Podczas gdy zajęty był odpędzaniem dwóch lub trzech psów, ryby znikają w gardzielach pozostałych kompanów. Aby temu zaradzić, zaczął jeść równie szybko jak tamci. A ponieważ głód dokuczał mu silnie, nie pogardzał i cudzą własnością. Przyglądał się i uczył. Gdy Buck zobaczył, jak Pike, jeden z nowych psów, chytry symulant i złodziej, podstępnie ukradł kawałek słoniny za plecami Perrault, następnego dnia poszedł za jego przykładem i umknął z całym pościem. Podniósł się wielki gwałt, ale na Bucka nie padło podejrzenie. Za to niezdarny Dub, którego wiecznie przyłapywano na gorącym uczynku, został ukarany za cudze przewinienie.

Ta pierwsza kradzież dowiodła, że Buck da sobie radę w nieprzyjaznym środowisku groźnej Północy. Dowiodła, że ma zdolność przystosowywania się do zmiennych warunków życia, w których nieprzystosowanie oznacza szybką i straszną śmierć. Dowiodła dalej rozkładu i całkowitego upadku jego zasad moralnych, rzeczy czcnych i stanowiących przeszkodę w bezwzględnej walce o byt. Szanować własność prywatną i uczucia przyjaźni to było dobre na Południu, gdzie panowało prawo miłości i braterstwa. Ale na Północy, gdzie panuje prawo pięści i kłów, ten, kto wyznaje takie zasady, jest głupcem, a jeżeli ich przestrzega, nigdy nie osiągnie powodzenia.

Do tego Buck nie doszedł drogą rozumowania. Po prostu był pełen żywotności i podświadomie przystosowywał się do nowych warunków życia. Nigdy jeszcze, bez względu na posiadane szansę, nie uchylił się od walki. Lecz pałka człowieka w czerwonym swetrze wpoila mu bardziej istotny i prymitywny sposób postępowania. Jako pies cywilizowany, gotów był zginąć w obronie pewnych zasad moralnych, powiedzmy w obronie szpicruty sędziego Millera. Obecnie zaś całkowite wyzbycie się cywilizacji w tym się przejawiało, że dla ratowania własnej

skóry potrafił poniechać obrony zasad moralnych. Nie kradł dla przyjemności, ale ponieważ domagał się tego żołądek. Nie rabował otwarcie, lecz kradł chytrze i po kryjomu, w obawie pałki i kłów. Krótko mówiąc, robił to wszystko, gdyż łatwiej było to robić niż się od tego powstrzymać.

Rozwój (lub też nawrót do. prymitywu) Bucka był szybki. Mięśnie miał teraz twarde jak żelazo, stał się odporny na ból. Osiągnął najwyższą umiejętność oszczędzania energii i wy siłku. Mógł jeść wszystko, choćby nawet odrażające i ciężko strawne odpadki, jego soki żołądkowe wydobywały z takiej strawy wszystkie wartości odżywcze, a krew roznosiła je po całym ciele, przekształcając w najtwardsze i najmocniejsze tkanki. Wzrok i węch wyostrzyły mu się niezwykle, a słuch stał się tak doskonały, że Buck we śnie słyszał najlżejszy szmer i wiedział, czy zwiastuje on spokój czy niebezpieczeństwo.

Nauczył się wygryzać zębami lód, który wbijał mu się między pazury. Gdy chciało mu się pić, a przerębla pokryta była skorupą lodu, rozbijał ją, uderzając mocno przednimi łapami. Najbardziej zdumiewającą cechą Bucka była umiejętność przeczuwania wiatru o całą noc wcześniej. Choćby powietrze było zupełnie nieruchome, gdy kopał sobie legowisko pod drzewem lub pagórkiem, wiatr, który zrywał się później, zastawał go zawsze w zacisznym, dobrze osłoniętym miejscu.

I nie tylko uczyło go doświadczenie, ale także od dawna uśpione instynkty ożywały na nowo. Stopniowo opadały z niego naleciałości oswojonych pokoleń. Bezwiednie nawracał do okresu młodości swojej rasy, kiedy to dzikie psy stadami przebiegały odwieczne puszcze, polując na zwierzynę. Bez trudu nauczył się walczyć w sposób charakterystyczny dla wilków, niespodziewanie zadając szybkie ciosy. Tak walczyli jego przodkowie. Teraz dzięki nim przyswajał sobie szybciej dawny sposób życia i chwycił się dawnych forteli, które weszły dziedzicznie w krew jego rasy. Przychodziło mu to bez wysiłku, było dla niego (przyrodzone i naturalne. A gdy podczas cichych, mroźnych nocy wznosił pysk ku księżycowi i wył przeciągle jak wilk — dawno zmarli przodkowie odżywali się w nim poprzez minione stulecia. Głos Bucka wznosił się i opadał rytmicznie, tak jak ongiś ich głosy, i tak samo pełen był żalości i tego, czym dla wilka jest cisza i mróz, i ciemność.

Tak więc kaprys losu zrządził, że odwieczna pieśń rozbrzmiewała w nim na nowo, że powrócił do swej pierwotnej natury. A powrócił dlatego, że ludzie znaleźli żółty metal na Północy, i dlatego, że Manuelowi, pomocnikowi ogrodnika, pensja nie wystarczała na utrzymanie żony i licznych małych Manuelątek.

III. ZWYCIĘSTWO PIERWOTNEJ BESTII

Cechy pierwotnej bestii przejawiały się silnie u Bucka, a w ciężkich warunkach życia na szlaku stawały się coraz bardziej dominujące. Był to jednak rozwój utajony. Nowonarodzona chytróść nakazywała mu spokój i opanowanie. Był tak przejęty przystosowywaniem się do nowego życia, że nie czuł się jeszcze swobodnie i nie tylko nie szukał walki, ale jej w miarę możliwości unikał. Jego zachowanie cechowała rozważa. Nie był porywczy i nie działał pochopnie. W swej gorącej nienawiści do Szpica nie okazywał zniecierpliwienia i unikał wszelkich zaczepnych kroków.

Natomiast Szpic, przeczuwając zapewne w Bucku groźnego rywala, nigdy nie omieszkał go zaczepić. Starał się wszelkimi sposobami rozdrażnić Bucka, dążąc do wywołania walki, która mogła skończyć się tylko śmiercią jednego z nich.

Doszłoby do tego już na początku podróży, gdyby nie pewne niezwykle wydarzenie. Tego wieczoru zatrzymali się w nie osłoniętym ponurym miejscu nad brzegiem jeziora Le Barge. Zadymka śnieżna, wichur tnący jak nóż i ciemna noc zmusiły ich do szukania po omacku miejsca pod obóz. Trudno było trafić gorzej. Z tyłu wznosiła się prostopadła ściana skalna, toteż Perrault i François musieli rozpalic ognisko i rozłożyć śpiwory na zamrzniętym jeziorze. Namiot pozostawili w Dyea, aby mieć jak najmniej rzeczy. Ognisko, rozpalone z kawałków drewna wyrzuconych na brzeg przez fale, roztopiło lód i zniknęło w wodzie, pozostawiając ich w ciemnościach przy wieczery.

Buck wykopał sobie legowisko tuż przy osłaniającej od wiatru skale. Było tam tak ciepło i przytulnie, że niechętnie je opuścił, gdy François zaczął rozdzielać ryby, które wpierw musiały odtajać przy ogniu. Kiedy zjadł swą porcję i powrócił do legowiska, zastał je już zajęte. Ostrzegawcze warknięcie oznajmiło mu, że zakradł się tam Szpic. Dotychczas Buck unikał z nim wszelkich starć, lecz tego już było za wiele. Odezwała się w nim dzika bestia. Rzucił się na Szpica z furją, która zaskoczyła ich obu, a zwłaszcza Szpica; dotychczasowe bowiem doświadczenie kazało mu przypuszczać, że jego rywal jest niezwykle łagodnym psem, któremu udało się zdobyć stanowisko tylko dzięki wielkości i wadze.

François zdziwił także widok skłębionych ciał psów, gdy wypadły z legowiska, ale domyślił się, co spowodowało tę awanturę.

— Hej! — zawołał do Bucka. — Bierz go, do licha! Bierz go, tego przeklętego złodzieja!

Szpic gotów był do walki. Skowycząc z wściekłości i zajadłości krążył dookoła Bucka, aby rzucić się nań w odpowiedniej chwili. Buck, nie mniej zajadły i nie mniej ostrożny, tak samo krążył, czyhajac na odpowiedni moment. Lecz wtedy zaszło właśnie coś nieoczekiwanego, co przeniosło ich walkę o władzę w daleką przyszłość, o wiele mil przebytych na szlaku w ciężkim znoju.

Przekleństwo z ust Perrault, odgłos razów kija spadających na kości i przeraźliwy skowyt bólu były sygnałem wybuchu straszliwego zamieszania. Cały obóz zaroił się nagle od skradających się, pokrytych sierścią stworzeń — było to kilkadziesiąt

wyglądniałych husky, które z jakiejś indiańskiej wioski zwęszyły obóz, Podpełzły bliżej podczas walki Bucka ze Szpicem, a gdy dwaj mężczyźni skoczyli na nie z kijami, obnażyły kły i zaczęły się rozpaczliwie bronić. Zapach żywności doprowadzał je do szału. Perrault dopadł jednego psa, który wsadził łeb głęboko do skrzynki z zapasami. Kij spadł ciężko na sterczące żebra winowajcy, a skrzynka przewróciła się na bok. W jednej chwili ze dwadzieścia wygłodzonych zwierząt rzuciło się na chleb i słoninę. Psy nic sobie nie robiły z bi cia. Skowyczały i wyły z bólu pod gradem ciosów, nie przestawały jednak walczyć wściekle, dopóki nie pożarły wszystkiego, aż do ostatniej okruszynki.

Tymczasem zdumione psy zaprzęgowe wyskoczyły ze swoich legowisk, ale zostały natychmiast osaczone przez rozjuszonych napastników. Buck nigdy nie widział takich psów. Wydawało się, że kości przebiją im skórę. Były to istne szkielety pokryte brudną sierścią, z płonącymi ślepiami, z pyskami ociekającymi śliną. Doprowadzone do szału głodem, stały się przerażające. Niesposób było je powstrzymać. Psy zaprzęgowe zostały odepchnięte do skały już przy pierwszym starciu. Bucka zaatakowały trzy husky, które w mgnieniu oka poszarpały mu skórę na łbie i grzbiecie. Wybuchła przerażająca wrzawa. Billy skomlał jak zwykle. Dave i So-leks, brocząc krwią z licznych ran, walczyły dzielnie obok siebie. Joe gryzł jak szatan: chwycił zębami przednią łapę jednego z wrogów i zmiażdżył kość. Podstępny Pike skoczył z błyskiem kłów na okaleczonego i jednym potrząśnięciem zmiażdżył mu kark. Buck chwycił któregoś z rozwścieczonych napastników za gardło. Z przeciętej żyły trysnęła na niego krew. Smak ciepłej krwi pobudził go do jeszcze większego okrucieństwa. Rzucił się na innego husky, lecz jednocześnie poczuł, że jakieś zęby wpijają się w jego własną szyję. Był to Szpic atakujący zdradziecko z boku.

Perrault i François, uporawszy się z napastnikami w obozie, pośpieszyli na pomoc psom zaprzęgowym. Dzika fala wygłodniałych zwierząt cofała się przed ludźmi i Buck zdołał oswobodzić się od wroga. Lecz tylko na chwilę. Obaj mężczyźni zmuszeni byli pobiec z powrotem, aby ratować żywność, a wtedy husky ponownie rzuciły się na zaprzęg. Billy, niemal oszalały ze strachu, przesadził pierścień dzikich napastników i zaczął uciekać po lodzie. Pike i Dub poszli za jego przykładem, a za nimi reszta zaprzęgu. Buck miał już skoczyć ich śladem, gdy kątem oka ujrzał Szpica pędzącego ku niemu z wyraźnym zamiarem zwałenia go z nóg. Gdyby upadł, nie byłoby już dla niego ratunku przed tą nawałą husky. Przygotowany, odparował atak Szpica, po czym przyłączył się do towarzyszy uciekających przez zamrznięte jezioro.

Po jakimś czasie dziewięć psów zaprzęgu skupiło się i szukało schronienia w lesie. Chociaż nie groził im już pościg, położenie ich było opłakane. Każdy otrzymał po kilka ran, niektóre zaś były bardzo groźne. Dub miał ciężko pokaleczoną tylną łapę; Dolly, ostatnia husky dodana do zaprzęgu w Dyea — mocno poszarpane gardło. Joe stracił oko, a dobroduszny Billy, z uchem podartym na strzępy, skowyczał i jęczał żałośnie przez całą noc. O świcie cały zaprzęg dowlókl się, sunąc ostrożnie, do obozu oswobodzonego od napastników. Perrault i François byli w bardzo złych humorach.

Przeszło połowa żywności przepadła. Husky poprzegryzały nawet rzemienie przy saniach i brezentowe pokrycia. Nic, co by się choć w najmniejszym stopniu nadawało do jedzenia, nie uszło ich żarłoczności. Zjadły parę mokasynów Perrault, z jeleniej skóry, skórzane części uprzęży, a nawet rzemienne zakończenie bata François. Metys przerwał ponure rozmyślania nad batem, by obejrzeć pokaleczone psy.

— Ach, moi drodzy przyjaciele — powiedział łagodnie. — Może dostaniecie wścieklizny od tyłu ran. Może wszyscy dostaniecie wścieklizny, do diabła! Jak myślisz, Perrault?

Kurier pokiwał głową z niepokojem. Miał jeszcze przed sobą czterysta mil do Dawson, a wybuch wścieklizny Wśród psów uniemożliwiłby mu dalszą drogę. Po dwóch godzinach przekleństw i wysiłków uprzęż została wreszcie doprowadzona do porządku i poranione psy ruszyły w drogę, z bólem przewyciężając trudności najcięższego odcinka dotychczas przebitego szlaku, który był zresztą najcięższym odcinkiem drogi do Dawson.;

Rzeka Trzydziestu Mil jeszcze nie zamarzła. Wartki prąd chronił ją przed mrozem i tylko wzdłuż brzegu w spokojnych zatoczkach była ścięta lodem. Przebycie tych strasznych trzydziestu mil wymagało sześciu dni ciężkiej pracy. A tym straszniejsze były te mile, że każdy krok zagrażał życiu psów i ludzi. Wiele razy pękał lód pod Perrault, badającym drogę. Perrault ratował się tylko dzięki temu, że długi kij, który trzymał poziomo w ręku, opierał się zawsze o krawędzie otworu wybitego ciężarem ciała w lodzie. Ale nastały już wielkie mrozy, termometr wskazywał pięćdziesiąt stopni poniżej zera, toteż Perrault, chcąc ratować życie, musiał po każdej lodowatej kąpieli rozpalać ogień i suszyć odzież.

Ale Perrault był nieustraszony. A ponieważ był nieustraszony, wyznaczono go na kuriera rządowego. Nie bał się żadnego ryzyka. Jego drobna, zasuszona postać uparcie przebijała się przez mróz od szarego świtu aż do zmroku. Sunął wzdłuż poszarpanych brzegów po wąskim pasemku lodu, który uginał się i trzeszczał pod nogami i na którym nie mieli odwagi się zatrzymać. Pewnego razu sanie zapadły się wraz z Buckiem i Dave'em. Na wpół zamarznęte psy o mało się nie potopiły, zanim zdołano je wyciągnąć. Aby uratować zwierzęta, trzeba było natychmiast rozpalić ognisko. Gruba skorupa lodu pokrywała sierść Bucka i Dave'a. Perrault i François pędzili psy dookoła ognia, aż zwierzęta zagrzały się i odtajały, biegając tak blisko, że płomienie chwytaly ich sierść.

Innym razem zapadł się Szpic, wciągając za sobą cały zaprzęg aż do Bucka; Buck zahamował z wszystkich sił, wparłszy się przednimi łapami w śliską krawędź trzeszczącego i pękającego lodu. Pomógł mu Dave, który mocno pchnął sanie do tyłu, a stojący za saniami François szarpnął je z taką siłą, że aż nadwreżył sobie ścięgna.

I znowu lód zaczął trzaskać dookoła i nie pozostało już nic innego, jak tylko ratować się ucieczką na stromą skałę przybrzeżną. Perrault udało się wdrapać na nią cudem, podczas gdy François modlił się właśnie o ten cud. Wtedy Perrault połączył wszystkie rzemienie i postronki uprzęży w długą linę, za pomocą której

wciągnął na szczyt skały najpierw psy, jednego po drugim, potem ładunek i sanie. François wydostał się ostatni. Potem na próżno poszukiwali dogodnego zejścia, aż spuścili się wreszcie za pomocą tej samej liny. Zanim zna leżli się z powrotem na rzece, zapadła noc. Tego dnia przebyli zaledwie ćwierć mili.

Kiedy dotarli do Hootalinqua i mocnego lodu, Buck był już bardzo wyczerpany. Pozostałe psy znajdowały się w nielepszym stanie. Lecz Perrault popędzał zaprzęg od świtu do nocy, aby nadrobić stracony czas. Pierwszego dnia przebyli trzydzieści pięć mil do Big Salmon, następnego dnia znowu trzydzieści pięć do Little Salmon, trzeciego dnia czterdzieści, co zbliżyło ich znacznie do Five Fingers.

Łapy Bucka nie były tak twarde i wytrzymałe jak łapy psów husky. Wydelikaciły się przez wiele pokoleń od czasu, gdy ostatni jego dziki przodek został oswojony przez prehistorycznego człowieka. Całymi dniami biegł kulejąc z bólu, a po rozbiciu obozu padał jak martwy. Chociaż głód szarpał mu wnętrzności, nie ruszał się po swoją porcję ryby i François musiał mu ją przynosić. Co wieczór po kolacji Metys rozcierał mu przez pół godziny łapy, a wreszcie poświęcił cholewki swoich własnych mokasynów i uszył cztery małe mokasyny, dzięki którym Buck znacznie mniej cierpiał. Pewnego ranka wywołał nawet uśmiech na zaszuszonej twarzy Perrault, gdy François zapomniał o mokasynach, a Buck położył się na grzbiecie, machając błagalnie w powietrzu łapami, i nie chciał ruszyć z miejsca bez swoich bucików. Z czasem łapy jego zrogowaciały na szlaku, a zniszczone „obuwie” zostało wyrzucone.

Któregoś dnia nad rzeką Pelly, podczas zaprzęgania, Doiły, która dotychczas niczym się nie wyróżniała, dostała nagle ataku wścieklizny. Oznajmiła o tym długim, przejmującym wyciem, na dźwięk którego wszystkim psom ze strachu sierść zjeżyła się na grzbietach, i skoczyła wprost na Bucka. Chociaż ów nigdy w życiu nie widział wściekłego psa i nie miał powodu obawiać się wścieklizny, poczuł jednak, że stoi w obliczu niebezpieczeństwa, i rzucił się przerażony do ucieczki. Pędził prosto przed siebie, a tuż za nim Doiły, zdyszana, z pianą na pysku. Nie mogła go dogonić — tak wielkie było jego przerażenie, ale i on nie mógł od niej uciec — tak wielkie było jej szaleństwo. Buck wpadł do lasu porastającego brzeg wyspy, pomknął w dół ku rzece, przebiegł po nierównym lodzie, pokrywającym jej odnogę, na drugą wyspę, potem na trzecią, zawrócił do głównego koryta i w rozpaczy puścił się ku przeciwległemu brzegowi. A choć przez cały czas nie obejrzał się ani razu, czuł chrapliwy oddech tuż za sobą. Nagle usłyszał wołanie François, oddalonego o jakieś ćwierć mili, więc zawrócił i pomknął z powrotem, ciągle o krok przed Dolly, z trudem łapiąc oddech, ale wierząc, że François go uratuje. Poganiacz trzymał w ręku siekierę wzniesioną do ciosu, a gdy Buck minął go w pędzie, siekiera spadła na łeb szalonej Dolly.

Buck, wyczerpany, bezsilny, zziębnięty, ledwo dowlóknął się do sań. Na taką właśnie okazję czekał Szpic. Skoczył na bezbronnego wroga i dwukrotnie zatopił w nim kły, rozdzierając ciało aż do kości. Wtedy świsnął bat François, a Buck przyglądał się z przyjemnością, jak Szpic dostawał takie cięgi, jakich nie dostał dotąd żaden pies z zaprzęgu.

— Diabeł z tego Szpica — zauważył Perrault. — Pewnego pięknego dnia uśmierci nam Bucka.

— Za to Buck to dwa diabły — brzmiała odpowiedź François. — Przyglądam mu się od dawna i jestem przekonany, że to on pewnego pięknego dnia wścieknie się, rozszarpie Szpica na kawałki i porozrzuca je po śniegu. To murowane.

Odtąd między dwoma psami zapanowała otwarta wojna. Szpic, jako przodownik i uznany władca zaprzęgu, poczuł się zagrożony na swoim stanowisku przez tego dziwnego psa z Południa. A Buck wydawał mu się dziwny dlatego, że spośród licznych psów z Południa, jakie dotąd spotykał, żaden nie był wiele wart ani w obozie, ani na szlaku. Wszystkie były zbyt delikatne i umierały z mrozu, głodu i znoju. Buck stanowił wyjątek. On jeden wytrzymywał wszystkie trudy i czuł się doskonale, dorównując husky siłą, dzikością i sprytem. Miał władczy charakter i był niebezpieczny dlatego, że pałka człowieka w czerwonym swetrze wybiła mu z głowy wszelkie nierozważne porywy i zbyt ni pośpiech w dążeniu do zdobycia władzy. Był niezwykle chytry i umiał czekać z cierpliwością, jaka cechuje pierwotne natury.

Ostateczna rozgrywka o pierwszeństwo była nieunikniona. Buck pragnął tego. Pragnął, ponieważ walka leżała w jego naturze, ponieważ opanowała go już ta nie określona bliżej, niezrozumiała ambicja szlaku — ambicja, która dodaje bodźca w ciężkim wysiłku aż do ostatniego tchu, która sprawia, że psy w uprzęży umierają radośnie, a odcięte od zaprzęgu — ze złamanym sercem. Taka była ambicja Dave'a jako dyszlowego i Sol-leksa, gdy z całych sił ciągnął sanie. Ambicja, która opanowywała je przy zwijaniu obozu, przekształcając zgryźliwe i ponure zwierzęta w chętne, dzielne stworzenia. Ambicja, która dodawała im ducha w ciągu dnia i opuszczała je wieczorem przy rozbijaniu obozu, kiedy to zapadały ponownie w ponury niepokój i niezadowolenie. Była to ambicja, która podtrzymywała Szpica i nakazywała mu karać psy, gdy myliły się lub wykręcały od pracy, czy też chowały się, kiedy nadchodziła pora zaprzęgnięcia. Ta właśnie ambicja sprawiała, że Szpic bał się Bucka jako groźnego rywala. I taką samą ambicję posiadał Buck.

Teraz otwarcie zaczął zagrażać stanowisku Szpica jako przodownika zaprzęgu. Bronił winnych, których tamten miał obowiązek ukarać. I robił to rozmyślnie. Pewnej nocy spadł obfity śnieg, a rano leniwy Pike nie zjawił się przy saniach. Leżał ukryty w swoim legowisku pod grubą warstwą śniegu. François wołał go i szukał bezskutecznie. Szpic szalał z wściekłości. Miotał się po całym obozie węsząc i rozkopując wszystkie podejrzane miejsca, a warczał tak groźnie, że Pike, słysząc to, trząsł się ze strachu w swojej kryjówce.

Lecz gdy wreszcie odnaleziono Pike'a i Szpic skoczył, by go ukarać, Buck rzucił się z równą furią pomiędzy nich. Atak ten był tak niespodziewany i tak zręczny, że zwałił Szpica z nóg. Drżący ze strachu Pike nabrał odwagi na widok otwartego buntu i skoczył na leżącego przywódcę. Buck, który zapomniał już o zasadach uczciwej gry, również rzucił się na Szpica. Lecz François, choć ubawiony tym zajściem, nie wahał się w wymiarze sprawiedliwości i uderzył Bucka z całych sił batem. Nie zdołał go jednak odpędzić od powalonego rywala, więc zmuszony był użyć rękonożności.

Podczas gdy Buck, na wpeł ogłuszony uderzeniem, leżał smagany raz po raz batem, Szpic surowo ukarał Pike'a, który już tyle razy przewinił. W ciągu następnych dni, gdy zmniejszała się odległość do Dawson, Buck nadal bronił winnych przed Szpicem. Lecz robił to przebiegle, kiedy François nie było w pobliżu. Jednocześnie z cichym buntem Bucka wybuchła i przybierała na sile ogólna niesubordynacja. Dave i Sol-leks nie ulegli powszechnemu nastrojowi, ale reszta zaprzęgu demoralizowała się coraz bardziej. Zaczęło się źle dziać. Zwady i kłótnie nie ustawały. Panował nastrój pełen napięcia, a przyczyną wszystkiego był Buck. François nie miał chwili spokoju. Ciągłe obawiał się wybuchu walki na śmierć i życie między tymi dwoma, bo wiedział, że prędzej czy później walka ta musi nastąpić. Niemal co noc odgłosy gryzących się psów wyciągały go ze śpiwora; bał się, czy to nie Buck i Szpic walczą ze sobą.

Sposobność nie nadarzyła się jednak i groźba walki wciąż wisiała w powietrzu, gdy pewnego ponurego popołudnia dotarli wreszcie do Dawson. Znajdowało się tam moc ludzi i mnóstwo psów, a Buck przekonał się, że wszystkie psy pracowały. Wydawało się zwykłym porządkiem rzeczy, że psy muszą pracować. Całymi dniami długie zaprzęgi sunęły główną ulicą miasta, a nawet po nocach rozbrzmiewały dzwoneczki na uprzęży. Psy przewoziły bale i drzewo na opał, przeznaczone dla kopalń, i w ogóle wykonywały wszelkie prace, jakie w dolinie Santa Clara spełniały konie. Tu i ówdzie Buck spotykał psy z Południa, ale większość stanowiły mieszańce husky z wilkami. Co noc, regularnie o dziewiątej, dwunastej i trzeciej, rozpoczynały one swoją pieśń — niesamowity, przedziwny chorał, do którego Buck przyłączał się z zachwytem.

Gdy niebo rozpalało się zimnym blaskiem zorzy polarnej, gdy gwiazdy skrzyły się na mroźnym firmamencie, a skuta mrozem ziemia leżała w odrętwieniu pod śnieżnym całunem, ta pieśń husky mogłaby brzmieć jak wyzwanie rzucone życiu, gdyby nie jej ponury ton, długie zawodzenie i półszlochy, które raczej skarżyły się na życie, na ciężki trud istnienia. Była to dawna pieśń, tak dawna jak rasa — jedna z pierwszych pieśni młodego świata z owych dni, gdy pieśni pełne były smutku. Rozbrzmiewała w niej żalność niezliczonych pokoleń i skarga, która tak dziwnie przejmowała Bucka. W zawodzeniu Bucka przewijały się cierpienia życiowe, które były ongiś cierpieniami jego dzikich przodków, przebijał lęk przed tajemnicą zimnego mroku, który był ongiś także ich lękiem. A to, że przejmował go ten lęk, oznaczało całkowity nawrót poprzez wieki ognia i domostwa do surowych zaczątków życia w dzikich i ponurych czasach.

W siedem dni po przybyciu do Dawson zjechali po stromym brzegu koło koszar na szlak yukoński, kierując się do Dyea i ku morzu. Perrault wiózł pocztę jeszcze pilniejszą od tej, którą dostarczył do Dawson. A ponadto opanowała go teraz ambicja szlaku i chciał pobić tegoroczny rekord szybkości. Warunki ku temu były sprzyjające. W czasie tygodniowego odpoczynku psy odzyskały siły i były znowu w dobrej kondycji. Szlak, który uprzednio przebyli jako pierwsi, został tymczasem przez następnych podróżników dobrze przetarty. Prócz tego policja przygotowała w kilku miejscach składy żywności dla psów i ludzi, więc Perrault mógł podróżować

bez wielkiego obciążenia.

Pierwszego dnia dotarli do Sześćdziesiątej Mili, co oznaczało, że przebyli pięćdziesiąt mil. Drugi dzień zastał ich, pędzących w górę Yukonu, już w pobliżu Pelly. Lecz ta wspaniała szybkość została osiągnięta nie bez wielkiego wysiłku i zdenerwowania François. Ferment buntu, zdradliwie rozsiany przez Bucka, rozbił solidarność zaprzęgu.. Nie był to już zaprzęg zgodnie biegnący przy saniach. Buntownicy, zachęceni przez Bucka, popełniali szereg drobnych przewinień. Szpic przestał być przywódcą wzbudzającym postrach. Dawny szacunek zniknął i psy odważały się lekceważyć jego' autorytet. Pike ukradł mu pewnego wieczoru pół ryby i pożarł ją błyskawicznie skrywszy się pod opiekę Bucka. Innym razem Dub i Joe zaatakowały Szpica i zmusiły go do zaniechania kary, na którą zasłużyły. Nawet Billy stał się mniej dobroduszny i nie skowyczał już tak pojednawczo jak dawniej. Buck nigdy nie zbliżał się do Szpica inaczej, jak z groźnym warczeniem i najeżoną sierścią. A jego bezczelność wzrosła do tego stopnia, że przechadzał się dumnie tam i z powrotem przed samym nosem Szpica.

Upadek dyscypliny odbił się również na wzajemnych stosunkach innych psów. Dokuczały sobie i gryzły się jak nigdy dotąd, aż nieraz w obozie wybuchało istne piekło. Nie zmienili się tylko Dave i Sol-leks, ale ich także drażniły te ustawiczne waśnie. François miotał jakieś dziwne barbarzyńskie przekleństwa i tupał nogami w bezsilnej wściekłości, wrywając sobie włosy z głowy. Bat jego świstał nieustannie, ale nie odnosiło to wielkiego skutku. Wystarczyło, aby odszedł na chwilę, a psy znowu zaczynały swoje. Starał się podtrzymywać autorytet Szpica batem, podczas gdy Buck podtrzymywał bunt wśród reszty zaprzęgu. François wiedział, kto był winowajcą, a Buck wiedział o tym, że on wie. Lecz Buck był za mądry, żeby dać się teraz złapać na gorącym uczynku. Pracował pilnie w uprzęży, gdyż praca stała się dla niego rozkoszą, lecz większą rozkoszą było chytre podjudzanie towarzyszy do walki i płatanie postronków..

Przy ujściu Tahkeeny Dub natknął się pewnego wieczoru po kolacji na zająca bielaka, ale nie zdołał go złapać. W mgnieniu oka cały zaprzęg ujadając rzucił się w pogoń. W odległości stu jardów znajdował się posterunek północno-zachodniej policji. Było tam z pięćdziesiąt psów, samych husky, które także przyłączyły się do pościgu. Bielak pomknął w dół rzeki, później skręcił w bok i popędził po zamarzniętym łożysku strumienia, trzymając się go' uporczywie. Gnał lekko po śniegu, pod czas gdy psy zapadały się i biegły z wielkim wysiłkiem. Buck prowadził całą zgraję sześćdziesięciu psów, mijał zakręt po zakręcie, ale odległość między nimi a ofiarą nie zmniejszała się wcale.

Wyciągnięty jak struna, pędził poszczekując zajadle, a w bladym świetle księżyca jego wspaniałe ciało połyskiwało przy każdym skoku. Lecz bielak, jak śnieżny duszek, sadził susami prosto przed siebie.

Odzywające się odwieczne instynkty, które w pewnych okresach wyciągają ludzi z hałaśliwych miast do lasów i na pola i każą -zabijać stworzenia ołowianymi kulami, żądza krwi, rozkosz zabijania — wszystko to odczuwał Buck, ale odczuwał znacznie głębiej. Pędził oto na czele zgrai w pogoni za dzikim stworzeniem, za

żywym mięsem, aby je zabić własnymi zębami i zanurzyć pysk aż po oczy w ciepłej krwi.

Istnieje stan ekstazy, będący szczytowym punktem życia, ponad który już wznieść się nie można. A taki jest paradoks istnienia, że w momencie tej ekstazy człowiek żyje tak intensywnie jak nigdy i jednocześnie zapomina, że żyje. Ekstaza ta, to zapomnienie o życiu, ogarnia artystę płomieniem. Ogarnia żołnierza, gdy po przegranej bitwie w bojowym szale odmawia łaski z ręki wroga. Ogarnęła i Bucka, gdy wydając odwieczny wilczy zew, pędził na czele zgrai za zwierzątkiem umykającym szybko w świetle księżyca. W głosie Bucka przebijała cała głębia jego natury, jej niezbadane tajniki, sięgające początków istnienia.

Ogarnęło go uczucie wspaniałej żywotności, zalała potężna fala radości istnienia, pełnia szczęścia odczuwana w każdym mięśniu, stawie i ścięgnie. Było w tym wszystko, co nie było śmiercią, co było płomienne i dzikie, co wyrażało się ruchem, ulatywało radośnie ku gwiazdom ponad martwą materię, pozostającą w bezruchu.

Tymczasem Szpic, chłodny i wyrachowany nawet w chwilach najwyższego napięcia, odłączył się od zgrai i przeciął wąski cypel łądu otoczony szerokim łukiem strumienia. Buck o tym nie wiedział. Lecz gdy okrążył cypel, a bielak jak śnieżny duszek ciągle mknął przed nim, nagle ujrzał innego, większego ducha, który skoczył z wysokiego brzegu i przeciął drogę uciekającemu. Był to Szpic. Bielak już nie mógł zawrócić, a gdy kły miażdżyły mu kark, krzyknął tak przeraźliwie, jak może tylko krzyknąć zraniony człowiek. Na dźwięk tego gło su — głosu życia spadającego ze swych wyżyn w szpony śmierci — cała zgraja odezwała się piekielnym chórem zachwytu.

Buck nie przyłączył się do chóru i nie zatrzymał. Skoczył na Szpic gwałtownie, ale wskutek nagłości ruchu nie zdołał chwycić go za gardło. Ciała obu psów skłębiły się w puszystym śniegu. Szpic błyskawicznie zerwał się na nogi, rozdarł Buckowi skórę na łopatce i odskoczył. Jego zęby kłapnęły dwukrotnie jak stalowe kleszcze pułapki, gdy cofał się do tyłu, aby lepiej przygotować się do skoku, obnażając kły i groźnie warcząc.

W mgnieniu oka Buck zrozumiał. Nadszedł czas. To będzie walka na śmierć i życie. Gdy warcząc z cicha zaczęli krążyć dokoła siebie z położonymi po sobie uszami, pilnie wypatrując sposobności do ataku, scena ta wydała się Buckowi dziwnie znajoma. Jakby przypominał sobie to wszystko — i biały las, i ziemię pod śniegiem, i światło księżyca, i dreszcz walki. Nad białym pustkowiem panowała upiorna cisza. Nie zakłócał jej najłżejszy podmuch wiatru — nic się nie poruszało, nie zadrżała gałązka, tylko kłęby pary buchające z psich pysków snuły się powoli w mroźnym powietrzu. Psy, a właściwie ledwo oswojone wilki, nie tracąc dużo czasu nad bielakiem, otoczyły walczących w pełnym napięcia oczekiwaniu. One również milczały, tylko płonęły im ślepia i para unosiła się z pysków. Dla Bucka ta scena sprzed wieków nie była ani nowa, ani dziwna. Wydawało mu się, że jest tak, jak być powinno. .

Szpic był doświadczonym w walce przeciwnikiem. Od Szpicbergen przez kraje podbiegunowe, Kanadę i jej tundry walczył z różnymi psami i zawsze zwyciężał.

Ogarniała go wściekłość dzika, ale nigdy ślepa. W swej namiętności rozdzierania i zabijania nigdy nie zapominał, że jego wróg ulega tej samej namiętności. Nigdy nie atakował, dopóki nie był przygotowany na odparcie ataku, nigdy nie zadawał ciosu, dopóki najpierw ciosu nie odparł.

Na próżno, Buck starał się zatopić zęby w szyi białego olbrzyma. Gdy tylko próbował dotrzeć kłami ciała, napotykał kły Szpica. Kieł zderzał się z kłem, poranione wargi krwawiły, lecz Buck nie mógł przełamać obrony wroga. Wreszcie rozgrzany walką jał przypuszczać jeden po drugim błyskawiczne ataki. Raz po raz sięgał do śnieżnobiałej szyi, gdzie życie topniało pod skórą. Gdy Szpic odparowywał te ciosy, Buck udając, że skacze mu do gardła, odwracał nagle łeb, i pochyliwszy się w bok, uderzał z całej siły, jak taranem, barkiem o bark Szpica, by zwalić go z nóg. Lecz manewr ten się nie udawał. Szpic za każdym razem rozdierał mu bark i lekko uskakiwał na bok.

Szpic był nie tknięty, a Buck broczył krwią i ciężko dyszał. Walka stawała się rozpaczliwa. A przez cały czas milczące koło dzikich psów czekało, by dobić tego, który padnie. Gdy Buck był już wyraźnie zmęczony, Szpic zaczął atakować tak ostro, że jego przeciwnik ledwo mógł się utrzymać na nogach. Raz nawet upadł i cały pierścień sześćdziesięciu psów poderwał się; lecz Buck zdołał odzyskać równowagę, zanim dotknął ziemi, i psy przysiadły znów w oczekiwaniu.

Ale Buck posiadał jedną zaletę, która stanowi o wielkości — wyobraźnię. Walczył kierując się instynktem, lecz mógł również walczyć kierując się rozumem. Skoczył na Szpica, jak gdyby chciał zastosować poprzedni manewr uderzenia barkiem, ale w ostatniej chwili przypadł nisko do ziemi i chwycił zębami lewą przednią łapę wroga. Rozległ się trzask łamanej kości i biały pies musiał walczyć dalej na trzech nogach. Trzykrotnie Buck próbował go powalić, aż wreszcie powtórzył manewr i złamał Szpicowi przednią prawą łapę. Pomimo bólu i bezradności, Szpic starał się rozpaczliwie stawić mu czoło. Widział, że milczący pierścień psów o płonących ślepiach i wywieszonych jęzorach, osnuty srebrzystymi oparami oddechów, zacieśnia się wokół niego, tak jak kiedyś zacieśniały się inne pierścienie dookoła zwyciężonych wrogów. Ale tym razem on został zwyciężony.

Nie było dla niego nadziei. Buck był bezlitosny. Litość istniała tylko w ciepłych krajach. Teraz zbierał się do ostatecznego ciosu. Pierścień zacieśnił się tak, że czuł na sobie oddech husky. Widział je za plecami Szpica i po obu bokach, prężące się do skoku ze ślepiami wlepionymi w ofiarę. W walce jak gdyby nastąpiła przerwa. Psy zamarły w bezruchu jak skamieniałe. Tylko Szpic drżał i jeżył sierść, zataczając się i warcząc przeraźliwe groźby, jakby chciał odstraszyć nadchodzącą śmierć. Wtedy Buck skoczył, jeszcze raz uderzając barkiem o bark. Ciemny pierścień zamknął się tworząc plamę na śniegu, co srebrzył się w świetle księżyca. Szpic znikł z oczu. Buck stał i patrzył. Wygrał walkę. Pierwotna bestia zabiła ofiarę i poczuła smak zwycięstwa.

IV. TEN, KTÓRY ZWYCIĘŻYŁ

— A co, nie mówiłem? Czy nie miałem racji, że ten Buck to dwa diabły?

Słowa te padły z ust François następnego ranka, gdy zauważył, że Szpica nie ma w obozie, a Buck jest ciężko poraniony. Przyciągnął psa do ogniska i przy blasku płomieni wskazywał rany kurierowi.

— Ten Szpic walczył jak szatan — powiedział Perrault przyglądając się głębokim ranom i poszarpanej w wielu miejscach skórze.

— Za to Buck walczył jak dwa szatany — odrzekł François. — Ale teraz przynajmniej będziemy szybko jechać. Nie ma Szpica, nie ma zamieszania.

Perrault pakował ekwipunek obozowy i ładował sanie, a François przystąpił do zaprzęgania psów. Buck podbiegł do miejsca, które dotąd zajmował Szpic jako przodownik. Lecz François, nie zwracając na niego uwagi, zaprowadził Sol-leksa na to upragnione stanowisko. Zdaniem Metysa Sol-leks najlepiej nadawał się na przodownika. Wtedy Buck skoczył z furją na Sol-leksa, odpędził go i stanął na czele zaprzęgu.

— A to co? A to ci dopiero! — zawołał François, klepiąc się radośnie po udach. — Spójrz na tego Bucka! Zabił Szpica i uważa, że należy mu się jego miejsce.

— Wynoś się, diable! — krzyknął, lecz Buck ani drgnął.

Wtedy Metys chwycił Bucka za skórę na karku i chociaż pies warczał groźnie, odciągnął go na bok i ponownie zaprowadził Sol-leksa na czoło zaprzęgu. Wcale się to staremu psu nie podobało, okazywał wyraźnie, że boi się Bucka. François był nieustępliwy, ale gdy tylko się odwrócił, Buck znowu zajął miejsce Sol-leksa, który je chętnie odstąpił.

Metys wpadł w gniew. — Do 'diabła, poczekaj, ja ci teraz pokażę! — zawołał podchodząc do psa z ciężkim kijem w ręku.

Buck przypomniał sobie człowieka w czerwonym swetrze i wycofał się powoli. Nie próbował też atakować, gdy jeszcze raz ustawiono Sol-leksa na przedzie. Krążył jednak tuż poza zasięgiem kija, warcząc z goryczą i wściekłością. Nie spuszczał tylko kija z oczu, by móc w razie czego odskoczyć. Wiedział już bowiem dobrze, co znaczy kij.

Poganiacz zajął się znów zaprzęganiem i kiedy przyszła kolej na Bucka, zawołał psa, żeby go ustawić na dawnym miejscu przed Dave'em. Buck cofnął się o kilka kroków. François podszedł do niego, ale pies znowu się cofnął. Gdy powtórzyło się to kilka razy, François odrzucił kij myśląc, że Buck boi się bicia. Lecz Buck zbuntował się otwarcie. Nie chodziło muo uniknięcie kary, tylko o stanowisko przodownika. Miał do tego prawo. Zasłużył na nie i nie zadowolił się niczym innym.

Wreszcie Perrault przyszedł z pomocą. Razem z François uganił się za psem bez mała godzinę. Rzucali w niego kijami. Pies zgrabnie unikał ciosów. Przeklinali go wraz z jego przodkami i całym potomstwem aż do najdalszego pokolenia, przeklinali każdy włos na jego ciele i każdą kroplę krwi w żyłach. A pies odpowiadał warczeniem na każde przekleństwo i trzymał się poza zasięgiem kija.

prześladowców. Nie uciekał daleko, krążył po obozie okazując wyraźnie, że gdy tylko jego życzenie zostanie spełnione, wróci i będzie posłuszny.

François usiadł i podrapał się w głowę. Perrault spojrział na zegarek i zaklął. Czas mijał. Już od godziny powinni być w dro dze. François znowu podrapał się w głowę, potrząsnął nią i uśmiechnął się niepewnie do kuriera. Ten wzruszył ramionami na znak, że zostali zwyciężeni. Wtedy François podszedł do Sol-leksa i zawołał Bucka. Buck zaśmiał się tak, jak umieją się śmiać psy, ale nie podszedł bliżej. François wyprzągnął Sol-leksa i umieścił go na dawnym miejscu. Psy stały zaprzężone do sań jeden za drugim, gotowe do drogi. Dla Bucka zostało tylko miejsce na przedzie. François zawołał go jeszcze raz i znowu Buck zaśmiał się i cofnął.

— Odrzuć kij — rozkazał Perrault.

François usłuchał, a wtedy Buck przybiegł śmiejąc się tryumfalnie i zajął miejsce na czele zaprzęgu. Przymocowano mu uprząż, płozy oderwano od lodu, obaj mężczyźni ruszyli biegiem i za chwilę sanie pomknęły po rzeczonym szlaku.

Chociaż poganiacz wysoko cenił Bucka, dając mu nazwę „dwóch diabłów”, przekonał się już w ciągu poranka, że go jednak nie doceniał. W mgnieniu oka Buck objął obowiązki przodownika, a jeśli szło o decyzję, bystrość myśli i szybkość działania, okazało się, że przewyższa nawet Szpica, któremu równego François nigdy nie widział.

Lecz przede wszystkim Buck celował w rządzeniu i narzucaniu posłuchu towarzyszom. Dave i Sol-leks przyjęli obojętnie zmianę przywódcy. Nic ich to nie obchodziło. Obchodziła ich tylko praca, i to ciężka praca w uprzęży. Dopóki nikt ich nie zaczepiał, nie przejmowali się niczym. Było im wszystko jedno — nawet dobroduszny Billy mógł zostać przodownikiem, byleby tylko potrafił utrzymać porządek. Natomiast reszta psów stała się niesforna podczas ostatnich dni rządów Szpica i wielkie było ich zdziwienie, gdy Buck zabrał się ostro do przywracania dyscypliny.

Pike, który biegł tuż za Buckiem i nigdy nie ciągnął mocniej, niż musiał, był raz po raz karany za lenistwo. Zanim dzień minął, ciągnął tak silnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Pierwszego wieczoru, gdy rozbito obóz, zgryźliwy Joe został surowo ukarany, co nigdy nie udawało się Szpicowi. Buck po prostu przy gniótł go swoim ciężarem i tak pogryzł, że Joe przestał się bronić i zaczął skomleć o litość.

Ogólny nastrój w zaprzęgu poprawił się natychmiast. Wróciła 'dawna solidarność i znowu psy zgodnie biegły w uprzęży. W Rink Rapids przybyły dwa rodowite husky, Teek i Koon, a szybkość, z jaką Buck je wyuczył, wzbudziła zachwyty François.

— Nigdy nie widziałem takiego psa jak Buck! — wołał. — Nigdy! Wart tysięcy dolarów, do licha! Co ty na to, Perrault?

Perrault kiwnął twierdząco głową. Pobił już rekord szybkości na szlaku i codziennie nadrabiał czas. Szlak był w doskonałym stanie, mocno ubity i twardy, gdyż od dawna nie padał śnieg, co utrudniłoby drogę. Mrozy nie były zbyt silne. Temperatura spadła do pięćdziesięciu stopni poniżej zera i tak się utrzymywała przez cały czas podróży. Obaj mężczyźni biegli lub jechali na zmianę i ostro

popędzali psy, z rzadka zatrzymując się na postojach.

Rzeka Trzydziestu Mil była już niemal cała pokryta lodem, toteż w drodze powrotnej w jeden dzień pokonali przestrzeń, na którą poprzednio zużyli dni dziesięć. W ciągu jednego dnia przebyli sześćdziesiąt mil od jeziora Le Barge do White Horse Rapids. Przez Marsh, Tagish i Bennett (siedemdziesiąt mil jezior) przelecieli tak szybko, że człowiek, na którego wypadła kolej biec, musiał chwycić się liny przywiązanej do sań. Ostatniego: wieczoru drugiego tygodnia przebyli White Pass i zaczęli zjeżdżać po zboczu ku morzu, mając u stóp światła Skaguay i statków stojących w porcie.

Była to rekordowa podróż. Przez dwa tygodnie robili przeciętnie po czterdzieści mil dziennie. Toteż przez trzy dni Perrault i François paradowali dumnie po głównej ulicy Skaguay, zasypywani zaproszeniami na wódkę, a zaprzęg stale był otoczony pełnym podziwu tłumem handlarzy i poganiaczy psów. Ale któregoś dnia kilku bandytów z Zachodu zapragnęło „oczyścić” miasto. Zostali za to podziurawieni kulami i zainteresowanie publiczności zwróciło się w ich kierunku. Wkrótce nadeszły urzędowe rozkazy. François przywołał Bucka, objął go za szyję i płakał. Wtedy to po raz ostatni Buck widział François i Perrault. Zniknęli na zawsze z jego życia, tale jak wiele innych ludzi.

Jakiś pół Szkot, pół Indianin zabrał Bucka i jego towarzyszy i wraz z dwunastoma innymi zaprzęgami wyruszył znowu w nużącą drogę do Dawson. Tym razem nie była to ani łatwa, ani szybka podróż, lecz ciężka praca dzień po dniu z ciężkim ładunkiem. Wieziono bowiem pocztę, która niosła wieści ze świata ludziom poszukującym złota w cieniu bieguna.

Buck nie lubił takiej roboty, ale spełniał ją sumiennie i dumny był z niej, podobnie jak Dave i Sol-leks. Pilnował też, aby jego towarzysze, bez względu na to, czy odczuwali tę dumę, czy nie, wykonywali sumiennie swoje obowiązki. Życie ich było monotonne, toczyło się z regularnością maszyny. Jeden dzień nie różnił się prawie od drugiego. Każdego ranka o tej samej porze kucharze wstawali, rozpalali ogniska i wydawali śniadanie. Potem zwijano obóz, zaprzęgano psy i ruszano w drogę na godzinę, zanim rozpraszające się ciemności zapowiedziały świt. Wieczorem rozbijano obóz. Jedni rozstawiali namioty, drudzy rąbali drzewo na opał i gałęzie sosnowe na posłanie, a jeszcze inni nosili wodę lub lód dla kucharzy. Potem karmiono psy. Był to dla nich najprzyjemniejszy moment dnia, chociaż lubiły także po zjedzeniu ryby pohasać sobie z godzinę czy dwie z innymi psami, których była przeszło setka. Znajdowali się wśród nich groźni zawadiacy, ale trzy walki stoczone z najgroźniejszymi przyniosły Buckowi zwycięstwo. Toteż gdy tylko najeżył sierść i pokazał kły, ustępowano mu z drogi.

Może jednak największą przyjemność odczuwał Buck, gdy mógł położyć się przy ognisku z podkurczonymi tylnymi łapami, wyciągniętymi przednimi i podniesioną głową, i marzyć, wpatrzony w płomienie. Czasem myślał o wielkim domu sędziego Millera w zalanej słońcem dolinie Santa Clara, o basenie pływackim, o Ysabel, bezwłosym meksykańczyku i Toots, japońskim mopsie. Częściej jednak wspominał człowieka W czerwonym swetrze, śmierć Curly, swoją wspaniałą walkę ze Szpicem,

a także różne smaczne rzeczy, które kiedyś jadł i które zjadłby teraz chętnie. Nie tęsknił za domem. Słoneczna kraina zatarła się w jego pamięci i stała się odległą, toteż wspomnienia te nie narzucały mu się zbyt silnie. Znacznie silniejsze były wspomnienia związane z jego dziedzictwem, dzięki któremu nigdy nie widziane obrazy wydawały mu się znane; instynkty, które były tylko wspomnieniem o zwyczajach przodków i które zamierając stopniowo w dalszych pokoleniach, w nim samym ożyły ponownie.

Czasem, gdy tak leżał przy ognisku i marzył wpatrując się w płomienie, wydawało mu się, że są to płomienie innego ogniska i że leżąc przy tym innym ognisku widzi przed sobą nie kucharza Metysa, tylko innego człowieka. Tamten człowiek miał krótsze nogi i dłuższe ręce, o mięśniach suplastych i twardych jak postronki, a nie łagodnie zaokrąglających się pod skórą. Włosy miał długie i zmierzwione, a czoło cofnięte. Wydawał dziwne dźwięki i widocznie bardzo bał się ciemności, gdyż wpatrzony w nie ścisnął kurczowo w sięgających do pół łydki rękach pałkę z przymocowanym na końcu dużym kamieniem. Był prawie nagi, tylko poszarpana, osmolona ogniem skóra zwierzęca okrywała mu częściowo plecy. Całe ciało pokryte miał gęstym włosiem, który na piersiach, ramionach i udach tworzył jak gdyby futro. Nie stał prosto, tułów jego pochylał się ku przodowi, a kolana miał zgięte. Odznaczał się niezwykłą sprężystością i kocią niemal zręcznością. Był czujny jak ktoś, kto żyje w ustawicznym lęku przed rzeczami widzialnymi i niewidzialnymi.

Niekiedy ten kosmaty człowiek spał siedząc przy ognisku z nisko opuszczoną głową. Wtedy opierał łokcie o kolana, a owłosione ręce splatał nad głową, jak gdyby chciał osłonić ją od deszczu, a dalej za ogniskiem, w otaczających je ciemnościach, Buck widział liczne żarzące się węgielki, po dwa, zawsze po dwa, i wiedział, że są to ślepiea wielkich drapieżników. Słyszał też trzask gałęzi, gdy zwierzęta przedzierały się przez leśną gęstwinę, i pomruki ich rozlegające się w nocy.

A gdy tak marzył nad brzegiem Yukonu, leniwie wpatrując się w ogień, te obrazy i odgłosy minionego świata przejmowały go taką grozą, że sierść jeżyła mu się na grzbiecie aż po kark i zaczynał skomleć żałośnie lub cicho warczeć. Wtedy kucharz Metys wołał: — Hej, Buck, obudźże się! — Na dźwięk tego głosu tamten świat zniknął i prawdziwy zjawiał się przed oczyma, a pies wstawał, przeciągał się i ziewał, jak gdyby naprawdę spał.

Ciężka była ta podróż z ładunkiem poczty i wymagała wielkiego wysiłku, toteż psy przybyły do Dawson wychudzone i wyczerpane. Należało im się dziesięć dni lub co najmniej tydzień odpoczynku. Lecz już po dwóch dniach musiały ponownie zjechać w dół brzegu koło koszar na Yukon z ładunkiem listów dla cywilizowanego świata. Psy były zmęczone, poganiacze niezadowoleni, a na domiar złego codziennie padał śnieg. Szlak stał się miękki, zwiększyło się tarcie płóz, a to zmuszało psy do większego wysiłku. Trzeba jednak przyznać, że przez cały czas podróży poganiacze zachowywali się wzorowo, opiekując się zwierzętami z największą troskliwością.

Co wieczór najpierw zajmowano się psami. Dostawały jedzenie w pierwszej kolejności i żaden z poganiaczy nie zaszył się do śpiwora, zanim nie obejrzał łap swych psów. Pomimo to zwierzęta opadały z sił. Od początku zimy przebyły tysiąc

osiemset mil ciągnąc sanie po ciężkim szlaku, a takie tysiąc osiemset mil musi się odbić na najsilniejszym nawet organizmie. Buck dzielnie znosił trudy, zachęcając towarzyszy do pracy i utrzymując dyscyplinę, chociaż sam także był już wyczerpany. Billy co noc skomlał żałośnie przez sen. Joe stał się jeszcze zgryźliwszy, a Sol-leks nie pozwalał zbliżyć się do siebie nie tylko od strony wybitego oka, ale nawet od strony zdrowego.

Najgorsze jednak cierpienia znosił Dave. Widać było., że jest chory. Stał się jeszcze bardziej ponury i rozdrażniony, a gdy rozbijano obóz, natychmiast wygrzebywał sobie legowisko i poganiacz musiał mu przynosić jedzenie. Gdy się raz położył, nie podniósł się aż do rana. Przy każdym gwałtowniejszym szarpnięciu uprząży podczas ruszania z miejsca lub nagłego hamowania sań, skowyczał z bólu. Metys zbadał go, lecz nie mógł znaleźć przyczyny dolegliwości. Wszyscy poganiacze zainteresowali się chorobą Dave'a. Rozmawiali o tym w czasie posiłków i kurząc ostatnie fajki przed zaśnięciem, a wreszcie pewnego wieczoru urządzili konsylium. Przynieśli psa do ogniska, oglądali go i badali, a Dave raz po raz wył z bólu. Coś mu dolegało wewnątrz, ale ponieważ nie mogli doszukać się żadnej złamanej kości, nie rozumieli, co się z nim stało.

Kiedy dojeżdżali do Cassiar Bar, Dave tak osłabł, że kilkakrotnie padał w uprząży. W osadzie tej Metys nakazał postój, wyprzągnął Dave'a, a na jego miejsce zaprzągnął Sol-leksa. Chciał, aby pies odpoczął biegnąc za saniami. Lecz Dave, choć ciężko chory, nie chciał się z tym pogodzić. Warczał groźnie, gdy zdejmowano z niego uprząż, a widząc Sol-leksa na stanowisku, które tak długo zajmował i na którym tak wiernie służył, zaczął rozpaczliwie skowyczeć. Miał bowiem ambicję szlaku i chociaż śmiertelnie chory, nie mógł znieść, by inny pies wykonywał jego pracę.

Gdy sanie ruszyły, zaczął biec po puszystym śniegu obok zaprzęgu, atakując Sol-leksa zębami i usiłując zepchnąć go w głęboki śnieg po drugiej stronie szlaku, by wskoczyć w jego uprząż i zająć swoje miejsce przy saniach. Przez cały czas skowyczał, ujadał i wył z rozżalenia i bólu. Metys starał się odpędzić go batem, ale Dave nie zwracał uwagi na bolesne razy, a człowiek nie miał serca uderzyć mocniej. Pies nie chciał biec wygodnie za saniami, ubitą drogą, lecz brnął z trudem w głębokim śniegu obok Sol-leksa, dopóki całkiem nie stracił sił. Wreszcie upadł i leżał bez ruchu wyjął rozpaczliwie, podczas gdy długi szereg sań mijał go w wielkim pędzie.

Ostatnim wysiłkiem powłókł się za saniami aż do następnego postoju, a wtedy minął obce zaprzęgi i zatrzymał się przy swoim, obok Sol-leksa. Metys podszedł do poganiacza zaprzęgu, stojącego za jego saniami, by zapalić fajkę, po czym wrócił i dał psom rozkaz odjazdu. Te skoczyły naprzód z zadziwiającą lekkością, obejrzały się i stanęły zdumione, poganiacz zdumiał się również — sanie ani drgnęły. Zawołał towarzyszy, żeby zobaczyli, co się stało; oto Dave przegryzł oba postronki Sol-leksa i stanął przy saniach na swoim właściwym miejscu.

Błągał oczami, aby pozostawiono go w zaprzęgu. Metys był zaskoczony. Inni poganiacze zaczęli opowiadać, że jeśli psu nie pozwala się wykonywać pracy, nawet takiej, która go zabija, to wtedy pęka mu serce. Przypominali wypadki, gdy psy, zbyt

stare lub pokaleczone, zdychały, kiedy odcinano je od uprzęży. Uważali też, że ponieważ Dave i tak musi umrzeć, należy mu okazać litość i pozwolić, aby z lekkim sercem i uspokojony umarł w zaprzęgu. Toteż zaprzężono go znowu i ruszył dumnie jak dawniej, chociaż nieraz mimo woli skowyczał, gdy ukryty ból przeszywał go na wskroś. Wielokrotnie padał i był wleczony przez zaprzęg, a raz nawet sanie najechały na niego, tak że okulał na tylną łapę.

Wytrzymał jednak aż do chwili rozbicia obozu. Metys zrobił mu miejsce przy ognisku. Rankiem był już za słaby do dalszej drogi. Podczas zaprzęgania próbował podpełznąć do - swych sań, Ze straszliwym wysiłkiem dźwignął się na nogi, ale zachwiał się i upadł. Wtedy zaczął czołgać się powoli w stronę, gdzie nakładano uprząż na jego towarzyszy. Wysuwał naprzód przednie łapy i podciągał tułów konwulsyjnymi ruchami, potem znowu wysuwał przednie łapy i znowu podciągał się o kilka cali. Wreszcie zupełnie opadł z sił. Towarzysze widzieli go po raz ostatni, jak leżał na śniegu z trudem łapiąc oddech i patrzył tęsknie za nimi. Dopóki nie zniknęli za pasmem drzew rosnących nad brzegiem rzeki, słyszeli jego' żalosne wycie.

Wtedy zatrzymano sanie. Metys powoli skierował kroki ku opuszczonemu przed chwilą obozowi. Ludzie zamilkli. Huknął strzał. Metys szybko powrócił. Świsnęły baty, wesoło zadźwięczały dzwonki, sanie pomknęły po szlaku. Lecz Buck, jak i wszystkie psy, wiedział, co zaszło za pasmem drzew, rosnących nad brzegiem rzeki.

V. TRUDY SZLAKU

W trzydzieści dni po opuszczeniu Dawson poczta wieziona przez Bucka i jego towarzyszy, a przeznaczona do wysyłki morzem, przybyła do Skaguay. Cały zaprzęg był w najwyższym stopniu zmęczony i wyczerpany. Waga Bucka ze stu czterdziestu funtów spadła do stu piętnastu. Pozostałe psy, choć nie ważyły tyle, straciły stosunkowo więcej. Podstępny Pike, który w swym pełnym wykrętów życiu często udawał, że kuleje, teraz naprawdę okulał. Sol-leks kulał także, a Dub miał zwichniętą łopatkę.

Wszystkie psy miały poodbijane łapy. Straciły sprężystość i lekkość biegu. Stąpały ciężko po szlaku, a każdy krok boleśnie wstrząsał ich ciałem, podwajając zmęczenie całodzienną pracą. Właściwie nic im nie brakowało, odczuwały tylko śmiertelne znużenie. Nie było to znużenie, jakie występuje zwykle po krótkim, lecz wielkim wysiłku i mija w ciągu kilku godzin. Było to znużenie wynikające z długotrwałego nadużywania sił przez wiele miesięcy ciężkiej pracy. Utraciły zdolność regeneracji, zużyły cały zapas posiadanej energii — wszystko aż do ostatka. Każdy miesiąc, każda tkanka, każda komórka ich ciał była zmęczona, śmiertelnie zmęczona. Nic dziwnego, w ciągu bowiem niespełna pięciu miesięcy przebyły dwa tysiące pięćset mil, a na ostatnie tysiąc osiemset mil drogi miały tylko pięć dni odpoczynku. Do Skaguay dobrnęły resztkami sił. Ledwo ciągnęły ładunek, a na zboczach z trudem unikały zsuwających się na nie sań.

— Marsz naprzód, biedne obolałe łapiska — zachęcał poganiacz, gdy psy wlokły się po głównej ulicy Skaguay. — Już niedaleko. Potem będzie długi odpoczynek. Może nie? Na pewno. Wspaniały, długi odpoczynek.

Poganiacze spodziewali się tym razem dłuższej przerwy w podróży. Przebyli tysiąc dwieście mil z dwudniowym odpoczynkiem i zarówno rozsądek, jak sprawiedliwość wskazywały, że należy im się odrobina próżniactwa. Lecz tak wielu mężczyzn pośpieszyło do Klondike i tak liczne były ich narze czone, żony i rodziny pozostałe w domu, że stosy listów osiągnęły już niemal wysokość alpejskich szczytów. Co więcej, nadeszły pilne rozporządzenia władz. Psy nie nadające się do dalszej drogi należało zastąpić nowymi znad Zatoki Hudsona. Trzeba było pozbyć się bezużytecznych zwierząt, a ponieważ pies jest mniej ważny od dolara, postanowiono je sprzedać.

Minęły trzy dni i dopiero po ich upływie Buck i jego towarzysze poczuli, jak bardzo są zmęczeni i słabi. Czwartego dnia rano zjawili się dwaj mężczyźni ze Stanów, którzy kupili za grosze cały zaprzęg wraz z uprzężą. Mężczyźni ci mówili do siebie „Hal” i „Charles”. Charles był jasnym blondynem w średnim wieku, o bezbarwnych, bladych oczach, z zawadiacko podkreconymi do góry wąsami, pod którymi kryła się obwisła warga, oznaka niedołęstwa. Hal był dziewiętnastoletnim czy dwudziestoletnim młodzieńcem, z wielkim coltem i nożem myśliwskim u pasa, wypchanego nabojami. W jego wyglądzie pas ten najbardziej zwracał uwagę. Świadczył o całkowitym, bezgranicznym niedoświadczeniu młodzieńca. Obaj

mężczyźni wyraźnie nie pasowali do otoczenia, a dlaczego odważyli się wyruszyć na Północ, jest jedną z owych trudnych do rozwiązania zagadek.

Buck słyszał targowanie się, widział, jak pieniądze przechodzą z rąk obcego do rąk agenta rządowego, i zrozumiał, że Metys oraz pocztowi poganiacze znikną z jego życia, podobnie jak zniknął Perrault i François, i wielu innych.

Gdy Buck wraz z resztą zaprzęgu przybył do obozu nowych właścicieli, zobaczył panujący tam nieporządek i niechlujstwo: na wpół rozstawiony namiot, brudne naczynia — wszystko w nieładzie. Ujrzał także kobietę. Mężczyźni nazywali ją Mercedes. Była żoną Charlesa i siostrą Hala — dobrana rodzinka.

Buck przyglądał się z niepokojem, jak nowi jego właściciele zabierali się do zwijania namiotu i ładowania sań. Wkładali w to ogromny wysiłek, ale praca szła bez ładu i składu. Namiot zwinęli w niezdarny toboł, trzy razy większy niż należało. Błaznane naczynia zapakowali nie pozmywane. Mercedes stale kręciła się, przeszkadzając mężowi i bratu i zasypując ich gradem wymówek i rad. Gdy mężczyźni ułożyli worek z odzieżą na przodzie sań, uznała, że powinien znajdować się z tyłu. A gdy ułożyli go z tyłu i załadowali szereg innych tobołów na wierzch, Mercedes znalazła kilka zapomnianych rzeczy, które według niej należało zapakować koniecznie do tego właśnie worka. Musieli więc wszystko wyładować na nowo.

Z sąsiedniego namiotu wyszli trzej mężczyźni i przypatrywali się tej robocie, uśmiechając się i mrugając do siebie.

— Macie już całkiem niezły ładunek — odezwał się jeden z nich — i chociaż nie powinienem się wtrącać, ale na waszym miejscu nie zabierałbym ze sobą tego namiotu.

— To wykluczone! — zawołała Mercedes podnosząc ręce w kokieteryjnym przestraczu. — Jakże ja sobie poradzę bez namiotu?

— Już jest wiosna i mrozów więcej nie będzie — odpowiedział nieznajomy.

Potrząsnęła stanowczo głową, wobec czego Charles i Hal ułożyli ostatnie pakunki na górze tobołów.

— Myślicie, że się utrzyma? — spytał jeden z widzów.

— Dlaczego nie? — odparł sucho Charles.

— Dobrze, już dobrze — łagodnie odpowiedział nieznajomy. — Zdziwiłem się po prostu, to wszystko. Myślę, że sanie są trochę przeładowane.

Charles odwrócił się i zaczął zaciągać sznury, jak mógł najlepiej, co nie znaczyło bynajmniej, że robił to dobrze.

— No i naturalnie psy będą biegly cały dzień ciągnąc za sobą ten stos gratów — przygadywał drugi widz.

— Niewątpliwie — odparł Hal z lodowatą grzeczością. Chwycił jedną ręką za hamowidło, a drugą wymachiwał batem.

— Marsz! — zawołał. — Naprzód!

Psy szarpnęły uprzężą, napierały z całych sił przez chwilę, po czym zaprzestały wysiłku. Nie mogły ruszyć sań z miejsca.

— Co za leniwe bestie! Ja im pokażę. — krzyknął Hal zamierzając się batem.

Lecz Mercedes podbiegła do brata wołając: — O Hal, tak nie wolno! — i wyrwała mu bat z ręki. — Kochane biedactwa! Musisz mi obiecać, że będziesz się z nimi dobrze obchodził przez całą drogę, bo inaczej nie ruszę się ani na krok.

— Świetnie się znasz na psach — zadrwił Hal. — A w ogóle proszę cię, żebyś mnie zostawiła w spokoju. Mówię ci, są leniwe i tylko biciem można je do czegoś zmusić. Zawsze tak jest z psami. Spytaj kogokolwiek, choćby jednego z tych ludzi.

Mercedes spojrzała błagalnie na nieznanym. Na jej ładnej twarzyczce malował się niewypowiedziany wstręt do okrucieństwa.

— Psy są bardzo osłabione, jeśli chcecie wiedzieć — odezwał się jeden z widzów. — Są doszczętnie wyczerpane. Potrzebują odpoczynku, nic więcej.

— Do diabła z odpoczynkiem — zaklął młokos, a Mercedes jęknęła dotknięta i zgorziona tym przekleństwem. Lecz solidarność rodzinna wzięła w niej górę i natychmiast stanęła w obronie brata.

— Nie zwracaj uwagi na tego człowieka — powiedziała uszczypliwie. — Psy są nasze, więc rób, co uważasz za słuszne.

Hal smagnął psy batem. Szarpnęły uprzężą, zaparły się łapami w ubity śnieg, pochyliły naprzód i pociągnęły z całej mocy. Sanie stały jak przykute. Po dwukrotnych próbach psy zaniechały wysiłków i stanęły dysząc ciężko. Bat świsnęła dziko, lecz Mercedes ponownie przeszkodziła biciu. Łzy napłynęły jej do oczu, padła na kolana przed Buckiem i objęła go za szyję.

— Moje kochane biedactwa — zawołała ze współczuciem — dlaczego nie ciągniecie mocniej? Wtedy nikt by was nie bił.

Nie podobała się Buckowi, ale był już tak zmęczony, że bez sprzeciwu znosił jej czułości, uważając je za coś nieodzownego w tej przykłej pracy.

Jeden z widzów, który zaciskał zęby, żeby nie wybuchnąć przekleństwami, odezwał się nagle:

— Nic mnie nie obchodzi, co się z wami stanie, ale żal mi psów i tylko dlatego się odzywam. Płozy przymarzły do śniegu. Jak chcecie pomóc psom, musicie poruszyć sanie. Szarpnij mocno hamowidłem w prawo i w lewo, a sanie się oderwą.

Po raz trzeci Hal spróbował ruszyć, ale tym razem, usłuchawszy dobrej rady, oderwał przymarznęte płozy. Przeładowane i trudne do kierowania sanie ruszyły naprzód, a Buck z towarzyszami ciągnął je zapamiętale pod gradem uderzeń. O sto jardów dalej dróżka skręcała i zbiegała stromo ku głównej ulicy. Tylko ktoś bardzo doświadczony potrafiłby utrzymać w równowadze tak wysoko załadowane sanie, a Hal doświadczony z pewnością nie był. Na zakręcie sanie przewróciły się i połowa za luźno przywiązanych tobołów spadła na ziemię. Psy nie zatrzymały się i wlokły częściowo uwolnione od ciężaru i leżące na boku sanie. Były rozwścieczone złym traktowaniem i zbyt ciężkim ładunkiem. Bucka ogarnął szal. Popędził naprzód, porywając za sobą cały zaprzęg. Hal krzychał „stój, stój” — lecz psy nie zwracały na niego uwagi. Potknął się i został zwalony z nóg. Przewrócone sanie przejechały po nim, a psy mknęły dalej ku radości mieszkańców Skaguay, rozrzucając po głównej ulicy resztki ekwipunku.

Wreszcie dobrzy ludzie zatrzymali zaprzęg i pozbierali rozsypane rzeczy. Udzielili

także dobrych rad. — Połowa ładunku, podwójna ilość psów — mówili — jeżeli w ogóle chcecie dotrzeć do Dawson. — Hal, jego siostra i szwagier słuchali tego niechętnie, ale zatrzymali się, rozbili namiot i jęli przeglądać ekwipunek. Na widok puszek z konserwami przechodnie zaczęli się śmiać, gdyż konserwy na Długim Szlaku są *rzeczą*, o której można tylko marzyć.

— Koców wystarczyłoby na cały hotel — orzekł ze śmiechem jeden z pomagających im mężczyzn. — Połowa byłoby za dużo. Musicie się ich pozbyć. Wyrzucicie namiot i te wszystkie naczynia — kto to będzie zmywał? Mój Boże, czy wy myślicie, że podróżujecie pulmanem?

W ten sposób nieubłaganie usuwano wszystko, co zbyteczne. Mercedes płakała, gdy jej worki z odzieżą ciśnięto na ziemię i zaczęto wyrzucać z nich po kolei różne rzeczy. Oplakiwała wszystko razem, oplakiwała każdy poszczególny drobiazg.

Objęła rękami kolana i kiwała się w rozpacz. Twierdziła, że nie robi ani kroku, choćby dla całego tuzina Charlesów. Broniła każdej rzeczy odwołując się do wszystkich obecnych, wreszcie otarła łzy i zaczęła wyrzucać nawet najniezbędniejsze części garderoby. W zapale, gdy skończyła ze swoim workiem, zabrała się do odzieży brata i męża, rozrzucając ją niczym trąba powietrzna.

Po tym przeglądzie ekwipunek, choć zmniejszony do połowy, nadal ważył dużo. Hal i Charles kupili wieczorem sześć niedawno sprowadzonych psów. Dawny zaprzęg, składający się początkowo z sześciu psów, uzupełniony w Rink Rapids podczas rekordowej podróży dwoma husky, Teekiem i Kooną, wzrósł teraz do czternastu. Lecz nowe psy, chociaż wyszkolone już po przybyciu na Północ, nie przedstawiały wielkiej wartości. Trzy z nich były to krótkowłose pointery, jeden nowofundlandczyk i dwa nieokreślone mieszańce. Wydawało się, że ci przybysze nic nie umieją. Buck z towarzyszymi patrzył na nich z pogardą — i chociaż szybko narzucił im posłuch i nauczył, czego robić nie wolno, nie zdołał nauczyć ich tego, co i jak należy robić. Do pracy w uprzęży zabierały się niechętnie. Wszystkie, z wyjątkiem dwóch mieszańców, były oszołomione i złamane na duchu przez dzikość otoczenia i złe traktowanie. Mieszańce nie posiadały w ogóle żadnego ducha, nic się nie mogło w nich złamać — chyba jedynie kości.

Podróż nie zapowiadała się dobrze, gdyż nowe psy były bezradne i słabe, a stary zaprzęg wyczerpany po przebyciu dwóch i pół tysiąca mil. Charles i Hal byli jednak dobrej myśli. Byli także dumni. Oto wyruszają w drogę z fasonem z czternastoma psami. Widzieli inne sanie odjeżdżające przez przełęcz do Dawson lub wracające stamtąd, lecz nigdy nie widzieli zaprzęgu w czternastkę. Istniał jednak powód, dla którego w podróżach po krajach podbiegunowych nie używano czternastu psów do jednych sań, ten mianowicie, że jedne sanie nie mogą pomieścić żywności dla tylu zwierząt. Ale Charles i Hal nie wiedzieli o tym. Opracowali plan podróży z ołówkiem w ręku: tyle a tyle dziennie na psa, tyle a tyle psów, tyle a tyle dni — razem tyle a tyle — *quod erat demonstrandum*. Mercedes zaglądała im przez ramię, gdy robili te obliczenia, kiwając głową ze zrozumieniem. To było takie proste.

Nazajutrz późnym rankiem Buck ruszył ulicą na czele długiego zaprzęgu. Odbyło się to bez zwykłego ożywienia, gdyż zarówno Buck, jak i jego towarzysze nie mieli

ani zapachu, ani sił. Rozpoczynali podróż śmiertelnie znużeni. Już cztery razy Buck przebył przestrzeń między morzem i Dawson, a świadomość, że teraz wycieńczony i słaby ma ją odbyć ponownie, napełniła go goryczą. Nie wkładał serca w pracę, podobnie jak i pozostałe psy. Przybysze byli nieśmiali i wystraszeni, a stary zaprzęg nie miał zaufania do swych właścicieli.

Buck czuł, że nie można polegać na tych dwóch mężczyznach i kobiecie. Nie umieli nic zrobić, a w miarę jak mijały dni, okazało się, że niczego się nie nauczą. Byli leniwi, nie uznawali porządku ani dyscypliny. Do późna w noc trwało rozbijanie niechlujnego obozu, do późnego ranka zwijali go i ładowali sanie w sposób tak nieporządny, że przez resztę dnia musieli co rusz zatrzymywać się i poprawiać ładunek. Bywało, że w ciągu dnia nie przebyli nawet dziesięciu mil. Czasami w ogóle nie mogli wyruszyć. A nigdy nie udało im się przebyć więcej niż połowę trasy, jaką przyjmuje się zwykle za podstawę przy obliczaniu żywności dla psów.

Musiało im w końcu zabraknąć żywności. Zresztą sami przyspieszyli głódówkę, przekarmiając początkowo psy. Nowe psy, które nie zaznawszy dotąd chronicznego głodu, nie nauczyły się jeszcze w pełni wykorzystywać skąpego pożywienia, były niezwykle żarłoczne. Ponadto Hal widząc, jak słabo ciągną wycieńczone husky, uznał, że normalna porcja jest za mała i podwoił ją. A na domiar złego, gdy Mercedes nie udało się, drżącym głosem i ze łzami w pięknych oczach, namówić brata na większe porcje, zaczęła wykradać ryby z worków i skrycie dokarmiać zaprzęg. Lecz psy nie tyle potrzebowały jedzenia, co odpoczynku. I chociaż posuwały się naprzód bardzo wolno, ciężki ładunek wyczerpywał ich siły.

Później zaczęło się niedożywianie. Hal zrozumiał pewnego dnia, że została im tylko połowa żywności dla psów, a przebyli zaledwie ćwierć drogi. Wiedział też, że za żadną cenę nie kupi nigdzie nowych zapasów. Zmniejszył więc nawet normalną porcję, próbując jednocześnie zwiększyć dzienny przebieg. Siostra ze szwagrem pomagali mu, ale wysiłki ich szły na marne wskutek ciężkiego ekwipunku i własnego niedołęstwa. Nic prostszego, jak dać psom mniejsze porcje, lecz nie sposób zmusić je do szybszego biegu. A ponieważ nie mogli zdobyć się na wcześniejsze wyruszenie z rana, nie zwiększyli ilości godzin podróży. Nie tylko nie umieli korzystać z pracy psów, ale także nie umieli sami pracować.

Pierwszy zginął Dub. Biedny, niezręczny złodziejasek, zawsze chwytny na gorącym uczynku i karany, mimo wszystko pracował wiernie w zaprzęgu. Jego zwichnięta łopata, nie leczona i zaniedbana, dokuczala mu coraz bardziej, aż wreszcie Hal zastrzelił go ze swego wielkiego colta. Na Północy istnieje powiedzenie, że pies przybyły z obcych stron zdechnie z głodu na porcjach husky, toteż nowa szóstka Bucka musiała zginąć otrzymując tylko połowę tych porcji. Pierwszy zdechł nowofunlandczyk, za nim poszły trzy krótkowłose pointery i wreszcie dwa mieszańce, choć te najmocniej trzymały się życia.

W tym okresie podróży trójka wędrowców wyzbyła się całkowicie uprzejmości i łagodności Południa. Pozbawiona wszelkiego uroku i romantyzmu podróż po kraju Północy stała się rzeczywistością zbyt straszną do zniesienia dla ludzi ich pokroju. Mercedes przestała płakać nad psami, gdyż była zbyt pochłonięta płaczem nad sobą

i kłótniami z mężem i bratem. Kłócić się mogli zawsze, bez względu na zmęczenie. Rozdrażnienie ich powstało wskutek ciężkich warunków, a w miarę ich pogarszania się rosło i olbrzymiało. Wspaniała cierpliwość Szlaku udzielająca się ludziom, którzy pracują w bolesnym trudzie, lecz zachowują łagodność mowy i obejścia, nie udzieliła się tej trójce. Nie mieli pojęcia, że taka cierpliwość może istnieć. Byli sztywni ze zmęczenia i bólu. Bolały ich mięśnie, bolały kości, bolały serca. I dlatego ich mowa stała się gwałtowna, a ostre słowa padały od rana do wieczora.

Charles i Hal sprzeczekali się, gdy tylko Mercedes dawała im ku temu sposobność. Każdy z nich święcie wierzył, że pracuje więcej od drugiego, i żaden nie mógł powstrzymać się od podkreślania tego przy lada okazji. Czasem Mercedes trzymała stronę męża, kiedy indziej znów brata. Wynikały stąd budujące doprawdy i bezustanne kłótnie rodzinne. Zaczynało się na przykład od sprzeczeki, kto ma narąbać drewno na ognisko (sprzeczekka dotycząca tylko Charlesa i Hala), a po chwili wciągało się w nią resztę rodziny — ojców, matki, wujów, kuzynów — oddalonych o tysiące mil ludzi, z których część już nie żyła. To, że poglądy Hala na sztukę lub na rodzaj utworów dramatycznych pisanych przez wujka mogły mieć jakikolwiek związek z narąbaniem kilku szczap drzewa, przechodzi wszelkie wyobrażenie. Niemniej jednak kłótnia mogła równie dobrze potoczyć się w tym kierunku, jak w kierunku politycznych przesądów Charlesa. A to, że plotkarski język siostry Charlesa miał coś wspólnego z rozpalaniem ogniska nad Yukonem, było jasne tylko dla Mercedes, która używała sobie na ten temat, nie pomijając jednocześnie kilku innych nieprzyjemnych cech charakterystycznych rodziny męża. A tymczasem ognisko pozostawało nie rozpalone, obóz nie rozłożony, a psy nie nakarmione.

Mercedes żywiła jeszcze do świata szczególny żal — żal kobiety. Była ładna i delikatna i przez całe życie mężczyźni obchodzili się z nią po rycersku. Natomiast obecne zachowanie się męża i brata było dalekie od rycerskości. Bezradność stała się jej drugą naturą. Obaj mężczyźni skarżyli się na to. Wobec takiego pogwałcenia najbardziej zasadniczego w jej mniemaniu przywileju płci żeńskiej zaczęła zatruwać im życie. Przestała litować się nad psami, a ponieważ była zmęczona i obolała, upierała się przy jeździe saniami. Była ładna i delikatna, ale ważyła sto dwadzieścia funtów — była więc tą przysłowiową ostatnią kroplą dodaną do ładunku ciągniętego przez słabe i wygłodniałe zwierzęta. Jechała tak dzień po dniu, aż psy padały z wyczerpania unieruchamiając sanie. Charles i Hal prosili ją, by wysiadła i szła pieszo, błagali, zaklinali, ale ona tylko płakała i zanudzała niebiosą opowieściami o męskiej brutalności.

Pewnego razu przemocą ściągnęli ją z sań — ale już nigdy więcej nie odważyli się tego zrobić. Mercedes udała, jak niegrzeczne dziecko, że nie może ustać na nogach, i siadła na śniegu. Mężczyźni poszli dalej, ale ona nie ruszała się z miejsca. Gdy przeszli trzy mile, zdjęli ładunek, wrócili po nią i przemocą wsadzili na sanie.

Wskutek własnych cierpień stali się nieczuli na cierpienia zwierząt. Hal wyznawał teorię, zwłaszcza w stosunku do innych, że trzeba nauczyć się wszystko znosić. Spróbował głosić ją wobec siostry i szwagra, ale nie udało mu się ich przekonać. Wobec tego zaczął wbijać psom tę teorię za pomocą pałki. W Five Fingers skończyła

się żywność dla psów. Jakaś bezzębna stara Indianka dała podróżnym kilka funtów zamrożonej końskiej skóry w zamian za colta, który wraz z wielkim myśliwskim nożem wisiał dotąd u boku Hala. Jakże marną namiastką żywności była ta skóra ściągnięta przed pół rokiem z zagłodzonych koni, należących do jakichś handlarzy bydła. Zamrożona wyglądała jak blacha, a tając w żołądku psa zamieniała się w cienkie, niepożywne paski skóry z wielką ilością drażniącej i niestrawnej sierści.

W tych strasznych warunkach Buck włókł się na czele zaprzęgu jak w koszmarnym śnie. Ciągnął, jak tylko mógł. Gdy nie mógł, padał i leżał bez ruchu, dopóki bat czy pałka nie zmuszały go do wstania. Jego piękna sierść straciła połysk i puszystość. Ciało pokrywały zmierzwione kłaki, gdzieś zlepięte zaschniętą krwią od razów Hala. Mięśnie stały się podobne do sznurków pokrytych supłami, a pod luźno wiszącą skórą rysowało się wyraźnie każde żebro i każda kość. Inne serce pękłoby dawno, lecz Buck miał serce niezłomne. Dowiódł tego w spotkaniu z człowiekiem w czerwonym swetrze.

Reszta psów znajdowała się w takim samym stanie. Były to chodzące szkielety. Pozostało ich siedem wraz z Buckiem. Wymęczone do ostatnich granic stały się nieczułe na uderzenia bata czy kija. Ból był jakby przytłumiony i odległy, podobnie jak wszystko, co widziały oczy i słyszały uszy, wydawało się mgliste i odległe. Nie były to już nawet na wpół żywe istoty. Pozostała z nich tylko skóra i kości z ledwie migoczącą wewnątrz iskierką życia. Na postoju psy padały w uprzęży jak martwe, a iskierka bladła, przygasała i zdawała się zamierać. Pod uderzeniem bata rozżarzała się nieco, psy dźwigały się na nogi i wlokły dalej.

Nadszedł dzień, gdy dobroduszny Billy upadł i nie mógł już wstać. Hal przehandlował rewolwer, wziął więc siekierę i zabił psa uderzeniem w głowę, nie wyprzegając go, po czym przeciął postronki i odciągnął martwego na bok. Widział to Buck i widzieli to jego towarzysze, i czuli, że to samo może ich spotkać lada chwila. Nazajutrz padła Koonna i pozostało ich tylko pięć: Joe zbyt słaby, żeby być złośliwym, Pike kulejący i na wpół przytomny, nie myślący już o wykrętach; dalej Solleks, jednooki, wciąż wierny swej pracy w uprzęży i smutny, że już ledwo jej może podolać; Teek, który tej zimy podróżował mniej od innych i który brał największe ciężki, gdyż był najsilniejszy; i wreszcie Buck, nadal na czele zaprzęgu, ale nie narzucający już dyscypliny ani nie próbujący jej narzucać. Na wpół ślepy z osłabienia, trzymał się szlaku widząc tylko jego mglisty zarys i wyczuwając go dotykiem łap.

Nastała piękna wiosna, lecz ani psy, ani ludzie nie zdawali sobie z tego sprawy. Z każdym dniem słońce wschodziło wcześniej i zachodziło później. Świtało już o trzeciej, a zmrok zapadał dopiero o dziewiątej wieczór. Przez cały długi dzień prażyło słońce. Po ponurej zimowej ciszy zaczął rozbrzmiewać wszędzie wiosenny, radosny szept budzącego się życia. Szept ten unosił się nad całą ziemią. Szedł od stworzeń, które były jak martwe i nie ruszały się przez długie miesiące zimowe, a teraz ożyły i zaczęły się znowu poruszać.

Soki zaczęły krążyć w pniach sosen. Pączki pojawiały się na wierzbach i osikach. Krzewy i pnącza okryły się świeżą zielenią. Świerszcze świerkały po nocach, a w

dzień wszystkie pełzające stworzenia sunęły z szelestem ku słońcu. Kuropatwy nawoływały się po zaroślach, a w lesie rozlegało się kucie dzięciołów. Wiewiórki gwarzyły między sobą, ptaki śpiewały, a w górze niósł się klangor dzikiego ptactwa, które leciało z południa klucząc, prując z szumem powietrze.

Z każdego zbocza dobiegał szmer strumyków — muzyka niewidzialnych fontann. Wszystko tajało, kruszyło się, pękało. Yukon próbował zerwać okowy lodowe. Szarpał je od spodu, a słońce topiło od góry. W lodzie powstawały szczeliny, które rozszerzały się stopniowo, aż wreszcie rzeka porywała całe tafle cienkiego lodu. A wśród tych żywiołowych przejawów budzącego się życia, w promieniach palącego słońca, owiewani łagodnym tchnieniem wiatru — dwaj mężczyźni, kobieta i psy sunęli ślaniając się jak korowód śmierci.

Dotarli wreszcie do obozu Johna Thorntona przy ujściu Białej Rzeki. Psy ledwo trzymały się na nogach, Mercedes płakała siedząc na saniach, Hal klął nieszkodliwie, a Charles spoglądał przed siebie załzawionymi oczyma. Gdy się zatrzymali, psy padły na ziemię jak martwe. Mercedes otarła oczy i spojrzała na Thorntona. Charles usiadł na kłodzie drzewa. Siadał powoli i z trudnością, gdyż był sztywny ze zmęczenia. Hal rozpoczął rozmowę w imieniu pozostałych. Thornton kończył właśnie strugać trzon siekiery z brzoźowego pieńka. Strugał i słuchał odpowiadając półsłówkami, a zapytany, udzielał zwięzłych rad. Znał ten gatunek ludzi i był przeświadczony, że i tak go nie usłuchają.

— Powiedziano nam w górze rzeki, że szlak jest już nie do przebycia i że lepiej byłoby przerwać podróż — odpowiedział Hal na ostrzeżenie Thorntona, że nie powinni ryzykować jazdy po kruchym lodzie. — Mówiono nam, że nie dojedziemy do Białej Rzeki, a oto jesteśmy — dodał szyderczo, z odcieniem tryumfu w głosie.

— Słusznie wam mówili — odrzekł Thornton. — Lada chwila lody mogą ruszyć. Tylko głupcom z ich głupim szczęściem mogło się to udać. Mówię wam otwarcie, że nie zaryzykowałbym jazdy na takim lodzie za całe złoto Alaski.

— Widocznie dlatego, że nie jesteś głupcem — powiedział Hal. — Ale my mimo to pojedziemy do Dawson.

Rozwinął bat i zawołał: — Wstawaj, Buck! Hej! Wstawaj. Naprzód!

Thornton strugał dalej. Wiedział, że na nic się nie zda sprzeciwić szaleńcowi w jego szaleństwie, a świat się nie zawali, jeśli kilku głupców zniknie z powierzchni ziemi.

Lecz zaprzęg nie podniósł się na rozkaz. Psy dawno już doszły do takiego stanu, że tylko bicie mogło je zmusić do posłuszeństwa. Bat świstał spadając bezlitośnie to tu, to tam. Thornton zacisnął usta. Pierwszy dźwignął się Sol-leks. Następnie Teek. Po nim Joe skowycząc z bólu. Z kolei usiłował powstać Pike. Dwa razy opierał się już na przednich łapach, dwa razy padał i dopiero przy trzeciej próbie udało mu się wstać. Buck nawet nie drgnął. Leżał spokojnie tam, gdzie upadł. Bat ciął go raz po raz, ale pies ani nie zaskomlał, ani się nie poruszył. Thornton kilkakrotnie otwierał już usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymywał. Oczy mu zwilgotniały, a gdy bicie nie ustawało, wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem z wyrazem niezdecydowania na twarzy.

Był to pierwszy wypadek, że Buck zawiódł, a już to samo wystarczało, aby doprowadzić Hala do wściekłości. Zamienił bat na pałkę. Lecz Buck nie poruszył się pod spadającym na niego gradem ciężkich ciosów. Podobnie jak towarzyszom, trudno mu było się dźwignąć, ale w przeciwieństwie do nich postanowił, że nie wstanie. Miał jakieś nieokreślone przeczucie grożącego niebezpieczeństwa. Opanowało go silnie w chwili, gdy dotarli do brzegu, i dotąd nie opuściło. Nie na próżno przez cały dzień czuł pod łapami cienki i kruchy lód — wydawało mu się, że nieszczęście jest bliska — właśnie tam, przed nimi, na lodzie, dokąd jego pan starał się go skierować. Nie chciał wstać. Tak bardzo się już nacierpiał, tak dalece był wycieńczony, że uderzenia nie sprawiały mu wielkiego bólu. A gdy ciosy nie ustawały, iskierka życia zamigotała i przy gasła. Ledwo się już tliła. Odczuwał dziwne odrętwienie. Zdawał sobie sprawę, że go biją, ale miał wrażenie, że dzieje się to gdzieś daleko. Nie czuł już bólu. Nie odczuwał nic, ledwie słyszał odgłos uderzeń, spadających na jego ciało. Lecz nie było to już jego ciało, talk bardzo wydawało mu się obce.

A wtedy, nagle, bez żadnego ostrzeżenia, wydając dziwny, niemal zwierzęcy krzyk, John Thornton rzucił się na bijącego. Hal runął w tył, jak gdyby pod naporem walącego się drzewa. Mercedes krzyknęła. Charles bacznie się im przyglądał ocierając zażawione oczy, ale nie wstał, sztywny ze zmęczenia.

Thornton stanął nad Buckiem usiłując się opanować. Wściekłość odebrała mu mowę.

— Jeżeli jeszcze raz uderzysz tego psa, zabiję cię — zdołał wreszcie wykrztusić zdławionym głosem.

— To mój pies — odpowiedział Hal zbliżając się do Thorntona i ocierając zakrwawione usta. — Zejdź mi z drogi, bo cię trzasnę. Idę do Dawson.

Lecz Thornton stał między nim a Buckiem i ani myślał zejść mu z 'drogi. Hal wyciągnął z pochwy długi myśliwski nóż. Mercedes krzyczała, płakała i śmiała się na przemian, zdradzając wszystkie objawy hysterii. Thornton uderzył Hala trzonkiem siekiery po napiętku, wytrącając mu nóż z ręki. Uderzył raz jeszcze, gdy tamten usiłował podnieść nóż z ziemi. Po czym nachylił się, sam go podniósł i dwoma ruchami przeciął uprząż Bucka.

Hal nie miał chęci do dalszej walki. Poza tym musiał zająć się siostrą, a Buck był tak bliski śmierci, że nie nadawał się już do ciągnięcia sań. W kilka minut później uparci wędrowcy zeszli wraz z zaprzęgiem z brzegu i skierowali się w dół rzeki. Buck usłyszał, że wyruszają, i podniósł głowę, aby zobaczyć ich odjazd. Pike prowadził, Sol-leks był przy saniach, a między nimi Joe i Teek. Psy kulały i potykały się. Mercedes siedziała na załadowanych saniach. Hal trzymał hamowidło, a Charles włókł się za nimi z tyłu.

Gdy Buck patrzył za odjeżdżającymi, Thornton ukląkł przy nim i szorstkimi palcami delikatnie badał, czy pies nie ma połamanych kości. Zanim się przekonał, że na ciele są jedynie ślady uderzeń i że Buck znajduje się tylko w stanie strasznego wycieńczenia, zaprzęg był już w odległości około ćwierci mili. Pies i człowiek przyglądali się saniom, pełznącym, wolno po lodzie. Nagle ujrzeli, że tył

sań zapada się jak gdyby w jakieś zagłębienie, a hamowidło z uczepionym do niego Halem wznosi się gwałtownie w górę. Krzyk Mercedes dobiegł ich uszu. Zobaczyli, że Charles zawraca chcąc uciekać, lecz wtedy wielka tafla lodu poszła pod wodę i psy i ludzie zniknęli im z oczu. Pozostała tylko ziejąca pustką wyrwa w lodzie. Zimowy szlak przestał istnieć.

John Thornton i Buck spojrzeli po sobie.

— Mój ty biedaku — powiedział człowiek, a pies polizał mu rękę.

VI. Z MIŁOŚCI DO CZŁOWIEKA

Gdy John Thornton odmroził sobie nogi w grudniu poprzedniego roku, towarzysze zaopatrzyli go we wszystko, co mogło mu być potrzebne, i zostawili w obozie, aby wydobrzeć. Sami zaś udali się w górę rzeki po drzewo, które mieli spławić do Dawson. Thornton kulał jeszcze lekko w chwili, gdy ratował Bucka, ale z nastaniem ciepłych dni nawet i ta dolegliwość minęła. Buck powoli odzyskiwał siły, leżąc przez całe długie wiosenne dni nad brzegiem rzeki, patrząc na płynącą wodę, słuchając leniwie śpiewu ptaków i innych odgłosów przyrody.

Odoczynek bywa bardzo pożądany po przebyciu trzech tysięcy mil, toteż Buck rozkoszował się lenistwem, a tymczasem goiły mu się rany, odradzały mięśnie, kości pokrywały się ciałem. Prawdę mówiąc, wszyscy próżnowali — Buck, John Thornton, Skeet i Nig — w oczekiwaniu na tratwę, którą mieli spłynąć do Dawson. Skeet była małym irlandzkim seterem i wcześniej zawarła przyjaźń z Buckiem, wtedy jeszcze, kiedy bliski śmierci nie mógł wziąć jej za złe pierwszych przyjaznych odruchów. Skeet miała dar leczenia spotykany u niektórych psów. I tak jak kotka myje swe kocięta, tak ona myła i oczyszczała rany Bucka. Regularnie każdego ranka, gdy Buck zjadł śniadanie, Skeet wykonywała swe dobrowolnie podjęte obowiązki, aż wreszcie Buck oczekiwał jej pielęgniarских zabiegów tak niecierpliwie jak opatrunków Thorntona. Nig, również przyjacielski choć mniej wylewny, był wielkim czarnym psem, mieszańcem gończego ze szkockim chartem; miał śmiejące się oczy i niezwykle łagodne usposobienie.

Ku zdziwieniu Bucka oba psy nie były o niego zazdrosne. Sądzić by można, że udzieliła im się dobroć i szczodrość Thorntona. Gdy Buck nabrał sił, wciągały go do różnych śmiesznych zabaw i nawet sam Thornton nie mógł sobie odmówić przyjemności uczestniczenia w ich igraszkach. Tak więc Buck przebaraszkował okres rekonwalescencji i rozpoczął nowe życie. Miłość — prawdziwa, gorąca miłość — opanowała go po raz pierwszy. Tego uczucia nie doznał nigdy w domu sędziego Millera w odległej, zalanej słońcem dolinie Santa Clara. Gdy polował i wędrował z synami sędziego, łączył go z nimi stosunek koleżeńskiej współpracy, z wnukami sędziego — jak gdyby ojcowskiej opieki, a z samym sędzią — poważna i stateczna przyjaźń. Lecz dopiero John Thornton wzbudził w nim miłość gorącą i płomienną, miłość, która była uwielbieniem, która była szaleństwem.

Człowiek ten uratował mu życie, a to już było. wiele. Ale prócz tego był wymarzonym panem. Inni ludzie dbali o psy z poczucia obowiązku i dla dobra interesu. On dbał o swoje, jak gdyby były jego dziećmi, ponieważ nie potrafił inaczej. I jeszcze coś ponadto. Nigdy nie zapominał o przyjaznym powitaniu lub słowach zachęty, a gdy zasiadał do długiej rozmowy z nimi (nazywał to gawędą), widać było, że sprawia mu to taką samą przyjemność jak jego czworonożnym towarzyszom. Miał zwyczaj brać mocno łeb Bucka w obie dłonie, opierać na nim głowę i szarpać go w różne strony, jednocześnie obrzucając przekleństwami, które dla psa brzmiały jak najczulsze słowa. Buck nie znał większej radości niż ów

brutalny uścisk i dźwięk szeptanych przekleństw, a za każdym szarpnięciem miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi, tak wielkie było jego szczęście. A gdy uwolniony z uścisku zrywał się z pyskiem roześmianym, z oczami pełnymi wyrazu, z gardłem rozedrganym od tłumionych dźwięków, i tak zastygał w bezruchu, John Thornton wołał z szacunkiem: — Na Boga, brakuje ci tylko mowy!

Buck miał zwyczaj wyrażać swą miłość w sposób nieomal bolesny. Często chwycił w pysk rękę Thorntona i tak mocno ją ścisnął, że na ciele pozostawały przez dłuższy czas ślady zębów. Lecz podobnie jak pies rozumiał, że przekleństwa są miłosnymi słowami, tak człowiek rozumiał, że te bolesne chwytaki są pieszczotą.

Przeważnie jednak miłość Bucka wyrażała się uwielbieniem. Chociaż szalał ze szczęścia, gdy Thornton dotykał go lub przemawiał do niego, sam nie upominał się nigdy o pieszczoty. W przeciwieństwie do Skeet, która miała zwyczaj wpychać pysk pod rękę Thorntona i trącać go dopóty, dopóki jej nie pogłaskał, lub do Niga, który podchodził i kładł mu swój wielki łeb na kolanach, Buckowi wystarczała adoracja z oddali. Mógł leżeć godzinami u stóp swego pana, czujny, oddany, wpatrzony w jego twarz, badając ją, śledząc z największym zainteresowaniem każdą przelotną myśl, każdy ruch lub każdą zmianę w wyrazie. Zdarzało się też, że leżał w pewnej odległości, z boku lub z tyłu, przyglądając się postaci mężczyzny i pilnując jego każdego poruszenia. A tak wielka była ich przyjaźń, że często siła wzroku Bucka zmuszała Thorntona do odwrócenia głowy. Patrzyli wtedy na siebie bez słowa, z miłością malującą się zarówno w oczach człowieka, jak i psa.

Przez dłuższy czas po wyratowaniu Buck starał się nie spuszczać Thorntona z oczu. Od chwili, gdy jego pan wychodził z namiotu, aż do chwili, gdy doń powracał, pies chodził za nim krok w krok. Ciągłe zmiany właścicieli, odkąd znalazł się na Północy, wzbudziły w Bucku obawę, że żaden pan nie jest wieczny. Bał się, że Thornton zniknie z jego życia, tak jak zniknęli Perrault i François, i szkocki Metys. Nawet w nocy, we śnie, prześladował go ten strach. Otrząsał się wtedy ze snu i nie zważając na chłód podpełzał pod wejście do namiotu, gdzie zatrzymywał się i słuchał oddechu swego pana. Pomimo jednak wielkiej miłości do Thorntona, która świadczyła o łagodzącym wpływie cywilizacji, pierwotne cechy, rozbudzone przez kraj Północy, nadal pozostawały w Bucku żywe. Zachował wierność i oddanie, zrodzone przy domowym ognisku, ale zachował też jednocześnie dzikość i przebiegłość. Był dzikim stworzeniem, które przyszło z dzikiej puszczy, by sięść przy ognisku Thorntona, a nie psem z ciepłego Południa o cechach odziedziczonych po licznych cywilizowanych pokoleniach. Wielka miłość do Thorntona nie pozwalała mu okradać swego pana, ale bez chwili wahania okradał każdego innego człowieka w każdym innym obozie, a robił to z taką chytryością, że nigdy nie został przyłapany.

Pysk i ciało Bucka poznaczone były bliznami, świadczącymi o licznych walkach. Walczył nadal z równą zaciętością, ale i z większą przebiegłością niż dawniej. Skeet i Nig byli zbyt dobroduszni, żeby z nimi zadzierać, zresztą należeli do Thorntona. Ale każdy obcy pies, bez względu na rasę czy dzielność, musiał szybko uznać przewagę Bucka, gdyż w przeciwnym razie czekała go walka na śmierć i życie ze strasznym

przeciwnikiem. A Buck był bezlitosny. Dobrze znał prawo pięści i kłów, zawsze wykorzystywał swoją przewagę i nigdy nie przerywał walki, dopóki śmierć nie zabrała wroga. Nauczył się tego od Szpica i najdzielniejszych psów policyjnych i pocztowych; wiedział, że nie można nic robić połowicznie. Musi zwyciężyć lub być zwyciężonym, a litość jest tylko dowodem słabości. Litość nie istniała w czasach pierwotnych. Uważano ją za strach, a strach prowadzi do śmierci. Zabić lub być zabitym, pożreć lub być pożartym — to było prawo. I temu nakazowi, pochodzącemu z głębin czasu, Buck był posłuszny.

Starszy był niż dni, które przeżył, niż ilość oddechów, którymi mierzyło się jego życie. Połączył w sobie przeszłość z teraźniejszością, ulegał wiecznemu, potężnemu rytmowi — rytmowi, któremu ulegają przyływy i odpływy, i pory roku. Siedział oto przy ognisku Thomtona pies o potężnej piersi,

o białych kłach i długiej sierści. Lecz za nim snuły się cienie przeróżnych psów, półwilków i wilków — niespokojne, niecierpliwie, czujące smak mięsa, które jadł, łaknące wody, którą pił. Cienie, które węszyły razem z nim i mówiły mu o odgłosach dzikiego życia puszczy, które kierowały jego czynami, układały się do snu i śniły razem z nim, i stawały się jednocześnie przedmiotem jego snów.

Tak silnie wabiły go te cienie, że z każdym dniem ludzie i ich potrzeby stawały mu się coraz bardziej obce. Daleko z głębi puszczy rozbrzmiewał zew, a gdy tylko Buck usłyszał to wołanie, podniecające i kuszące tajemniczo, porzucał ognisko i ubitą wokół niego ziemię i pędził do lasu, coraz dalej i dalej, nie wiedząc dokąd ani po co. Nie zastanawiał się dokąd ani po co, ilekroć zew zabrzmiał rozkazująco z głębi puszczy. Lecz gdy dotykał łapami dziewiczej ziemi daleko w zielonej gęstwinie, miłość do człowieka kazała mu wracać do ogniska.

Jedynie Thornton wiązał go ze światem ludzi. Pozostali ludzie nie istnieli dla niego. Przygodni podróżnicy mogli go chwalić lub głaskać, ale pies przyjmował to chłodno, a gdy ktoś był zbyt wylewny w swych uczuciach, Buck wstawał i odchodził. Kiedy dawno oczekiwani towarzysze Thorntona, Hans i Pete, przybyli na tratwie, Buck nie raczył ich zauważyć, dopóki nie zrozumiał, że są przyjaciółmi jego pana. Później tolerował ich i przyjmował łaskawie ich względy. Podobni w typie do Thorntona, byli to ludzie żyjący blisko natury, prości i bezpośredni. A zanim przybili tratwą do przystani przy tartaku w Dawson, poznali Bucka i jego zwyczaje, i już nie dążyli do osiągnięcia takiej zażyłości, jaka łączyła ich ze Skeet i Nigiem.

Ale miłość do Thorntona zdawała się wzrastać w sercu Bucka. On jeden mógł objąć grzbiet psa ładunkiem podczas letnich podróży. Nie było takiego żądania, którego by Buck nie spełnił na rozkaz swego pana.

Pewnego dnia, gdy otrzymawszy pieniądze za drzewo i zaopatrzwszy się w żywność wyruszyli z Dawson do źródeł rzeki Tanana, ludzie i psy odpoczywali na szczycie skały, która wznosiła się stromo nad kamienistym wąwozem, położonym o trzysta stóp w dole. Thornton siedział niedaleko skraju urwiska z Buckiem u swego boku. Nagle przyszedł mu do głowy bezmyślny kaprys. Powiedział towarzyszom, że chce wypróbować psa.

— Skacz, Buck! — zawołał wskazując ręką przepaść.

A za chwilę szamotał się z psem nad samym skrajem urwiska, zanim Hans z Petem zdołali odciągnąć ich obu w bezpieczne miejsce.

— To niesamowite! — powiedział Pete po chwili, gdy odzyskał mowę.

Thornton potrząsnął głową. — Nie, to wspaniałe, a zarazem straszne. Wiecie, czasem mnie to nawet przeraża.

— Nie chciałbym być na miejscu tego człowieka, który ciebie zaatakuje, gdy on będzie w pobliżu — oświadczył Pete z przekonaniem, wskazując głową Bucka.

— Ja też nie, u diabła! — dodał Hans.

Obawy Peta sprawdziły się w Circle City pod koniec tego roku.

Gdy „Czarny” Burton, złośliwy zabijaka, wszczął kłótnię z jakimś nowicjuszem w barze, Thornton wtrącił się dobrodusznie, chcąc ich pogodzić. Buck swoim zwyczajem leżał w kącie z łbem złożonym na łapach, pilnując każdego ruchu swego pana. Nagle Burton bez żadnego ostrzeżenia zamierzył się i mocno uderzył Thorntona. Ten zatoczył się i byłby upadł, gdyby nie chwycił za poręcz przy ladzie baru.

Otaczający ich ludzie usłyszeli nagłe głos, który nie był ani szczeknięciem, ani warknięciem, lecz czymś, co da się jedynie określić jako ryk, i ujrzeli, jak Buck oderwał się błyskawicznie od podłogi i jednym skokiem rzucił się do gardła Burtonowi. Ten instynktownie zasłonił szyję ramieniem i dzięki temu uratował życie, ale runął na wznak, przytłoczony ciężarem psa. Buck puścił ramię Burтона, sięgając znowu do gardła. Tym razem człowiek nie zdołał się dobrze zasłonić i pies rozdarł mu szyję. Wtedy tłum rzucił się i oderwał Bucka od ofiary. Ale nawet gdy już chirurg tamował krew, pies krążył pod drzewami, groźnie warcząc i próbując wedrzeć się do izby, dopóki nie został odpędzony gradem ciosów. Zwołano natychmiast „sąd kopaczy”, który jednak orzekł, że pies został sprowokowany i że należy go uniewinnić. Czynem tym Buck zyskał sobie takie uznanie, iż sława jego imienia dotarła do wszystkich obozów Alaski.

W jakiś czas później, jesienią tego roku, Buck w inny sposób ocalił życie swemu panu. Thornton i jego towarzysze przeprowadzali za pomocą lin długą i wąską łódź przez najgorszy odcinek progów wodnych na rzece Czterdziestu Mil. Hans i Pete szli wzdłuż brzegu przeciągając cienką linę od drzewa do drzewa, by przytrzymać łódź, a Thornton, stojąc w niej z żerdzią w ręku, nadawał jej kierunek i wykrzykiwał wskazówki. Buck, zmartwiony i niespokojny, biegł równolegle z łodzią, nie spuszczając oczu ze swego pana.

W jednym szczególnie niebezpiecznym miejscu, gdzie ledwie przykryte wodą skały przecinały łożysko rzeki, Hans rozluźnił linę i podczas gdy Thornton spychał łódź żerdzią na środek nurtu, biegł wzdłuż brzegu z końcem liny w ręku, zamierzając przyciągnąć łódź, gdy tylko minie progi. Skoro tylko łódź pokonała przeszkody, pomknęła z prądem jak strzała. Hans ściągnął linę, ale uczynił to zbyt gwałtownie. Łódź wywróciła się i popłynęła ku brzegowi dnem do góry, a Thorntona, który wpadł do wody, porwał silny prąd i zaczął znosić na najgorszy odcinek progów, gdzie dziko wzburzone fale stanowiły przeszkodę nie do przebycia dla najlepszego nawet pływaka.

Buck w mgnieniu oka skoczył do rzeki. Przepłynąwszy trzysta jardów dotarł do Thorntona, który znajdował się już w samym środku skłębionego wściekle wiru. Gdy tylko Buck poczuł, że Thornton chwycił go za ogon, popłynął do brzegu prując wodę swą potężną pierśią. Zbliżał się doń jednak bardzo powoli, a tymczasem prąd znosił go z wielką szybkością w dół rzeki, do miejsca, skąd dochodził groźny ryk żywiołu, gdzie dziki prąd stawał się jeszcze dzikszy, a fale rozbryzgiwały się i rozbijały o skały, sterczące w rzece jak zęby olbrzymiego grzebienia. Rwąca siła wody przed ostatnim wysokim progiem była przerażająca i Thornton wiedział, że nie zdołają dopłynąć do brzegu. Udało mu się przepłynąć ponad, jedną skałą ledwo otarłszy się o nią, potem przetoczył się odbijając boleśnie o drugą i wreszcie szalona siła prądu rzuciła go wprost na trzecią. Puścił psa, chwycił obiema rękami za oślizły wierzchołek skały i krzyknął, zagłuszając huk wodospadu: — Do brzegu, Buck! Do brzegu!

Buck nie mógł się zatrzymać. Znoszony prądem walczył rozpaczliwie, lecz nie zdołał zawrócić. Gdy usłyszał po raz drugi rozkaz Thorntona, wyskoczył nieomal z wody wznosząc łeb do góry, jak gdyby chciał obdarzyć swego pana ostatnim spojrzeniem, po czym posłusznie skierował się do brzegu. Płynął z całych sił, a Hans z Petem wyciągnęli go na brzeg w miejscu, poza które nikt już nie mógł wypłynąć i gdzie każdemu groziła zagłada.

Hans i Pete wiedzieli, że nikt nie zdoła utrzymać się na śliskiej skale wśród rwącego prądu dłużej niż kilka minut, toteż co tchu pobiegli brzegiem w górę rzeki do miejsca dość odległego od skały, do której uczepiony był Thornton. Tam założyli linę holowniczą na szyję i barki Bucka w taki sposób, żeby nie dusiła go ani nie krępowała ruchów w wodzie, i kazali psu płynąć. Buck popłynął odważnie, ale nie licząc się z siłą prądu obrał zły kierunek. Odkrył swój błąd za późno, gdy bezradnie znoszony przez prąd mijał Thorntona w odległości kilku kroków.

Hans zaczął szybko zwijać linę, jakby miał do czynienia z łodzią. Naprężona lina szarpnęła Bucka i wciągnęła pod wodę, pod wodą też pozostał, dopóki nie wyciągnięto go na brzeg. Był na wpół żywy, lecz Hans i Pete rzucili się go ratować, wygniatając z niego wodę i wciskając mu powietrze do płuc. Usiłował wstać, ale nie mógł utrzymać się na nogach. Wtem dobiegł ich ledwo dosłyszalny głos Thorntona, a cho ciał nie mogli rozróżnić słów, wiedzieli, że jest już u kresu sił. Głos pana podziałał na Bucka jak prąd elektryczny. Zerwał się i wyprzedziwszy ludzi pobiegł do miejsca, skąd przed chwilą skakał do wody.

Znowu założyli mu linę i znowu popłynął, lecz tym razem prosto ku głównemu nurtowi rzeki. Raz popełnił błąd i więcej go nie powtórzy. Hans rozwijał linę uważając, żeby była stale napięta, podczas gdy Pete pilnował, aby jej drugi koniec się nie poplątał. Buck płynął przed siebie, dopóki nie znalazł się na wprost Thorntona. Wtedy zmienił kierunek i z wielką szybkością popłynął prosto do swego pana. Thornton widział, jak nadpływa i gdy Buck, gnany potężnym prądem, wpadł na niego niczym taran, wyciągnął ręce i objął kudłatą szyję psa.

Hans owinął linę dookoła drzewa, a wtedy nagle szarpnięcie wepchnęło Bucka z Thorntonem pod wodę. Z trudem łapiąc oddech, dusząc się, to jeden na wierzchu, to

drugi, wleczeni po kamienistym dnie, rzucając o podwodne pnie i skały, znaleźli się wreszcie na brzegu.

Hans i Pete przewiesili Thorntona przez kłodę starając się wycisnąć z niego wodę i przywrócić mu oddech. Zaledwie Thornton otworzył oczy, odszukał wzrokiem Bucka, nad którego bezwładnym i pozornie martwym ciałem wył Nig, a Skeet lizła mokry pysk i zamknięte oczy wiernego psa. Gdy Buck przyszedł do siebie, Thornton, choć sam mocno potłuczony i pokaleczony, starannie go zbadał.

Okazało się, że ma złamane trzy żebra.

— To przesądza sprawę — oświadczył. — Tu rozbijemy obóz.

I pozostali w tym miejscu, dopóki żebra Bucka całkowicie się nie zrosły i nie stał się zdolny do dalszej drogi.

Tej zimy Buck dokazał w Dawson jeszcze jednego wielkiego czynu, który może nie był tak bohaterski, ale wślawił jego imię na całą Alaskę. Czynem tym Buck przysłużył się też bardzo Thorntonowi i jego towarzyszom, gdyż dzięki niemu zdobyli niezbędny ekwipunek i mogli wyruszyć w dawno upragnioną podróż na dziewiczy Wschód, dokąd nie dobrnęli jeszcze poszukiwacze złota. A zaczęło się wszystko od pewnej roz mowy w szynku „Eldorado”, gdzie mężczyźni zachwalali swoje ulubione psy. Buck, znany z chwalebnych czynów, stał się przedmiotem napaści, a Thornton bronił go zajadle. Po półgodzinnej sprzeczce jeden z obecnych oświadczył, że jego pies potrafi ruszyć z miejsca i pociągnąć sanie z pięćsetfuntowym ładunkiem. Drugi przechwalał się, że jego pies uciągnie sześćset funtów, a trzeci — że siedemset.

— Wielkie rzeczy! — odezwał się Thornton. — Buck potrafi ruszyć tysiąc funtów.

— Może jeszcze sam ruszy z miejsca przymarzniałe sanie i pociągnie sto jardów, co? — spytał Matthewson, „król Bonanzy”, ten, który przechwalał się, że jego pies pociągnie siedemset funtów.

— Tak, sam ruszy z miejsca przymarzniałe sanie i pociągnie przez sto jardów — chłodno odparł Thornton.

— No cóż — rzekł Matthewson powoli i dobitnie, tak aby go wszyscy słyszeli. — Stawiam tysiąc dolarów, że nie pociągnie. Oto one, — To mówiąc cisnął na ladę worek złotego piasku wielkości sporego baleronu.

Zapadła cisza. Thorntonowi na jego przechwałkę — jeśli była to przechwałka — odpowiedziano wyzwaniem. Poczuł, jak fala gorącej krwi zalewa mu twarz. Poniósł go język. Nie miał pojęcia, czy Buck zdoła pociągnąć tysiąc funtów. Pół tony! Ogrom tej wagi przerażał go. Wierzył wprawdzie głęboko w siły Bucka i niejednokrotnie myślał, że pies potrafi ruszyć taki ładunek, ale nigdy jeszcze nie stanął wobec konieczności wystawiania go na tego rodzaju próbę. Czuł na sobie wzrok kilkunastu mężczyzn zastygłych w pełnym oczekiwania milczeniu. Co więcej, nie miał tysiąca dolarów i nie mieli ich także ani Hans, ani Pete.

— Przed domem stoją moje sanie z dwudziestoma workami mąki po pięćdziesiąt funtów każdy — ciorógnął dalej Matthewson z brutalną natarczywością — więc o to nie potrzebujesz się martwić.

Thornton milczał. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Roztargniony, wodził

wzrokiem po otaczających go twarzach jak człowiek, który stracił zdolność myślenia i szuka czegoś, co mogłoby mu ją przywrócić. Wzrok jego padł na twarz Jima O'Briena, innego „króla” poszukiwaczy złota, a swojego towarzysza z dawnych czasów. Znalazł w niej jak gdyby zachętę, jak gdyby pobudkę do czynu, na który sam by się nigdy nie odważył.

— Czy możesz mi pożyczyć tysiąc dolarów? — spytał niemal szeptem.

— Naturalnie — odpowiedział O'Brien rzucając pękaty worek na ladę obok worka Matthewsona. — Chociaż, prawdę mówiąc, nie bardzo wierzę, Johnie, żeby pies mógł dokazać takiej sztuki.

Wszyscy goście z „Eldorado” wylegli na ulicę, aby być świadkami próby. Stoły gry opustoszały, a gracze przyłączyli się do tłumu, żeby zobaczyć wynik zakładu i samym porobić zakłady na boku. Kilkuset ludzi w futrach i rękawicach otoczyło szerokim kołem sanie Matthewsona, załadowane tysiącem funtów mąki. Sanie te stały w miejscu przez kilka godzin, a wskutek silnego mrozu (sześćdziesiąt stopni poniżej zera) płozy mocno przymarzły do ubitego śniegu. Zakładano się dwa przeciw jednemu, że Buck nie zdoła ruszyć sań. Wybuchła sprzeczka o znaczenie słów „ruszyć z miejsca”. O'Brien twierdził, że Thornton ma prawo oderwać płozy, a wtedy dopiero Buck musi ruszyć sanie z miejsca. Matthewson upierał się, że słowa te oznaczają także oderwanie przymarzniętych do śniegu płóz. Większość świadków zakładu przyznała rację Matthewsonowi, wobec czego stawiano teraz trzy przeciw jedne, mu, że Buck nie da rady.

Nie było chętnych do stawiania na Bucka. Nikt nie wierzył, że może tego dokonać. Thornton przyjął zakład bez zastanowienia i już wtedy miał poważne wątpliwości; patrząc zaś teraz na sanie z ich normalnym zaprzęgiem dziesięciu psów le żących na śniegu, uznał to zadanie za niewykonalne. Matthewson zaczynał tryumfować.

— Trzy do jednego — zawołał do Thorntona. — W tym stosunku stawiam drugi tysiąc, co ty na to?

Na twarzy Thorntona odmalowała się niepewność, ale obudził się w nim już duch bojowy, który wzbija się ponad przeciwności, nie uznaje rzeczy niemożliwych i jest głuchy na wszystko prócz zewu walki. Thornton przywołał Hansa i Peta.. Worki ich były prawie puste i wszyscy razem zdołali uzbierać zaledwie dwieście dolarów. W obecnym okresie niepowodzenia suma ta stanowiła cały ich majątek, jednakże postawili ją bez wahania przeciw sześciuset dolarom Matthewsona.

Wyprzęgnięto dziesiątkę psów z sań i na ich miejsce Thornton zaprzęgnął Bucka w jego własnej uprzęży. Psu udzieliło się ogólne podniecenie. Czuł, że musi dokonać czegoś wielkiego dla Thorntona. Na widok wsp"aniałego zwierzęcia rozległ się szmer podziwu. Buck był w doskonałej kondycji, nie miał na sobie ani jednej uncji niepotrzebnego tłuszczu i ważył sto pięćdziesiąt funtów, a każdy z tych funtów przyczyniał się do jego siły i tężyzny. Puszyste futro lśniło jak jedwab. Długa sierść na szyi i grzbiecie jeżyła się z lekka i zdawała unosić przy każdym ruchu, jak gdyby nadmiar żywotności udzielał się każdemu pojedynczemu włosowi. Szeroka pierś i potężne przednie łapy harmonizowały z resztą tułowia, a wspaniałe mięśnie prężyły się pod skórą. Ludzie dotykali tych mięśni wołając, że są twarde jak stal, i stawki

zakładów spadły na dwa przeciw jednemu.

— Do licha, panie! Do licha! — zwrócił się jękając do Thorntona członek najmłodszej dynastii bogaczy, ze Skookum. Benches. — Daję za niego osiemset, panie, przed próbą. Osiemset, tak jak stoi.

Thornton potrząsnął przecząco głową i podszedł do Bucka.

— Nie wolno ci stać koło psa — zaprotestował Matthewson. — Zostaw mu swobodę ruchów i dużo wolnego miejsca.

W tłumie zapadło milczenie. Słyszeć było tylko głosy hazardujących się graczy, którzy na próżno ofiarowywali stawki dwa do jednego. Wszyscy przyznawali, że Buck jest wspaniałym psem, ale dwadzieścia pięćdziesięciofuntowych worków mąki urosło w ich oczach do takich rozmiarów, że bali się rozwiązać sakiewki.

Thornton uklęknął przy Bucku. Ujął jego łeb w ręce i przytulił policzek do pyska. Nie potrząsał psem, jak zwykł był robić przy zabawie, ani nie szeptał czułych przekleństw, lecz mówił mu cicho do ucha: — Jeśli mnie kochasz, Buck, jeśli mnie kochasz — tak brzmiały jego słowa. Buck zaskomlał ra. dośnie z tłumionym - zapalem.

Tłum przyglądał się z zaciekawieniem, -Sytuacja stawała się tajemnicza. Zakrawało to naczary. Gdy Thornton- powstał z klęczek, Buck chwycił zębami jego rękę i lekko ścisnął, po czym powoli i jakby niechętnie rozluźnił chwyt. Była to odpowiedź bez słów, wyrażająca miłość. Thornton cofnął się o kilka kroków.

— Uwaga, Buck — powiedział.

Buck naciągnął postronki, potem zluźnił je o kilka cali. Był to sposób, którego się nauczył.

— W prawo! — głos Thorntona zadźwięczał ostro w pełnej napięcia ciszy.

Buck skoczył w prawo i gwałtownie pociągnął sanie, lecz wtedy naprężone postronki nagłym szarpnięciem zatrzymały jego potężne ciało. Jednocześnie ładunek drgnął, a spod płóz rozległo się suche skrzypnięcie.

— W lewo! — zawołał Thornton.

Buck powtórzył manewr, tym razem w lewo. Skrzypnięcie przeszło w trzask. Sanie obróciły się z lekka, a płozy przesunęły ukośnie w bok o kilka cali. Oderwały się od lodu. Ludzie bezwiednie wstrzymali oddech.

— Teraz naprzód!

Rozkaz Thorntona zagrzmiał jak wystrzał z pistoletu. Buck. rzucił się naprzód, naciągając postronki gwałtownym szarpnięciem. Całe jego ciało sprężyło się w potężnym wysiłku, mięśnie kurczyły się i wiły jak żywe pod jedwabistym futrem.

Szeroką pierś dotykał niemal ziemi, łeb wysunął naprzód, a łapami przebierał z dziką wprost szybkością, żłobiąc pazurami równoległe rowki w twardym śniegu. Sanie drgnęły, zachybotwały się, już, już ruszały z miejsca. Nagle Buck pośliznął się, któryś z mężczyzn jęknął. Potem sanie zaczęły sunąć naprzód ruchem złożonym jak gdyby z krótkich gwałtownych szarpnięć i już nie zatrzymały się więcej... pół cala... cal... dwa cale... Szarpnięcia zmniejszały się wyraźnie. Gdy sanie nabrały rozpędu, pies pociągnął równo, dopóki nie zaczęły sunąć płynnie po śniegu.

Widzowie odetchnęli głęboko nie zdając sobie sprawy, że przez chwilę

wstrzymywali oddech. Thornton biegł za psem zagrzewając go słowami pełnymi otuchy. Odległość przewidziana zakładem została już przedtem wymierzona. Gdy Buck zbliżał się do stosu drzewa, oznaczającego metę, zaczęły wznosić się radosne okrzyki — coraz głośniejsze i głośniejsze, aż wreszcie, kiedy minął stos i zatrzymał się na rozkaz, zabrzmiał jeden ogłuszający ryk. Wszystkich ogarnął szal, nawet Matthewsona. Czapki i rękawice fruwały w powietrzu. Nieznajomi ściskali się za ręce i gadali jeden przez drugiego w ogólnym radosnym zamieszaniu.

Thornton ukląkł przy Bucku. Głowę przytulił do jego łba i szarpał go swoim 'zwyyczajem na wszystkie strony. Ci, którzy nadbiegli, usłyszeli, że przeklinał psa, przeklinał długo, żarliwie, czule.

— Do licha, panie! Do licha! — wyjąkał bogacz ze Skookum Benches. — Dam tysiąc za niego, tysiąc, panie, tysiąc... tysiąc dwieście...

Thornton podniósł się z klęczek. Oczy miał mokre. Nie wstydził się łez, które spływały mu po twarzy.

— Panie — brzmiała jego odpowiedź. — Nie, panie. Idź pan sobie do diabła, panie! To moja jedyna rada, panie.

Buck chwycił zębami rękę Thorntona. Ten potrząsnął psem po swojemu. Widzowie, jakby poruszeni jedną myślą, cofnęli się z szacunkiem i już więcej nie a>mieli przeszkadzać.

VII. GDY ZABRZMIAŁ ZEW

Zarabiając w ciągu pięciu minut tysiąc sześćset dolarów, Buck umożliwił swemu panu spłacenie długów i podróż ze współnikami na Wschód w celu poszukiwania zagubionej bez śladu żyły złota, o której krążyły legendy i której historia była równie stara jak historia tego kraju. Wielu już jej szukało, niewielu znalazło. Za to liczni byli ci, którzy z tych poszukiwań nigdy nie wrócili. Historia tej żyły była przesiąknięta tragedią i okryta tajemnicą. Nikt nie wiedział, kto pierwszy ją odkrył, gdyż najstarsze opowieści pokrywały to milczeniem. Stała tam, odkąd pamięć sięga, stara i na wpół rozwalona chata. Ludzie na łożu śmierci przysięgali, że kto znalazł do niej drogę, ten znajdował również i kruszec. Na potwierdzenie pokazywali bryłki złota, takie, jakich nie spotykano nigdzie indziej w krainie Północy.

Lecz żadnemu z pozostałych przy życiu ludzi nie udało się tego skarbcza ograbić, a zmarli zabierali jego tajemnicę do grobu. Tak więc John Thornton, Pete i Hans z Buckiem oraz sześcioma innymi psami ruszyli na Wschód po nieznanym szlaku w nadziei, że uda im się dokonać tego, czego nie potrafili dokonać ze swymi psami inni, nie gorsi od nich. Przejechali saniami siedemdziesiąt mil w górę Yukonu, skręcili w lewo, puścili się w górę rzeki Stewart, minęli Mayo i McQuestion i sunęli dalej, póki rzeka nie stała się krętym strumykiem pośród szczytów górskich, które stanowiły jakby kręgosłup kontynentu.

John Thornton nie miał wielkich wymagań ani w stosunku do ludzi, ani w stosunku do przyrody. Nie bał się dzikiego pustkowia.

Z garścią soli i strzelbą lubił zapuścić się w bezdroża i przebywać tam, gdzie chciał i jak długo chciał. Podróżując bez pośpiechu, polował zwyczajem Indian w czasie dziennego marszu, a gdy mu się łowy nie powiodły, szedł dalej, gdyż wiedział, jak to wiedzieli Indianie, że prędzej czy później musi trafić na zwierzynę. Toteż podczas tej wielkiej podróży na Wschód świeże mięso było głównym pożywieniem, większość ładunku stanowiła amunicja i narzędzia, a czas trwania wyprawy sięgał w nieznaną przyszłość.

Te polowania, połowy ryb, ta nie kończąca się wędrówka przez nieznanne okolice — wszystko to było dla Bucka źródłem bezgranicznej radości. Tygodniami, dzień po dniu, posuwali się wytrwale naprzód lub całymi tygodniami obozowali, stawiając szalasy w coraz to innym miejscu. Psy włóczyły się po okolicy, a mężczyźni zajmowali się przy ognisku przemywaniem nieskończonej ilości płuczek, pełnych gliny i żwiru z dołów, które wypalali w zmarzniętej ziemi. Czasem głodowali, a czasem ucztowali hałaśliwie, zależnie od obfitości zwierzyny i wyniku polowania. Lato nadeszło i psy, i ludzie z pakunkami na grzbiecie przepływali na tratwach błękitne jeziora górskie, to znów w smukłych łodziach z wydrążonych pni płynęli w dół lub w górę rzek.

Miesiąc mijał za miesiącem, a oni wciąż krążyli po nieznanym, bezludnym kraju, w którym jednak ludzie musieli kiedyś przebywać, jeżeli legenda o Zaginionej Chacie była prawdziwa. Przekraczali wysoko położone działy wodne wśród

śnieżnych zadymek, drżeli z zimna na pograniczu lasów i wiecznego śniegu, pnąc się po nagich skałach w blasku słońca świecącego o północy, (Spuszczali się do ciepłych dolin w chmury komarów i muszek i zbierali w cieniu pokrytych lodowcami szczytów górskich dojrzałe poziomki i kwiaty tak piękne, że mogłyby się nimi szczyścić kraje Południa.

Jesienią weszli w upiorną krainę jezior, ponurą i milczącą, gdzie w ciągu lata gnieździło się dzikie ptactwo, lecz teraz martwą i bez śladu życia. Wiał tylko mroźny wiatr, osłonięte zatoczki pokrywały się lodem i smutno szumiały fale, łamiące się na odludnych brzegach.

I jeszcze jedną zimę przeżyli wędrując po zaginionych śladach ludzi, którzy niegdyś byli tu przed nimi. Raz natrafili na starą ścieżkę, wypaloną w puszczy, i wydało im się, że Zaginiona Chata jest już bardzo blisko. Lecz ścieżka, zaczynająca się niespodziewanie, urywała się nagle, a kto ją zrobił i dla czego, pozostanie na zawsze tajemnicą. Innym razem natrafili na szczątki myśliwskiego szałas i wśród strzępów zbutwiałych koców Thornton odnalazł starą skałkówkę o długiej lufie. Wiedział, że taką broń dostarczało niegdyś myśliwym Północno - Zachodniego Kraju Towarzystwo Hudson Bay i że taka fuzja warta była wtedy tyle skórek bobrowych, ułożonych płasko jedna na drugiej, ile wynosiła wysokość samej fuzji. To było wszystko — żadnej wskazówki, kim był człowiek, który ongiś zbudował ten szałas i pozostawił swą broń pomiędzy kocami.

I znowu nadeszła wiosna. Nie znaleźli wprawdzie Zaginionej Chaty, ale za to u kresu swych wędrówek natrafili w szerokiej dolinie na złożę płytko położone i tak bogate, że przy. pierwszych próbach dno płuczki wyglądało jak wypełnione żółtym masłem. Zaniechali dalszych poszukiwań. Każdy dzień pracy przynosił im tysiące dolarów pod postacią złotego piasku i bryłek, a pracowali dzień po dniu. Złoto pakowali w worki z łosiowej skóry, po pięćdziesiąt funtów każdy, a worki układali jeden na drugim obok szałas z gałęzi jodłowych, tak jak układa się zwykle drzewo na opał. Pracowali niestrudzenie, dni mknęły jedne za drugimi jak we śnie, a gromadzony przez nich skarb wciąż wzrastał.

Psy próżnowały i tylko od czasu do czasu musiały przywieźć upolowaną przez Thorntona zwierzynę. Buck spędzał długie godziny przy ognisku wpatrując się w płomień, a w marzeniach coraz częściej widywał kosmatego człowieka o krótkich nogach i wędrował z nim po tym innym świecie, który pozostał mu w pamięci.

Wydawało mu się, że w tym innym świecie wszechwładnie panuje strach. Przyglądając się kosmatemu człowiekowi, gdy ów spał przy ognisku z głową wtuloną w kolana i z rękami splecionymi na głowie, Buck widział, że człowiek śpi niespokojnie, budzi się co chwila, spogląda trwożliwie w ciemność i dorzuca dREW do ognia. Nawet gdy wędrowali razem nad brzegiem morza, gdzie kosmaty człowiek zbierał i jadł skorupiaki, oczy jego błędziły stale w poszukiwaniu ukrytego niebezpieczeństwa, nogi zaś gotowe były do błyskawicznej ucieczki. Przez las sunęli bezszelestnie. Buck tuż za człowiekiem, obaj czujni i ostrożni, wsłuchując się w każdy dźwięk i pilnie węsząc, gdyż człowiek miał słuch i węch równie dobry jak pies. Kosmaty człowiek umiał skoczyć na drzewo i posuwać się naprzód górą tak

samo szybko jak po ziemi; przerzucał się na rękach z konaru na konar odległy nieraz o kilkanaście stóp, puszczał się i chwycił gałęzi, nigdy nie chybiając celu. W istocie czuł się jednakowo dobrze na drzewach, jak i na ziemi, i Buck pamiętał noce spędzone na czuwaniu, podczas gdy kosmaty człowiek spał spokojnie na drzewie, nawet we śnie nie rozluźniając chwytu.

A zew, który wciąż rozbrzmiewał z głębi lasu, był ściśle związany z wizją kosmatego człowieka. Napęłniał on Bucka wielkim niepokojem i dziwnymi pragnieniami. Wywoływał w nim nieokreślone, błogie uczucie, podniecenie i dziką tęsknotę za czymś nieznanym. Czasem biegł za tym wołaniem w głąb lasu, szukając go, jak gdyby było czymś namacalnym, naszczekując przyjaźnie lub wojowniczo, w zależności od nastroju wciskał nos w chłodny mech leśny lub w wysoką trawę, rosnącą na czarnej ziemi, i wdychał radośnie zapach żyznej gleby. Albo przez długie godziny czał się w ukryciu za omszałymi pniami powalonych drzew, trzymając oczy szeroko otwarte i nastawiając uszu, śledząc dookoła wszystko, co się poruszało lub wydawało dźwięki.: Być może leżąc tak, spodziewał się zaskoczyć wołanie, którego nie mógł pojąć. Nie wiedział jednak, po co to wszystko robi. Czuł się do tego zmuszony i więcej o tym nie myślał.

Czasami ulegał przemożnym podnietom. Leżał w obozie, drzemiąc leniwie w upalne południe, gdy nagle głowa jego unosiła się sama, uszy nastawiały czujnie, wreszcie zrywał się i pomykał przed siebie, pędząc godzinami przez gąszcze leśne i polany pokryte kępami traw. Lubił gnać łożyskami wyschniętych, strumieni i skradając się podpatrywać życie ptaków w lesie. Potrafił niekiedy cały dzień przeleżeć w gęstwinie, skąd obserwował nawołujące się i dumnie parujące kuropatwy.

Lecz najbardziej lubił biec w poświęcie letnich nocy, słuchając stłumionych, sennych głosów lasu, odczytując poszczególne dźwięki, tak jak człowiek czyta książki. Poszukiwał wciąż tajemniczego wołania, które wzywało go nieustannie do siebie, we śnie i na jawie.

Pewnej nocy zerwał się ze snu z błyszczącymi oczami, węsząc niespokojnie, z sierścią jeżącą się co chwila na grzbiecie. Z lasu szedł zew, a właściwie tylko jeden z jego tonów, gdyż zew miał ich wiele. Był wyraźny i głośny jak nigdy dotąd — długie, przeciągłe wycie podobne do głosu psa husky, a jednak zupełnie inne. Znał je dziwnie dobrze, jak głos z dawna słyszany. Opuścił pogrążony w śnie obóz i cicho pomknął przez las. Gdy zbliżył się do głosu, zwolnił i zaczął wykonywać każdy ruch z wielką ostrożnością, aż doszedł do polanki w głębi puszczy. Ujrzał tam smukłego wilka leśnego, który siedział z pyskiem wzniesionym ku niebu.

Chociaż podchodził bezszelestnie, wilk zamilkł, jak gdyby czując jego obecność. Buck wyszedł na otwartą przestrzeń na wpół pełzną, wszystkie mięśnie miał naprężone, a ogon sztywno wyprostowany, gdy tak sunął z niezwykłą ostrożnością. Każdy ruch był jednocześnie groźbą i zachętą do przyjaźni. Było to pełne napięcia zawieszenie broni, zwykle przy spotkaniach żerujących drapieżników. Ale na jego widok wilk rzucił się do ucieczki, a Buck skoczył za nim sadząc wielkimi susami — tak bardzo pragnął go dogonić. Zagnał wilka do wyschniętego łożyska strumienia,

skąd nie było wyjścia, gdyż zwalone drzewa zagraadzały drogę. Wilk wykonał gwałtowny obrót na tylnych łapach, tak jak robił Joe i wszystkie osaczane husky, warcząc, jeżąc sierść i kłapiąc raz po raz zębami.

Buck nie zaatakował go, lecz krążąc dookoła, zbliżał się coraz bardziej i okazywał przyjazne zamiary. Wilk jednak był podejrzliwy i wystraszony, gdyż Buck ważył trzy razy więcej od niego i był znacznie wyższy. Skorzystawszy z pierwszej sposobności wilk rzucił się do ucieczki i pościg rozpoczął się na nowo. Wilk był widocznie osłabiony, bo Buck doganiał go z łatwością, i cała scena powtarzała się od nowa. Wilk umykał, dopóki Buck nie znalazł się tuż obok niego, wtenczas wykonywał gwałtowny obrót i osaczony znów uciekał, gdy tylko nadarzyła się sposobność. Lecz w końcu wytrwałość Bucka została nagrodzona, bo wilk, czując, że nic mu nie grozi, nabrał odwagi i dotknął nosem nosa Bucka. Przyjaźń została zawarta i zaczęli się bawić w ten nerwowy, niezbyt poufały sposób, jakim dzikie zwierzęta pokrywają swoją dzikość. Po pewnym czasie wilk ruszył spokojnym kłusem, okazując wyraźnie, że dokądś zmierza. Dał Buckowi do zrozumienia, że ma mu towarzyszyć, i pobiegli obok siebie w półmroku, prosto w górę wąwozu, skąd wypływał potok, i dalej przez nagą przełęcz, gdzie brał on swój początek.

Zbiegli po przeciwnym zboczach działu wód na równinę pokrytą wielkimi lasami i poprzecinaną licznymi strumieniami. Przez długie godziny przemierzali wytrwale te lasy, a tymczasem słońce wznosiło się coraz wyżej i dzień stawał się coraz gorętszy. Buck był dziko szczęśliwy. Czuł, że wreszcie idzie naprzeciw tajemniczemu wołaniu i że pędząc przy boku swego leśnego brata, dąży do miejsca, skąd rozbrzmiewał zew. Dawne wspomnienia ogarniały go i podniecały, tak jak podniecały go niegdyś przeżycia, których te wspomnienia były cieniem. Już raz przeżywał to samo, gdzieś w owym innym, omal zapomnianym świecie, a teraz przeżywa to znowu, biegnąc wolny przed siebie, mając dziewiczą ziemię pod nogami i bezmiar nieba nad głową.

Przystanęli wreszcie nad potokiem, aby napić się wody, a wtedy Buck nagle przypomniał sobie o Johnie Thorntonie. Usiadł. Wilk ruszył sam w kierunku miejsca, skąd zew niewątpliwie pochodził, po chwili jednak wrócił do Bucka i trącąc go nosem starał się zachęcić do dalszej wędrówki. Lecz Buck zawrócił i ruszył z wolna swoim śladem. Niemal przez godzinę dziki brat towarzyszył mu skomląc z cicha. Potem usiadł, podniósł łeb i zawył. Było to wycie pełne smutku i Buck, który wciąż biegł przed siebie, słyszał je długo. Słabło coraz bardziej i wreszcie zamilkło w oddali.

John Thornton jadł właśnie obiad, gdy Buck wpadł do obozu i rzucił się na niego w szale radości, przewracając go, skacząc na niego, liżąc mu twarz i gryząc ręce. — Oszalał czy co? — zawołał Thornton, potrząsając Buckiem i przeklinając go czule.

Przez dwa dni i dwie noce pies nie oddalił się ani na chwilę z obozu i nie spuszczał pana z oczu. Chodził za nim krok w krok podczas pracy, pilnował go w czasie posiłków, był przy nim, gdy zawijał się w koce z wieczora i. gdy wysuwał się z nich rano. Ale po dwóch dniach zew puszczy zaczął wołać go znowu z jeszcze większą natarczywością. Niepokój Bucka powrócił. Nawiedzały go wspomnienia pogodnego

kraju za przełęczą, leśnego brata i wspólnego biegu poprzez bezmiary dzikiej puszczy. Znow rozpoczął wędrówki po lasach, ale leśny brat nie pojawił się więcej. I chociaż czuwał przez długie godziny, nigdy nie usłyszał już jego wycia pełnego smutku.

Zaczął nocować w lesie i spędzać po kilka dni poza obozem. Raz nawet przeszedł przez przełęcz u źródeł potoku do krainy lasów i strumieni. Pozostał tam przez tydzień, na próżno szukając świeżych śladów dzikiego brata, polując na zwierzynę w ciągu tych wędrówek, biegnąc lekkim, swobodnym kłusem, który zdawał się nigdy go nie męczyć. Łowił łosose w szerokim strumieniu, płynącym gdzieś ku morzu, a w pobliżu tego strumienia zabił dużego czarnego niedźwiedzia, w chwili gdy pędził przez las oszalały i bezsilny, oślepiiony przez komary podczas łowienia ryb. Walka była ciężka i obudziła w Bucku resztę uspiętej dotąd drapieżności. W dwa dni później, gdy powrócił do swojej zdobyczy i zastał przy niej z tuzin rosomaków kłócących się nad łupem, rozpędził je na cztery wiatry. A dwa, które nie zdążyły uciec, kłócić się już więcej nie mogły.

Żądza krwi opanowała go silniej niż kiedykolwiek dotąd. Stał się groźnym drapieżcą żerującym na żywych stworzeniach. Samotny, zdany tylko na własną siłę i zręczność, potrafił utrzymać się przy życiu we wrogim otoczeniu, w którym wyżyć mogli tylko najsilniejsi. Nabrał wielkiej dumy i pewności siebie, co odbiło się także na jego wyglądzie. Przejawiło się to we wszystkich jego ruchach, w grze każdego mięśnia, w całym zachowaniu, w tym, że jego piękne futro stało się — jeśli to było możliwe — jeszcze piękniejsze. Gdyby nie odrobina brązowej sierści na pysku i nad oczami i nie biała łata biegnąca wzdłuż piersi, można by go było wziąć za olbrzymiego wilka, większego od największych przedstawicieli tego rodu. Po ojcu, bernardzie, odziedziczył wielkość i wagę, ale matce zawdzięczał kształty. Pysk jego. był długim wilczym pyskiem, większym jednak niż pysk wilka, a łeb, choć nieco szerszy — wilczym łbem ogromnej wielkości.

Chytróść jego była chytrością wilczą, inteligencja — inteligencją owczarka i bernarda, a wszystko w połączeniu z doświadczeniem zdobytym w najcięższej szkole zrobiło z niego najpotężniejsze ze zwierząt wędrujących po dzikich ostępach Północy. Był drapieżnikiem żyjącym tylko mięsem, w pełni rozkwitu sił życiowych, kipiącym od nadmiaru siły i dzielności. Gdy Thornton przesuwiał w pieszczocie rękę po jego grzbiecie, szły za nią lekkie trzaski, a przy dotknięciu z każdego włosa sypały się iskierki. Każda cząstka jego mózgu i ciała, każdy nerw i każda tkanka doszły do najwyższej sprawności, a jednocześnie były ze sobą idealnie zharmonizowane. Na wszystko, co widział i słyszał, na wszystko, co wymagało . działania, reagował z błyskawiczną szybkością. Chociaż pies husky potrafił nadzwyczaj szybko skoczyć do ataku lub obrony, Buck potrafił skoczyć dwa razy szybciej. Gdy dostrzegł ruch lub słyszał dźwięk, reagował, zanim jeszcze inne psy zdążyły coś zobaczyć lub usłyszeć. Odbiór wrażenia, zrozumienie i reakcja — te trzy zjawiska następowały jedno po drugim, ale tak szybko, że wydawały się jednoczesne. Mięśnie jego przepełnione żywotnością działały jak stalowe sprężyny. Życie płynęło w nim pełnym strumieniem, szczęśliwe i bujne, aż zdawało się, że w ekstazie rozsadzi go i zaleje

otaczający świat.

— Nigdy nie widziałem takiego psa — powiedział Thornton pewnego dnia, gdy wraz z towarzyszami patrzył, jak Buck opuszcza obóz.

— Forma, z której został odlany, musiała się potem rozbić — odrzekł Pete.

— Do diabła, i ja tak myślę — potwierdził Hans.

Widzieli go, jak opuszczał obóz, ale nie mogli widzieć gwałtownej i przerażającej zmiany, jaka w nim następowała, gdy tylko pogrążał się w gęstwinie lasu. Już nie szedł zwyczajnie. Stawał się od razu dzikim zwierzęciem przemykającym bezszelestnie jak kot, przelotnym cieniem, który ukazywał się i znikał wśród cieni. Umiał wykorzystać każdą zasłonę, pełznąć na brzuchu jak wąż i jak wąż rzucić się i uderzyć. Wiedział, jak złapać pardwę w gnieździe, zabić śpiącego królika i chwycić małe wiewiórki, gdy przeskakiwały z gałęzi na gałąź. Ryby w jeziorkach nie były dla niego za szybkie ani bobry naprawiające swoje groble — za ostrożne. Zabijał, żeby jeść, nie dla samej przyjemności zabijania. Ale wolał jeść to, co sam zabił. Czyny jego nie pozbawione były humoru; na przykład cieszyło go, gdy zaczaiwszy się na wiewiórki miał już je nieomal w pysku, a potem pozwalał tym stworzeniom, skrzeczącym ze strachu, umykać na wierzchołki drzew.

Z nadejściem jesieni zeszyły powoli z gór stada łosi, aby przebyć zimę w niżej położonych i cieplejszych dolinach. Buck pokonał już raz dorastającego byczka, ale pragnął spotkania z większym i groźniejszym przeciwnikiem. Trafił na niego pewnego dnia na przełęczy u źródeł potoku. Stado złożone z dwudziestu łosi przywędrowało z krainy lasów i strumieni, prowadzone przez potężnego byka. Mierzył przeszło sześć stóp w. kłębie, a że był przy tym mocno rozdrażniony, mógł nawet dla Bucka stać się nadto niebezpiecznym przeciwnikiem. Potrząsał groźnie wspaniałymi łopatom i czternastu odgałęzieniami i o rozpiętości siedmiu stóp. Na widok Bucka ryknął wściekle, a jego małe oczka zapłonęły wrogą złościwością.

W boku łosia, obok łopatki, tkwiła pierzasta strzała, która była przyczyną jego rozdrażnienia. Buck, kierowany instynktem pozostałym z dawnych polowań w zamierzchłych czasach, starał się oddzielić byka od stada. Nie było to łatwe zadanie. Szcekał i tańczył przed nim, tuż poza zasięgiem wielkich łopat i strasznych rozplaszczonych racic; jedno ich uderzenie mogło pozbawić go życia. Łoś nie mógł z obawy przed kłami psa zawrócić i uciec i miotał się w bezsilnej wściekłości. Nacierał więc na Bucka, który wycofywał się chytrze, udając, że nie może przed nim uciec. Ale gdy w ten sposób łoś oddalał się od stada, kilka młodszych byków zaczynało także atakować Bucka i umożliwiało rannemu przyłączenie się do stada.

Znana jest cierpliwość dzikiego świata — wytrwała, niestrudzona, uparta jak samo życie. Cierpliwość, która utrzymuje w bezruchu przez długi szereg godzin pająka na pajęczynie, zwiniętego węża i panterę w zasadzce. Cierpliwość ta jest cechą szczególną życia, gdy poluje na inne życie. Cechowała ona i Bucka, gdy trzymał się uparcie stada, opóźniając jego marsz, drażniąc młode byki, niepokojąc krowy z na wpół dorosłymi cielętami, doprowadzając starego łosia do szalu bezsilnej wściekłości. Trwało to przez pół dnia. Buck dwoił się i troił, nacierał zaciekle i zagrażał niespodziewanie ze wszystkich stron, odcinając ofiarę od stada, ilekroć

zdołała się do niego przyłączyć, wyczerpując cierpliwość, która mniejsza jest u zwierząt ściganych niż u ścigających.

U schyłku dnia, gdy słońce zaszło na północnym zachodzie (powróciły już ciemne, jesienne noce i trwały przez sześć godzin), młode byki coraz niechętniej przychodziły z pomocą osaczonemu przywódcy. Nadchodząca zima gnała je ku nizinom i obawiały się, że już nigdy nie pozbędą się tego niestrudzonego napastnika, który je zatrzymywał. Przy tym zagrożone nie było ani życie stada, ani życie młodszych byków. Chodziło tylko o życie jednego spośród nich, które było im mniej bliskie niż ich własne życie, toteż nadeszła wreszcie chwila, kiedy gotowe były ponieść tę ofiarę.

Gdy zmrok zapadł, stary łoś stanął z opuszczonym łbem i patrzył, jak krowy, które pokrywał, cielęta, które spłodził, i byki, nad którymi przewodził, sunęły szybkim krokiem w gasnącym świetle dnia. Nie mógł się do nich przyłączyć, gdyż przed nim harcował bezlitosny potwór o groźnych kłach, który nie pozwalał mu ruszyć się z miejsca. Ważył przeszło tysiąc trzysta funtów, przeżył długie, wspaniałe życie pełne walk i potyczek, a oto teraz groziła mu śmierć od kłów stworzenia, którego łeb nie sięgał jego grubo wiązanych kolan.

Odtąd ani dniem, ani nocą Buck nie opuścił już swojej ofiary. Nie dał jej jednej chwili wytchnienia, nie pozwolił skubnąć listka z drzewa, pędów młodej brzoźki czy wierzby. Nie dał rannemu bykowi zaspokoić palącego pragnienia w małych strumykach, przez które przechodzili. Często w rozpacz łoś rzucał się do ucieczki. Wtedy Buck nie próbował go zatrzymać, lecz biegł bez wysiłku tuż za nim, zadowolony z takiego przebiegu wypadków. Kładł się na ziemi, gdy łoś przystawał, ale atakował go zajadle, gdy próbował jeść lub pić.

Wielki łeb pochylał się pod ciężarem potężnych rogów, a niezgrabny trucht stawał się bardziej ociężały. Łoś odpoczywał coraz dłużej z pyskiem opuszczonym ku ziemi, z bezwładnie zwisającymi uszami, a Buck znajdował sam coraz więcej czasu na picie wody lub krótki odpoczynek. W takich chwilach, gdy ciężko dysząc, z wywalonym czerwonym językiem obserwował byka, wydawało mu się, że coś dziwnego zaczyna się dziać w otaczającym go świecie. Czuł jakieś poruszenie w leśnej krainie. Wraz z nadejściem łośi napływać zaczęły inne stworzenia. Łasy, wody i powietrze tętniły ich obecnością. Świadomość tego dotarła do Bucka nie poprzez wzrok czy słuch, czy węch, lecz poprzez inny, jakiś bardziej subtelny zmysł. Nie słyszał nic, nie widział nic, a jednak czuł, że puszcza stała się inna, że dzieją się w niej i dojrzewają jakieś dziwne sprawy. Buck postanowił zbadać je, gdy ukończy swe obecne zadanie.

Wreszcie u schyłku czwartego dnia powalił olbrzymiego łośa. Cały dzień i całą noc pozostał przy zdobyczy, jedząc i śpiąc, śpiąc i jedząc na przemian.

Nazajutrz znów, silny i wypoczęty, ruszył do obozu, do Johna Thorntona. Biegł długim, swobodnym kłusem, biegł tak całymi godzinami; wybierał właściwą drogę, prowadzącą wprost do obozu poprzez nie znaną mu okolicę, z nieomylnością, która zawstydić by mogła człowieka z kompasem w ręku.

Biegając, odczuwał coraz wyraźniej, że wokół dzieje się coś nowego. Cała okolica

tętniła życiem, życiem innym niż to, które istniało tu w lecie. Fakt ten nie dochodził już teraz do jego świadomości w ów dziwny, nieuchwytny sposób. Świergotały o tym ptaki, gaworzyły wiewiórki, szeptał wiatr. Buck wielokrotnie przystawał i głęboko wdychał świeże powietrze poranka, odczytując w nim wieść, która skłaniała go do jeszcze szybszego biegu. Gnębiło go przecucie nadchodzącego nieszczęścia lub może nieszczęścia, które już nastąpiło. A gdy przekroczył ostatni dział wód i zbiegł w dolinę, w której rozbity był obóz, zaczął posuwać się naprzód z większą ostrożnością.

Trzy mile przed obozem natknął się na świeży ślad, a gdy go poczuł, sierść zjeżyła mu się na grzbiecie. Ślad prowadził wprost do obozu, do Johna Thorntona. Buck pomknął naprzód szybko, ale zarazem ostrożnie, z nerwami napiętymi do ostateczności, czujny na liczne drobiazgi, które zdradziły mu wszystko — prócz zakończenia. Węchem wyczuł rozmaite szczegóły dotyczące żywych istot, po których tropie się posuwał. Spostrzegł brzemienne ciszę panującą w puszczy. Życie ptasie zamarło. Skryły się wiewiórki. Buck dostrzegł tylko jedną z nich — lśniące, popielate stworzonko, przytulone do szarego, martwego konaru tak, że wyglądało jak narośl na drzewie i tworzyło z nim jedną całość.

Gdy tak sunął niepostrzeżenie jak cień, nagle z boku uderzył go w nozdrza jakiś zapach. Skreślił gwałtownie, jak gdyby jakaś niewidzialna siła chwyciła go i pociągnęła w tę stronę. Ruszył kierując się węchem i w zagajniku znalazł Niga. Leżał martwy na boku tam, dokąd dowlókl się przed śmiercią, przeszyty na wylot pierzastą strzałą.

O sto jardów dalej Buck natrafił na jednego z psów zaprzęgowych, zakupionych przez Thorntona w Dawson. Pies leżał na ścieżce i rzucał się w agonii, a Buck ominął go i pobiegł dalej. Z obozu dochodził ledwo dosłyszalny dźwięk licznych głosów, wznoszących się i opadających w monotonnym śpiewie. Pełznąc do skraju polany Buck natknął się na Hansa leżącego twarzą do ziemi i tak nadzianego strzałami, że przypominał jeżozwierza. W tej samej chwili Buck spojrział w kierunku, gdzie stał jodłowy szałas, i to, co zobaczył, zjeżyło mu w okamgnieniu sierść na grzbiecie. Ogarnęła go niepokonana wściekłość. Nie wiedząc o tym, zawarczał głośno, z nieposkromioną dzikością. Po raz ostatni w życiu pozwolił, aby gniew zapanował nad chytrą i rozważą, gdyż stracił głowę z wielkiej miłości do Thorntona.

Yeehatowie wykonywali zwyczajski taniec dookoła zburzonego szałasu, gdy nagle usłyszeli przerażające warczenie i zobaczyli pędzące na nich zwierzę, jakiego nigdy dotąd nie widzieli. Był to Buck — uosobienie furii — który rzucił się na nich w morderczym szale. Skoczył na najbliższego człowieka, a był to wódz Yeehatów, i rozszarpał mu gardło tak, że z rozdartej tętnicy trysnęła fontanna krwi. Nie zatrzymał się nad swoją ofiarą, lecz w następnym skoku rozdarł gardło drugiego człowieka. Nie było przed nim obrony. Wpadł w sam środek tłumu, rwąc, szarpiąc i niszcząc. Nieustanny szaleńczy ruch chronił go od strzał, które na niego wypuszczano. Ludzie tak byli stłoczeni, a ruchy Bucka tak niezwykle szybkie, że Indianie zabijali się wzajemnie strzałami; młody wojownik, który zamierzył się na Bucka dzidą, trafił nią w pierś innego wojownika z taką siłą, że grot przeszedł na

wylot, przebijając mu skórę na plecach. Wówczas Yeehatów ogarnął popłoch, zaczęli uciekać w przerażeniu do puszczy, a ucieczkę tę tłumaczyli objawieniem się Złego Ducha.

Istotnie Buck stał się wcieleniem szatana i szalał w pościgu za pędzącymi przez las, powalając ich jednego po drugim, tak jakby powalał jelenie. Był to dzień klęski dla Yeehatów. Rozbiegli się po całej okolicy i dopiero po tygodniu pozostali przy życiu członkowie plemienia zebrali się w jednej z dolin i policzyli poniesione straty. Tymczasem Buck, znużony pościgiem, powrócił do spustoszonego obozu. Znalazł Peta owiniętego w koce, tak jak go zaskoczyła śmierć. Ślady rozpaczliwej walki, którą stoczył Thornton, były jeszcze świeże i Buck odczytał węchem każdy szczegół tej walki idąc po śladach aż do samego brzegu głębokiego jeziora. Na brzegu, z łbem i przednimi łapami zanurzonymi w wodzie, leżała Skeet, wierna aż do ostatniej chwili. Samo jezioro, błotniste i zmaczone przez prace przy przemywaniu złota, musiało ukryć głęboko na dnie zwłoki Johna Thorntona. Buck szedł bowiem jego śladem aż do wody, a żaden ślad z wody nie wychodził.

Cały dzień Buck siedział smutny nad jeziorkiem lub biegał niespokojnie po obozie. Znał śmierć jako ustanie ruchu, jako zniknięcie z życia istot żywych, i wiedział, że John Thornton nie żyje. Poczuł w sobie wielką pustkę, jak gdyby głód, ale pustka ta sprawiała dotkliwy, nieustający ból i żadne pożywienie nie mogło jej wypełnić. Chwilami, gdy patrzył na trupy Yeehatów, zapominał o bólu i wtedy odczuwał wielką dumę — tak wielką, jakiej nigdy jeszcze nie zaznał. Zabił człowieka, najszlachetniejszą ze wszystkich zwierzyń, zabił pomimo prawa pięści i kłów. Z ciekawością obwąchiwał ciała. Tak łatwo dali się zabić. Trudniej było zabić jednego husky niż ich wszystkich. Nie wydaliby mu się w ogóle groźnymi przeciwnikami, gdyby nie ich strzały, dzidy i maczugi. Na przyszłość nie będzie się ich już obawiał, chyba że trzymać będą w ręku jedną z tych broni.

Nadeszła noc i księżyc w pełni wszedł wysoko ponad wierzchołki drzew, zalewając całą okolicę widmowym światłem. Z nadejściem nocy Buck, który siedział pogrążony w smutku nad jeziorkiem, poczuł jakieś poruszenie w puszczy, inne niż poruszenie wywołane przejściem Indian. Wstał i zaczął węszyć, pilnie nasłuchując. Z daleka nadleciało ledwo dosłyszalne ostre szczeknięcie, a za nim cały chór podobnych głosów. Stopniowo szczek ten zaczął się zbliżać i stawał się coraz głośniejszy. A Buck wiedział, że słyszał ten głos ongiś, w tym innym, zamierzchłym świecie, który przetrwał w jego pamięci. Wszedł na środek polany i nasłuchiwał. Był to zew, zew złożony z wielu tonów, bardziej kuszący i zniewalający niż kiedykolwiek. I jak nigdy dotąd Buck gotów był usłuchać tego wołania. John Thornton nie żył. Ostatnia więź była zerwana. Człowiek i jego prawa przestały go obowiązywać.

Ścigając żywe mięso, podobnie jak to było zwyczajem Yee hatów, stado wilków wyszło wreszcie z krainy lasów i strumieni i w ślad za wędrującymi łosiami wtargnęło do doliny Bucka. Na polanę, skąpaną światłem księżyca, wilki wpłynęły jak srebrzysty strumień. Na środku polany stał Buck, nieruchomy jak posąg, i czekał na ich przybycie. Wydał im się tak wielki i potężny, że przejęte grozą przystanąły i

dopiero po chwili najśmielszy z nich odważył się go zaatakować. Buck odparł atak jak błyskawica, miażdżąc mu kark, po czym zastygł znów w bezruchu i nie zwracał więcej uwagi na wilka wijącego się w agonii. Trzy inne wilki skoczyły na niego jeden po drugim i jeden po drugim wycofywały się, krwawiąc obficie z rozplątanych gardzieli i barków.

To wystarczyło, żeby całe stado rzuciło się na niego w dzikim zamieszaniu i ścisisku, oszołomione żądzą powalenia ofiary. Buckowi przyszła teraz z pomocą cała jego niezwykła szybkość. Obracając się na tylnych łapach, gryzł, ciął, jednocześnie i tu, i tam, bronił się, atakowany ze wszystkich stron, błyskawicznie zmieniając pozycję. By uniemożliwić jednak wilkom obejście go od tyłu, musiał wycofywać się krok za krokiem wzdłuż jeziora aż do wyschniętego łożyska potoku. Tam, cofając się po wysokim piaszczystym brzegu, dotarł do prostokątnego wgłębienia zrobionego przez poszukiwaczy złota, gdzie osłonięty z trzech stron mógł bronić się przed napastnikami.

A bronił się tak dobrze, że po pół godzinie wilki cofnęły się pokonane. Dyszały wywiesiwszy długie jęzory, a białe ich kły błyszcząły groźnie w świetle księżyca. Niektóre pokładły się wyciągnąwszy łby i nastawiając uszy. Inne stały przyglądając się przeciwnikowi. Inne jeszcze chłeptały wodę z jeziora. Jeden z wilków, długi, smukły, szary, zbliżył się ostrożnie, ale przyjaźnie. Buck poznał w nim dzikiego brata, z którym wędrował przez całą noc i cały dzień. Wilk zaskomlał cicho, a gdy Buck mu odpowiedział, dotknęli się nosami.

Wtedy stary, wychudzony wilczur, pokryty bliznami, zbliżył się do niego. Buck zamierzał warknąć, w końcu jednak obwąchał się z nim przyjaźnie, po czym stary wilk usiadł, wyciągnął pysk ku księżycowi i zaniósł się długim wilczym wyciem. Inne wilki mu zawtórowały. Nareszcie zew dotarł do Bucka bezpośrednio, z samego źródła. Buck usiadł i zawył. Gdy skończył, wyszedł ze swej wnęki, a wilki stłoczyły się wokół niego i obwąchały go na wpół przyjaźnie, na wpół wrogo. Przywódcy szczeknęli nawołując stado i popędzili w głąb lasu. Wilki ruszyły za nimi poszczekując chórem. A wśród nich biegł Buck, poszczekując jak one, przy boku swego leśnego brata.

Na tym właściwie kończy się historia Bucka. Minęło zaledwie kilka lat, gdy Yeehatowie zauważyli zmiany w rasie leśnych wilków. Widziano niektóre z nich z brązowymi łatami na łbie i pysku i z białym pasem biegnącym wzdłuż piersi. Ale bardziej niezwykle jest to, że Yeehatowie opowiadają o upiornym psie, który stoi na czele stada. Boją się go, gdyż przewyższa ich przebiegłością — okrada ich obozowiska w czasie surowej zimy, ogołaca pułapki ze zwierzyny, zabija psy i skutecznie stawia czoło najdzielniejszym łowcom.

Lecz z biegiem czasu opowieść staje się jeszcze straszniejsza. Są tacy myśliwi, którzy nie powracają z łowów, są tacy, których pobratymcy znajdują z okrutnie rozszarpanymi gardłami, a dokoła nich widnieją na śniegu ślady łap większe niż ślady wilka.

Jest taka dolina, do której nigdy nie schodzi plemię Yeehatów, wędrujących każdej jesieni w ślad za łosiami. I są takie kobiety, które smutnieją, gdy przy

ognisku zaczyna się rozmowa o tym, jak się to stało, że Zły Duch obrał sobie siedlisko w tej dolinie.

Latem jednak ktoś odwiedza tę dolinę, ale o tym nie wiedzą Yeehatowie. Jest to potężny wilk o wspaniałym futrze, podobny, a jednak inny niż wszystkie wilki. Przybywa samotnie z pogodnej krainy lasów i strumieni i zatrzymuje się na polanie wśród drzew. Złoty potok piasku płynie tu ze zbutwiałych skórzanych worków i wsiąka w ziemię. Długie źdźbła trawy przebijają się przez ten potok, porasta go ziele, ukrywając jego blask przed promieniami słońca. Tu wilk przystaje w zamyśleniu, a zanim odejdzie, zanosi się długim, żalosnym wyciem.

Nie zawsze jednak jest samotny. Gdy nadchodzą długie zimowe noce, a wilki w pogoni za zwierzyną schodzą ku dolinom, można go zobaczyć pędzącego na czele stada w bladym świetle księżyca lub w blasku zorzy polarnej. Mknie, olbrzymi wśród swych leśnych braci, śpiewając potężną gardzielą pieśń nowego życia, wspaniałą pieśń swojego stada.